

FORGOTTEN REALMS

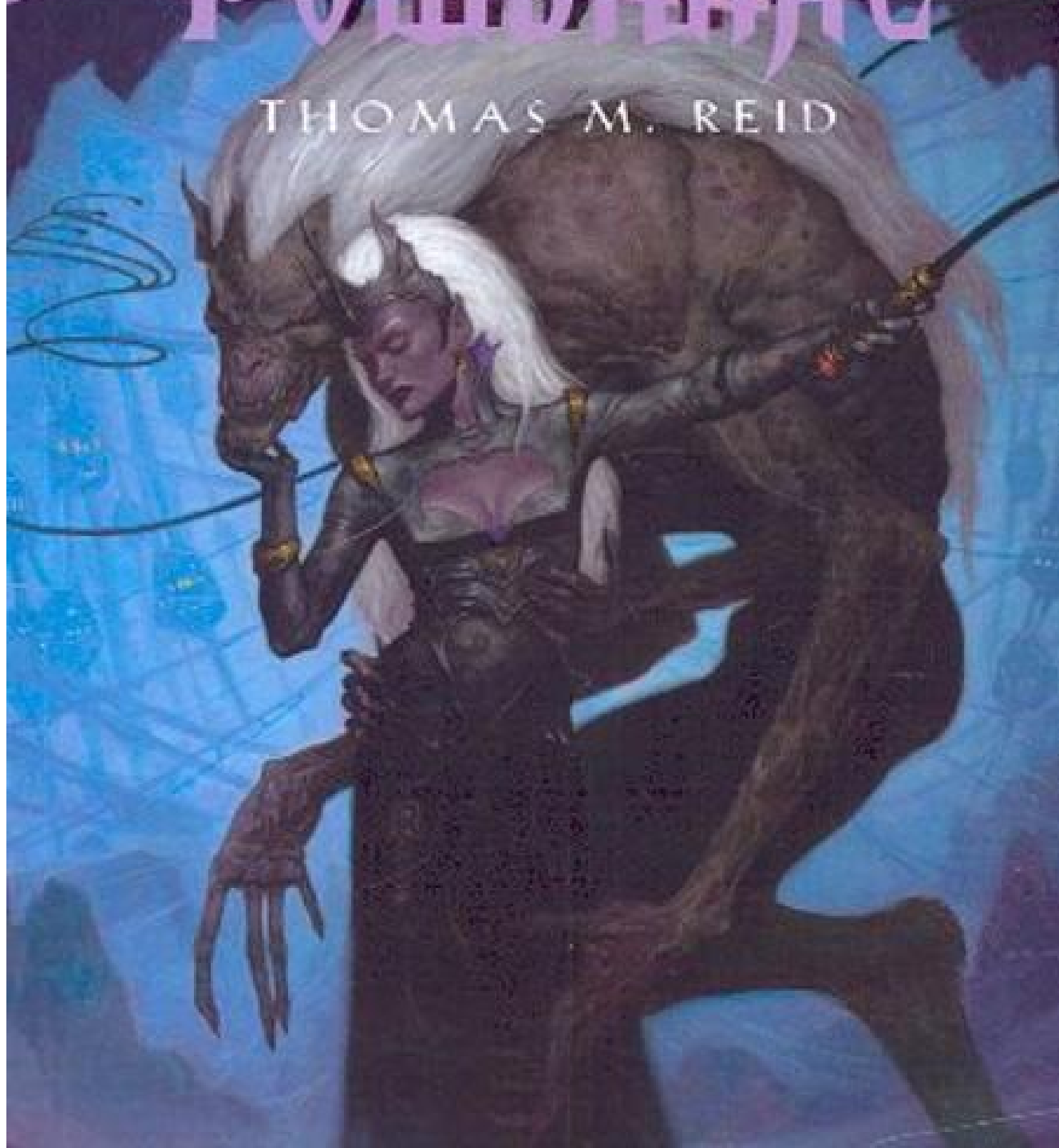
R. A. Salvatore

przedstawia:

WOJNA PAJĘCZEJ KRÓLOWEJ KSIĘGA II

POWSTANIE

THOMAS M. REID



Dla Quintona Rileya

Podobnie jak dobra książka jesteś niezwykłym skarbem w niewielkim opakowaniu.

Podziękowania

Bardzo dziękuję moim redaktorom, Philipowi Athansowi i R. A. Salvatore - dzięki waszym wysiłkom ta książka stała się o wiele lepsza.

Dziękuję też Richardowi Lee Byersowi i Richardowi Bakerowi - jeden z was jest starym przyjacielem, drugi nowym, ale obaj „ubezpieczaliście mi flanki”.

Miała wrażenie, jak gdyby kawałek jej samej wysuwał się z jej łona i przez chwilę czuła się osłabiona, jak gdyby oddawała zbyt wiele.

Żal szybko minął.

Bowiem w chaosie jedno miało stać się wieloma, a wiele miało podróżować różnymi drogami w celach, które wydawały się różnorodne, ale tak naprawdę były jednym i tym samym. W końcu znów staną się jednością i wszystko będzie tak jak dawniej. Było to bardziej odrodzenie niż narodziny. Był to bardziej wzrost niż osłabienie czy oddzielenie.

Działo się tak już od tysiącleci i musiało tak być jeśli chciała przetrwać nadchodzące wieki.

Była teraz bezbronna - wiedziała o tym i zdawała sobie sprawę, że wielu wrogów zaatakuje ją, jeśli nadarzy się okazja. Wielu jej własnych poddanych zechce ją zastąpić, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Jednak oni wszyscy trzymali się w defensywie, wiedziała o tym, albo marzyli o podbojach, które wydawały się wielkie, lecz w skali czasu i przestrzeni były błahe i nieistotne.

To przede wszystkim zrozumienie oraz świadomość czasu i przestrzeni, zdolność postrzegania wydarzeń takimi, jakimi będą się jawić za sto, tysiąc lat, odróżniały tak naprawdę bóstwa od śmiertelników, bogów od niewolników. Chwila słabości w zamian za tysiąclecie wzrastającej potęgi...

Tak więc, pomimo bezradności, pomimo słabości (której nienawidziła ponad wszystko), przepełniała ją radość, gdy kolejne jajo wysunęło się z jej pajęczego odwłoka.

Bowiem rosnącą istotą w jaju była ona sama.

ROZDZIAŁ 1

- Dlaczego moja ciotka miałaby zaufać elfce, która wysyła mężczyznę, żeby ją wyręczył? - zapytała Eliss'pra, patrząc pogardliwie na Zammzta.

Kapłanka rozparła się we władczej pozie na wyściełanej sofie, która została dodatkowo obita pluszem zarówno ze względów dekoracyjnych, jak i dla wygody. Quorlana pomyślała, że szczupła mroczna elfka w koszulce kolczej kunsztownej roboty i z buzdyganem pod ręką powinna nie pasować do urządzonego z takim przepychem salonu. Jednak Eliss'pra wyglądała tak, jak gdyby zaliczała się do najznakomitszych bywalców Bezmiennego Domu. Quorlana zmarszczyła nos z niesmakiem dobrze wiedziała, który dom reprezentuje Eliss'pra i uważała, że wyniosła drowka siedząca naprzeciw niej za bardzo wczuła się w rolę zarezerwowaną dla jej ciotki.

Zammzt skinął lekko głową, przyjmując do wiadomości obawy mrocznej elfki.

- Moja pani dała mi pewne... upominki, które, jak ma nadzieję, wyrażają jej zupełną i bezwzględną szczerą w tej sprawie - powiedział. - Pragnie również, abym powiadomił was, że będzie ich więcej, kiedy porozumienie zostanie przypieczętowane. Być może w ten sposób rozproszone zostaną również wasze obawy - dodał z uśmiechem, który miał być uniżony, a który Quorlana uznała za dziki. Zammzt nie należał do przystojnych mężczyzn.

- Twoja pani - odparła Eliss'pra, unikając tytułów i imion, co piątka zebranych ustaliła na samym początku - prosi moją ciotkę, a właściwie każdy z reprezentowanych tu domów, o bardzo wiele. Podarki nie są wystarczającą rekojmią zaufania. Musisz się bardziej postarać.

- Tak - przytaknął siedzący po prawej ręce Quorlany Nadal. - Moja babka nawet nie weźmie tego sojuszu pod uwagę, jeśli nie otrzyma przekonujących dowodów, że dom... - drow ubrany w proste piwafwi urwał w pół słowa. Noszone przez niego insygnia świadczyły o tym, że jest czarodziejem należącym do Uczniów Pheltonga. Złapał oddech i podjął: - To znaczy twoja pani, że twoja pani rzeczywiście przekazuje fundusze, o których wspominałaś.

Wydawał się rozgoryczony tym, że prawie się wygadał, ale zachował niewzruszony wyraz twarzy.

- Ma rację - dodała Dylsinae siedząca po drugiej stronie Quorlany. Jej gładka, piękna skóra niemal świeciła od zapachowych olejków, którymi nałogowo się nacierała. Prześwietlająca, opinająca ciało suknia kontrastowała z pancerzem Eliss'pry, odzwierciedlając skłonność do hedonistycznych przyjemności. Jej siostra, matka opiekunka, była chyba jeszcze większą dekadentką. - Żadna z osób, które reprezentujemy, nawet nie kiwnie palcem, dopóki nie przedstawi nam jakichś dowodów, że nie nadstawiamy karków. Istnieją o wiele bardziej... interesujące... sposoby spędzania wolnego czasu, niż branie udziału w rebelii - skończyła Dylsinae, przeciągając się ospale.

Quorlana wolałaby siedzieć dalej od tej ladacznicy. Słodki zapach jej perfum przyprawiał ją o mdłości.

Pomimo ogólnego niesmaku, jaki budziły w niej pozostałe cztery drowy, Quorlana zgadzała się z nimi w tej kwestii, co przyznała na głos.

- Gdyby moja matka miała sprzymierzyć się z waszymi pomniejszych domami przeciwko wspólnemu wrogowi, potrzebowałaby pewnych gwarancji, że nie zrobicie z nas kozłów ofiarnych, jeśli sprawy przybiorą niepomyślny obrót. Nie jestem wcale pewna, czy to w ogóle możliwe.

- Uwierzcie mi - odrzekł Zammzt, okrążając zebranych, aby nawiązać z każdym z osobna kontakt wzrokowy. - Rozumiem wasz niepokój i niechęć. Jak już powiedziałem, podarki, które mam rozkaz ofiarować waszym domom, są jedynie skromnym dowodem zaangażowania mojej pani w ten sojusz.

Wsunął dłoń w fałdy piwafwi i wyjął spomiędzy nich tubę na zwoje, na dodatek ozdobną. Wysunął z niej gruby rulon pergaminów i rozwinął go. Quorlana pochyliła się do przodu na krześle, zaciekawiona nagle tym, co przyniósł drow.

Przeglądając zawartość pergaminów, Zammzt posortował je i zaczął okrążyć zgromadzenie, po kolei podając każdemu z konspiratorów kilka kart. Kiedy wręczył Quorlance jej plik, przyjęła go ostrożnie, niepewna, jakiego rodzaju pułapkę zastawiono na tych stronach. Przyjrzała się im uważnie, ale jej podejrzenia zostały rozwiane; były to zaklęcia, nie klątwy. Drow podarował im zwoje z czarami!

Quorlana poczuła, jak wzbiera w niej uniesienie. Taki skarb był bezcenny w tych dniach niepewności i niepokoju. Nieobecność Mrocznej Matki wystawiła na ciężką próbę wszystkie czczące ją kapłanki. Quorlana nie była w stanie tknąć magii objawień od czterech dziesiątków dni i na każdą myśl o tym oblewała się potem. Ale dzięki zwojom mogła odsunąć od siebie lęk, niepokój i poczucie

bezradności, przynajmniej na jakiś czas.

Kapłanka z najwyższym trudem oparła się pokusie przeczytania zwojów tu i teraz. Przypominając sobie, komu służy - przynajmniej na razie - schowała pergaminy do kieszeni piwafwi i z powrotem skupiła się na potajemnym spotkaniu.

- Oprócz tych upominków jedynym dowodem mogącym przekonać was o szczerości naszych zamiarów, byłoby wynajęcie najemników - odezwał się Zammzt, choć reszta mrocznych elfów wydawała się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi.

Eliss'pra i Dylsinae miały oczy szeroko otwarte pod wpływem tego samego podniecenia, które odczuwała Quorlana. Nadal, choć sam nie był aż tak przejęty zaklęcia nie przedstawiały dla czarodzieja żadnej wartości - potrafił docenić wartość podarunków.

- Dla każdego z was powinno być jasne - ciągnął Zammzt - że kiedy nasz dom zbliży się do kogoś z zewnątrz, nie będzie już dla nas odwrotu. Będziemy tkwić w tym po same uszy, bez względu na to, czy sprzymierzycie się z nami, czy nie. A to, moi czarujący towarzysze, stawianie sprawy na głowie.

- Niemniej - odparła Eliss'pra, wciąż uśmiechając się do trzymany w rękach zwojów - właśnie to musicie zrobić, jeśli chcecie zaliczyć moją ciotkę w poczet swoich sojuszników.

- Tak - potwierdziła Dylsinae.

Nadal skinieniem głowy przyznał im rację.

- Myślę, że moja matka przystanie na te warunki. Zwłaszcza kiedy zobaczy to - wyraziła zgodę Quorlana, wskazując gestem ukryte w piwafwi zwoje. - A już na pewno jeśli tam, skąd pochodzą, jest ich więcej.

Jakim cudem zbywa im na zwojach? - dziwiła się.

Zammzt zmarszczył brwi.

- Niczego nie obiecuję. Bardzo wątpię, czy uda mi się ją do tego przekonać, ale jeśli się zgodzi, zatrudnię najemników i dostarczę wam na to dowody.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy znaleźli się o krok od podjęcia decyzji, od której nie będzie już odwrotu, a choć podjęcie jej nie leżało w gestii żadnego z nich, i tak czuli jej ciężar.

- A więc spotkamy się, kiedy już zbierzesz armię - powiedziała Eliss'pra, wstając z sofy. - Do tego czasu nie życzę sobie widzieć kogokolwiek z was w pobliżu, nawet na tej samej ulicy.

Kapłanka chwyciła buzdygan w garść i opuściła salon.

Za nią wyszli kolejno pozostali, nawet Zammzt. Quorlana została w komnacie sama.

Nadszedł nasz czas, pomyślała drowka. Lolth rzuciła nam wyzwanie. Wielkie domy Ched Nasad upadną, a nasze zajmą ich miejsce. Nareszcie nadszedł nasz czas.

* * *

Idąca krasnoludzką arterią Aliisza zdążyła się już tak przyzwyczaić do bezustannego postępowania, warczenia i ślinienia się tanarukków, że przestawała je zauważać, więc cisza, która ją teraz otaczała, była wręcz odczuwalna. Poruszanie się po starożytnym Ammarindarze bez eskorty półdemonów - półorków stanowiło miłą odmianę. Kaanyr rzadko prosił ją - nie używała słowa „pozwalaj” - o zrobienie czegokolwiek bez zbrojnej eskorty, więc zdążyła już zapomnieć, jak przyjemna może być samotność. Lecz choć cieszyła się odosobnieniem, jakkolwiek krótkie by było, miała pewien cel, przyspieszyła więc kroku.

Szła długim, szerokim bulwarem, który eony temu został wyciosany przez nie żyjące już od dawna krasnoludy z nienaruszonej opoki samego Podmroku. Choć nie zwracała na to uwagi, szeroki korytarz został wykonany z niezwykłym kunsztem. Każdy kąt był doskonały, wszystkie kolumny i gzymsy grube i misternie zdobione runami oraz stylizowanymi podobiznami męznego ludu. U wylotu bulwaru Aliisza wkroczyła do wielkiej komnaty, która sama w sobie była na tyle duża, żeby pomieścić małe miasteczko. Skręciła w boczny tunel, który przecinał kilka głównych korytarzy i alej, prowadząc prosto do pałacu Kaanyra mieszczącego się w centrum starego miasta. Była zaskoczona tym, jak puste mogło się ono wydawać, nawet pomimo wszystkich Znękanych Legionów Dzierżącego Berło, które się po nim kręciły. Przecięła aleje, znalazła ścieżkę, której szukała i pospieszyła w stronę pałacu.

Przy wejściu do sali tronowej stało na straży dwóch tanarukków. Krępe, szarozielone humanoidy były jak zwykle przygarbione, a znad zbyt wielkiej dolnej szczęki sterczały im wyzywająco kły. Przyglądały się nadchodzącej Aliiszy zmrużonymi czerwonymi ślepiami i wydawało jej się, że gotowe są

rzucić się na nią, taranując ją niskimi, pochyłymi czołami. Wiedziała, że z jej magią łuskowate grzebienie wystające im z czoł nie stanowią dla niej żadnego zagrożenia, ale stworzenia wyglądały tak, jakby nie były pewne, kim jest, bo ich skrzyżowane berdysze broniły jej wstępu. W końcu, kiedy wydawało się już, że będzie musiała zwolnić i coś powiedzieć - co bardzo by ją rozgniewało - dwie prawie nagie bestie porośnięte szorstkim futrem odsunęły się, pozwalając jej wejść do środka. Uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, jak zabawne byłoby obdarcie ich żywcem ze skóry.

Minawszy kilka zewnętrznych komnat, Aliisza przeszła przez próg samej sali tronowej i dostrzegła markiza rozwalonego w nonszalanckiej pozie na tronie, wielkim, ohydny krześle wykonanym z kości jego wrogów. Za każdym razem, gdy widziała jego siedlisko, przypominało jej się, jak jest ordynarne. Znała wiele demonów, które uważały siedzenie na kupie kości za swego rodzaju symbol władzy i chwały. Jej zdaniem podobne zachowanie wskazywało wyłącznie na brak klasy i brak subtelności. Był to główny przejaw braku wyobraźni, jaki zdradzał Kaanyr Vhok.

Kaanyr przerzucił jedną nogę przez poręcz tronu. Siedział z podbródkiem opartym na dłoni, z łokciem na kolanie. Wpatrywał się w górne partie komnaty, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś. Był nieświadomy jej przybycia.

Podchodząc, Aliisza niemal nieświadomie zaczęła prowokacyjnie kołysać biodrami i odkryła, że podziwia postać demona w takim samym stopniu, w jakim - jak miała nadzieję - on podziwia ją. Demon miał łobuzersko zmierzwiłone siwiejące włosy i w połączeniu ze skośnymi uszami nadawały mu one wygląd dojrzałego, nawet jeśli nieco beztroskiego półelfa. Na myśl o tych wszystkich podstępach, za którymi tak przepadał, kiedy to podawał się na powierzchni świata za przedstawiciela tej pięknej rasy, usta Aliiszy wykrzywił chytry uśmiezek.

Kaanyr usłyszał wreszcie kroki swej małżonki i podniósł wzrok. Twarz rozjaśniła mu się, choć Aliisza nie była pewna, czy sprawił to jej widok, czy też wieści, jakie przynosiła. Istota dotarła do pierwszego stopnia podwyższenia i zaczęła się wspinać na górę, pozwalając sobie na zaledwie cień dąsu na twarzy.

- Moja rozkoszna, wreszcie jesteś i przynosisz wieści, mam nadzieję? - zapytał Kaanyr, prostując się i głaszcząc po udzie.

Aliisza pokazała mu język, kołysząc biodrami pokonała dzielący ich dystans i klapnęła mu na kolana.

- Już nie rzucasz się na mnie tak jak kiedyś, Kaanyrze - udała, że się skarży, sadowiąc się wygodniej. - Kochasz mnie już tylko przez wzgląd na pracę, którą dla ciebie wykonuję.

- To niesprawiedliwe, małeńka - odparł Vhok, przesuwał czule dłoń w dół jej czarnego, lśniącego skrzydła. - Ani szczególnie prawdziwe.

Mówiąc to, położył jej drugą rękę na karku, pod błyszczącymi czarnymi lokami, i przycisnął ją do siebie, całując długo i namiętnie, aż ciarki przeszły jej po plecach. Przez krotką chwilę zastanawiała się, czy nie zacząć mu się opierać, wybierając jedną z niezliczonych wariacji gry, którą oboje wydawali się tak kochać, ale szybko zmieniła zdanie. Jego dłoń przesunęła się w dół jej szyi i zsuwała się coraz niżej. Jego dotyk bardzo na nią działał, a wiedziała, że gdy usłyszy przyniesione przez nią wieści, podobne gierki sprawią tylko, że czar pryśnie.

Po chwili Kaanyr i tak odsunął się od niej i powiedział:

- Dosyć. Powiedz mi, czego się dowiedziałas.

Tym razem Aliisza naprawdę się nadąsała. Pieszczoty, jakimi Kaanyr obdarzał jej skrzydła i inne części ciała, sprawiły, że dyszała lekko i bez względu na ważne wiadomości nie była skłonna dać się tak szybko zbyć. Zastanawiała się, czy nie zachować wieści jeszcze przez jakiś czas dla siebie, dając mu delikatnie do zrozumienia, że nie należy jej lekceważyć. Może i rządził tym miejscem, ale ona nie była jego służącą. Była jego małżonką, była doradczynią, i miała prawo znaleźć sobie innego kochanka, gdyby przestał ją zadawałać. Zaspokojenie alu - córki sukkuba i człowieka - było wyzwaniem, któremu tylko nieliczni potrafili sprostać. Kaanyr do nich należał. Postanowiła mu powiedzieć.

- Nie zбочyli z drogi, choć jest rzeczą oczywistą, że wiedzą, iż się zbliżamy. Ich zwiadowcy zauważyli harcowników i nadal unikają kontaktu. Wkrótce przyprzemy ich do Araumycosa.

- Jesteś pewna, że nie są szpiegami ani nie chcą wypowiedzieć nam wojny? Żadnych szybkich uderzeń, zanim znikną?

Zadając to pytanie, Kaanyr z roztargnieniem głaskał jedno z jej skrzydeł, przyprawiając alu-demonia o dreszcz rozkoszy. Wydawał się nie zauważać jej reakcji.

- Zupełnie pewna. Wyraźnie zacierają na południowy wschód, w kierunku Ched Nasad. Za każdym razem, gdy odcinamy im drogę, szukają innej. Wygląda na to, że są zdecydowani utrzymać ten kurs.

- A jednak to nie karawana - zauważył. - Nie mają towarów ani zwierząt jucznych. Prawdę mówiąc, są niezwykle lekko uzbrojeni jak na drowy. Z pewnością coś knują. Pytanie brzmi, co?

Aliisza znów zadrżała, choć tym razem powodem były tyleż pieszczoty Kaanyra, co podekscytowanie wywołane kolejną wiadomością.

- Z całą pewnością nie jest to karawana - powiedziała. - To najdziwniejsza grupa drowów wędrująca po pustkowiach, jaką widziałam. Towarzyszy im draegloth.

Kaanyr wyprostował się, wpatrując się Aliiszy prosto w oczy, i zapytał:

- Draegloth? Jesteś pewna?

Kiedy Aliisza kiwnęła głową, wydał wargi.

- Interesujące. Sprawa staje się coraz bardziej intrygująca. Po pierwsze, od kilkudziesięciu dni nie widzieliśmy ani jednej elfiej karawany. Po drugie, kiedy grupa drowów wyrusza w końcu w drogę, idą tędy, czego normalnie staraliby się unikać jak zarazy, i wreszcie towarzyszy im draegloth, co oznacza, że wmieszany jest w to osobiście któryś ze szlacheckich domów. Co oni knują, na dziewięć piekieł?

Vhok z powrotem zapatrzył się w mroczną dal i zaczął z roztargnieniem pieścić swą małżonkę, tym razem wodząc delikatnie palcami wzdłuż jej żeber odsłoniętych przez sznurowanie lśniącego czarnego gorsetu. Alu westchnęła z rozkoszy, ale zdołała skupić myśli.

- To nie wszystko. Podśledzałam ich rozmowę, kiedy zatrzymali się, żeby odpocząć. Jeden z nich, zdecydowanie jakiś mag, sztychł z drowki, która wyglądała na kapłankę.

- Jeden z elfów dogryzał elfce? To nie potrwa długo.

- I to nie byle jakiej elfce. Zwracał się do niej „mistrzyni Akademii”.

Kaanyr wyprostował się na tronie, badając ją wzrokiem.

- Naprawdę? - zapytał tak zaintrygowanym tonem, że nawet nie zauważył, iż prawie zrzucił Aliiszę na podłogę u swoich stóp. Alu udało się zachować równowagę, ale musiała wstać, żeby nie wyjść na głupią. Zmierzyła markiza gniewnym spojrzeniem. Nieświadomy tego Kaanyr ciągnął dalej: - Świetnie się składa. Jedna z najwyższych kapłanek w całym Menzoberranzan próbuje przekraść się incognito przez moje maleńkie władztwo. I pozwala czarodziejowi wyjeżdżać na siebie z gębą. Żadnych karawan od ponad miesiąca, a teraz to. A to ci dopiero!

Kaanyr odwrócił się z powrotem do Aliiszy i widząc gniewny wyraz jej twarzy, przekrzywił głowę z zakłopotaniem.

- Co znowu? Co się stało?

- Nie masz pojęcia, prawda? - zapytała ze złością.

Kaanyr rozłożył bezradnie ramiona i potrząsnął głową.

- W takim razie ja ci nie powiem! - warknęła i odwróciła się do niego plecami.

- Aliiszo. - Głos Vhoka, głęboki i władczy, sprawił, że ciarki przeszły jej po plecach. Był zły, tak jak chciała. - Aliiszo, spójrz na mnie.

Zerknęła na niego przez ramię, unosząc łukowatą brew w niemym pytaniu. Wstał z tronu i stanął z rękami na biodrach.

- Aliiszo, nie mam na to czasu. Spójrz na mnie!

Wzdrygnęła się wbrew sobie i odwróciła, żeby spojrzeć w twarz kochankowi. Oczy pały mu, a ona stopniała pod ich spojrzeniem. Podąsała się jeszcze trochę, żeby wiedział, że nie lubi być karconą, ale skończyła z gierkami.

Vhok skinął lekko głową z zadowoleniem. Twarz lekko mu się rozpozodziła.

- Cokolwiek zrobiłem, wynagrodzę ci to później. Teraz musisz tam wracać, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Spróbuj spotkać się z nimi twarzą w twarz i „zaprosić” ich do nas. Ale bądź ostrożna. Nie chcę, żeby to się dla nas źle skończyło. Jeśli do grupy należą wysoka kapłanka i draegloth, reszta też może być niebezpieczna. Trzymaj Znękanych blisko siebie, otocz ich, ale nie marnuj zbyt wielu ludzi. Ale niech nie wygląda też na to, że ich powstrzymujesz. Nie...

Aliisza przewróciła oczami, czując się nieco urażona.

- Robiłam to już kilka razy - przerwała mu głosem ociekającym sarkazmem. - Chyba wiem, co robić. Ale...

Podeszła bliżej do Kaanyra - właściwie weszła w niego - i stanęła na palcach, obejmując go ramionami w pasie i zaplatając gładką, nagą nogę wokół jego łydki. Przyciągnęła się, przywierając do

niego całym ciałem, i podjęła:

- Kiedy uporam się z tym prościutkim zadaniem - powiedziała głosem ochryplym od pożądania - ty przez jakiś czas zajmiesz się moimi potrzebami. - Wysunęła się w górę, ugryzła go lekko w ucho, po czym wyszeptwała: - Twoje pieścizoty działają aż nadto dobrze, ukochany.

* * *

Triel nie lubiła popadać w zadumę, ale ostatnio coraz częściej się na tym przyłapywała. Tym razem, kiedy uświadomiła sobie, że znów jej się to przydarzyło, zdała sobie nagle sprawę, że siedem pozostałych matek opiekunek spogląda na nią wyczekująco. Drowka zamrugowała i przez chwilę wpatrywała się w nie, usiłując przypomnieć sobie słowa rozmowy, które brzęczały w tle jej myśli. Pamiętała tylko głosy, nic poza tym.

- Zapytałam - powiedziała matka opiekunka Miz'ri Mizzrym - jakie inne wyjścia z sytuacji brałaś pod uwagę na wypadek, gdyby twoja siostra nie wróciła?

Gdy Triel nadal nie odpowiadała, matka opiekunka o surowym wyrazie twarzy dodała:

- Jakież myśli przychodzą ci dziś chyba do głowy, prawda, matko?

Triel znów zamrugowała, pod wpływem wstrząsu wywołanego kąśliwymi słowami Mizzrym skupiając uwagę na rzeczach istotnych, zamiast na wrażeniu pustki, które odczuwała w miejscu, w którym powinna być obecna bogini. Inne wyjścia z sytuacji...

- Oczywiście - odpowiedziała w końcu. - Zastanawiałam się nad tym, ale zanim zagrzebiemy się w alternatywach, musimy wykazać się cierpliwością.

Matka opiekunka Mez'Barris Armgo prychnęła.

- Czy słuchałaś w ogóle tego, o czym rozmawialiśmy przez ostatnie pięć minut, matko? Cierpliwość to luksus, na który nie możemy już sobie pozwolić. Tłumiąc powstanie, nadszarpnęliśmy nasze zasoby magii do tego stopnia, że może nam się udać - powtarzam, może - stłumić kolejną większą rebelię, gdyby do takiej doszło. Choć nie mam nic przeciwko dobrej bitwie, tłumienie następnego powstania niewolników byłoby marnotrawstwem, gdy jest tylko kwestią czasu, kiedy Gracklstugh czy ocaleli z Blingdenstone ustalą, że jesteśmy bezbronne, pozbawione...

Tęga, arogancka matka opiekunka urwała, nie chcąc, choć zwykle była bezpośrednia i nietaktowna, ubrać w słowa kryzysu, który zajął im wszystkim w oczy.

- O ile już o tym nie wiedzą - wtrąciła Zeerith Q'Xorlarrin, tuszując niedokończoną myśl Mez'Barris. - Nawet teraz jedna czy więcej nacji może zbierać armię, która ma stanąć u naszych bram. Nowe głosy mogą sączyć truciznę w uszy ostatnich istot w Braerynie czy na Bazarze, głosy należące do osób na tyle sprytnych, aby ukryć własną tożsamość i swoje prawdziwe zamiary. To coś, co musimy wziąć pod uwagę i przedyskutować.

- O tak - stwierdziła z pogardą Yasreana Dyr. - Tak, siedźmy tu i dyskutujmy; nie działajmy, nigdy nie działajmy. Boimy się wyjść na ulice naszego własnego miasta!

- Ugryź się w język! - warknęła Triel, coraz bardziej rozsierdzona. Rozwścieczył ją nie tylko kierunek, w jakim potoczyła się rozmowa - zarzucenie wysokiej radzie tchórzostwa! - ale również drwina, niezwykle oczywista zjadliwość słów pozostałych opiekunek. Drwina z niej.

- Jeśli któraś z nas obawia się chodzić naszymi własnymi ulicami, nie musi zasiadać w radzie. Czy jesteś kimś takim, Yasraeno?

Matka opiekunka domu Agrach Dyr skrzywiła się na te słowa, a Triel zdała sobie sprawę, że nie tylko dlatego, że zrozumiała, iż pozwoliła sobie na zbyt wiele. To opiekunka domu Baenre, ponoć sojuszniczka domu Yasraeny, udzieliła jej tej surowej nagany. Było to celem Triel. Nadszedł już czas przypomnieć pozostałym opiekunkom, że to ona wciąż sprawuje tu władzę i nie ma zamiaru tolerować podobnej niesubordynacji ze strony którejkolwiek z siedzących wokół niej elfek, sojuszniczek czy też nie.

- Może opiekunka Q'Xorlarrin ma rację - powiedziała cicho Miz'ri Mizzrym, w oczywisty sposób próbując zmienić temat rozmowy. - Może powinniśmy brać pod uwagę nie tylko tych, którzy wiedzą, nie tylko tych, którzy działają przeciwko nam - potajemnie lub otwarcie - ale też tych, którzy mogą się przeciwko nam sprzymierzyć. Jeśli dwie lub trzy nacje połączą przeciwko nam siły...

Nie dokończyła myśli. Wszystkie drowki wyglądały nieswojo, zastanawiając się nad słowami Mizzrym.

- Musimy przynajmniej wiedzieć, co się dzieje - podjęła. - Nasza siatka szpiegowska wśród

duergarów, illithidów i innych ras nie była ostatnio wykorzystywana i być może nie jest tak mocna, jak byśmy chcieli. Ale istniejące struktury powinny dostarczać nam więcej informacji o zamiarach potencjalnych wrogów.

- Nasi szpiedzy powinni robić o wiele więcej - odezwała się Byrtyń Fey. Triel uniosła brew, lekko zdziwiona, gdyż rozwiązała matkę opiekunkę domu Fey-Branche zazwyczaj nie interesowały dyskusje nie mające wiele wspólnego z jej hedonistycznymi przyjemnościami. - Powinni szukać słabych punktów naszych nieprzyjaciół. Powinni je wykorzystywać, zwracając zagrażających nam potencjalnych sprzymierzeńców przeciwko sobie, a może nawet szukać niezadowolonych wśród naszych tradycyjnych nieprzyjaciół, niezadowolonych na tyle, że mogliby wziąć pod uwagę nowy sojusz.

- Oszalałaś? - warknęła Mez'Barris. - Sojusz z kimś z zewnątrz? Komu mogłybyśmy zaufać? Bez względu na to, jak będziemy podchodzić do podobnego przymierza, w momencie, w którym ujawnimy, że nie możemy otrzymywać błogosławieństw od naszej własnej bogini, potencjalni sprzymierzeńcy albo pękną ze śmiechu, albo popędzą podzielić się ze wszystkimi tą wiadomością.

- Nie bądź taka tępa - odwarknęła zaraz Byrtyń. - Wiem, że lubisz walić prawdą prosto w oczy, ale istnieją lepsze, bardziej subtelne sposoby zwabienia sojusznika do łoża. Potencjalni zalotnicy nie muszą wiedzieć o twoich wadach, dopóki nie skorzystasz z ich wdzięków.

- Niemożność obrony naszego własnego miasta jest zbyt widoczną wadą, żeby próbować ją ukryć - rzekła Zeerith, marszcząc brwi. - Nasze własne wdzięki musiałyby być nader przekonujące, by taki potencjalny zalotnik nie dostrzegł prawdy. Ten pomysł ma jednak pewne zalety.

- Wykluczone - oświadczyła opiekunka Mez'Barris, zakładając na piersi grube ramiona, jak gdyby uważała dyskusję za zakończoną. - Ryzyko odkrycia naszej tajemnicy przez wrogów tylko by wzrosło, a to, co możemy zyskać, z pewnością nie jest tego warte.

- To słowa pasztetu, na którym nikt nie zawiesi oka - skwitowała zadowolona z siebie Byrtyń, przeciągając się ospale, aby mieć pewność, że jej własne krągłe kształty widać wyraźnie przez przejrzystą materię skrzającej się sukni. - I to takiego, który zawsze stara się przekonać samego siebie, że mu z tym dobrze.

Kilka wysokich kapłanek sapnęło, słysząc podobną obelgę, ale Mez'Barris zmrużyła tylko czerwone oczy, świdrując Byrtyń morderczym spojrzeniem.

- Dość tego! - powiedziała w końcu Triel, przerywając konkurs piorunowania się wzrokiem. - Takie utarczki nie mają sensu i nie przystoją żadnej z nas.

Patrzyła znacząco na Mez'Barris i Byrtyń dopóty, dopóki obie nie przestały mierzyć się wściekłym wzrokiem i nie skierowały z powrotem uwagi na nią.

Gdyby tylko był tu Jeggred, pomyślała matka opiekunka domu Baenre.

Triel zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinno jej niepokoić to, że w trudnych chwilach znów brakuje jej kojącej obecności draegloth. Ostatnio często się na tym przyłapywała i obawiała się tego, co to oznacza. Może za bardzo przyzwyczała się polegać na zewnętrznej ochronie, zamiast na własnych umiejętnościach. Bała się, że to słabość, a słabość była zdecydowanie czymś, na co nie mogła sobie pozwolić w obecnej sytuacji.

Nie, poprawiła się, nie tylko teraz, nigdy.

Ale potrzeba zawierania sojuszy, choćby krótkich i przelotnych, była nieodzowną częścią jej życia.

Może Byrtyń ma rację, pomyślała. Może właśnie tego potrzeba Menzoberranzan - sojusznika. Innej nacji, innej rasy Podmroku, która pomoże szlacheckim domom, dopóki kryzys się nie skończy.

Triel zacisnęła zęby i pokręciła lekko głową, zdecydowana nie dopuścić do siebie podobnie idiotycznych pomysłów.

Nonsens, powiedziała sobie stanowczo. Menzoberranzan jest najpotężniejszym miastem Podmroku. Nikogo nie potrzebujemy. Zwycięzimy jak zawsze dzięki sprytowi i podstępowi, a także przychylności bogini. Gdziekolwiek ona jest...

- Doskonale wiem, jak się sprawy mają w Menzoberranzan - odezwała się Triel, po kolei spoglądając w oczy każdej z opiekunek. - Kryzys, który przechodzimy, jest próbą - cięższą niż jakkolwiek inna w historii miasta - ale nie możemy pozwolić, żeby problemy, z którymi się borykamy, przeszkodziły nam w zdecydowanym rządzeniu miastem. W chwili, w której zaczniemy się sprzeczać, w chwili, w której przestaniemy stanowić jednolity front wobec innych domów, wobec Tier Breche czy Bregan D'aerthe, zobaczy to również reszta świata, a wtedy wszystko będzie stracone. Na razie

zachowamy cierpliwość. Dyskusja nad sposobami zażegnania kryzysu jest mile widziana - spokojna, pełna szacunku dyskusja - Triel po raz kolejny skinęła głową w stronę dwóch matek opiekunek - podobnie jak propozycje nowych sposobów ustalenia, co przydarzyło się Lolth, ale nie życzą sobie gadania o obawach i tchórzostwie, ani obelg. Tak zachowują się głupi mężczyźni albo niższe rasy. My, tak jak zawsze, zajmujemy się interesami naszych domów i rady.

Tym razem Triel postarała się złowić spojrzenie każdej matki opiekunki z osobna, po kolei wpatrując się w każdą parę czerwonych oczu, aby mieć pewność, że wszystkie obecne dobrze ją rozumiały - a także, że przekonała je o własnej sile.

Powoli, jedna za drugą, matki opiekunki skinęły głowami, gotowe, przynajmniej na razie, przystać na żądania Baenre.

Sprawowanie władzy zawsze wymaga subtelności, przypomniała sobie Triel, gdy grupa rozproszyła się i kapłanki rozeszły się do swoich domów. Podobnie jak z giętkim pejczem - jeśli wymachujesz nim zbyt żwawo, może się złamać na grzbiecie niewolnika, którego starasz się do czegoś skłonić.

ROZDZIAŁ 2

- Mówiłem, że wybranie tej drogi jest błędem - wysapał Pharaun, zatrzymując się po szaleńczym biegu na łeb na szyję.

Korytarz przed czarodziejem kończył się gwałtownie. Blokowała go szarozielona masa gąbczastej substancji, całkowicie wypełniając sobą tunel. Odwróciwszy się w stronę, z której nadbiegł, mroczny elf szybko zdjął z ramion plecak misternej roboty, rzucił go na skaliste podłoże i odsunął na bok stopą.

- Nie ciesz się, Mizzrym - ostrzegła Quenthel, która pojawiła się zaraz za nim, mierząc go gniewnym wzrokiem.

Pięć wężowych łbów, które znajdowały się na końcach ramion bicia umocowanego przy biodrze wysokiej kapłanki Baenre, uniosło się i sykiem wyraziło niezadowolenie wywołane zachowaniem czarodzieja, jak zwykle naśladując nastrój swej pani. Quenthel wyrwała bat z za pasa i zajęła pozycję obok Pharauna, czekając.

Draegloth prawie następował wyniosłej drowce na pięty. Jeggred niósł nie jeden, ale dwa ciężkie toboły, a kiedy dołączył do pary mrocznych elfów, cisnął zapasy na ziemię, ani trochę nie zmęczony ich dźwiganiem. Stwór wykrzywił usta w drapieżnym uśmiechu, ukazując pożółkłe kły, po czym odwrócił się i postąpił kilka kroków naprzód, aby stanąć pomiędzy Quenthel i czymkolwiek, co mogłoby nadejść z przeciwnej strony. W jego gardle narastał niski pomruk.

Mistrz Sorcere nie miał nastroju na znoszenie paskudnego humoru wysokiej kapłanki. Z grymasem na twarzy zaczął się zastanawiać, jakich czarów użyć. Decydując się na jeden, przeszukał piwafwi i z kieszeni obszernego płaszcza wyciągnął odczynniki, których potrzebował do utkania wybranego zaklęcia. W końcu wydobyl kawałek macki kałamamicy. Ostrzegal ich, że jeśli pójdą tą drogą, wpadną w pułapkę, odradzał im to również Valas, ale Quenthel się uparła. Jak zwykle to Pharaun musiał ich teraz z tego wypłatać.

Następna pokazała się, dysząc ciężko, Faeryl Zuavirr. Ambasador Ched Nasad dostrzegła blokadę tunelu i z jękiem zsunęła z ramion plecak, po czym rzuciła go na ziemię obok pakunków pozostałych. Ze znużeniem wyjęła z piwafwi małą kuszę i stanęła po drugiej stronie czarodzieja.

- Są tuż za nami - oznajmił Ryld Argith, który wypadł z za zakrętu wraz z ostatnim członkiem drużyny drowów, Valasem Hune.

Za rosłym wojownikiem i drobnym zwiadowcą Pharaun widział czerwony blask wielu par oczu, które się do nich zbliżały. Stwory przyglądały się im pożądliwie i czarodziej doliczył się niemal dwóch tuzinów tanaruków.

Pochylone do przodu, jak gdyby były garbate, stwory przywodziły na myśl orki, choć rysy ich twarzy o łuskowatych, niskich czołach i wystających kłach były zdecydowanie bardziej demoniczne. Były lekko uzbrojone, ponieważ miały skórę twardą i pokrytą łuską, ale berdysze, które wiele z nich trzymało w dłoniach, były ciężkie i wyglądały wyjątkowo paskudnie.

Pharaun z rezygnacją pokręcił głową i przygotował się do utkania czaru.

Tanarukowie zawyli z radości i rzucili się do przodu, żądni, jak się wydawało, walki z przypartymi do muru ofiarami. Kilku z nich zakłębiło się wokół Jeggreda, który wzniósł swój okrzyk bojowy, sprężając się do skoku i młóćąc dziko pazurami. Bez wysiłku odrzucił w bok jednego z tannaruków, a ten grzmotnął o przeciwległą ścianę, w pobliżu pozycji Rylda.

Pharaun przez chwilę przyglądał się nieokiełznanej sile i zajadłości, z jaką walczył draegloth, a tymczasem dwóch kolejnych humanoidów padło od precyzyjnych cięć Rozpruwacza, magicznego wielkiego miecza Rylda Argitha. Stojąca obok maga Faeryl wystrzeliła z kuszy, po czym pochyliła się, żeby ją znów naładować. Quenthel wydawała się zadowolona, mogąc przyglądać się swoim podwładnym przy pracy. Jednak z za zakrętu wypadli kolejni tanarukowie i czarodziej prawie nie zdążył zareagować, gdy jeden z nich spróbował prześliznąć się przez linię obrony stworzoną przez Jeggreda i Rylda.

Śliniący się, zielonoskóry tanarukk skoczył ku czarodziejowi, wznosząc topór do druzgocącego ciosu. Pharaun był w stanie cofnąć się tylko na tyle, by uchylić się przed ostrzem, które ze świstem przecięło powietrze w miejscu, gdzie jeszcze jedno uderzenie serca temu znajdowała się jego twarz. Czarodziej rozważał wezwanie magicznego rapiera uwięzionego w zaklętym pierścieniu, niewielkim i poręcznym, ale wiedział, że byłby to wysiłek daremny. Cienka klinga nie wytrzymałaby uderzenia topora, a poza tym Pharaun nie był w stanie odsunąć się na dostateczną odległość od bestii, aby zrobić z niej użytek. Zaczynało brakować mu pola do manewru.

Kiedy tanarukk wygiął grzbiet w pałąk, wyjąc z bólu i wściekłości, Pharaun zobaczył za nim Quenthel, która unosiła już ramię, aby znów smagnąć go swoim strasliwym biczem. Tanarukk obrócił się, wciąż wrzeszcząc z furją, i uniósł wysoko topór do śmiertelnego ciosu, ale zanim on czy wysoka kapłanka zdolałi dokończyć swoje ataki, na krawędzi pola widzenia Pharauna zmaterializował się nagle cień - a cień ten stał się Valasem Hune.

Najemny zwiadowca przemknął nisko za plecami zielonoskórego stwora i przejechał jednym ze swoich kukrisów przez jego ściętno podkolanowe, okaleczając go swym dziwnie zakrzywionym nożem. Z głębokiej rany bryznęła na wszystkie strony czarna krew, bestia upadła na jedno kolano, wymachując w powietrzu rękami i starając się odnaleźć swojego oprawcę. Valas Hune zniknął wśród cieni równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Quenthel skorzystała z okazji, żeby znów smagnąć tanarukka biczem - Pharaun zobaczył, jak kły zmij zatapiają się głęboko w twarzy i szyi stwora. Sekundę później tanarukk krztusił się i kaszlał, a twarz i język spuchły mu od trucizny. Upuścił topór i zwinął się na ziemi. Targany spazmami, krzyczał w męce. Pharaun uświadomił sobie, że wstrzymał oddech, wypuścił więc gwałtownie powietrze z płuc i zebrał myśli. Czując odrazę do samego siebie za podobny brak dyscypliny, przypomniał sobie o kawałku macki kałamamicy, który wciąż trzymał w ręku. Prostując się, szybko omiótł wzrokiem pole bitwy, chcąc ustalić, gdzie najlepiej rzucić zaklęcie, o którym myślał.

Wokół Jeggreda i Rylda zebrał się stos martwych tanarukków, ale pozostałe stwory wciąż starały się zbliżyć do dwójki towarzyszy, warcząc i przyskakując, szukając okazji do użycia toporów.

Czarodziej zdecydował, że może bez trudu umieścić zaklęcie za tymi kilkoma dzikami humanoidami, które pozostały przy życiu, ale zaraz zawahał się, zaskoczony.

Uwagę elfiego maga przykuła twarz w odległym końcu tunelu. Czarodziej zamrugał i przyjrzał się jej uważniej, nie wierząc własnym oczom. W ciemnościach, obserwując bitwę, czaiła się piękna nieznamiona. Pharaun uznał ją za atrakcyjną pomimo tego, że nie była drowką i wyglądała na ludzką kobietę. Jej twarz okalały czarne loki, a odziana była w ciasny, lśniący skórzany gorset, który opinał jej kształty jak druga skóra. Kobieta wydawała się mówić coś do ostatniego szeregu humanoidów, wydając rozkazy i gestykulując, ale kiedy zauważyła, że Pharaun się w nią wpatruje, uśmiechnęła się z rozbawieniem, unosząc jeszcze bardziej i tak już wysokie łuki brwi. W tej samej chwili czarodziej zauważył również czarne skórzaste skrzydła wyrastające jej z pleców. Jednak nie była człowiekiem.

Pharaun potrząsnął głową w zdumieniu. Czarodziej widział coś niestosownego w fakcie, że taka wspaniała istota dowodzi oddziałem cuchnących, rozwścieczonych półdemonów. Ale piękna czy nie, znajdowała się po drugiej stronie barykady. Przypuszczał, że prędzej czy później trzeba się będzie nią zająć.

Ale nie tutaj i nie teraz.

Wracając do pilniejszych spraw, Pharaun skończył rzucać wybrane zaklęcie i pomiędzy drużyną drowów a tanarukkami pojawił się kłęb czarnych macek. Każde oślizłe, wijące się ramię było grube jak jego udo i skręcało się w różne strony, usiłując odnaleźć cokolwiek, wokół czego byłoby w stanie się owinąć. Pharaun zbyt późno zauważył, że Ryld powalił wrogów, którzy zagrażali mu bezpośrednio, i ruszył naprzód, gotowy zmierzyć się z tymi, którzy trzymali się z tyłu.

Pharaun otworzył usta do krzyku, chcąc ostrzec fechmistrza, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić, zobaczył, jak Jeggred łapie mistrza Melee-Magthere za obojczyk i odciąga go w bezpieczne miejsce. Chwilę później jedna z macek owinęła się wokół ciała martwego tanarukka, które leżało u stóp Rylda, i zacisnęła się, miażdżąc trupa. Gdyby fechmistrz wciąż tam stał, byłaby to jego noga.

Pozostałe macki zwijały się i smagały powietrze wokół siebie, chwytając zaskoczonych tanarukków i owijając się wokół nich. Zgniatane w ich śmiertelnym uścisku stwory ryczały i wrzeszczały, miotając się i gryząc. Na widok zaklęcia stojąca w końcu korytarza kobieta-demon uniosła tylko brew i zrobiła jeden krok w tył, aby znaleźć się poza zasięgiem skręcających się czarnych ramion. Wydawała się czerpać niezrozumiałą satysfakcję z faktu, że jej żołnierze, jeden po drugim, milkną i przestają oddychać. Pharaun nie czekał, aż czar przestanie działać i piękna nieznamiona czy któryś z jej podkomendnych dosięgnie jego towarzyszy. Nie chcąc bez potrzeby zdradzać swoich umiejętności, czarodziej prędko pochylił się i klepnął ziemię przed sobą. Ostatni raz spojrział na stojącą naprzeciwko piękność, a potem pomiędzy nimi wezbrała ciemność. Dokończywszy zaklęcie, natychmiast zaczął następne - wyjął z innej kieszeni szczyptę sproszkowanego klejnotu i utkał czar, który oddzielił drowy od tananikków niewidzialną ścianą.

Magiczna bariera była odporna na każdy zwykły atak, była w stanie wytrzymać większość ataków magicznych i dawała członkom wyprawy czas na znalezienie drogi odwrotu. Ściana energii nie mogła ich chronić wiecznie, ale przynajmniej wystarczająco długo, żeby zdążyli znaleźć sposób ucieczki. Pharaun otrząsał dłonie, odstępując od niewidzialnej ściany.

- Świetny pomysł - zakpiła Quenthel - zamknąć nas tutaj. Lepiej byśmy wyszli na walce z tymi brudnymi bydlakami po drugiej stronie niż beczynnym siedzeniu tutaj.

Ryld usiadł zgarbiony nieopodal. Ciężko dysząc, zaczął czyścić klingę kawałkiem szmatki. Wyczerpana Faeryl osunęła się na ziemię pod przeciwległą ścianą, usiłując złapać oddech. Tylko Jeggred i Valas nie wyglądali na zmęczonych - obaj bez problemu trzymali się na nogach. Zwiadowca podszedł do zapory, żeby się jej bliżej przyjrzeć, draegloth kręcił się koło Quenthel.

- Jak już próbowałem ci powiedzieć - odparł Pharaun, przesuwając dłonią po powierzchni wilgotnej, szarej substancji, która zagradała im drogę - to Araumycos. Może się ciągnąć całymi milami.

Czarodziej wiedział, że w jego tonie wyraźnie słychać drwinę, ale nic go to nie obchodziło. Quenthel westchnęła z irytacją, opierając się o ścianę korytarza. Araumycos, ogromny grzyb, najbardziej przypominał tkanę mózgu i całkowicie wypełniał sobą korytarz.

- Przynajmniej możemy na chwilę przestać uciekać - powiedziała Quenthel. - Mam dość dźwigania tego przeklętego tobołu.

Warknęła, kopiąc plecak leżący u jej stóp. Zaczęła rozcierać ramiona.

Pharaun potrząsnął głową, zdumiony uporem wysokiej kapłanki. Mag starał się okazywać jej szacunek, aby dostrzegła, jakim szaleństwem było podążanie w tym kierunku, ale pomimo jego ostrzeżeń - i ostrzeżeń Valasa - mistrzyni Arach-Tinilith ze zwykłą sobie wyniosłością i tak zmusiła ich do postąpienia zgodnie ze swoim życzeniem. Teraz zostali przyparci do rozdętej narośli, dokładnie tak, jak przewidział, a ona zamierzała po prostu zlekceważyć ten fakt.

Pharaun wyjął z rozdrażnieniem usta, przyglądając się jej kątem oka. Drowka starała się rozmasować zeszywniałe ramiona. Czarodziej mógł sobie tylko wyobrazić odczuwany przez nią dyskomfort, ale ani trochę jej nie żałował. Choć swój własny plecak uczynił w magiczny sposób lżejszym, jego również bolały ramiona. Był pewien, że były już nie tylko otarte, ale i odarte ze skóry.

- A, tak - powiedział, wciąż badając gąbczastą narośl - wyraźnie dałaś nam do zrozumienia, jak bardzo urąga godności Baenre - mistrzyni Akademii, ni mniej, ni więcej - jak to ujęłaś?... „znizanie się do poziomu zwykłego niewolnika taszczonego odchody rothe przez grządki mchu”. Chciałbym jednak z całym szacunkiem zauważyć - po raz kolejny - że to ty podjęłaś arcyroztropną decyzję o zostawieniu naszych niewolników i jucznych jaszczurów, spętanych i krwawiących, aby ułatwić ucieczkę przed tymi płaszczowcami.

Czarodziej doskonale wiedział, że jego uszczypliwe uwagi zepsują jej jeszcze bardziej już i tak kwaśny humor, ale naprawdę miał to w nosie. Dogryzanie Quenthel dostarczało mu ogromnej przyjemności, nawet w tak trudnej sytuacji.

- Pozwalasz sobie na wiele, chłopcze - odburknęła wysoka kapłanka, prostując się i mierząc go złowieszczym wzrokiem. - Może nawet na zbyt wiele.

Wciąż nie patrząc na nią, Pharaun przewrócił oczami, wiedząc, że elfka tego nie widzi.

- Najmocniej przepraszam, mistrzyni - powiedział, czując, że czas już zmienić temat. - Przypuszczam zatem, że porzuciłaś zamiar odzyskania dóbr, które twoim zdaniem przechowywane są w magazynach towarzystwa handlowego Czarny Szpon w Ched Nasad. Nawet jeśli prawnie należą one do domu Baenre, jak chcesz je przewieźć z powrotem do Menzoberranzan? Ty z pewnością nie będziesz ich nieść, a kiedy rozejdzie się wieść, że lubisz używać zwierząt jucznych i poganiaczy jako przynęty, nikt inny też się na to nie zgodzi.

Pharaun zerknął z ukosa na wysoką kapłankę, głównie dla przyjemności, jaką czerpał z przyglądania się jej niezadowoleniu.

Grymas na twarzy Quenthel był wyjątkowo kwaśny, a pionowa bruzda między jej brwiami stała się w pełni widoczna, nadając jej skurczony wygląd, który mag zaczynał uważać za nader komiczny. Czarodziej stłumił chichot.

Tym razem udało mi się zaleźć jej za skórą, pomyślał, szczerząc zęby, ale zaraz zauważył Jeggreda, który stanął pomiędzy nimi.

Bestia nachyliła się nad czarodziejem i uśmiech zniknął mu z twarzy. Pharaun wstrzymał oddech, gdy draegloth uśmiechnął się złowrogo. Ogarnął go cuchnący oddech demona, od którego zrobiło mu się

niedobrze.

Demon był Quenthel całkowicie posłuszny i wystarczyłoby jedno jej słowo, by ze złośliwą uciechą rozerwał na strzępy czarodzieja czy któregośkolwiek innego członka drużyny. Jak dotąd słowo to nie padło, ale Pharaunowi nie uśmiechała się konieczność bronienia się przed demonem, zwłaszcza w takiej ciasnocie, która skutecznie uniemożliwiała mu skorzystanie z posiadanych czarów. Wolałby stawić czoła Jeggredowi w wielkiej jaskini, ale niestety znajdowali się w ciasnym tunelu, gdzie nie miał jak uciec przed pazurami bydlaka.

Quenthel odepchnęła się od ściany i wśród szelestu piwafwi ruszyła korytarzem w stronę Pharauna. Pomimo podłego humoru i wyjątkowej niezdarności, z jaką niosła niedawno na plecach swój bagaż, udało się jej przybrać majestatyczny wygląd. Zrozumiał, że nie lekceważyła jego kpin. Czekala tylko, aż jej wierny sługa znajdzie się w odpowiedniej pozycji, aby poprzeć ją w trakcie konfrontacji z magiem.

- Bardzo dobrze wiem, co mówiłam i co robiłam, więc nie musisz przedrzeźniać moich słów jak jakiś przemądrzały pajac wystawiony w pozłacanej klatce ku uciesze gawiedzi. - Wbiła w niego wzrok i nie spuszczała go. - To misja dyplomatyczna, czarodzieju, ale te dobra należą do mojego domu i wrócą do niego. Dopilnuję tego. Jeśli nie uda mi się wynająć karawany, która je przewiezie, zrobisz to dla mnie ty. Już Jeggred się o to postara.

Przez chwilę wpatrywała się w niego władczo, a stojący obok niej Jeggred uśmiechał się pożądliwie. W końcu wyprostowała się i skinęła lekko na draeglotha, który odsunął się, żeby oblizać szpony z posoki.

- Znajdź sposób ominięcia tego... czegoś - rozkazała Quenthel, wskazując palcem potężną narośl, po czym odwróciła się, wróciła do swojego plecaka i osunęła się obok niego na ziemię.

Pharaun westchnął i przewrócił oczyma, wiedząc, że posunął się za daleko. Miał jeszcze odpokutować za swoje żarty. Spojrzał na Faeryl, aby ocenić jej reakcję. Ambasador Ched Nasad potrząsnęła tylko głową, a wyraz jej twarzy zdradzał pogardę.

- Myślałem, że chociaż ty nie będziesz zachwycona zamiarem ograbienia towarzystwa handlowego twojej matki - zwrócił się do niej ściszym głosem.

Faeryl wzruszyła ramionami i powiedziała:

- To nie moja sprawa. Mój dom tylko dla niej pracuje - dla domu Baenre i domu Melarn. Czarny Szpon jest ich wspólną własnością, więc jeśli chce okraść swoich współników, kim ja jestem, żeby ją powstrzymać? O ile tylko dotrę do domu...

Pharaun był zaskoczony tęsknotą, jaka odmalowała się na jej twarzy.

Mistrz Sorcere skwitował odpowiedź Faeryl mruknięciem i odwrócił się, żeby po raz kolejny zbadać substancję blokującą im drogę. Widząc ją po raz pierwszy na własne oczy, był zafascynowany, ale jednocześnie rozpaczliwie pragnął znaleźć określną drogę. Wiedział, że Araumycos wypełniał całe mile jaskiń tej części Podmroku, ale podróżnym udawało się go czasem ominąć.

Valas, przyciśnięty do powierzchni narośli, wspinał się już po niej, starając się dostać na samą górę. Pharaun zauważył, że korytarz, którym szli, otwierał się na coś, co musiało być jakąś większą pieczarą, ponieważ strop, podobnie jak sam tunel, gwałtownie się wznosił. Czarodziej widział, że zwiadowca kieruje się w stronę wąskiej przerwy pomiędzy grzybem a ścianą jaskini, być może w nadziei przecięnięcia się przez nią, choć dokąd, Pharaun nie miał pojęcia.

Pharaun uważał, że drobny najemnik z Bregan D'aerthe jest nieco nieokrzesany, ale mimo to cieszył się, że ten żyłasty przewodnik towarzyszy im w podróży.

- Jak długo to coś będzie działać? - spytała Faeryl, patrząc w stronę atramentowej czerni.

Pharaun był zaskoczony, że drowka odezwała się do niego.

Czarodziej przypuszczał, że ośmieliła ją ich wcześniejsza rozmowa. Nie zadając sobie trudu spojrzenia na ambasadora, Pharaun kontynuował oględziny - wyczarował na koniuszku palca płomyk, którym zaczął opalać grzyba. W miejscach, w których ogień dotknął narośli, ta poczerniała i uschła, ale nie udało mu się wypalić dziury, która by dokądś prowadziła.

- Niedługo - odparł.

Wyczuł bardziej niż zobaczył niepokój wywołany jego bezceremonialną uwagą. Czarodziej uśmiechnął się wbrew sobie, rozbawiony sytuacją, w jakiej znalazła się Faeryl. Jeszcze nie tak dawno rozpaczliwie pragnęła wyruszyć w tą podróż, wrócić do swojego miasta. Była zdesperowana do tego stopnia, że próbowała wymknąć się potajemnie z Menzoberranzan, narażając się przy tym na gniew Triel

Baenre, najpotężniejszej opiekunki w mieście. Oczywiście nie udało jej się. Została schwytana u bram miasta i skończyła jako więźniarka służąca Jeggredowi za zabawkę. Pharaun potrafił sobie tylko wyobrazić, w jaki sposób draegloth mógł się z nią zabawiać, ale jakimś cudem Zuavirr została przez Triel ułaskawiona i wysłana wraz z nimi na wyprawę do Ched Nasad.

W końcu Faeryl osiągnęła to, czego pragnęła, ale czarodziej nie był pewny, czy nadal była z tego powodu zadowolona, pomimo swoich wcześniejszych uwag. Nawet gdyby udało jej się dotrzeć do domu, czekała ją perspektywa powiadomienia swojej matki, opiekunki domu Zuavirr, że Quenthel przybyła, aby zabrać wszystko. Wszystko bez wyjątku. Bez względu na prawdopodobieństwo takiego posunięcia i zdolność drużyny do wprowadzenia go w czyn tak, aby uniknąć przy tym przeszkód ze strony domu Melarn, Faeryl i jej matka będą musiały się znaleźć w samym środku konfliktu. Nie chciałby być na jej miejscu.

Na dodatek za każdym razem, kiedy Jeggred choćby spojrzał w jej stronę, Faeryl wzdrygała się i odsuwała. Demon wydawał się czerpać z tego przyjemność i korzystał z każdej okazji, żeby jeszcze bardziej wytrącić ambasador z równowagi wymownym uśmiechem, oblizaniem warg lub umyślnymi oględzinami ostrych jak brzytwy pazurów. Dla Pharauna było rzeczą jasną, że Faeryl jest bliska utraty panowania nad sobą. Gdyby do tego doszło, mogli zostać zmuszeni do oddania jej draeglothowi, żeby raz na zawsze mieć spokój.

Pozostawała jeszcze, rzecz jasna, kwestia prowiantu. Faeryl, podobnie jak pozostali członkowie drużyny, była zmuszona dźwigać własny dobytek już prawie od dziesięciu dni, do czego żadna wysoko urodzona elfka nie była przyzwyczajona. Poruszanie się lektyką noszoną przez niewolników i tragarzy było bardziej w jej stylu; dotyczyło to również Quenthel. Porzucenie eskorty w celu zmylenia pościgu było godną ubolewania, ale jednak koniecznością, a choć Jeggred był w stanie nieść większą część bagaży, pozostali wciąż musieli dźwigać spore brzemię. Pharaun nie mógł więc winić Faeryl, jeśli zastanawiała się, czy cała ta podróż nie jest jedną wielką pomyłką.

Zachowanie Quenthel wskazywało na to, że kapłanka już wie, a może po prostu nie obchodzi ją to, że milczenie Lolth dotknęło również Ched Nasad, i że ich wyprawa badawcza zaczyna coraz bardziej przypominać zbrojny wypad. Pharaun nie miał nic przeciwko temu, ale podejrzewał, że Ched Nasad ma im do zaoferowania coś więcej niż składnicę magicznych drobiazgów.

Zerkając po raz kolejny na własny plecak i czując napięte mięśnie ramion, Pharaun bodaj już po raz dziesiąty tego dnia pożałował, że nie potrafi wezwać magicznego dysku, który uniósłby wszystkie ich zapasy. Tyle szlacheckich domów korzystało stale z tak użytecznego zaklęcia, że matki opiekunki zazwyczaj nalegały, żeby ich domowi czarodzieje opanowali zdolność posługiwania się nim w trakcie nauki w Sorcere, filii Akademii kształcącej magów. Jednak Pharaun nigdy nie zadał sobie trudu, żeby się z nim zapoznać, ponieważ posiadał plecak o magicznie zwiększonej pojemności. Nawet wypakowany wszystkimi jego grimuarami, zwojami i przedmiotami codziennego użytku ważył ułamek tego, co normalny bagaż. Poza tym w Akademii, kiedy potrzebował przetransportować coś za pomocą magicznego dysku, w pobliżu zawsze kręciło się wielu studentów, którzy mogli zrobić to za niego. Jednak...

Pharaun odepchnął od siebie tę myśl, mówiąc sobie po raz dziesiąty, że jego magia jest zbyt cenna. Bogini Lolth z niewiadomych przyczyn wciąż milczała, nie obdarzała łaską magii objawień żadnej ze swoich kapłanek, przez co władza i możliwości Quenthel oraz Faeryl były znacznie ograniczone. Dzięki terenom Podmroku nie były miejscem dla kogoś bezbronny. Poza tym niemałą satysfakcją dawało mu przyglądanie się jak Quenthel, wysoka kapłanka Arach-Tinilith, filii Akademii kształcącej kapłanki, z mozołem dźwiga swój tobół.

Quenthel pociągnęła nosem, wrywając Pharauna z zadumy. Wysoka kapłanka wskazała zwiadowcę, który wciąż się wspinał. Widać mu było już tylko nogi. Reszta zniknęła w szczelinie pomiędzy ścianą jaskini a grzybem.

- Twój przyjaciel szuka przejścia na drugą stronę - zwróciła się do Rylda. - Przestań myśleć o niebieskich migdałach i pomóż mu. - Odwróciwszy się do Pharauna, dodała: - Ty też.

Decydując, że na razie wystarczająco dał się jej we znaki, zwłaszcza że Jeggred znajdował się w pobliżu, Pharaun uśmiechnął się i skłonił nisko, wymachując przy tym zamasyście piwafwi, po czym znów zajął się badaniem Araumycosa.

Gdy dołączył do niego Ryld, czarodziej wymamrotał:

- W takich chwilach najłatwiej docenić jej urok, co?

- Nie powinieneś jej drażnić - odmrucnął Ryld, przesuwając się wzdłuż grzyba i sięgając po krótki miecz. - Tylko napytasz nam biedy.

Fechmistrz zamachnął się na próbę, odcinając skrawek narośli, który upadł na ziemię u jego stóp. Schylił się, żeby go podnieść, ale kawałek grzyba zaczynał już czernieć i gnić.

- Chcesz chyba powiedzieć „sobie”, mój dzielny przyjacielu - odparł czarodziej, wyjmując flakonik kwasu z kieszeni ukrytej w połach piwafwi i wylewając jego zawartość na powierzchnię grzyba. - Obawiam się, że zanim dotrzemy do Ched Nasad, napytam jej sobie tyle, że starczy dla nas wszystkich.

Kiedy ciecz pokryła narośl, ta zaczęła skwierczeć i czernieć.

Ryld znieruchomiał i rzucił okiem na przyjaciela. Wojownik sprawiał wrażenie zaskoczonego. Pomimo wieloletniej przyjaźni Pharaun wiedział, że nawet Ryld od czasu do czasu uważa jego zachowanie za prostackie.

To cena, jaką płacę za ujmującą osobowość i błyskotliwość umysłu, pomyślał kwaśno.

Przyglądał się, jak kwas wyżera w grzybie całkiem spory otwór. Za nim wciąż widać było grzyb.

- Możemy próbować wypalić albo wyciąć sobie przejścia w tym czymś do usranej śmierci - zrzędził Ryld, idąc dalej wzdłuż zapory i zatrzymując się dokładnie pod miejscem, w którym zniknęła Valas. - Nie sposób stwierdzić, jaką ma grubość.

- To prawda, ale to i tak fascynujące. Do tej pory zdołałem ustalić, że można to coś uszkodzić za pomocą kwasu, ognia i poprzez odcięcie kawałka. W każdym razie fragmenty, które usuwałem, tworzą po prostu czarną, zgniłą masę. Niesamowite, ciekawe, czy...

- Mam nadzieję, że nie chcesz mi przez to powiedzieć, że marnujesz wszystkie swoje potężne zaklęcia na to coś? - zapytał Ryld, zerkając na wciąż zaciemnioną ścianę magii za ich plecami. - Twoje sztuczki mogą nam być za chwilę bardzo potrzebne.

- Nie bądź niemądry, mój biegły w sztuce szermierki towarzyszu - odpowiedział Pharaun, wypychając z powrotem do kieszeni kawałek różowego kamienia. - Z moim talentem mam ich dość, żeby starczyło dla wszystkich, nawet naszych czarujących prześladowców.

Ryld chrząknął i w tej samej chwili spory kawał grzyba uderzył w ziemię u jego stóp, zaczynając już czernieć. Ryld zrobił krok do tyłu, schodząc z linii ognia. W miejsce, w którym stał, spadło jeszcze kilka kawałków.

- Wygląda na to, że Valas się dokądś przebija - zauważył Pharaun, spoglądając tam, gdzie jeszcze do niedawna widać było zwiadowcę. - Ciekawe, czy eksperymentuje, czy też znalazł jakieś wyjście.

Czarodziej wyciągnął szyję, starając się coś zobaczyć.

- Tu jest przejście! - zawołał Valas, znów widoczny w całości. - Chodźcie!

- Oto i odpowiedź na moje pytanie. Czas na nas - powiedział Pharaun, odwracając się do pozostałych członków grupy. Wskazał Quenthel i Faeryl miejsce, gdzie widać było zwiadowcę. - Już za chwilę moja ściana przestanie działać.

Drowy i draegloth uniosły się w powietrze, co umożliwiły im insygnia ich domów. Jedno za drugim zniknęły w jakimś niewidocznym otworze, aż na dole został sam Pharaun. Czarodziej zaczął wznosić się za pomocą magii, po raz pierwszy uświadamiając sobie, jak się cieszy, że nie muszą walczyć z pozostałymi tanarukkami.

* * *

Aliisza przyglądała się z uśmiechem, jak ostatni podlegli jej tanurukowie dygoczą i zastygają nieruchomo. Czarne macki, które ich zabiły, wciąż skręcały się i młóciły powietrze, szukając czegoś, czego mogłyby się uczepić. Alu-demon uważała, żeby nie znaleźć się w ich zasięgu, choć wiedziała, że w razie potrzeby potrafiłaby usunąć je za pomocą magii. Prawdę mówiąc, mogła interweniować i rozproszyć czar, ratując swoich podkomendnych, jednak postanowiła inaczej, ale nie dlatego, że obawiała się utraty zaklęcia. Przede wszystkim była ciekawa.

Aliisza wiedziała, że mroczne elfy i ich demon wiele potrafią, można się tego było po nich spodziewać. Wycofała się tym samym korytarzem, którym przyszła, wiedząc, że przynajmniej dwójka drowów ją widziała. A jednak wciąż się odwracali, jak gdyby uciekali. Aliisza wątpiła, by pojawili się tu z powodów mających jakikolwiek związek z Kaanyrem Vhokiem.

Alu nie traciła czasu na powrót do punktu, z którego wyruszyła z oddziałem, i dołączyła do większych sił, których oddział był częścią, sił, którymi dowodziła.

- Przedostali się na wyższy poziom - oznajmiła kłębiącym się bezładnie tanarukkom, kierując je nową trasą. - Odetniemy im drogę przy Czarnym Zębie. Nie zwlekajcie. Poruszają się szybko.

Zgraja humanoidów z pomrukiem ruszyła w drogę i po kilku minutach dotarła do wielkiego skrzyżowania zwanego przez legiony Czarnym Zębem. Była to ogromna, wielopoziomowa komnata, w której zbiegało się wiele różnych korytarzy. Aliisza nie była nawet pewna, do czego używały jej krasnoludy, które ją wyciosały. Znaczną jej część wypełniała kolonia grzybów zwana przez mężny ludek Araumycosem. Było tam jednak wiele czynnych korytarzy, z których często korzystały patrole Znękanych Legionów, i alu wiedziała, że jeśli drowy nie zmieniły trasy za pomocą jakichś czarów, tunel, którym uciekały, musiał je tu w końcu doprowadzić.

Alu-demon wciąż rozważała, co powinna zrobić w razie konfrontacji z elfami, kiedy jej niewielki batalion zatrzymał drugi oddział tanaruków, któremu rozkazała odciąć drowom inną drogę ucieczki.

- Co tu robicie? - zapytała sierżanta, choć, prawdę powiedziawszy, była zadowolona z posiłków. - Wysłałam was do Komnaty Kolumnowej, żebyście wypatrywali wszystkich, którzy nadejdą z północy.

- Tak - odparł sierżant, zwalisty humanoid, o dobrą głowę wyższy od swoich podkomendnych i mówiący niewyraźnie z powodu sterczących kłów. - Ale otrzymaliśmy wiadomość, że zauważono duże siły szarych krasnoludów przemieszczające się przez południową część Ammarindaru, a drugi patrol, stacjonujący dalej na północ i wschód, zupełnie zniknął.

- Na Otchłań - wyszeptała Aliisza. - Co się dzieje?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym wydała mniejszemu oddziałowi tanaruków rozkaz powrotu do pałacu Vhoka, aby powiadomić go o sytuacji, zaś sama wraz z resztą sił podjęła poгон za drowami.

- Oni coś o tym wiedzą, - powiedziała sobie, wyruszając w drogę, - a ja dowiem się, co.

* * *

Pharaun nie podskakiwał już, kiedy Ryld, skradający się chyłkiem śladem drużyny, dołączył do nich niespodziewanie, więc nie zareagował, kiedy wojownik zmaterializował się nagle wśród nich. Ponieważ Rozpruwacz wciąż tkwił w pochwie przewieszzonej przez plecy mistrza Melee-Magthere, Pharaun wiedział, że w tej chwili nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Mimo to przyglądał się z uwagą, jak jego stary przyjaciel zdaje Quenthel raport w migowym języku drowów.

- *Nasi prześladowcy znów wpadli na nasz trop, - zasygnalizował rosty wojownik. - Kilka oddziałów, odcinają nam drogę.*

Wężowe głowy zasyczały, naśladując irytację swej pani, ale Quenthel uciszyła je szeptem.

- *Kiedy nas dogonią?* - zapytała.

W ciemności Pharaun zobaczył, że Ryld wzrusza ramionami.

- *Może za dziesięć minut, nie więcej.*

- *Musimy odpocząć, przynajmniej jeszcze chwilę, - odparła Quenthel. - Poza tym Valas jeszcze nie wrócił. Ustal, którędy poszedł.*

Wskazała rozwidlenie dróg. Ryld kiwnął głową i ruszył zbadać ściany rozgałęziającego się na trzy odnogi tunelu. Jeśli Valas zostawił jakiś ślad w korytarzu, który wybrał, znajdzie go i będą mogli ruszyć dalej.

Pharaun westchnął, żałując, że kiedykolwiek zaproponował tę drogę do Ched Nasad. Podróż przez władztwo Kaanyra Vhoka była ryzykownym przedsięwzięciem, ale Quenthel w końcu się uparła, przedkładając szybkość nad bezpieczeństwo. Tak więc drużyna wędrowała przez Ammarindar, starożytną dzierzawę jeszcze bardziej starożytnej krasnoludzkiej nacji, która wyginęła dawno temu.

Pharaun wiedział, że Kaanyr Vhok zaczął rościć sobie prawa do tych terenów po upadku Bram Piekła, twierdzy znajdującej się w prostej linii nad nimi gdzieś w Świecie Ponad. Z tego, co Pharaun sobie przypominał, markiz Vhok, demon, był wyjątkowo niesympatycznym gospodarzem. Większość karawan unikała tego skrawka Podmroku, więc korytarze, którymi podróżowali, były rzadko uczęszczane i Pharaun miał nadzieję, że dzięki temu łatwiej im będzie zachować tajny charakter misji.

Lecz choć starali się poruszać chyłkiem, ich obecność nie uszła uwadze sług Vhoka i kilka patroli markiza znów ich ścigało. Pharaun miał początkowo nadzieję, że przeciskając się przez Araumycosa, zgubili tanaruków, ale później uświadomił sobie, że wiedzieli oni - a raczej kobieta-demon - dokładnie, dokąd zmierza wyprawa, nawet jeśli nie wiedzieli tego sami jej członkowie. Czarodziej nie miał żadnych

wątpliwości, że kolejne oddziały próbują zejść im z boku i odciąć im drogę, zanim drowy opuszczą tę stronę i znajdą się poza zasięgiem Vhoka. Pytanie brzmiało, czy tym razem znów uda im się ująć patrolom?

Menzoberranzanczy nie mogli sobie pozwolić na spotkanie z demonem. Z powodu wiadomości, jakie posiadali, unikanie kontaktu z ważniejszymi rasami Podmroku było sprawą najwyższej wagi. A jednak Pharaun miał przeczucie, że nie będzie to łatwe. Żaden etap podróży do Ched Nasad nie będzie łatwy, tego był pewien. Każdy ruch był ryzykowny, zupełnie jak na planszy do gry w save.

Decyzja Quenthel o pozbyciu się nadprogramowego bagażu - i tragarzy - okazała się na swój sposób fortuna. Po wyrzuceniu rzeczy, przy zabraniu których upierała się początkowo wysoka kapłanka, mogli zwiększyć tempo. Mag zerknął na Quenthel, wiedząc, że drowka miota się między narzuceniem im jeszcze szybszego tempa, a pochorowaniem się od niesienia uprzykrzonego plecaka, od którego obwisały jej ramiona, kiedy myślała, że nikt nie patrzy. Pharaun przypuszczał, że poradziliby sobie z jeszcze mniejszą ilością bagażu, a Quenthel mogłaby sobie ulżyć, wyrzucając część niepotrzebnego prowiantu, zanim dotrą do Miasta Pajęczyn. Jeśli czeka ich kolejna starcie ze zgrają Vhoka, dojdzie do tego prędzej niż później.

Zupełnie jakby wiedział, że czas nagli, pojawił się Valas, a za nim Ryld i Jeggred. Zwiadowca podbiegł do rozwidlenia tunelu i kucnął pod jedną ze ścian, z roztargnieniem bawiąc się jedną z błyskotek ozdabiających jego kamizelę.

Kiedy Pharaun i Quenthel podeszli bliżej, Valas zaczął gestykulować:

- *Nasza droga prowadzi do wielkiej komnaty.*
Valas wskazał korytarz, z którego właśnie wrócił.
- *Co tam jest?* - przekazała niecierpliwie Quenthel.
Zwiadowca wzruszył ramionami.
- *Znowu grzyb, ale tym razem nie blokuje nam drogi. Jesteśmy już prawie poza zasięgiem Vhoka.*
- *A więc w drogę,* - rzuciła Quenthel. - *Mam dość tego miejsca.*

Valas kiwnął głową i grupa znów ruszyła w drogę. Korytarze, którymi prowadził ich zwiadowca, wyciosane ze skały Podmroku przez zręczne krasnoludzkie ręce, stały się znów szerokie i gładkie. Wyglądało na to, że zmierzają w dobrym kierunku, jako że Faeryl raz czy dwa zauważyła, że okolica zaczyna jej się wydawać znajoma. Uwierzyli, że przy odrobinie szczęścia wkrótce znajdą się poza władztwem Kaanyra Vhoka i w obrębie patrolowanych przedmieść Ched Nasad. Quenthel sprawiała wrażenie zadowolonej, mogąc tym razem pozostawić Valasowi i Ryldowi interpretację starożytnych runów Dethek wyrytych na głównych ulicach opuszczonego przed wiekami krasnoludzkiego miasta i iść tam, dokąd poprowadzili. Pharaun był jej za to głęboko wdzięczny. Im szybciej dotrą do Ched Nasad, tym lepiej dla jego samopoczucia, przynajmniej fizycznego.

Mag rozważał wysunięcie pewnej propozycji, zasugerowanie Quenthel, żeby przekroczyli granice miasta w sposób dyskretny. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby wysoka kapłanka chciała wkroczyć tam z łopoczącym na wietrze sztandarem i zażądać widzenia z najpotężniejszymi przedstawicielami szlacheckich domów, aby móc powiedzieć im wszystkim, że zabiera to, co do niej należy, i do diabła z Ched Nasad. Musiał znaleźć sposób przekonania jej, żeby przelknęła dumę i postępowała rozsądnie. Byłoby dla nich wszystkich o wiele lepiej, gdyby nie zwracali na siebie uwagi, przynajmniej na ulicach. Poza tym, pomyślał Pharaun, dlaczego miałbym zostać gościem bandy matek opiekunek? Zajazd, zwłaszcza wyjątkowo ekskluzywny zajazd, będzie o wiele lepszym rozwiązaniem.

Szkopuł w tym, jak przekonać do tego Quenthel. Najlepszym wyjściem wydawało się wmówienie jej, że sama wpadła na taki pomysł, ale zadanie to wymagało delikatności. Zdołała już udowodnić, że trudno nią kierować.

Będiesz naciskać zbyt mocno, a zrugą cię tylko za to, że jesteś mężczyzną. Będiesz naciskać zbyt słabo, a będzie zbyt zajęta dąsaniem się, żeby złapać haczyk. Pharaun był w stanie wymyślić kilka argumentów, którymi mógłby ją przekonać, zamiast próbować skłonić ją do tego podstępem, ale wiedział, że w przypadku Quenthel można było zedrzyć gardło, a ona i tak gotowa była odmówić.

Pharaun uświadomił sobie nagle, że korytarz zaczyna się wznosić, i to dość stromo. Drow podniósł głowę i zobaczył, że pozostali z mozołem podchodzą pod górę. Kiedy znaleźli się na szczycie wzniesienia, zatrzymali się, a Faeryl odezwała się półgłosem, wskazując coś w oddali. Ciekawy, co takiego zauważyli towarzysze, czarodziej przyspieszył kroku, a kiedy zrównał się z nimi, przystanął. Jego oczom ukazała się wielka, blade oświetlona pieczara. Sądząc po krzywiźnie ścian, była naprawdę

olbrzymia, ale ponad połowę niej wypełniał ogromny grzyb. Pharaun pokręcił głową, będąc pod jeszcze większym wrażeniem Araumycosa. Cała narośl stanowiła jeden organizm. To, że to, co widział przed sobą, stanowiło inną część tego samego organizmu, który napotkali ponad godzinę wcześniej, było niesamowite, ale świadomość, że to, co widział, przynajmniej do tej pory, stanowiło zaledwie drobną cząstkę całości, sprawiło, że zakręciło mu się w głowie.

Jaskinia powstała w naturalny sposób, a jej cechą charakterystyczną stanowił czarny jak heban stalaktyt, niezwykle podobny do wielkiego kła, który zaczynał się właśnie wgryzać w grzyba. Wszędzie widać też było ślady krasnoludzkiej roboty kamieniarskiej. Drowy znalazły się dość wysoko, jako że korytarz wychodził na ograniczoną balustradą półkę skalną w odsłoniętej ścianie jaskini. Z lewej strony występu schodziła w dół rampa, dość szeroka, by pomieścić obok siebie kilka wozów, opadająca kilkoma zakosami na samo dno. Tam gładka brukowana droga prowadziła do skrzyżowań z innymi drogami, które biegingy ku kolejnym rampom, aby wreszcie połączyć się z kilkoma tunelami. Wiele dróg po prostu zniknęło pod potężnym, ziemistoszarym grzybem.

Pharaunowi całe to miejsce mogłoby się wydać małym miasteczkiem, przypominającym część Menzoberranzan, gdyby nie dwie istotne różnice. Pierwszą z nich stanowiła rozpoznawalna na pierwszy rzut oka odrażająca krasnoludzka architektura, toporna, grubo ciosana i nieefektywna. Drugą przyćmione, ale wszechobecne światło, które wydawało się padać zewsząd, nadając komnacie, właściwie wszystkim kamiennym powierzchniom, blady, chorobliwie szary blask. W Menzoberranzan aksamitną czerń przełamywały intensywne fioleto, zielenie i bursztyny rozproszone po całym dnie i sklepieniu jaskini. Tutaj wszystko było widoczne, żarzyło się miękkim, magicznym blaskiem, choć nic nie miało koloru.

Czarodziej tęsknił za domem, pragnął usiąść na jednym z balkonów Akademii i spojrzeć na miasto. Łaknął choćby tak prostej przyjemności jak obserwowanie Narbondelu, jego czerwonego żaru odmierzającego upływ godzin. Na pustkowiach Pharaun odkrył, że bez wielkiego zegara Miasta Pająków zupełnie traci poczucie czasu, choć posiadał inne, magiczne środki, pozwalające mierzyć jego upływ. Przez krótką chwilę Pharaun zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy Menzoberranzan i poczuł ukłucie. Czego? Smutku? Czy tak właśnie wyglądał smutek? Było to dziwne uczucie i mag postanowił odepchnąć je od siebie.

Potrzebna ci gorąca kąpiel, Mizzrym, a potem masaż w wykonaniu wykwalifikowanego masażysty i nawet nie zauważysz, kiedy wrócisz do siebie.

Z tą pocieszającą myślą czarodziej wyprostował się i zainteresował się na powrót towarzyszami.

Valas schodził w dół rampy i znalazł się już na pierwszym zakręcie. Z miejsca, w którym stał Pharaun, drobny zwiadowca wydawał się naprawdę małeńki, co pozwoliło mistrzowi Sorcere lepiej ocenić ogrom jaskini. Quenthel, Faeryl, Jeggred i Ryld opadali tymczasem zwartą grupą ku następnemu odcinkowi trasy i byli już w połowie drogi na dół. Pharaun zachichotał, zastanawiając się, jak też daje sobie radę mistrzyni Akademii, wciąż zmagając się ze swoim bagażem.

Cóż, pomyślał Pharaun, gorąca kąpiel czeka.

Zrobił dwa kroki w stronę krawędzi półki, aby pójść w ślady wysokiej kapłanki i pozostałych, kiedy wyczuł, a raczej usłyszał, jakieś poruszenie za swoimi plecami.

ROZDZIAŁ 3

Khorrl Xornbane mimowolnie napiął mięśnie, gdy drzwi prowadzące do kabiny, w której czekał, odsunęły się częściowo. Ręka instynktownie zacisnęła mu się na noszonym przy boku podwójnym toporze. Duergar nie rozluźnił się nawet wtedy, gdy Zammzt wsunął się cicho przez wąską szparę i usiadł na wyścielanej ławie po drugiej stronie stołu. Wyrżał ostrożnie na widoczny przez wciąż uchylone drzwi korytarz, starając się wypatrzeć kogoś, kto mógłby się czaić w cieniu, obserwując ich spotkanie. Było tam tylko trzech osobników i żaden z nich nie wydawał się zwracać najmniejszej uwagi na Zammzta. Dwa ubrane na kupiecką modłę drowy, prowadzone przez trzeciego, który musiał być posługaczem w Płonącym Pucharze, skierowały się do następnej kabiny i zniknęły w środku. Khorrl zmarszczył brwi, gdy służący zatrzymał się na chwilę i przekrzywił głowę na bok, najwyraźniej słuchając głosów dobiegających ze środka, ale były zbyt ciche, by krasnolud mógł coś dosłyszeć.

Po prostu przyjmuje zamówienie, pomyślał duergar. Nie ma powodów do obaw.

Pomimo to Khorrl wiedział, że nie uspokoi się przez następnych kilka minut. Nie byłby to pierwszy raz, gdy jakiś głupiec pozwolił się śledzić podczas spotkania z krasnoludzkim najemnikiem, a on już nigdy więcej nie chciał znaleźć się w podobnej sytuacji, wzięty z zaskoczenia i przyparty do muru. Wówczas ledwo udało mu się ująć z życiem, ale zszargał sobie opinię. To najbardziej go rozwścieczyło.

Kiedy w końcu miał pewność, że nikt nie przygląda im się ukradkiem, uspokoił się nieco, choć musiał w tym celu świadomie poluznić uchwyt na drzewcu broni. Spojrzał przez stół na Zammzta, zauważając brak jakichkolwiek insygniów na prostym ubraniu drowa. Zammzt rozparł się na wyścielanej ławie, na jego ustach igrał cień uśmiechu. Chociaż Khorrl nie uważał się za wielkiego znawcę męskiej atrakcyjności, zwłaszcza u innych ras, było dla niego rzeczą jasną, że twarzy Zammzta nie można uznać za godną uwagi. Drow wyglądał po prostu zbyt pospolicie. Jeśli nie służył już jakiemuś szlacheckiemu domowi, nigdy nie udałoby mu się zostać nikim więcej niż zwykłym rzemieślnikiem, kimś nieco lepszym od niewolnika, ale niewiele lepszym. Khorrl przypuszczał, że ratuje go jedynie fakt, iż jest takim świetnym negocjatorem.

- Zapewniam cię, że nikt mnie nie śledził - odezwał się Zammzt, wrywając duergara z zadumy. - Gdyby ktoś próbował za mną iść, wiedziałbym o tym, zresztą nikt nie miał po temu najmniejszych powodów.

- Dlaczego sądzisz, że się tego obawiam? - zapytał Khorrl, sadowiac się wygodniej. - Jeszcze nie zdążyłem cię o nic oskarżyć.

- Kwaśny wyraz twojej twarzy i ukradkowe spojrzenia, jakie wciąż rzucasz w stronę drzwi, wyraźnie o tym świadczą - odparł mroczny elf. - Ale nie dziwię ci się. Bez wątplenia ucieszy cię wiadomość, że obserwowałem twoje przybycie z bezpiecznego miejsca i wiem, że ciebie również nikt nie śledził.

Khorrl znów lekko zeszywniał, nie mogąc się zdecydować, czy powinien się czuć urażony, czy być pod wrażeniem. Niewiele istot zdołało obserwować go niepostrzeżenie, z pewnością nie w ostatnich latach. To, że nie zauważył Zammzta, było zaskakujące, o ile drow mówił prawdę. Duergar zmrużył oczy, zastanawiając się, czy mroczny elf zwyczajnie nie kłamie, żeby zrobić na nim wrażenie. Wątpił w to, jednak...

- Czujesz się zatem wystarczająco pewnie, żeby rozmawiać swobodnie, co? - zapytał Khorrl, chcąc sprawdzić, jaka będzie reakcja jego towarzysza.

Zammzt uśmiechnął się nieco szerzej i machnął lekceważąco ręką, kierując spojrzenie na stół przed sobą.

- Oczywiście - odparł. - Chociaż myślałem, że wolisz zaczekać, aż służba przyniesie nam coś do picia.

- Już odprawiłem służącego - odpowiedział Khorrl, powtarzając lekceważący gest drowa. - Nie piję, kiedy załatwiam interesy.

- O czym doskonale wiem, mistrzu Xornbane, znam twoją reputację. Ja jednak poprosiłem zawczasu o przyniesienie nam napojów. Wydaje mi się, że właśnie słyszę kroki.

Khorrl spojrzał w stronę szpary w drzwiach, jednocześnie otwierając usta, żeby zauważyć, że on niczego nie słyszy. Zaczął odwracać się z powrotem w stronę Zammzta, ale zaraz znów się obrócił, bo na końcu korytarza zobaczył posługacza niosącego tacę z napojami. Krasnolud znów zamknął usta, patrząc, jak służący najpierw zanosi cześć trunków do sąsiedniej kabiny, po czym rusza w ich stronę. Widocznie

oprócz umiejętności śledzenia innych, Zammzt mógł się również pochwalić nadzwyczajnym słuchem. Po przyniesieniu trunku i upewnieniu się, czy duergar nie zmienił przypadkiem zdania i nie życzy sobie napić się czegoś, służący wyszedł. Zammzt wyciągnął rękę i zasunął do końca drzwi.

- Myślę, że możemy bezpiecznie porozmawiać o interesach - oznajmił mroczny elf. Czerwone oczy błysnęły mu z zadowolenia, gdy pociągnął łyka z oszronionego kufla.

Khorrl przyglądał się drowowi przez dłuższą chwilę, zanim w końcu skinął głową.

- Suma jest do przyjęcia? - zapytał krasnoludzki najemnik. - Żaden z moich ludzi nie pojawi się w mieście, dopóki nie będę miał pewności, że zapłacicie nam tyle, ile zażądałem.

- Oczywiście. Moja pani poleciła ci przekazać, że twoje wynagrodzenie jest bardziej niż rozsądne. Uważa, że to niewygórowana cena za usługę, którą jej wyświadczysz.

- Hmm - mruknął niezobowiązująco Khorrl. - To się dopiero okaże, nieprawdaż? Jeśli w trakcie walk zostawi mnie na lodzie, będzie zbyt niska i dobrze o tym wiesz.

Zammzt znów uśmiechnął się chytrze i kiwnął głową, przyznając mu rację.

- Mogę cię tylko zapewnić, że ona i jej sojuszniczki zamierzają doprowadzić sprawę do samego końca. Kiedy już wkroczą na tę ścieżkę, dla nich również nie będzie odwrotu. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę.

- Być może, ale jeśli sprawy nie pójdą po naszej myśli - zaznaczył Khorrl, pocierając dłonią szarą łysinę - osobiście ją odszukam.

- Czcze groźby naprawdę nie są potrzebne. Pierwsza rata jest już w drodze. Dopilnuj tylko, żeby pierwsza grupa była gotowa, kiedy już dotrze.

Khorrl kiwnął głową, tym razem bardziej stanowczo. Nigdy dotąd nie wycofał się z zawartego kontraktu i nie miał zamiaru zrobić tego teraz. Jego klan otrzymał królewską zapłatę za udział w walce, a zleceniodawczyni uważała, że pieniądze zostały dobrze zainwestowane właśnie ze względu na jego nieposzlakowaną opinię. W hierarchii duergarów klan Xornbane mógł być tylko bandą najemników, ale Khorrl potrafił dopilnować, żeby zawsze wypełniał swoje zobowiązania. Dopóki on był głową klanu, nie mogło to ulec zmianie.

- Będą tam - powiedział w końcu.

- Doskonale - odrzekł Zammzt. - Moja pani na to liczy. Nawet z waszą pomocą obalenie konkurencyjnego domu nie będzie proste. Właśnie dlatego ona i jej sojuszniczki są tak hojne.

Khorrl znów sposepniał, myśląc o czekającym go zadaniu. Drow miał rację - obalenie szlacheckiego domu, nawet jeśli jego kapłanki były sparaliżowane, zakrawało na nie lada wyczyn. On i jego ludzie mieli pomóc w zabiciu przeciwników swych zleceniodawców. Klan musiał przy tym ponieść straty, nie było co do tego wątpliwości, ale i tak chętnie przystali na warunki kontraktu. Nagroda, jaką była pomoc mrocznym elfom w wyrżnięciu się nawzajem, bladła bardzo nieznacznie w porównaniu z samym wynagrodzeniem. Ci członkowie klanu Xornbane, którzy ocaleją, mają otrzymać za tę robotę więcej niż za cztery ostatnie kontrakty razem wzięte. Warto więc zaryzykować utratę żołnierzy, zwłaszcza tych należących do ostatnich ras, którzy będą walczyć w pierwszych szeregach.

Na Otchłań, pomyślał Khorrl. Kiedy będziemy to już mieć z głowy, mogę się nawet zastanowić nad przejściem na emeryturę.

- Zrobimy to, za co nam zapłacono. Znasz naszą reputację - powiedział duergar, z czułością gładząc dłonią drzewce podwójnego topora. - Choć czułbym się o wiele lepiej, mając pewność, że twoje kapłanki nie nawiążą w środku walki kontaktu z Pajęczą Królową. To oznaczałoby naszą klęskę, i najprawdopodobniej waszą również.

Zammzt rozłożył ręce w łagodzącym geście.

- To pewne ryzyko - powiedział niemal, niemal, przeproszającym tonem. - Ale okazja, jaka nadarzyła się mojej pani i pozostałym konspiratorkom, jest tego warta. Bądź spokojny, twoje zasługi nie pójdą w niepamięć. Moja pani nie może się już doczekać chwili, w której będzie ci mogła podziękować z pozycji najpotężniejszej opiekunki w mieście.

Khorrl kiwnął głową po raz ostatni, przygotowując się do wyjścia.

- A więc dobrze - rzekł. - Będziemy czekać na pierwszą ratę. Umowa została zawarta.

Wstał, biorąc do ręki podwójny topór. Zanim odsunął przepierzenie, odwrócił się, żeby spojrzeć jeszcze raz na mrocznego elfa, który wydawał się zadowolony, mogąc zostać jeszcze chwilę i dokończyć piwo. Khorrl złowił jego spojrzenie i wytrzymał je.

- Mamy teraz wobec siebie pewne zobowiązania - powiedział szary krasnolud. - Nie ma odwrotu.

W Ched Nasad popłynię krew. Zapamiętaj sobie moje słowa.

* * *

Obracając się, Pharaun wezwał swój magiczny rapier ukryty w pierścieniu noszonym na jednym z palców, a drugą ręką owinał się szczelnie piwafwi. Z obrotu od razu przeszedł do postawy obronnej, każąc rapierowi unosić się w powietrzu przed sobą, i sięgnął do kieszeni piwafwi, wybierając na dotyk i z pamięci komponenty, których potrzebował do utkania wybranej inkantacji.

Kilkanaście kroków przed Pharaunem zamykało się właśnie migoczące błękitne przejście, podobne do pozawymiarowych portali, z których sam tak chętnie korzystał. Przed nim stanęła czarująca istota, którą dostrzegł podczas walki z tanarukkami. Przyglądała mu się z uśmiechem spod uniesionych brwi, ręce trzymając założone pod wydatnym biustem. Wydawała się zdradzać szczególnie zainteresowanie jego unoszącym się w powietrzu rapierem.

- Przepraszam, czyżbym cię wystraszyła? - zamruczała, a Pharaun stwierdził, że ma uroczą chrypkę.

- Nic nie szkodzi - odparł mag, przyglądając się demonowi od stóp do głów. Istota była odziana w obcisły, czarny, opinający skórzany strój, a choć sięgające ud buty i gorset wydały się drowowi niezbyt praktycznym strojem podróznym, musiał przyznać, że wyglądały efektownie.

Wspaniale podkreślają czern jej skrzydeł, zdecydował.

- Zastanawiałem się, kiedy znów się pokażesz - odezwał się Pharaun. Omiatając ją wzrokiem po raz drugi, dostrzegł liczne sztylety wystające zza jej pasa i cholew butów. Magiczny pierścień pozwolił mu stwierdzić, że jeden z nich jest z pewnością zaczarowany, podobnie jak długi miecz, który nosiła przypasany do prawego uda. Pierścień zdobiący jeden z palców jej lewej ręki również przykuł jego uwagę, ponieważ emanował silną aurą ochronną.

- A więc spodziewałaś się mnie. Cudownie! - ucieszyła się, wychodząc leniwym krokiem na balkon, gdzie usiadła i odchyliła się do tyłu, opierając dłonie i jedną z długich nóg na balustradzie. Wydawała się nie zwracać uwagi na rapier, który podążył za nią, unosząc się w powietrzu pomiędzy nią a magiem. - Psuje to nieco moje wielkie wejście, ale z drugiej strony wątpię, by takie sztuczki jak moje mogły zrobić na tobie wrażenie.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczył Pharaun, siadając kilka kroków dalej, ale nadal odgradzając się od niej rapierem. - Zawsze jest mi bardzo miło poznać koleżankę po fachu. Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jak nużące może być podróżowanie w towarzystwie pozbawionych wyobraźni osób, które nie potrafią dostrzec różnicy pomiędzy wieszaniem a przywołaniem.

Wskazał szerokim gestem pozostałe drowy, które były daleko poza zasięgiem słuchu.

Pomimo swobodnego tonu mag był spięty i dość ostrożny. Miał pewność, że alu-demon oceniała go równie uważnie jak on ją i zanim otworzył usta, zastanawiał się uważnie nad tym, co powie. Z całą pewnością nie miał ochoty wyjawic jej czegoś, przez co później mógłby mieć jakieś nieprzyjemności. Niemniej jednak był prawie pewny, że wiedziała, gdzie jest reszta jego towarzyszy, więc wskazując ich, nie zdradzał jakiegokolwiek tajemnicy.

- Nie bądź tego taki pewny - odparła, z roztargnieniem bawiąc się sznurowaniem biegnącym wzdłuż boku gorsetu. - Całkiem dobrze potrafię sobie wyobrazić twoje położenie. Zapominasz o towarzystwie, w jakim się zwykle obracam. Ta zgraja potrafi myśleć wyłącznie o jedzeniu i parzeniu się, nie wspominając nawet o zawilosciach tkania zakłęb. I co ja mam robić?

Kiedy skończyła, zrobiła nadąsaną minę, którą Pharaun uznał za najlepszą w jej dotychczasowym repertuarze.

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi - przyznał czarodziej, chichocząc. - Nie masz wielkiego wyboru... parzenie się z samcami lub szukanie jakiegokolwiek bardziej wyrafinowanej rozrywki. Nie dziwię się, że czasem wymykasz się na trochę.

- Nigdy za bardzo się nie oddalam - powiedziała alu, spoglądając czarodziejowi prosto w oczy. - Jedno z nas mogłoby wpaść w kłopoty.

Pharaun skinął lekko głową na znak, że pojął aluzję. Nie mógł jednak powstrzymać uśmiechu, zachwycony tym, że może brać udział w rozmowie pełnej tak subtelnych podtekstów. Była to kolejna rzecz, której brakowało mu od opuszczenia Menzoberranzan. Nie dość, że większość drowów była całkowicie pozbawiona poczucia humoru, to jego towarzysze wydawali się jeszcze bardziej poważni niż

zwykle, choć biorąc pod uwagę okoliczności, nie było to zupełną niespodzianką. Niemniej jednak nie byli specjalnie rozmowni.

Quenthel zbyt kurczowo trzymała się przywództwa, żeby tracić czas na potyczki słowne z czarodziejem. Faeryl w ogóle mało się odzywała, Valas rzadko przebywał w pobliżu, natomiast rozmowy z Jeggredem były dość monotematyczne. Pharauna już dawno znudziło słuchanie o tym, że draegloth pragnie rozszarpać swoich wrogów w taki czy inny sposób. Ryld zawsze rozmawiał z magiem chętniej niż pozostali, ale nawet wojownik był przez większą część podróży wyjątkowo małowówny. Z wyjątkiem kilku krótkich rozmów na temat autorytarnych metod Quenthel zaprzestali przekomarzań, które zawsze stanowiły oznakę ich przyjaźni.

Nie chodziło o to, że Ryld nie chciał z nim rozmawiać, przyznał Pharaun, ale zdecydowanie nie było już tak jak dawniej.

Zanim to zostawiłem go na pewną śmierć podczas powstania, podsumował mag, wzdychając w duchu.

Po tym incydencie Ryld przyjął przeprosiny czarodzieja, stwierdził, że rozumie, iż było to konieczne, ale w rzeczywistości ich przyjaźń umarła. Nie żeby Pharaun miał jakieś poczucie winy z powodu podjętej decyzji. Po prostu tęsknił za korzyściami, jakie czerpał z tej przyjaźni.

- Powiedziałam, że wyglądasz, jak gdyby coś ci leżało na sercu.

Pharaun wzdygnął się, uświadamiając sobie, że demonica mówiła coś do niego, kiedy rozmyślał. Kiedy znów się skupił, zauważył, że przez nieuwagę opuścił rapier w dół, więc umieścił go z powrotem na odpowiedniej wysokości. Rozżłoszczony własnym gapiostwem wezwał do siebie broń i pozwolił jej zniknąć w pierścieniu.

Nie ma sensu się nim zasłaniać, pomyślał ponuro. Gdyby chciała mnie dopaść, miała już doskonałą okazję.

Czarodziej skinął leciutko głową, przepraszając za nietaktowne zachowanie. Alu-demon tylko się uśmiechnęła.

- Na pewno nie masz ochoty słuchać o moich problemach - powiedział w końcu pogodnym tonem. - Z pewnością wpadłaś z wizytą towarzyską w innych celach.

- Nie bądź tego taki pewny - odparła, wstając i przeciągając się ospale. - Jakies niezwykle okoliczności musiały zmusić drużynę mrocznych elfów do podróży przez Ammarindar...

- Doprawdy, nic takiego - przerwał jej Pharaun.

- ... zwłaszcza mistrzynię Akademii i jej eskortę - dokończyła, ignorując wtęret czarodzieja. - Jakies naprawdę niezwykle okoliczności.

Wpatrywała się w Pharauna, zapewne oceniając jego reakcję.

Wyprostował niemal niezauważalnie plecy i ramiona, ale w żaden inny sposób nie dał po sobie poznać, jak jest zaskoczony.

Wiedziała.

W następnej chwili magowi przemknęły przez głowę dziesiątki myśli, domysłów, kto mógł ich zdradzić, kto w Menzoberranzan wysłał ich w tą podróż tylko po to, żeby wpadli w szpony Kaanyra Vhoka i jego sług, ale równie szybko je odrzucił. Ryzyko ujawnienia w ten sposób sytuacji kapłanek Lolth było zbyt wielkie. Demonica musiała odkryć ich tożsamość w jakiś inny sposób. Jej szeroki uśmiech i iskierki w zielonych oczach powiedziały mu, że potwierdził jej przypuszczenia.

- Nie gorączkuj się tak - powiedziała ze śmiechem. - Twój sekret jest bezpieczny - przynajmniej na razie - dodała, przestając się uśmiechać. - Ale tu dochodzimy do powodów, dla których tu jestem. Dzierżący Berło, Kaanyr Vhok, przywódca Znękanych Legionów i władca tej części Podmroku, przez którą właśnie bezprawnie podróżujecie, byłby zachwycony, mogąc was przyjąć. Jestem tu, aby was zaprosić.

Niemal jak na dany sygnał z dołu dobiegł ich krzyk, który rozszedł się słabym echem. Pharaun bez zastanowienia odwrócił się i wyjrzał znad krawędzi urwiska, spoglądając na dno pieczary. Tam Quenthel i pozostali starali się dostać do jednego z niższych tuneli, do którego nie prowadziło zygzakowate podejście. Valas wybiegał z jego wylotu, najwyraźniej chcąc do nich dołączyć. Za nim z tunelu i bocznych korytarzy wylali się tanarukowie.

Ogarnięcie całej tej sceny zajęło mu zaledwie chwilę, ale to wystarczyło demonicy, żeby otoczyć się jakimś rodzajem magicznej energii, którą zaczęła promieniować. Miał się na baczności, spodziewając się ataku, ale nie poruszyła się. Jednak jej zielone oczy pały. Czy była to żądza, czy wściekłość, nie był

pewny.

- Myślę, że powinienesz towarzyszyć mi do pałacu - powiedziała demonica ochryłym głosem. - Spodoba ci się tam. Bardzo.

Mówiąc to, zaczęła iść powoli w jego stronę, a on wyczuł opływającą go energię. Mag przypuszczał, że alu ma nadzieję zniewolić go za pomocą magii. Cofnął się o krok i uśmiechnął przeprasząc.

- To, przynajmniej na razie, raczej nie wchodzi w grę. Moi towarzysze mnie potrzebują.

Uśmiech demonicy zbladł, a ona sama wydeła usta z irytacją.

- Są otoczeni - powiedziała, zatrzymując się. - To, przynajmniej na razie, wciąż przyjazna propozycja. Idź do nich, przekonaj, żeby udali się razem ze mną do pałacu Kaanyra, a ja obiecuję, że spotkanie będzie przebiegać w serdecznej atmosferze. Moje siły tam w dole mają tylko utrzymać swoje pozycje i uniemożliwić twoim przyjaciółom oddalenie się, dopóki nie będę miała szansy złożenia ci tej propozycji. Zgodzisz się?

Pharaun uśmiechnął się.

- Jak dobrze znasz Kaanyra Vhoka? - zapytał dwuznacznym tonem.

Uśmiechnęła się szerzej, a w jej oczach zamigotało coś, co zdecydowanie było żądzą.

- Dość dobrze - odpowiedziała - ale z drugiej strony jest on strasznie zajęty, więc nie tak dobrze, jak bym chciała. Wróc ze mną do jego pałacu.

Pharaun również uśmiechnął się szerzej i zapytał:

- Jak ci na imię?

Alu-demon zachichotała z rozbawieniem.

- Prawie zapomniałam ci się przedstawić! Mam na imię Aliisza. Czy teraz pójdziesz ze mną?

- Miło mi cię poznać, Aliiszo. Nazywam się Pharaun i bardzo chciałbym ci towarzyszyć, ale obowiązek wzywa. Czy mam zakładać, że na dole spotkamy się z oporem? Czy też nasza rozmowa uspokoiła cię do tego stopnia, że nie będziesz nam dzisiaj utrudniać opuszczenia Ammarindaru?

Aliisza wyszczerzyła zęby.

- Otrzymałam pewne rozkazy, mój drogi. Miałam nie pozwolić ci opuścić naszych granic bez walki, ale powiem ci coś... dam ci szansę, tylko dlatego, że cię lubię. - Jej głos znów zrobił się ochryply. - Tylko tym jednym razem nie będę się mieszać. Kilkuset tanarukków nie powinno wam sprawić nadmiernych kłopotów, nieprawdaż?

Pharaun przekrzywił głowę w bok, jak gdyby rozważał propozycję, po czym odrzekł:

- Będą stanowić o wiele większy problem, niż gdybyśmy mogli ruszyć dalej bez przeszkód, ale jak powiedziałaś, dajesz mi szansę. A więc do następnego spotkania.

W odpowiedzi Aliisza skinęła głową i uśmiechnęła się.

Mag odchylił się do tyłu i zaczął spadać z krawędzi urwiska.

Słyszając dobiegający z oddali krzyk Valasa, Quenthel oderwała wzrok od pleców Jeggrede, za którym szła przez ogromną jaskinię. Wysoka kapłanka dostrzegła zwiadowcę wypadającego z korytarza, w który zapuścił się przodem, a dalej podążającą zanim zgrają tanarukków, wyłaniającą się z rzeźbionej ściany tunelu. Zaklęła pod nosem, a pięć węzów u jej bata zwinęło się, odtwarzając jej niezadowolone.

- Znow zostaliśmy odcięci, mistrzyni! - zasyczał K'Sothra. - Może jest jakaś inna droga?

- Nie, pozwól nam ich zniszczyć; posmakować ich mięsa i skończyć z nimi - przekonywał Zinda, skwapliwie prężąc swoje długie, czarne ciało.

- Dość tego! - ucięła Quenthel, ruszając do przodu, żeby dołączyć do Valasa.

Żmije uspokoiły się nieco, ale wciąż śledziły otoczenie swej pani, starając się wykryć grożące jej niebezpieczeństwa.

Tanarukowie nie pobiegli za zwiadowcą, tylko rozproszyli się, tworząc formację obronną. Wyglądało na to, że będą czekać, aż drowy same się do nich zbliżą.

Tym lepiej, pomyślała posępnie Quenthel. Niech się ustawią w szeregu tak, żeby czarodziejowi łatwiej było ich zdziętkować.

- Co oni robią? - zapytała Faeryl, biegnąc truchtem obok Quenthel. - Dlaczego go nie gonią?

Wskazała Valasa, którego dzieliło od nich może pięćdziesiąt kroków.

- Po co? - odparła Quenthel, zbliżając się do zwiadowcy szybkim krokiem. - Skądś wiedzą, że musimy tamtędy pójść. Zaczekają, aż sami do nich podejmiemy.

Faeryl pociągnęła nosem, ale nic nie powiedziała.

- Powinniśmy przebić się przez nich i rozsiec, pozwolić, by ich krew brukała nam stopy, gdy będziemy deptać ich trupy - podsunął Jeggred, który nie miał żadnych trudności z dotrzymaniem kroku Quenthel.

Mistrzynie Tier Breche spojrzała na draeglotha oblizującego niecierpliwie swoje zwierzęce wargi.

- Bzdura - ucięła szorstko. - Nie ma potrzeby się z nimi babrać, skoro sami chcą nam pójść na rękę i ustawiają się tak, żeby Pharaun mógł ich zabić kilkoma dobrze wymierzonymi zaklęciami. Prawda czarodzieju?

Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, odwróciła się, ale tylko po to, by odkryć, że czarodzieja nie ma za nią. Tylko Ryld dotrzymywał kroku dwóm elfkom i draeglothowi.

- Gdzie, na Otchłań, podział się ten przeklęty mag? - warknęła Quenthel w stronę Rylda, który ze zdumieniem uniósł brew i odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie.

Był zaraz za mną - odpowiedział wojownik, patrząc do tyłu w górę, w kierunku tunelu, z którego wyszli. - Nie wiem... tam!

Fechmistrz wskazał palcem jakiś punkt wysoko na ścianie. Quenthel musiała stanąć i odwrócić się na tyle, żeby móc zobaczyć to, co jej pokazywał. Kiedy dostrzegła Pharauna, zaklęła pod nosem. Nie był sam. Rozmawiał z kimś - z jakąś kobietą.

- Kto tam z nim jest? Co on robi? - zapytała wysoka kapłanka, nie kierując pytania do nikogo w szczególności.

Ryld wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, mistrzyni. Nie usłyszałem, kiedy się zatrzymał.

- W takim razie sprowadź go na dół, i to już! Jest mi potrzebny - rozkazała Quenthel.

Ryld wyglądał tak, jak gdyby chciał zaprotestować, ale zaraz wzruszył ramionami, odwrócił się i puścił biegiem główną drogą. Kiedy drowka obróciła się, dołączył do nich Valas.

- Więc? - zapytała zwiadowcę.

Valas wziął głęboki, uspakajający oddech i wyjaśnił:

- Znów odcięli nam drogę, ale tym razem zadbali o to, żebyśmy nie prześliznęli się bokiem.

Zwiadowca wskazał kilka wyjść z wielkiej komnaty.

Quenthel widziała już, że stają w nich kolejne oddziały tanarukków, każdy mniej więcej odpowiadający liczebnością temu znajdującemu się bezpośrednio przed nimi. Stwory zbierały się na półkach skalnych i podejściach, tuż przed wylotami tuneli. Nietrudno było zauważyć, że specjalnie powstrzymują drowy, próbując zmusić je do odwrotu.

- To jasne, że nie znaleźli się tutaj tylko po to, żeby nas zaatakować - powiedziała, myśląc na głos - więc muszą chcieć czegoś innego.

- Może ja mógłbym to wyjaśnić - powiedział Pharaun, materializując się w migoczącym błękitnym portalu, który zawisł w powietrzu kilka stóp dalej. Portal zniknął, a czarodziej zaczął doprowadzać do porządku swój wygląd, wygładzając piwafwi i poprawiając plecak. - Zostaliśmy zaproszeni w odwiedziny do Kaanyra Vhoka, władcy tych stworów. Życzy on sobie porozmawiać z nami.

- O czym ty mówisz? Kim była ta kobieta, z którą rozmawiałeś? - chciała wiedzieć Quenthel, którą zarozumiałstwo Pharauna doprowadzało do szewskiej pasji.

Fakt, że wciąż mógł korzystać ze swojej magii, podczas gdy ona była jej pozbawiona, nie przestawał jej irytować. Choć nigdy o tym nie wspominał, wiedziała, że uwielbia afiszować się z tym przy każdej sposobności. I jakby tego było mało, starał się być wobec niej uprzedzająco uprzejmy. Zmrużyła podejrzliwie oczy. Chciał czegoś, była tego pewna.

- Myśleliśmy, że masz kłopoty. Wysłałam Rylda, żeby się tym zajął - oznajmiła Quenthel. Dźgnęła powietrze palcem, wskazując oddalającą się postać fechmistrza. - Teraz będę musiała posłać Jeggreda, żeby go dogonił, a ty zostaniesz tutaj i wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Zanim jednak wysoka kapłanka zdążyła wydać polecenie draeglothowi, Pharaun jej przerwał.

- Och, to nie jest konieczne. Daj mi tylko chwilę. - Czarodziej odwrócił się w stronę Rylda, wycelował w niego palcem i zaczął szeptać: - Ryld, drogi przyjacielu, doceniam twoją troskę o mnie, ale nic mi nie jest i stoję właśnie wśród naszych szanownych towarzyszy. Możesz powrócić z wyprawy ratunkowej.

Quenthel widziała, jak w oddali wojownik zatrzymuje się i prostuje. W trakcie przemowy Pharauna odwrócił się i wyglądał, jak gdyby potrząsał głową w oszołomieniu, a kapłance wydawało się nawet, że słyszy, jak wzdycha, choć oczywiście był to tylko szept. Kiedy czarodziej skończył, Ryld biegł

już z powrotem w ich stronę.

- Bardzo sprytnie, magu - wycedziła Quenthel przez zaciśnięte zęby. - A teraz przydad się wreszcie do czegoś i powiedz mi, co tam robiłeś.

- Oczywiście. To była Aliisza, czarująca i towarzyska przedstawicielka Vhoka. Czaiła się w cieniu, kiedy wpadliśmy na nich - wskazał tanarukków - w poprzednim tunelu. Odpowiadają przed nią, a ona przed Vhokiem.

- Jakie to interesujące - powiedziała Quenthel, zakładając ręce na piersi. - I o czym to rozmawialiście przez tyle czasu? Nie doszedłeś z nią chyba do jakiegoś porozumienia, prawda?

Pharaun wyglądał na szczerze urażonego.

- Wysoka kapłanko, wysłuchałem tylko grzecznie złożonej przez nią propozycji. Nie mogłem, ma się rozumieć, dać jej wiążącej odpowiedzi, zanim nie rozmówiłem się z tobą. Domyślałem się, jak będzie brzmieć twoja odpowiedź, zanim jeszcze wspomniałem ci o tym zaproszeniu, ale nie wywiązałem się z moich obowiązków, gdybym przynajmniej nie dostarczył ci wiadomości.

- Doprawdy - powiedziała z przekąsem Quenthel. Drowka doskonale zdawała sobie sprawę, że stojący przed nią mag nie zastanawiałby się nad zdradzeniem jej i reszty drużyny, gdyby wiązało się to z jakimiś korzyściami. - Ciekawe, że na chłopca na posyłki wybrała właśnie ciebie.

Pharaun skrzywił się, ale lekko.

- Łączy nas, hm... umiłowanie sztuki tajemnej - powiedział w końcu. - Przez kilka minut rozprawialiśmy o trudnościach związanych z podróżowaniem z kimś, kto go nie podziela.

Quenthel prychnęła.

- Jestem pewna, że zainteresowało cię coś więcej niż jej umiejętności czarodziejskie.

Mag nie przestawał się uśmiechać, ale jego spojrzenie stwardniało. Dobrze, pomyślała. Przypomnij mi, że przejrzałaś go na wylot.

- Bardzo dobrze - powiedziała. - Z całą pewnością nie wrócimy z tymi bydlakami, żeby zobaczyć się z Vhokiem, pytanie więc brzmi: jak ich ominąć, żeby wrócić na szlak?

- Nie da rady ich ominąć - rzekł Valas - chyba że pani ambasador zna te tereny i potrafi nam wskazać jakąś inną drogę - dokończył, spoglądając na Faeryl.

Kapłanka Zuavirr potrząsnęła głową.

- Wciąż jesteśmy zbyt daleko od Ched Nasad, żebyśmy potrafiła rozpoznać okolicę - odparła.

- A więc musimy ich zabić - oznajmił Jeggred. - Pozwól mi stanąć do walki z nimi i utorować ci przejście, mistrzyni.

- Nie, Jeggred, nie ma takiej potrzeby, bez względu na to, jak świetnie byś się przy tym bawił. Pharaun wydobędzie nas stąd. Prawda?

Czarodziej wyszczerzył zęby z rozbawieniem.

- Powinienem znać kilka inkantacji, które pozwolą nam dostać się do tunelu. Aliisza zapewniła mnie, że da nam szansę i sama nie będzie się do tego mieszać. Zabicie tych istot nie powinno nastęczyć mi większych trudności.

- Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu utoruj nam drogę - rozkazała Quenthel.

- Już się robi - odpowiedział, ruszając naprzód i tkając początek zaklęcia.

ROZDZIAŁ 4

Aliisza nie była pewna, jak Kaanyr przyjmie jej najświeższe doniesienia, ale nie zwolniła kroku. Zwlekanie z ich przekazaniem byłoby bezcelowe. W końcu i tak musiał się dowiedzieć, mogła więc równie dobrze zrobić to teraz i zająć się innymi, bardziej interesującymi sprawami. Poza tym tak naprawdę nie niepokoiła jej perspektywa gniewu markiza. Kaanyr od czasu do czasu tracił panowanie nad sobą, ale dobrze wiedział, że nie należy wyładowywać złości na niej. Choćby nawet wpadł tym razem w szał, miała pomysł, który mógł uśmierzyć jego złość, a także dostarczyć jej rozrywki.

Wchodząc przez wielkie drzwi do sali tronowej, spodziewała się zastać Vhoka na tronie, ale myliła się. Chodził przed nim tam i z powrotem, co oznaczało, że jego umysł zaprzętały poważne sprawy, poważne w negatywnym sensie tego słowa. Alu-demon domyślała się, jakie to sprawy.

- Jakież informacje o poczynaniach tej hordy duergarów? - zapytała, podchodząc.

Wyrwany z zadumy Vhok podniósł oczy, przez chwilę świdrował ją wzrokiem, aż w końcu powiedział:

- Na razie byłem się w stanie dowiedzieć tylko tyle, że na szczęście nie zmierzają w tę stronę.

- Na szczęście? Dlaczego? - zapytała Aliisza. Podeszła bliżej i usiadła na najwyższym stopniu podwyższenia. - Myślałam, że podobał ci się pomysł dostarczenia legionom rozrywki. Mówiłeś mi ostatnio, że zaczynają gnuśnieć...

- Ponieważ szykuje się coś większego - przerwał jej Kaanyr - ponieważ to duergarowie odpowiadają za wybicie tego patrolu na północnym wschodzie.

Aliisza, która miała ochotę na chwileczkę zapomnienia, chciała się właśnie przeciągnąć, żeby oderwać Kaanyra od tej poważnej rozmowy, ale usiadła wyprostowana.

- To nie była banda wędrownych duergarów - ciągnął Vhok - tylko zawodowi najemnicy. Klan Xornbane, jeśli dowody nie kłamią. Krasnoludy z tego klanu nie wyruszają w drogę, jeśli grubsze sumy nie zmieniają właściciela i nie zanoszą się na większe bitwy.

Aliisza wydeła usta, zastanawiając się.

- Jeśli więc nie ruszają przeciwko nam - powiedziała - w takim razie przeciwko komu?

- Choć mam już pewien pomysł, myślałem, że ty mi to powiesz - rzekł Kaanyr, spoglądając na demona. - Gdzie moi goście?

- Nie byłem w stanie przekonać ich, żeby zaszczycili nas wizytą - odpowiedziała ostrożnie - a kiedy bez trudu pokonali mój patrol, uznałam, że rozsądniej będzie nie nalegać.

- Pokonali? Raczej rozgromili.

Ton Kaanyra był wyważony, ale Aliisza wiedziała, że jest niezadowolony.

A więc wiedział już? Śledzi mnie, czy co?

Cieszyła się, że od początku niczego przed nim nie tała. Kusilo ją, żeby lekko nagiąć prawdę, powiedzieć mu, że tanarukowie nie wykonali jej rozkazów, ale w końcu coś przekonało ją, że musi zacząć bardziej uważać z Vhokiem.

- Są potężni - odezwała się w końcu. - Czarodziej, który im towarzyszy, jest... interesujący. To z nim rozmawiałam i to z pewnością on zdziesiątkował legiony. Drowy są potężne, a ja popełniłam błąd taktyczny, doprowadzając do starcia w takiej wielkiej komnacie. Z łatwością wymknęli się legionom, unosząc się w powietrze poza ich zasięg, dzięki czemu Pharaun mógł bez przeszkód siać spustoszenie wśród naszych żołnierzy.

- Jestem pewien, że zrobiłaś, co mogłaś - rzekł Kaanyr, zbywając machnięciem ręki jej wyjaśnienia. Aliisza nachmurzyła się, urażona, ale nic nie powiedziała. - Może to i dobrze. Wygląda na to, że szare krasnoludy są zdecydowane dotrzeć do Ched Nasad, dokąd moim zdaniem zmierzają również nasi goście. Nie udałoby nam się ich od tego odwieść bez angażowania całej potęgi legionów, jak również kilku twoich siostr.

- Dowiedziałam się jeszcze kilku innych rzeczy - oświadczyła Aliisza, gotowa zaskoczyć Vhoka swoim pomysłem. - Wszyscy, nie tylko kapłanka, są wysokiej rangi szlachcicami z Menzoberranzan. Czarodziej jest wystarczająco potężny, by być jednym z członków, jeśli nie mistrzem, Sorcere, a rozmowa z nim przekonała mnie, że większość pozostałych ma podobną pozycję.

- Bardzo to wszystko interesujące, ale sam wywnioskowałbym to z faktu, że mistrzyni Akademii podróżuje z tak nieliczną eskortą. Wciąż jednak nie wiem, co zamierzają. Odpowiedź na to pytania mogłaby pomóc nam ustalić, dlaczego szarzy wyruszyli w drogę.

- Cóż, mam na ten temat swoje zdanie - powiedziała Aliisza, wiedząc, że nadeszła chwila prawdy. Zastanawiała się, czy Kaanyr zgodzi się na jej plan, czy też zdecyduje się posłużyć kimś innym. - Cokolwiek zamierzają po przybyciu do Ched Nasad, wszyscy sprawiają wrażenie bardzo zmartwionych, bardzo ponurych. Sprawa musi być poważna, a ja idę o zakład, że nie są jedynymi drowami w mieście, które coś o tym wiedzą. Może wybrałabym się do Ched Nasad i powęszyła trochę?

Kaanyr wpatrywał się w Aliiszę, wydymając usta. Nie była pewna, czy rozważa jej propozycję, czy po prostu bada ją, aby przekonać się, czy czegoś nie knuje. Oczywiście zamierzała postąpić dokładnie tak, jak powiedziała, nie miał więc powodów, żeby nie ufać jej w tej kwestii, ale jeśli zabawiłaby się trochę na boku, nie byłoby w tym chyba nic zdrożnego? Potrzebowała odpocząć od Ammarindaru, od Vhoka. Może krótka rozłątka i jemu wyjdzie na dobre, pomyślała.

- Dobrze - powiedział w końcu i alu-demon uśmiechnęła się szeroko, zanim zdołała nad sobą zapanować. - Sprawdź, czego uda ci się dowiedzieć. Właściwie chciałbym, żebyś wpadła do Aunrae. Jeśli coś się dzieje, matki opiekunki będą o tym wiedziały. Chciałbym, aby nasze stosunki nie uległy pogorszeniu, przynajmniej na razie, więc bądź grzeczna. I informuj mnie na bieżąco. Nie chcę cię szukać, żeby dowiedzieć się, co udało ci się odkryć.

Potakując energicznie, Aliisza wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- Dobrze - obiecała, zastanawiając się już, jaką postać przybrać.

* * *

Kiedy Khorrl poczuł, że wóz zakołysał się i zatrzymał, niemal jęknął na głos. Wciśnięty w kryjówkę pod stertą zapasów prawie stracił czucie w nogach. Ledwo był w stanie wytrzymać choć chwilę dłużej i modlił się do Laduguera, żeby podróż już się skończyła. Nie był w stanie wyobrazić sobie kulenia się w ten sposób nawet przez kilka kolejnych minut.

Brezent przykrywający wóz został odrzucony do tyłu i przyćmione światło padło na ułożone pod nim towary. Oczywiście ktoś bez odpowiedniego przygotowania tylko tyle by zobaczył ładunek zapasów dla miasta. Khorrl czekał, nasłuchując - nie śmiał się poruszyć, na wypadek gdyby był to kolejny punkt kontrolny. Nie chciał nawet oddychać, w obawie, że usłyszy go osoba lub istota - przeprowadzająca kontrolą wozu.

- Wszystko w porządku - usłyszał głos drowa, po którym rozpoznał Zammzta. Mroczny elf stał tak blisko, że nie było żadnych wątpliwości, do kogo się zwraca. - Możecie się już pokazać. Jesteśmy w magazynie.

Z pełnym wdzięczności stęknieniem Khorrl wstał, czując nieznośny ból w kolanach. Wokół niego to samo uczyniło czteremastu innych duergarów, którzy jeden za drugim stali się z powrotem widzialni. Towarzysze popatrzyli po sobie, jak gdyby chcąc się upewnić, że nikomu nic się nie stało, po czym zaczęli się rozglądać dookoła. Sam Khorrl niezgrabnie zeskoczył z furgonu na ziemię, chwytając przy tym swój topór. W pobliżu odkrywano kolejne wozy, na których pojawiali się jego pozostali wojownicy, gramoląc się zza pak, beczulek i bel artykułów żywnościowych. Wiedział, że wozów było ponad dwadzieścia, miał więc około trzystu żołnierzy. Reszta miała przybyć partiami w przeciągu kilku następnych godzin.

Tak jak obiecał Zammzt, zostali umieszczeni w wielkim, otwartym pomieszczeniu, najwidoczniej swego rodzaju magazynie, choć nie było w nim żadnych towarów oprócz tych na wozach. Zawartość furgonów miała rzekomo służyć szlacheckim domom, jednak w rzeczywistości stanowiła zaopatrzenie jego armii. Mieli tu zostać przez kilka dni, regenerując siły i przygotowując się do walki, podczas gdy będą napływać kolejne oddziały duergarów. Wszyscy mieli poczekać, aż przyjdzie czas zrobić to, co do nich należy. Khorrl miał nadzieję, że zgodnie z obietnicą nikt nie będzie się magazynem interesował.

Po magazynie chodziło kilku mrocznych elfów, którzy odkrywali wozy, aby uwolnić ich ukrytych pasażerów, albo wyładowywali zapasy i ustawiali je na uboczu. Khorrl widział, że Zammzt wydaje jakieś polecenia młodemu drowowi. Kiedy skończył, odwrócił się do wodza klanu duergarów.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, kapitanie Xornbane - odezwał się z uśmiechem. - Wiem, że nie przypomina to koczowania w tunelach Podmroku, ale powinniście się tu zmieścić.

- Miejsce może być, o ile ktoś nie zacznie tu węszyć, zanim będziemy gotowi. Jeszcze tylko tego nam trzeba, żeby mieszkańcy miasta zwietrzyli nas, zanim twoja pani będzie gotowa pokazać swoją prawdziwą twarz.

Mówiąc, Khorrl chodził po magazynie, próbując odzyskać czucie w nogach, a także zbadać swoje tymczasowe lokum.

- Naprawdę wątpię, by mogły wyniknąć jakieś problemy - odparł Zammzt, uśmiechając się. Khorrl miał ochotę poprosić go, żeby przestał. Uśmiech drowa przypominał duergarowi pysk jucznego jaszczura.

- Budynek otaczają wierne mi oddziały drowów, a wy zostaliście umieszczeni w pomieszczeniu na tyłach. Nikt nie będzie was niepokoił.

- Skoro tak twierdzisz - odrzekł z powątpiewaniem Khorrl. Krasnolud widział wiele bitew, które przybrały niepomysłny obrót, ponieważ zawiodła najprostsza część planu. - Pamiętaj tylko, że wszystkie skarby, które mi ofiarowałeś, dawno zostały wysłane w bezpieczne miejsce. Jeśli myślisz o zwróceniu się przeciwko nam, więcej ich nie zobaczysz. Zdrada będzie cię słono kosztować.

Zammzt wyglądał na szczerze zranionego, ale tylko przez chwilę.

- Nie jestem pewny, czy zdajesz sobie sprawę z ryzyka, jakie ponosi moja pani przez sam fakt ukrywania tu armii - powiedział drow. - Jeśli zostaniecie odkryci, ona też poniesie konsekwencje. Zwrócenie się przeciwko wam naprawdę nie leży w jej interesie.

- Hmm - odparł Khorrl. - Zobaczymy.

- Zakładam więc, że macie wszystko, co może wam być potrzebne - powiedział drow, zmieniając temat - ale jeśli potrzebujecie czegoś jeszcze, teraz jest czas, żeby to zgłosić. Choć za to, co wam płacimy...

Khorrl wbrew sobie gruchnął śmiechem. Pomysł, że mógłby pozostawić swoich żołnierzy w tak niepewnej sytuacji bez zapewnienia im wszelkiego rodzaju zaopatrzenia, był zabawny.

- Niczego nam nie brakuje. Kiedy dowiemy się, kogo właściwie mamy zabić?

- Niedługo, mój szary przyjacielu - odparł Zammzt, znów szczerząc zęby w uśmiechu. - Bardzo niedługo.

* * *

Bitwa z tanarukkami nie była w zasadzie prawdziwą walką. Pharaun z odległości unicestwił oddział za oddziałem śliniących się humanoidów, posunął się nawet do zdziętkowania rezerw czających się na tyłach. Nawet nie uważał tego za zabawne, zwłaszcza że był w stanie unosić się nad nimi, poza ich zasięgiem, i atakować ich według uznania.

Menzoberranzanczyzy byli już daleko poza jaskiniami Ammarindaru i po przespaniu jednej nocy zaczęli się zbliżać do Ched Nasad.

- Powinniśmy już byli natknąć się na patrole - mruknęła Faeryl. - Do miasta zostało jeszcze tylko ćwierć mili. Coś jest nie tak.

- Myślę, że wiedzieliśmy o tym, zanim opuściliśmy Menzoberranzan - burknęła Quenthel.

Drużyna znajdowała się na głównej drodze prowadzącej do miasta z północy i jej członkowie zastanawiali się, kiedy wreszcie dotrą na właściwe przedmieścia, tereny chronione przez patrole. Pharaun nie mógł winić Faeryl za to, że się niepokoi. Po kilkudziesięciu dniach zamartwiania się o swoje ojczyste miasto mogła mieć jeszcze nadzieję, że po przyjeździe wszystko będzie jak dawniej. Niemniej wątpił, by miastu przytrafiła się jakaś katastrofa. Choć nie natknęli się jeszcze na żadne patrole, na drodze do miasta nie byli sami.

Ruch w jedną i w drugą stronę bardzo zelżał, przynajmniej według ambasador. Pharaun nie wątpił w to. Droga, którą szli, była na tyle szeroka, że mogłyby się na niej mijać liczne karawany, ale tego dnia nigdzie nie było ich widać. Większość podróżnych stanowiły drowy, choć mijały ich też od czasu do czasu szare krasnoludy, koboldy i gobliny. Te niższe istoty omijały drowy szerokim łukiem. Piechurzy zmierzający w stronę miasta byli rozproszeni tak samo jak ci, którzy je opuszczali, więc Pharaun i jego towarzysze nikogo nie wyprzedzili ani nie zostali przez nikogo wyprzedzeni.

Mag taktownie spróbował wysunąć pewną propozycję, którą rozważał od pewnego czasu.

- Quenthel, jeśli coś się tu wydarzyło, coś takiego jak u nas, rozsądek nakazuje wejść do miasta w bardziej dyskretny sposób.

- Co masz na myśli? - zapytała wysoka kapłanka, mierząc go surowym spojrzeniem.

- Tylko to, że jeśli śmiało wkroczymy do miasta i ogłosimy, kim jesteśmy i jakie mamy zamiary, możemy nie spotkać się z tak ciepłym powitaniem, jakie czekałoby nas w innych okolicznościach.

- Dlaczego mieliby się nie cieszyć na nasz widok? Powinni odczuć ulgę.

Brzmiało to tak, jak gdyby Quenthel ogarniało coraz większe oburzenie, i Pharaun zachodził w głowę, jak przekonać ją do swojego punktu widzenia, aby nie poczuła się dotknięta.

Faeryl zaoszczędziła mu trudu.

- Ponieważ mogliby pomyśleć, że jesteśmy tu, żeby ich szpiegować - powiedziała.
Pharaun musiał stłumić lekki chichot. Bądź co bądź, to właśnie ten powód podała Triel, aresztując ambasador w Menzoberranzan. Był to rozsądny argument.

- Nie, jeśli będziemy się upierać przy spotkaniu z matkami opiekunkami najwyższych domów... - zaczęła Quenthel.

- Z całym szacunkiem, mistrzyni - przerwała jej Faeryl - ale czy sądzisz, że przyjełabyś dobrze przyjazd do Menzoberranzan wysoko postawionej szlachcianki, która koniecznie chciałaby się z tobą zobaczyć? Podczas kryzysu?

Quenthel skrzywiła się i nie odpowiedziała. Pharaun odczuł ulgę, widząc, że wysoka kapłanka gotowa jest choć przemyśleć jego pomysł.

- Nawet gdyby nie uznali nas za szpiegów, nasz przyjazd z pewnością wydałby się im niezwykle i staraliby się mieć na nas oko - tłumaczył mag. - Mogliby nam zapewnić najbardziej luksusowe apartamenty, gdzie na niczym by nam nie zbywało, ale i nie byłibyśmy w stanie się niczego dowiedzieć. Kiedy już ustalimy, co się tu dzieje, jeśli rzeczywiście masz zamiar domagać się zwrotu dóbr przechowywanych w magazynach towarzystwa handlowego Czarny Szpon i zabrać je z powrotem do Menzoberranzan, po co zwracać na siebie uwagę? Planowałaś prosić opiekunki o ich zwrot?

Quenthel rzuciła Pharaunowi gniewne spojrzenie, jak gdyby sam pomysł prośbienia o pozwolenie zabrania czegoś, co zgodnie z prawem należało do niej, był absurdalny. Była to właśnie ta reakcja, którą chciał wywołać.

- Faeryl - nalegał czarodziej - choć dobra zgodnie z prawem stanowią własność domu Baenre i domu Melarn, czy sądzisz, że matka opiekunka Melarn - czy którakolwiek inna - pozwoli, żeby opuściły miasto?

- W żadnym wypadku. Nie jestem nawet pewna, jak moja własna matka zareaguje na wasz plan. - Uśmiechnęła się blado i dodała: - Zgadzam się z magiem. Im mniej powiesz, tym większe masz szanse powodzenia.

- Twoje argumenty mogą mieć sens - przyznała Quenthel. - Więc co proponujesz? Jak dostaniemy się chyłkiem do miasta?

- Jako kupcy - podsunęła Faeryl - i członkowie towarzystwa handlowego Czarny Szpon. Triel sama mówiła, że jesteśmy tu po to, żeby skontrolować stan interesów domu Baenre, jak również ocenić skalę problemu, więc z pewnego punktu widzenia to nawet prawda.

- Nie wyglądamy na kupców - odezwał się Valas, który biegł w pewnej odległości przed resztą. - Może Pharaun powinien użyć iluzji, żeby zmienić nasz wygląd.

- Nie - odparła Faeryl. - Strażnicy Ched Nasad są na to przygotowani. Korzystają z czarów wykrywających i specjalnych przyrządów pozwalających im zauważyć kogoś, kto próbuje się prześliznąć okryty czarem niewidzialności lub iluzją. Zresztą nie ma takiej konieczności. Bylibyście zaskoczeni, wiedząc, jakiego rodzaju ochroniarzy wynajmuje bogaty kupiec. Należę do domu kupieckiego. Jeśli powiem strażnikom miejskim, że jesteście moją eskortą, a oni przyjrzą się dobrze moim insygniom, nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów, ale musicie usunąć własne insygnia. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że zostaną rozpoznane.

- Wynajęłabyś kogoś takiego jak on? - zapytała Quenthel, wskazując Jeggreda.

Faeryl zmarszczyła brwi.

- To może być problem.

- Zostaw to mnie - rzekł Pharaun. - Mam w zanadrzu kilka sztuczek, które powinny temu zaradzić. Dzięki nim przeprowadzę draeglothę przez patrole i do miasta tak, żeby go nie zauważyli. O ile będzie chciał współpracować.

Quenthel spojrzała na Jeggreda i zapytała:

- Czy możesz siedzieć cicho i postarać się nie rozpruć nikomu gardła?

Jeggred spojrzał na kapłankę spode łba, ale kiwnął głową.

- Potrafię działać przebiegle, jeśli jest to konieczne, mistrzyni - zagrzmiał.

Jasne, pomyślał Pharaun.

- Doskonale - stwierdziła Quenthel po chwili zastanowienia.

- Wejdziemy do miasta incognito. Zdejmijcie insygnia i postarajcie się wyglądać... zwyczajnie. Wszyscy oprócz Faeryl zdjęli brosze i zaczęli chować co wykwintniejsze elementy garderoby.
- Pharaun - poleciała Quenthel, kiwając głową w stronę Jeggreda - rób to, co konieczne.
- Najpierw trochę cię zmniejszę, żebyś się tak... nie rzucał w oczy - powiedział czarodziej, spoglądając na mierzącego osiem stóp stwora. - Nie masz chyba nic przeciwko temu?
Jeggred mruknął i obdarzył maga posępnym spojrzeniem, ale na dany przez Quenthel znak kiwnął głową.
- To dobrze - ciągnął Pharaun. - Potem spowiję cię zaklęciem odpychającym czary, których prawdopodobnie będą używać patrole, i jeśli założysz swoje piwafwi, naciągniesz kaptur na głowę i będziesz się trzymać z tyłu, powinniśmy minąć ich bez problemów.
- Tak, to powinno się udać - przyznała mu rację Faeryl.
- A więc dobrze, zaczynamy - powiedział Pharaun, wyciągając z jednej ze swoich licznych kieszeni szczyptę sproszkowanego żelaza i gestykulując.
Draegloth zaczął się kurczyć, aż zrównał się wzrostem z drowami.
- Świetnie - powiedział czarodziej, zaczynając tkać kolejny czar.
Kiedy skończył, odsunął się do tyłu i powiedział:
- A teraz owiń się tym piwafwi, żeby było cię jak najmniej widać.
- Tak, i wesprzyj się na Ryldzie, jak gdybyś był ranny - rozkazała Quenthel. - Spuść głowę, jak gdybyś był zmęczony.
- Tak, to dobry pomysł - przyznał jej rację Pharaun, naprawdę będąc pod wrażeniem. - Jesteśmy tylko zdrożonymi kupcami, marzącymi o gorącej kąpieli i wygodnym łóżku.
- W samą porę - odezwał się ściszym tonem Valas. - Przed nami widzę patrol.
Pharaun spojrział na drogę przed sobą i zobaczył duży oddział drowów, częściowo złożony z piechurów, częściowo z jeźdźców dosiadających jaszczurów, który przesunął się w ich stronę. Patrol rozciągnął się na całą szerokość drogi, nie było więc jak uniknąć spotkania.
- Zachowajcie spokój i pozwólcie mi z nimi porozmawiać - wyszeptała Faeryl.
Grupa zaczęła iść w stronę patrolu. Ryld trzymał się z tyłu, udając, że podtrzymuje kulejącego Jeggreda. Pharaun mógł tylko zgadywać, jak bardzo nie w smak był mu ten plan.
Nieważne, pomyślał. Nie powinniśmy mieć większych problemów z minieniem tych strażników. Jesteśmy tylko drowami próbującymi dotrzeć do miasta drowów. Dlaczego mielibyśmy sprawić im jakiś kłopot?
- Kiedy grupy zbliżyły się do siebie, członkowie patrolu poluzowali broń i zwolnili, najwyraźniej spodziewając się kłopotów. Jeden z nich, dowódca, jak zakładał Pharaun, wystąpił kilka kroków naprzód i wyciągnął przed siebie rękę otwartą dłońią do przodu.
- Stać - powiedział, gestem nakazując drużynie się zatrzymać. - Podajcie wasze imiona i powiedzcie, co was tu sprowadza.
Faeryl wysunęła się do przodu, minęła Valasa i zatrzymała się w odległości kilku kroków od dowódcy.
- Jestem Faeryl Zuavirr z domu Zuavirr, główna negocjatorka towarzystwa handlowego Czarny Szpon. - Odczepiła swoje insygnia i wyciągnęła je przed siebie, żeby dowódca patrolu mógł je sobie dokładnie obejrzeć i wziąć do ręki, gdyby miał ochotę. - To ochroniarze mojej karawany.
Sierżant podszedł bliżej i wziął od niej broszkę, po czym przekazał ją podkomendnemu, a sam przyjrzał się badawczo Faeryl i pozostałym, każdemu z osobna.
- Karawany? Jakiej karawany? Od przynajmniej sześciu tygodni nie wwożono ani nie wywożono z miasta żadnych towarów.
Faeryl kiwnęła głową i wyjaśniła:
- Tak, wiem o tym. Wyruszyliśmy niedawno z Menzoberranzan, ale po drodze straciliśmy podczas napadu te nieliczne towary, które wieźliśmy. - Ruchem głowy wskazała Rylda i Jeggreda, zaznaczając, że ma rannych towarzyszy, ale jednocześnie sugerując, że tak naprawdę nie są oni ważni. Stojący przed nią żołnierz spoglądał jej przez chwilę nad ramieniem, a potem kiwnął głową i znów skupił się na niej. - Chcemy zdać raport i odpocząć przez kilka dni w cywilizowanych warunkach - zakończyła, pozwalając, by do jej głosu wkradło się znużenie.
Dobrze, pomyślał Pharaun. Powiedz im tyle, żeby zabrzmiało to rozsądnie, nie przyznając się do niczego.

- Czyjego napadu? - zapytał dowódca.
Jego zastępca kiwnął krótko głową i oddał mu insygnia. Najwyraźniej oględziny wypadły pomyślnie, ponieważ patrolowy zwrócił je Faeryl.
- A co was to obchodzi? - zapytała szorstko Quenthel. - Zawsze przesłuchujecie członków karawan w ten sposób?
- Tanarukkowie - odpowiedział Pharaun, wysuwając się do przodu i kładąc Quenthel rękę na ramieniu. - Nienawidzi tanarukków. Od ataku cały czas jest nie w humorze. Dobry masaż zdziała cuda.
Mistrz Sorcere czuł, jak drowka się stoszy, ale przynajmniej nie odsunęła się od niego. Żmije przy jej boku poruszyły się, ale nie zaczęły się zwijać, czego obawiał się mag.
Dowódca patrolu przez chwilę mierzył Quenthel groźnym wzrokiem, ale w końcu kiwnął głową i rzekł:
- Taki mamy zwyczaj, odkąd miasto... - urwał, po czym zwrócił się do Faeryl: - Możecie jechać, ale życzę szczęścia przy szukaniu „cywilizowanych warunków”.
Po tej ostatniej gorzkiej uwadze odwrócił się i gestem nakazał żołnierzom się rozdzielić, tak aby drużyna mogła między nimi przejechać.
Faeryl podziękowała skinieniem głowy i gestem poleciła pozostałym, aby ruszyli za nią. Minęli patrol i znów znaleźli się sami na drodze. Pharaun widział, że ambasador zaniepokoiły słowa dowódcy patrolu. Sam musiał przyznać, że nie był to dobry znak.
- Puść mnie! - zasyczała Quenthel, wrywając ramię, a czarodziej zamrugnął ze zdziwienia, ponieważ zupełnie zapomniał, że wciąż ją prowadzi, ściskając za rękę.
- Proszę o wybaczenie, mistrzyni - powiedział mag, kłaniając się lekko. - W świetle zaistniałej sytuacji uznałem za stosowne załagodzić sprawę najlepiej, jak potrafiłem. W pewien sposób wyszło nam to jednak na dobre. Odciągnęłaś uwagę od draegloth.
- W porządku - odparła, wciąż patrząc na niego krzywo. - Minęliśmy ich, to się liczy. A teraz sprawdźmy, jak fatalnie mają się sprawy w mieście.
Nie minęło wiele czasu i drużyna dotarła do bram Miasta Połyskliwych Pajęczyn. Nadal podając się za sponiewieranych kupców, towarzysze minęli strażę i znaleźli się w środku.
W mieście panował chaos.

ROZDZIAŁ 5

- Spóźniłaś się! - warknęła Drisnil Melarn, gdy Ssipriina Zuavirr wkroczyła do sali audiencyjnej domu Melarn.

Matka opiekunka domu Zuavirr z wysiłkiem przełknęła kąśliwą ripostę, która cisnęła się jej na usta, zadawalając się wydeciem warg.

- Pokornie przepraszam - powiedziała nie czująca ani odrobiny skruchy Ssipriina, kłaniając się nisko opiekunce. Drowka wiedziała, że poprzez użycie takich formalnych zwrotów tylko z niej drwi. - Nie mogłam nic na to poradzić. Miałam ważne sprawy do załatwienia, interesy, dzięki którym twoja szkatuła jest pełna, matko opiekunko.

Ssipriina lubiła, kiedy z jej powodu w oczach Drisnil pojawiały się niebezpieczne błyski. Głowie domu Melarn trudno byłoby zganić własną służbę za to, że dokłada starań, by uczynić ją bogatą, i Ssipriina wiedziała o tym. Właśnie to czyniło jej subtelne żarty jeszcze bardziej zabawnymi.

- Mimo to przybyłam tak szybko, jak tylko pozwoliła mi własna godność - dodała Ssipriina - ponieważ przynoszę dobre wieści. Wkroczyli do miasta.

- Jesteś pewna? - zapytała matka opiekunka. - Masz jakieś sygnały, które wskazywałyby na to, że zmienili plany?

- Tak Jestem tego pewna - odparła Ssipriina. - Mój człowiek skontaktował się z Faeryl zaledwie kilka godzin temu, ona zaś poinformowała go, że kierują się ku Pękniętej Bramie w niższych rejonach miasta. Najwyraźniej mistrzyni Baenre ma wciąż niezłomne postanowienie okraść cię z twoich dóbr. Moi szpiedzy widzieli zaledwie kilka minut temu, jak wchodzą do miasta.

Drisnil siedziała zamyślona przez kilka minut, a Ssipriina stała wyczekująco. W końcu matka opiekunka poruszyła się.

- Nie spodziewają się, że wiemy, prawda?

- Nie wydaje mi się. Poinstruowałam Faeryl, żeby zgadzała się na wszystko, co planuje Quenthel, mam też szpiegów, którzy nie spuszczają ich z oka. Nie domyślą się niczego, dopóki nie będzie już za późno.

- Chcesz im na to pozwolić?

- Niezupełnie, matko opiekunko. Proponuję pozwolić im dotrzeć do magazynu i wejść do środka. Będziemy tam, żeby przyłapać ich na gorącym uczynku. W ten sposób zdobędziemy dowody, które będzie można przedstawić innym opiekunkom.

- Hm, tak, to mi się podoba - powiedziała Drisnil Melarn, przesuwając na tronie swoje obfite kształty. Jej twarz wyrażała zdecydowanie. - Bardzo chcę zobaczyć minę Quenthel Baenre, kiedy uświadomi sobie, że nie dostanie nawet ułamka mojego bogactwa. Chcę, żeby uświadomiła sobie, że zadarła z niewłaściwym domem.

Nigdy nie wypowiedziano prawdziwszych słów, pomyślała Ssipriina.

- Tak, oczywiście. Zaplanuję to tak, żebyśmy znalazły się w magazynie przed nimi. Tuszę, że życzysz sobie, żebym użyła strażników domu Melarn?

- Oczywiście - potwierdziła Drisnil. - Musi zobaczyć, kogo zlekceważyła. Chcę, aby było ich tam widać, Ssipriino, a kiedy kryzys zostanie zażegnany i rada uchylił zakaz eksportu, dopilnuję, żebyś została nagrodzona za swoją cierpliwość i skrupulatność.

- Oczywiście - odpowiedziała Ssipriina, kłaniając się. - Osobiście zajmę się tą sprawą.

* * *

Ched Nasad było gwarnym miastem pełnym drowów, duergarów, a w spokojnych czasach nawet pojedynczych illithidów, ale Valas uznał je za przytłaczające. Zwiadowca był pewien, że obecnie zamieszkiwało je trzy razy więcej istot niż normalnie. Miasto pękało w szwach z powodu zdesperowanej, głodującej tłuszczy, która z ogłuszającym rumorem przepychała się głównymi arteriami metropolii, roztaczając wokół siebie gryzący smród.

Brama, przez którą weszli Menzoberranzańscy, znajdowała się prawie na samym dole Miasta Połyskliwych Pajęczyn, metropolii wypełniającej ogromną podziemną brudę w kształcie litery V. Cały wąwóz przecinały ogromne, zwapniałe sieci, podświetlone za pomocą magii - sto lub więcej poziomów dróg biegnących we wszystkich kierunkach i służących jako ulice. Tysiące obłych, amorficznych

budowli, które przyłgnęły do tych wielkich pajęczyn jak kokony lub owinięte pajęczą nicią ofiary, strzelało w górę lub zwisało, dając schronienie mieszkańcom i przyjezdnym, wolnym i niewolnikom. W tej chwili miasto przypominało Valasowi pulsującą kolonię mrówek, bowiem wszędzie jak okiem sięgnąć ulice były zapchane humanoidami.

Normalnie zwiadowca szedłby przodem, ale ulice były tak zatłoczone, że poruszanie się po nich prawie graniczyło z cudem. Dlatego Quenthel kazała torować drogę Jeggredowi, który powoli przepychał się przez ciżbę. Valas trzymał się blisko draeglotha, a reszta drużyny szła zaraz za zwiadowcą w obawie, że rozdzieli się i pogubią w tym zamieszaniu. Valas zauważył, że raz po raz jakiś ponury osobnik patrzy spode łba na Jeggreda, który warczał i ryczał na każdego, domagając się, żeby zrobić im przejście. Wszyscy jednak posłusznie usuwali się z drogi, onieśmieleni ogromem draeglotha.

Na niższych poziomach miasta było bardzo niewiele drowów, za to obecne były niemal wszystkie inne rasy. Niewolnicy różnych ras, jak również przedstawiciele innych głównych narodów Podmroku, wykłócali się ze sobą, krzycząc, przepychając się, prowadząc handel wymienny albo po prostu kotłując się. Menzoberranzańczycy wyróżniali się z tłumu i było jasne, że mieszkańcy mierzą ich wzrokiem. Prędzej czy później musiał z tego wynikać jakiś kłopot.

Valas kilka razy poczuł muśnięcie dłoni albo palca, gdy ktoś z kłębiącego się tłumu zręcznie próbował wyłuskać mu z kieszeni jedną z błyskotek. Odepchnął już dwie dłonie usiłujące zerwać amulety, które nosił przyczepione z przodu koszuli, zostawiając na każdej z nich paskudną szramę od kukrisa.

Zwiadowca odwrócił się i zerknął przez ramię. Faeryl i Quenthel szły zaraz za nim, ta ostatnia odstraszać gapiów swoim straszliwym biczem. Za dwiema kapłankami szedł Pharaun, owinięty szczelnie piwafwi i z pochyloną głową, broniąc się w ten sposób przed napierającym tłumem. Ryld zamykał pochód, masą swojego ciała osłaniając idącego przed nim czarodzieja.

To jakiś absurd, pomyślał zwiadowca, potrząsając głową. Musimy wydostać się z tej części miasta.

Zaczął się już pochylać w stronę Quenthel, żeby jej o tym powiedzieć, kiedy przed Jeggredem wybuchło jakieś zamieszanie. Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak draegloth rzuca się na uzbrojonego w wielki miecz ogra, który zatarasował im drogę. Obok niego stał drugi ogr, trzymający nabijaną kolcami maczugę i mierzący ich wściekłym spojrzeniem.

Jeggred skoczył do przodu jak sprężyna, przejeżdżając jedną ze szponiastych łap przez brzuch pierwszego ogra. Atak był tak niespodziewany, że stwór nie miał nawet czasu, żeby zareagować. Wpatrywał się tylko w swój brzuch, z którego trysnęła krew. Z tłumu wyrwało się kilka okrzyków, część stworów usiłowała zejść z drogi walczącym, inne przepychały się do przodu, żeby mieć lepszy widok na całe zajście - lub szansę ograbienia trupów. Zraniony ogr otworzył usta do krzyku, osuwając się na jedno kolano i przyciskając dłonie do brzucha. Jeggred ponownie chlasnął humanoida pazurami, rozrywając mu gardło. Ogr zacharczał, młóćąc powietrze ramionami i wybałuszając ze strachu oczy.

Drugi ogr warknął i zamachnął się kolczastą maczugą, trafiając Jeggreda w ramię. Demon określił się wraz z ciosem, jego grzywa białych włosów załopotiała na wietrze. Obrót uchronił go przed poważniejszymi obrażeniami, a także pozwolił mu spaść się do kolejnego skoku.

W tej samej chwili Valas został przewrócony na bok przez goblina, który skoczył na niego z obnażonymi zębami i sztyletami w dłoniach. Zanim zwiadowca zdołał kopniakiem uwolnić się od napastnika, Quenthel smagnęła go biczem. Kilka par kłów zatopiło się w ciele goblina i nieszczęśnik upadł na ziemię, wijąc się i tocząc pianę z ust. Valas zerwał się z powrotem na nogi, zanim nie ogarnęła go reszta ciżby. Drow stanął plecami do Quenthel i otwarcie dobył kukrisów, utrzymując na dystans kilku wrzeszczących, przeklinających szarych krasnoludów.

Valas uświadomił sobie, że drużyna utworzyła krąg. Ryld dobył Rozpruwacza, przed czarodziejem tańczył w powietrzu magiczny rapier, a on sam trzymał w dłoni małą różdżkę, przyglądając się rozwścieczonemu motłochowi. Nawet Faeryl wymachiwała na próbę trzymanym w dłoniach młotem. Tylko Jeggred, który oddalił się kilka kroków, żeby dobić oba ogry, znalazł się poza obronną formacją. Valas kątem oka zobaczył, jak demon wgryza się w swojego przeciwnika, odrywając mu kawałki twarzy.

- Musimy dostać się wyżej! - wrzasnął Valas przez ramię do Quenthel. Wysoka kapłanka wydawała się nie słyszeć, powtórzył więc: - Mistrzynie Quenthel, musimy dostać się do wyższej dzielnicy miasta. Nie damy im rady!

Stojący obok niego Pharaun targnął się, gdy wypuszczony z kuszy bełt uderzył z trzaskiem w jego

piwafwi. Ktoś z tłumu strzelał do nich na chybił trafił.

- Co proponujesz?! - odrzyknęła Quenthel, chłoszcząc biczem pechowego kobolda, który przecisnął się do przodu i teraz popychano go od tyłu.

- Za mną! - zawołała Faeryl i zaczęła unosić się w powietrze. - Musimy dostać się do dzielnicy kupieckiej, a to najszybszy sposób.

- Nie! - jęknął Valas, robiąc wielkie oczy. - Ja nie potrafię...! Nie umiem lewitować!

Ale było już za późno. Pozostałe drowy poszły za przykładem ambasador i zaczęły się wznosić w powietrze. Valas cofnął się do środka kręgu, który jeszcze przed chwilą tworzyły drowy, nieufnie przyglądając się otaczającej go ciżbie.

- Ryld! - krzyknął. - Zaczekaj!

Valas zobaczył, że wojownik spogląda na niego z góry, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić, ktoś chwycił zwiadowcę od tyłu. Valas usiłował obrócić się i chlasnąć napastnika kukrisem, ale uścisk był silny i nie mógł trafić. Ułamek sekundy później cieszył się z tego powodu, ponieważ napastnikiem okazał się Jeggred. Demon przycisnął zwiadowcę do sklejonego zaschłą krwią futra i wbił się w powietrze. Jakichś dwóch śmiałych duergarów runęło naprzód, wznosząc topory bojowe, aby na pożegnanie pozbawić Valasa choć stóp, ale Jeggred miał wciąż wolną jedną ze swoich wielkich szponiastych łap, i nią machnął, zmuszając parę szarych krasnoludów do uskoczenia w bezpieczne miejsce.

Obok przeleciało ze świstem kilka bełtów, a jeden z nich wbił się draeglothowi w bok, tuż obok Valasa, ale Jeggred tylko stęknął i obrócił się, wznosząc się w górę, dokąd uniosła się reszta drowów. Valas spojrział w dół, gdzie stali jeszcze kilka chwil wcześniej. Choć ulica oddalała się, zwiadowca dostrzegł tłuszcę kłębiącą się nad ciałami martwych ogrów i obdzierającą ich z kosztowności.

Dzikusy, pomyślał.

Faeryl zatrzymała się w bocznej uliczce kilka poziomów wyżej, w spokojnym miejscu pomiędzy rzędami kramów. Na głównej ulicy było mniej ludzi niż niżej, ale tylko trochę mniej. Valas wiedział, że wciąż znajdują się stosunkowo nisko, bowiem skrzący się blask widmowego światła, którym emanowała sieć kamiennych ulic migoczących mu nad głową, wciąż oślepiał go, kiedy spoglądał w górę. Wiedział, że im wyżej, tym lepsza dzielnica. Pod samym sklepieniem jaskini, gdzie przypominająca rów komnata była najszersza, wystarczająco daleko od smrodu i zgiełku pospólstwa, zbudowała swoje domy szlachta. Menzoberranzańcy mieli jeszcze do przebycia spory kawałek drogi.

- Czy tam w dole jest zawsze tak... strasznie? - zapytała Quenthel, gdy drużyna ruszyła kamienną aleją, trzymając się blisko siebie i rozmawiając ściszymi głosami. - Dlaczego matki opiekunki tolerują tę hołotę?

Jeggred wypuścił Valasa, który wyprostował się i odwrócił, żeby spojrzeć na draeglotha. Zwiadowca zastanawiał się, ile krwi, którą uwalany był demon, należy do jego wrogów, a ile do niego samego. Futro Jeggreda było zmierzwiłone i posklejane ciepłą, lepką ciecżą, ale wydawało się, że oprócz rany od bełta na biodrze zwierz nie odniósł innych obrażeń. Zwiadowca zbadał własne odzienie i zauważył ponuro, że i on lepi się od krwi ogra.

- Pośledniejszym rasom nie wolno swobodnie poruszać się po wyższych partiach miasta bez specjalnego pozwolenia - wyjaśniła Faeryl. - Będzie lepiej, kiedy znajdziemy się nieco wyżej.

- Wątpię - powiedziała wysoka kapłanka, pociągając nosem. - Wątpię, by matki opiekunki tolerowały taką niesubordynację. Raczej zajmują się pilniejszymi sprawami i myślę, że wszyscy wiemy, co to za pilniejsze sprawy.

Przez ramię Quenthel Valas dostrzegł trzy drowki, które przystały i przyglądały się Jeggredowi, który właśnie z jękiem wyszarpnął z uda tkwiący w nim bełt. Jedna z elfek wyszeptwała coś do towarzyszek i wszystkie trzy oddaliły się pospiesznie.

Pharaun starał się otrzepać do czysta i wygładzić swoje piwafwi, aby znów wyglądać elegancko i szykownie.

- Najprawdopodobniej masz rację - powiedział mistrz Sorcere, kiwając głową. - Nie zawadziłoby jednak znaleźć jakieś miejsce na nocleg, gdzie moglibyśmy zebrać myśli, a może także trochę informacji.

- Jestem pewny, że w szóstkę łatwiej nam będzie dojść do tego, co tu się dzieje.

- Znalezienie noclegu może się okazać trudne - zauważył Ryld. - Zastanawiam się, czy w całym Ched Nasad znajdzie się choć jeden wolny pokój.

Valas zmarszczył brwi, wyobrażając sobie spojrzenia, jakie na siebie ściągną, kiedy zaczną się wypytywać o kwatery.

- Twój ochroniarz będzie zwracał uwagę - powiedział zwiadowca. - Nawet teraz przyciągamy spojrzenia. Nie powinniśmy pozostawać dłużej na otwartej przestrzeni.

Quenthel pogrzebała w plecaku i wyciągnęła różdżkę. Przysunęła się do Jeggreda, wycelowała nią w krwawiącą ranę i wymówiła kilka słów. Krwawienie ustało, rana zaczęła się zasklepiać.

- Bądź trochę uważniejszy - skarciła siostrzeńca wysoka kapłanka, chowając różdżkę. - Magia uzdrawiająca nie jest niewyczerpana.

- Chociaż miasto jest przeludnione - odezwała się Faeryl - na wyższych poziomach będzie lepiej. Znam miejsce, w którym mogą być wolne pokoje.

- Może powinniśmy to przemyśleć - odparła Quenthel. - Wydaje mi się rzeczą oczywistą, że czekają nas kłopoty. Myślę, że rozsądniej będzie złożyć wizytę domom Zuavirr i Melarn. Tam zakwaterowanie mielibyśmy zapewnione.

- Nie - powiedział Pharaun, a Quenthel ze zdumienia wytrzeszczyła oczy. Mag szybko mówił dalej, zanim wysoka kapłanka zdążyła na niego naskoczyć. - Może i masz rację, ale nawet jeśli, nie chcesz chyba stracić możliwości swobodnego poruszania się po mieście, prawda? Jeśli chcesz odzyskać dobra i pieniądze należące do twojego domu, nie możemy zwracać na siebie uwagi matek opiekunek.

- Cóż - powiedziała Quenthel, wydając się wahać - nie podoba mi się pomysł zamieszkania w tawernie dla pospólstwa, ale twoje argumenty są sensowne.

Valas patrzył, jak wysoka kapłanka przygryza wargę, pograżając się w głębokiej zadumie.

Pharaun ciągnął dalej, starając się wykorzystać zdobytą przewagę:

- Wiesz, że jeśli mają jakieś kłopoty, nic nam nie powiedzą. Za wszelką cenę będą się starać zatrzymać te informacje dla siebie. A w ten sposób będziemy mogli się czegoś dowiedzieć, spróbować znaleźć jakiś klucz do zniknięcia Lolth. Będziemy mieli szansę ustalić, co doprowadziło Ched Nasad do obecnego stanu. - Pochylił się w jej stronę, ścisząc głos, gdy dwóch mijających ich drowów przystanęło na chwilę, żeby im się przyjrzeć. - W najgorszym wypadku nauczymy się czegoś na błędach miasta.

Ryld odwrócił się i spojrzał prosto w oczy dwóm elfom, którzy szybko odwrócili wzrok i ruszyli w swoją drogę.

- Cokolwiek mamy zrobić, zróbmy to szybko - rzucił przez ramię fechmistrz. - Valas ma rację... za bardzo zwracamy na siebie uwagę.

- Mam zatem zaprowadzić was do zajazdu, który znam? - zapytała Faeryl. - Nazywa się Bezimienny Dom i jest...

- W żadnym wypadku - przerwała jej Quenthel. - Coś za bardzo chcesz nam pomóc, na dodatek kosztem własnego domu.

Faeryl wytrzeszczyła oczy na wysoką kapłankę Baenre.

- Mistrzynie Quenthel, ja tylko...

- Wystarczy - ucieła kapłanka. - Dopóki nie postanowię zawiadomić matek opiekunek, że tu jestem, nie uda ci się ich ostrzec przed czasem. Jeggred, masz dopilnować, żeby nie próbowała się wymknąć.

Draegloth uśmiechnął się szeroko, najpierw do Quenthel, potem do ambasador.

- Z przyjemnością, mistrzyni - powiedział.

Faeryl skrzywiła się, a Valas znów zadał sobie pytanie, co zaszło między tą dwójką, zanim wyruszyli w drogę. Faeryl zachowywała się w ten sposób przez całą podróż. Obiecał sobie, że zapyta o to Rylda, kiedy będą przez chwilę sami.

- A teraz - powiedziała Quenthel, odwracając się do pozostałej trójki - który z was zna najlepiej miasto?

- Byłem już w Ched Nasad kilka razy, mistrzyni Quenthel - odparł Valas, a dwaj pozostali mężczyźni kiwnęli głowami, przyznając zwiadowcy pierwszeństwo.

- Dobrze. Znajdź nam jakiś zajazd, byle nie ten Bezimienny Dom. Ale ma być porządny. Nie zamierzam znosić nędznych warunków, do których ty mogeś przywyknąć.

Valas uniósł brew, ale nic nie powiedział. Uznał za interesujący fakt, że wysoka kapłanka zmieniła zdanie, zgadzając się na plan Pharauna, choć w zasadzie nie przyznała się do tego. Był ciekawy, czy rozmówią się później na ten temat, ale w tej chwili był zadowolony, mogąc spełnić jej polecenie.

- Najszybciej dostaniemy się tam, gdzie chcemy, lewitując - powiedział zwiadowca. - O ile Jeggred ma ochotę mnie nieść, ma się rozumieć.

Quenthel najpierw spojrzała na draeglotha, potem na Faeryl, a w końcu zapytała:

- Nie chcesz mnie zmuszać, żebyśmy kazała Jeggredowi albo Pharaunowi zabić cię z powodu próby

ucieczki, prawda?

Faeryl rzuciła jej gniewne spojrzenie, ale potrząsnęła głową.

- Dobrze, a więc prowadź, Valasie. Jestem znużona i dla odmiany chciałabym pograć się w Zadumie na porządnej kanapie.

Jegfred podniósł zwiadowcę jedną ręką i wkrótce wszyscy wznosili się ku wyższym partiom miasta. Faeryl miała rację. Im wyżej się wznosili, tym luźniej robiło się na ulicach. Było i tak tłoczniej, niż Valas pamiętał, ale na wyższych poziomach dało się to znieść. Zwiadowca prowadził ich do ekskluzywnej dzielnicy kupieckiej, gdzie miało swoje przedstawicielstwa handlowe wiele pomniejszych domów mających tylko tyle władzy, żeby dorobić się fortun na handlu, w odróżnieniu od tych, które były dość potężne, by rządzić miastem.

Valas wiedział, że w tej właśnie dzielnicy bywa podczas pobytu w mieście wielu zamożnych kupców z innych rejonów Podmroku. Tutejsze zajazdy były wystarczająco luksusowe, by zapewnić wygody, jakich oczekiwała elita społeczności kupieckiej, a przy tym ich właściciele przymykali oczy nawet na tak niezwykłych gości jak Jegfred. Valas miał nadzieję, że tam znajdą pokój, który zadowoli lubiącą sobie dogadzać Quenthel. O ile w ogóle uda im się znaleźć jakąś kwaterę.

Pharaun nalegał, żeby to on prowadził negocjacje z właścicielami zajazdów. W pierwszych dwóch miejscach niemal roześmiano się czarodziejowi w twarz, a trzeci karczmarz rzucał złośliwe uwagi na temat „gniewu Lolth”, po czym zasugerował, że po uiszczeniu opłaty za rytualne oczyszczenie będą mogli dzielić jeden pokój. W czwartym zajeździe też nie było miejsc, ale właściciel, półork ślepy na jedno oko, zaproponował gospodę na obrzeżach miasta, dwa poziomy wyżej. Twierdził, że prowadzi ją jego kuzyn wynajmujący pokoje najemnikom, którzy strzegą karawan - a przynajmniej strzegli, kiedy karawany wciąż jeszcze podróżowały. Valas był ciekawy, z której strony rodziny pochodzi ów krewniak. Musieli się trochę naszukać, zanim wreszcie znaleźli Płomień i Żmiję, rozbudowany ul składający się ze sklejonych kokonów, który przylgnał do samotnego pasma zwapniałej nici umocowanego do ściany jaskini. Zajazd prezentował się obiecująco, nawet jeśli tylko dlatego, że był położony na uboczu.

Quenthel miała początkowo opory, ale Pharaun nalegał, żeby chociaż weszli do środka, zanim odrzucą jakąkolwiek możliwość, a wysoka kapłanka po raz kolejny pozwoliła mu się przekonać.

Musi być naprawdę znużona, pomyślał Valas. Pozwala mu dzisiaj rządzić. Cóż, jedna noc porządnej Zadumy i wszystko się zmieni.

Dla miłej odmiany od środka Płomień i Żmija wyglądał znacznie bardziej zachęcająco niż z zewnątrz. Kiedy Pharaun podszedł do właściciela, grubego orka ze srebrnymi okuciami na końcach kłów, którego ochraniały dwa ogry, Valas rozejrzał się po zajeździe. W głównej sali siedziało wielu gości, a choć kilka osób zawiesiło na dłużej wzrok na Jegfredzie, który musiał się schylać, bo sufit był dla niego za niski, większość bywalców go zignorowała. Valas rozumiał dlaczego. Byli najemnikami, ludźmi niezależnymi, których interesowało złoto i niewiele więcej. Jak długo nikt nie wtrącał się w ich sprawy czy sposób zarabiania na życie, nie wtykali nosa w sprawy cudze. Byli ludźmi pokroju Valasa.

Quenthel miała zniesmaczony wyraz twarzy, ale Pharaun powrócił z błyskiem w oku i wiadomością, że właśnie udało się im wynająć dwa ostatnie pokoje w Płomieniu i Żmii. Kiedy czarodziej wymienił cenę, Quenthel przewróciła oczyma, ale Valas zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie i tak udało mu się ubić dobry interes.

- Tylko dwa? - zapytała z powątpiewaniem Quenthel. - Więc mężczyźni będą musieli dzielić jeden, a ja i Faeryl weźmiemy drugi. Jegfred, ty, rzecz jasna, zostajesz ze mną.

Faeryl zrobiła zboląłą minę na wieść o perspektywie dzielenia pokoju z draeglothem, ale nic nie powiedziała.

Pokoje mieściły się w dwóch różnych częściach zajazdu. Większy, który zajęła Quenthel, był okrągłą komnatą z osobnym pokojem kąpielowym. Znajdował się z przodu budynku i miał kilka niewielkich okien wychodzących na miasto. Elfki miały z niego wspaniały widok na żarzące się pajęczce ulice biegnące w dal zarówno nad, jak i pod nimi. Mniejszy pokój, podłużne pomieszczenie wyposażone w dwa łóżka i sofę dla trzeciej osoby, znajdował się na tyłach Płomienia i Żmii. Jedyne okno wychodziło na ścianę jaskini, po której ściekały strumyczki wody spływającej ze Świata Ponad na samo dno miasta w kształcie litery V, gdzie nawadniały grządki grzybów.

Niezbyt zachwycający widok, zdecydował Valas, ale okno może się okazać użyteczne, jeśli zajdzie potrzeba opuszczenia zajazdu po kryjomu.

- Chcę trochę odpocząć, więc wy trzej - powiedziała Quenthel, spoglądając na mężczyzn - nie

wpakujcie się w jakieś kłopoty. Spotkamy się wieczorem i przy posiłku zastanowimy się, co robić dalej. Do tego czasu zostawcie mnie w spokoju!

To powiedziawszy, odeszła do swojej kwatery, ciągnąc za sobą Faeryl i Jeggeda.

Valas zgodził się spać na sofie, a kiedy wszyscy trzej trochę się już rozpakowali, Pharaun wstał i przeciągnął się, aż mu strzeliło w krzyżu.

- Nie wiem jak wy - powiedział po chwili - ale ja jestem zbyt podekscytowany, żeby się tu kręcić. Mam ochotę napić się czegoś, a może i posłuchać, o czym się rozmawia w mieście. Chcecie mi towarzyszyć?

Valas spojrział na Rylda, a ten kiwnął głową.

- Jasne - powiedzieli i wszyscy trzej ruszyli do miasta.

* * *

Trzech elfów na ulicach Ched Nasad budziło o wiele mniejsze zainteresowanie niż piątka drowów i draegloth, choć Pharaun przypuszczał, że wynikało to raczej z faktu, że on, Ryld i Valas przechadzali się bocznymi ulicami w wyżej położonej części miasta. Kiedy tak szli, wsłuchując się w otaczający ich ze wszystkich stron gwar, mag nie był w stanie zapanować nad podnieceniem. W odróżnieniu od Menzoberranzan Ched Nasad stanowiło kosmopolityczną mieszankę widoków, dźwięków i zapachów, które przenikały całe miasto. Czarodziej był w stanie dostrzec subtelne różnice pomiędzy dzielnicami miasta, ale bez względu na to, gdzie się znaleźli, chłonał wszystko, zauważając, że powietrze wibruje swego rodzaju zgiełkiem, prymitywną żywotnością, atmosferą obecną wyłącznie w gorszych dzielnicach Menzoberranzan.

Miejsce to miało w sobie zdecydowanie więcej życia niż Tier Breche, gdzie Pharaun spędził zbyt wiele czasu odizolowany od świata w wieżach Akademii. W Menzoberranzan czarodziej nabrał nawyku wychodzenia do miasta tylko wtedy, kiedy potrzebował komponentów albo napić się i zabawić. Wyglądało to tak już od wielu lat, przynajmniej dopóty, dopóki jego siostra Greyanna nie spróbowała go zabić. Kiedy przestała stanowić dla niego zagrożenie, postanowił odwiedzać bardziej barwne dzielnice swojego rodzinnego miasta.

Valas i Ryld wydawali się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, ale Pharaun wiedział, że przysłuchują się tak uważnie otaczającej ich kakofonii z innych powodów niż on. Oczywiście Pharaun również uważał na kieszonkowców i rabusiów, ale fehmistrz i zwiadowca ćwiczyli się w tej sztuce od wielu lat. Doskonalili umiejętność obserwacji, doprowadzając ją do perfekcji, i teraz tętniły nią całe ich jestestwa. Pharaun szczerze wątpił, by ktokolwiek w mieście zdołał go oskubać, dopóki towarzyszyli mu ci dwaj. Była to pokrzepiająca myśl, choćby tylko dlatego, że pozwalała mu się rozluźnić i cieszyć wspaniałością Miasta Połyskliwych Pajęczyn.

Mag oczywiście rozumiał, dlaczego nazywano tak Ched Nasad. Płatanina krzyżujących się ulic, fioletowych, bursztynowych, zielonych i żółtych, ciągnęła się we wszystkich kierunkach i był to cudowny widok. Wszędzie, gdzie szli, kramarze sprzedawali grzyby, biżuterię lub eliksiry. Pharaun zauważył jednak, że towary te wydają się być pośledniejszej jakości, zaś kupujących było niewiele - wszystkim dziwnie patrzyło z oczu. To strach, zdecydował. Wszyscy wyglądają na przestraszonych.

Jeden z przekupniów, odrażający drow, miał małe klatki, a w każdej z nich trzymał małe humanoidy o czterech ramionach i wielofasetowych oczach, szczękoczułkach i pająkowatym tułowiu. Mierzyły one nie więcej niż stopę. Przyjrawszy się im bliżej, Pharaun odkrył, że potrafiły też prząść sieci. Odsunęły się do tyłu, gdy je oglądał.

- Chcesz kupić jednego, panie? - zapytał drow z nadzieją w głosie, zrywając się z ziemi, na której siedział po turecku.

- Młode chitynowce - objaśnił Valas. - Na dorosłe osobniki poluje się dla rozrywki, a kiedy znajdowane jest gniazdo, młode przywozi się tutaj i sprzedaje jako zwierzątko domowe.

- Interesujące - odparł Pharaun i przez chwilę zastanawiał się, czy nie kupić jednego, choć wyglądało na to, że towar kramarza nie cieszy się zbyt dużym powodzeniem. - Rozważałem zakup jednego z nich - jako prezent dla Quenthel - ale cena wydaje mi się zbyt wygórowana.

Nadzieja malująca się na twarzy drowa ustąpiła miejsca rozczarowaniu, elf usiadł z powrotem na krawężniku.

Ryld prychnął, a Valas potrząsnął głową.

- Nie były wcale za drogie - stwierdził zwiadowca, gdy ruszyli dalej. - Rynek został nimi prawdopodobnie zalany.

- A to dlaczego? - chciał wiedzieć Pharaun.

- Ponieważ chitynowce i choldricze również czczą boginię - odpowiedział półgłosem Valas.

- Choldricze?

- Kapłanki chitynowców. To samo tałatajstwo, ale większe i ciemnoskóre. Bezwłose, o ludzkich oczach. Podejrzewam, że mogła dotknąć je ta sama katastrofa, która spadła na nasze kleryczki.

Słowa te rozbudziły ciekawość Pharauna.

- Doprawdy? - zadumał się. - Może przydałoby się wytropić kilka tych choldriczy i dowiedzieć się, czy spotkał je ten sam los. To oczywiste, że Ched Nasad również musi znosić milczenie bogini, a kiedy zdobędziemy na to dowody, Quenthel może nie wiedzieć, co dalej robić. A tak moglibyśmy szukać dalej, dowiedzieć się, czy powściągliwość Lolth dotyczy wszystkich, czy też ogranicza się tylko do naszej rasy.

- To dobry pomysł, magu, ale tylko w teorii - odezwał się Ryld, odganiając od siebie goblina usiłującego przekonać go do kupienia miski ślimaków. - Miałbyś spore trudności z ich wytropieniem, nie mówiąc już o wydobyciu z nich jakichś informacji. Drowy polują na nie dla rozrywki, więc chitynowce i choldricze nauczyły się uciekać lub walczyć do śmierci.

- Hmm - odparł Pharaun, zauważając sklep, w którym sprzedawano coś, czego szukał. - Być może, ale moje szczególne talenty mogłyby się na coś przydać.

Towarzysze maga ruszyli za nim w stronę straganu z alkoholem, który wisiał na rogu dwóch dość dużych ulic. Aby się do niego dostać, klienci musieli się zsunąć po stromej rampie w dół, przed kram, po czym wdrapać się po drabinie z pajęczej nici z powrotem na ulicę. Pharaun przyglądał się badawczo grupce ludzi zebranych wokół straganu, którzy zjeżdżali pojedynczo na dół, aby kupić butelkę lub kapelusz grzybny trunku.

- Pomyśleć, że mogli umieścić schodki po obu stronach - prychnął z pogardą mistrz Sorcere.

- Na Mroczną Matkę - powiedział Ryld, kręcąc głową - skoczę po coś.

Z tymi słowy wojownik przepchnął się przez grupkę, która tylko w niewielkiej części składała się z kupujących - większość zebrała lub sączyła to, czym podzielili się z nimi klienci. Ryld zignorował ich i zjechał w dół, a Pharaun i Valas stanęli na uboczu, korzystając z okazji, by podziwiać widoki.

Kiedy Ryld wrócił, miał dość dziwny wyraz twarzy.

- Co się stało? - zapytał Valas.

- Ten szary krasnolud policzył sobie dziesięć razy więcej, niż są warte te pomyje, i jeszcze wydawał się czerpać z tego pewną przyjemność.

- Cóż, można się było tego spodziewać, skoro do miasta przestały przybywać karawany.

- Tak, ale kiedy zaraz po mnie o to samo poprosił goblin, właściciel sprzedał mu butelkę za pół ceny, którą zażądał ode mnie.

- Może niewolnik był stałym klientem - podsunął Valas.

- Możliwe - powiedział Pharaun, otwierając flaszkę zakupioną przez Rylda i wdychając zapach. Gwałtownie podniósł głowę i skrzywił się lekko. - Podejrzewam, że ma to raczej związek z delektowaniem się możliwością odegrania się na drowach. - Pociągnął łyka brandy i podał butelkę Valasowi. - Koniec końców, kto zarządza handlem w mieście? Komu dostają się najlepiej usytuowane kramy? Kto zarządza systemem karawan? Kto zdobywa najlepsze towary?

- Innymi słowy, kto regularnie roluje inne rasy? - zakończył Ryld.

- Właśnie. Szare krasnoludy, trogowie, kuo-tanowie i wszyscy inni mieszkańcy wiedzą, że klasa rządząca przechodzi trudne chwile, i chociaż pozwolono im handlować w mieście mrocznych elfów, nie przepuszczą żadnej okazji, żeby się odkuć. Ryld - dodał Pharaun, wskazując butelkę, którą Valas podawał wojownikowi - zapłaciłeś dziesięć razy za dużo.

Ryld wzruszył ramionami, pociągnął łyka i powiedział:

- Przecież pijesz, prawda?

Trzej towarzysze szli dalej, wymieniając się butelką i dyskutując o perspektywach uzyskania jakiegoś namacalnego potwierdzenia, że Lolth zniknęła z Ched Nasad. Pharauna nadal bardzo intrygował pomysł przesłuchania innych ras czczących boginię, a choć uczestniczył w rozmowie, nie mógł przestać o tym myśleć. Konieczne były pewne badania. Gdyby miał dość czasu, a Quenthel wykazała się dobrą wolą, miał pomysł, gdzie je przeprowadzić.

Rozmyślenia maga zostały przerwane, gdy wspięli się po pajęczynowych schodach, minęli róg i

znaleźli się w kolumnadzie z widokiem na otwarty plac. Z panującego na nim ścisłu Pharaun wynioskował, że uchodźcy zaczęli traktować miejsce jak swoje obozowisko. W przejściu wciąż jednak było dość miejsca, żeby uniknąć ocierania się o hołotę. Trzy elfy ruszyły przed siebie, ignorując błagania o wsparcie otaczającej ich tłuszczy.

Uwagę drowów przykuł dobiegający z dołu krzyk, a kiedy Pharaun spojrział na środek placu, dostrzegł źródło zamieszania. Tam, na skrawku otwartej przestrzeni, stała kapłanka, którą otaczało trzech czy czterech hobgoblinów. Kobieta wydawała się mamrotać coś pod nosem, ale z tej odległości Pharaun nie był w stanie jej zrozumieć. Drowka zamachnęła się i spróbowała smagnąć jednego z hobgoblinów batem, ale stwór z łatwością uskoczył w bok, zaś kapłanka z wysiłku zatoczyła się do przodu. Jest nieźle wstawiona, uświadomił sobie Pharaun.

- Plugawe bydłeta! - warknęła kapłanka, prostując się z trudem. - Nie zbliżajcie się do mnie!

Pharaun zauważył, że bardzo się zapaściła. Piwafwi miała poplamione i ściągnięte do połowy ramion, pozbawione połysku białe włosy zwisały w nieładzie, a w ręce trzymała butelkę czegoś, co czarodziej uznał za alkohol.

Hobgobliny tylko się roześmiały, okrążając ją niedbale, tak że musiała się obracać, żeby mieć ich wszystkich na oku. Potknęła się przez to po raz kolejny i prawie rymnęła na ziemię jak długa.

- Nie sędzę, żebym kiedykolwiek widział coś podobnego - szepnęła Valas. - Tupet tych podistot jest oszalamiający.

- Zakończmy to - powiedział Ryld, robiąc krok do przodu.

Nagle Pharaun poczuł, że otacza go magia, zakłęcie, które wydawało się skoncentrowane na nim i jego dwóch towarzyszach. Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu wojownika.

- Zaczekaj - powiedział. - Zobaczymy, co się stanie.

Kiedy Ryld spojrział na niego pytająco, wyjaśnił:

- Zwracanie na siebie uwagi nie jest najlepszym sposobem na prowadzenie śledztwa. Poza tym - dodał mag - przekonamy się raz na zawsze, czy nasza teoria jest słuszna. To może być dowód, którego potrzebujemy.

- *Myszę, że ktoś przypatruje się nam, obserwuje nas za pomocą magii*, - pokazał w języku migowym.

Ryld i Valas unieśli brwi z niepokojem, ale zanim zdążyli się odwrócić i rozejrzeć, Pharaun ostrzegł:

- *Nie dajcie po sobie poznać, że wiecie. Udawajcie, że oglądamy przedstawienie.*

Pharaun przez chwilę brał pod uwagę rozproszenie magii, ale odrzucił ten pomysł, ponieważ wiedział, że w ten sposób tylko powiadomi szpiega, że są świadomi jego obecności. Zamiast tego udał, że jego uwagę znów zaprzęta walka, na którą zanosilo się w dole, podczas gdy w rzeczywistości lustrował plac w poszukiwaniu kogoś, kto patrzy na niego zamiast na hobgobliny. Wiele różnych osób otaczała magiczna aura, ale czarodziej nie zauważył żadnej, która patrzyłaby w jego stronę.

Hobgobliny wydawały się zadowolone z faktu, że na razie mogą trzymać się na dystans, choć gęstniejący tłum coraz bardziej na nie napierał. Jeśli chodzi o kapłankę, to wyglądała ona tak, jak gdyby straciła zainteresowanie swoimi prześladowcami - stała stosunkowo nieruchomo, z zamkniętymi oczami, lekko się kolebiąc. Mamrotała coś, ale Pharaun znów nic nie słyszał.

Szpieg szpiegiem, pomyślał, ale ja chcę wiedzieć, co ona mówi.

Sięgnął do jednej ze swoich licznych kieszeni, wyjął z niej mosiężny rożek i rzucił za jego pomocą zakłęcie. Kiedy skończył, słyszał mamrotanie kapłanki tak, jak gdyby stał tuż przed nią.

- ... zaklinam cię, nasza pani Lolth, wróć do mnie. Obdarz mnie swoim błogosławieństwem. Nie opuszczaj swojej wiernej s... aaaaa!

Jeden z hobgoblinów wybrał właśnie ten moment, żeby dźgnąć kapłankę zaostrozonym patykiem. Elfka podskoczyła z wrzaskiem, wypuszczając z dłoni butelkę alkoholu, a ta upadła na zwapniały bruk i roztrzaskała się. Po ziemi pociekła cienka strużka trunku, którego nie zdążyła dopić.

- Bądź przeklęty, niewolniku! - wrzasnęła drowka na hobgoblina, który ją ukłuł, usiłując podejść do niego z wyciągniętą ręką, jak gdyby chciała go udusić.

Drugi hobgoblin wyciągnął niedbale krótką włócznię i podciął kapłance nogi, obalając ją tym samym na ziemię.

Kapłanka Lolth podniosła się na kolana i zaczęła krzyczeć:

- Moja bogini, przyjdź do mnie, pomóż mi! Nie opuszczaj mnie, swojej wiernej sługi, która spełni...

- Twoja bogini nie żyje - warknął jeden z hobgoblinów, kopiąc drowkę.
Elfka stęknęła z bólu i przewróciła się na bok, szukając swojego bicia.

- Nie! - wrzasnęła. - Lolth nie opuściłaby nas! Jest potężna i jej wierni są potężni!
Cztery hobgobliny równocześnie ruszyły w jej stronę. Kapłanka próbowała je kopać, ale stwór na czele z łatwością uchylił się przed kopniakiem i dziabnął ją włócznią. Pharaun zobaczył, że ostrze utoczyło krew z uda elfiej kapłanki.

Ryld warknął i przekazał:

- To się nie godzi. Powinniśmy coś zrobić.

Valas kiwnął głową na znak, że się z nim zgadza i dobył kukrisów, tak że trzymał po jednym zakrzywionym sztylecie w każdej ręce.

Mag położył dłonie na ramionach obu drowów, żeby ich powstrzymać.

- *Narażacie tylko naszą misję*, - przekazał. - *Jak widzicie, żadne inne drowy nie kwapią się jej pomóc.*

Wskazał gestem tłum, w którym było kilku innych drowów, które obserwowały beznamiętnie całe zajście.

- *Utraciła wiarę i zasłużyła sobie na to*, - skarcił towarzyszy Pharaun.

- *To nie o kapłankę się martwię*, - odparł Ryld z ponurym wyrazem twarzy. - *Jeśli pozwolimy temu robactwu uwierzyć, że może tak otwarcie wystąpić przeciwko wyższej istocie, wszyscy będziemy mieli kłopoty. Powinno się im pokazać, gdzie jest ich miejsce.*

- *Może*, - odparł Pharaun, - *ale musimy pozostać anonimowi, jeśli mamy wykonać nasze zadanie. Walka z tymi bydlakami w żaden sposób nie pomoże nam w osiągnięciu naszych celów.*

- *Czarodziej ma rację*, stwierdził Valas, odsuwając się od krawędzi kolumnady. *Jeśli matki opiekunki usłyszą, że trzech przybyszów wdało się w awanturę, za którą być może same stoją, nie będziemy już mogli bez przeszkód wędrować po mieście.*

- *O ile już nam się nie przyglądają*, zamigał Ryld. *Czy wciąż jesteśmy obserwowani?* Kiedy Pharaun potwierdził skinieniem głowy, wojownik podjął: *I tak mamy już nasze dowody. Wracajmy do zajazdu. Odechciało mi się spacerów po tym mieście.*

Pharaun kiwnął głową, choć nie podzielał uczuć przyjaciela. Odwrócili się i spacerem wrócili tą samą drogą, którą przyszli, ignorując krzyki kapłanki, którą hobgobliny otwały ze sto razy szybkimi, opanowanymi pchnięciami krótkich włóczni. Po kilku krokach magiczna aura znikła. Pharaun rozejrzał się raz jeszcze, mając nadzieję, że dostrzeże jej źródło. Nie udało mu się to, więc wszyscy trzej opuścili plac.

Za ich plecami tłum, który zgromadził się wokół zajścia, zafalował niespokojnie, wpadając w zaczepny nastrój. Kilku drowów, którzy próbowali wydostać się z kłębiącej się ciżby, popychano i kłuto. Inne rasy, ośmielone zabójstwem mrocznej elfki, zaczęły wznosić okrzyki, przeklinać drowy i zlorzeczyć ich nieobecnej bogini. W końcu garstce drowów udało się wydostać z ciżby, albo unosząc się ponad otaczających ich agresorów, albo przepychając ku mniej tłoczonym ulicom. Atmosfera panująca w Ched Nasad robiła się coraz bardziej nieprzyjemna.

ROZDZIAŁ 6

Aliisza, przybrawszy postać pięknej drowki, usadowiła się na dachu sklepu usytuowanego w bocznej uliczce prowadzącej na plac, skąd obserwowała przechodzących dołem mieszkańców Ched Nasad, niewolników i przyjezdnych. W sklepie sprzedawano modne, dekoracyjne jedwabne zawoje i inne ubrania, ale alu, skulona na zaokrąglonym, przypominającym kształtem kokon dachu, nie była zainteresowana kupnem. Przyglądała się uważnie, jak Pharaun i jego dwaj towarzysze odwracają się od mordowanej elfki i ruszają wolnym krokiem w przeciwnym kierunku. Patrzyła, jak oddalają się jedną ze zwapniałych pajęczych nici, które służyły w tym mieście jako ulice. Kiedy prawie zniknęli jej z oczu, zeskoczyła na dół i ruszyła za nimi.

Aliisza nie była specjalnie zaskoczona faktem, że trójka drowów, którą śledziła, nie pomogła pijanej kapłance. Od przybycia do miasta widziała zbyt wiele nonszalancji, żeby mogło się jej to wydać dziwne. Odniosła jednak wrażenie, że cała grupka z Menzoberranzan dokładała wszelkich starań, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zamierzała dowiedzieć się dlaczego, ale wszystko w swoim czasie.

Idąc za czarodziejem oraz jego towarzyszami i udając, że kupuje drobiazgi na bazarach i targach, alu nie mogła powstrzymać uśmiechu. Przyglądała się miriadowi zwapniałych nici, ciągnących się z jednej strony wielkiej jaskini na drugą, które jak okiem sięgnąć żarzyły się blado magicznym, migotliwym światłem. Prawie spodziewała się zobaczyć wielkiego, ociężałego pająka, sunącego po tej ogromnej pajęczynie.

Lubią te swoje pajęczne motywy, nie ma co, pomyślała kwaśno. Wszystko, co robią, kręci się wokół wielkiej Lolth, Królowej Pająków. Można by się spodziewać, że nauczą się patrzeć na świat z nieco szerszej perspektywy, próbują zdobyć bardziej gruntowne wykształcenie.

Uśmiechnęła się, rozbawiona własnym żartem. Drowy są takimi dziwacznymi istotami, uznała. Z jednej strony zdradzieckie i nieprzewidywalne, wciąż zwracające się przeciwko sobie, z drugiej usiłujące żyć według jakiegoś kodeksu czy systemu opartego na dogmatach ustalonych przez demona, który był tak nieprzewidywalny, jak to tylko możliwe.

Przynajmniej wszystkie zgadzają się co do jednego, stwierdziła alu - wszystkie uważają, że są lepsze od wszystkich innych ras Podmroku i Świata Ponad.

Aliisza obserwowała, jak grupa niewolnych koboldów, poszturchiwanych przez nadzorców hobgoblinów, śpiesznie zbiega po pochyłej rampie z jednej pajęczej ulicy na drugą. Koniec końców, w Ched Nasad widziała więcej gatunków istot, niż potrafiła sobie wyobrazić w jakimkolwiek innym miejscu. Z jej szacunków wynikało, że przedstawiciele „niższych ras” - krasnoludów powierzchniowych, orków, quaggotów, niedźwieżuków i innych - jest dwa razy więcej niż drowów i niemal wszyscy są niewolnikami. Jedynym wyjątkiem były szare krasnoludy, które handlowały z drowami na tyle uczciwie, że tolerowano je w mieście w charakterze kupców. Oprócz tego Aliisza widziała aboletha wraz z gromadką nadzorców, illithidów, grella i stwora, który musiał być podziemnym smokiem, bo choć podobnie jak ona przybrał postać mrocznego elfa, gdy mijał ją, wyczuła jego zapach, którego nie sposób było pomylić z niczym innym.

W tej eklektycznej zbieraninie przyjezdnych brakowało tylko beholderów, ale Aliiszy wcale nie było przykro z tego powodu.

Istnieje rasa, która uwielbia samą siebie jeszcze bardziej niż mroczne elfy, o ile to w ogóle możliwe, pomyślała alu.

Zdaniem Aliiszy tyrani licznych oczu oznaczali wyłącznie kłopoty, ale na szczęście wiecznie byli z drowami w stanie wojny, więc żadnych w pobliżu nie widywano. Gdyby dostrzegła jednego z nich w jaskini, odwróciłaby się i ruszyła w przeciwnym kierunku tak szybko, jak tylko demon potrafi.

Alu zamrugnęła, uświadamiając sobie, że przez bujanie w obłokach prawie pozwoliła się wymknąć śledzonej zwierzynie. Rozglądając się wokół siebie, dostrzegła trzech drowów kierujących się pajęczą ulicą ku ścianie pieczary, w stronę leżącej na uboczu części miasta. Uświadomiła sobie, że znajdują się w dzielnicy kupieckiej i dość szybko pojęła, że Pharaun i pozostali idą do zajazdu mieszczącego się na końcu ślepej uliczki.

Świetnie, pomyślała. Teraz będę mogła ich mieć na oku, jednocześnie korzystając przez kilka dni z uroków miasta. Może nawet uda mi się zostać na jakiś czas sam na sam z czarodziejem...

* * *

Faeryl Zuavirr leżała pogrążona w zadumie na pluszowym łożu, zaś Quenthel chodziła tam i z powrotem po pokoju, który dzieliły w Płomieniu i Żmii. Wysoka kapłanka w najlepszym wypadku nie lubiła na nikogo czekać, a już z pewnością nie w środku obcego miasta, dziesiątki dni drogi od domu, i to na trzech mężczyzn.

Ten przeklęty Mizzrym i jego irytujący uśmiezek, pomyślała Quenthel. Powinnam kazać Jeggredowi rozszarpać go na sztuki, kiedy wróci.

Wiedziała jednak, że nie może się pozbyć czarodzieja ani nawet pozwolić, żeby został ranny. Choć sytuacja ta była dla niej trudna do zniesienia, zdawała sobie sprawę, że jest zależna od Pharauna. Ale kiedy wrócimy do Menzoberranzan...

Nie dokończyła myśli nie tyle dlatego, że nie wiedziała, co zrobić z denerwującym ją magiem, co nie wiedziała kiedy, i czy w ogóle, zobaczy jeszcze swój dom.

Już od tak dawna nie czuła obecności Lolth, nie pławiła się w chwale i łasce bogini, że zastanawiała się, czy w ogóle pamięta, jakie to uczucie.

Czy kiedykolwiek powróci? Czy bogini odeszła?

Przezań! - zbeształa się w duchu. Jeśli to próba, idiotko, masz w tej chwili niskie notowania. Bardzo niskie. Nawet jeśli wysłała cię tu w jakimś celu.

Jeggred otworzył drzwi i wszedł do komnaty, pochylając się, żeby nie zawadzić o niską ościeżnicę.

- Wrócili! - warknął, zamykając za sobą drzwi.
- Gdzie, u licha, się podziewali? - zapytała Quenthel, wciąż chodząc po pokoju.
- Poszli się przejść - odparł draegloth, wzruszając ramionami.

Quenthel spojrzała na stwora, który przyglądał się pożądliwie Faeryl. Ambasador wyglądała na wyjątkowo nieszczęśliwą z tego powodu i Quenthel zachciało się śmiać, gdy przypomniała sobie, co Triel opowiadała jej o torturach, jakim Zuavirr została poddana przez Jeggreda. Teraz miała jednak co innego na głowie.

- Czy te darmozjady zamierzają tu przyjść, czy muszę cię po nich posłać? - odburknęła.
- Zaraz przyjdą - odparł Jeggred, odwracając się od Faeryl, żeby usiąść w kącie. - Mag powiedział mi, że musi coś przejrzeć, zanim do nas dołączą. - Nawet siedząc na tylnych łapach, draegloth dorównywał wzrostem wysokiej kapłance. Biała grzywa opadała demonowi kaskadą na plecy, gdy oglądał szpony jednej z łap, wydłubując z nich jakieś drobinki dłonią jednej z mniejszych kończyn. - Pili - dokończył, nie podnosząc wzroku.

Quenthel zakłęła, ściągając na siebie zdziwione spojrzenie Faeryl, ale wysokiej kapłance było wszystko jedno.

Poszli się zabawić, jak głupi smarkacze, piekliła się. Kiedy wrócimy, każę im pracować na pastwiskach rothe.

Rozległo się pukanie do drzwi. Quenthel wreszcie przestała chodzić po pokoju i oparła dłonie na biodrach, a Jeggred poszedł otworzyć. Do środka weszli Pharaun, Valas i Ryld. Quenthel była zaskoczona ponurymi minami trzech elfów.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Pharaun pokazał na migi:

- *Ktoś nas dzisiaj obserwował za pomocą magii. Niech nikt nic nie mówi, dopóki nie osłonię pokoju.*
Z tymi słowy wyjął małe lustro i mosiężny rożek, przy użyciu których rzucił jakieś zaklęcie, choć Quenthel nie była w stanie dostrzec żadnego widocznego efektu. Nie żeby tego oczekiwała, ale fakt, że czarodziej rzucał czary siłą woli, sprawiał, podobnie jak wszystko inne co robił, że czuła się nieswojo.
- W mieście dojdzie wkrótce do rozruchów - powiedział Pharaun, kiedy skończył czarować, po czym usiadł na sofie, starając się nie patrzeć na Quenthel.

Wie, że zaraz mu się dostanie, pomyślała wysoka kapłanka.

- Co masz na myśli? Kto was obserwował? I co w ogóle robiliście w mieście? Czy nie poleciłam wam odpocząć i spotkać się tu z nami przed wieczornym posiłkiem?
- Właściwie nie, mistrzyni - odpowiedział Pharaun, a dwaj pozostali mężczyźni usiedli pod przeciwległą ścianą. - Powiedziałaś, że ty masz zamiar odpocząć i dałaś nam wyraźnie do zrozumienia, żeby cię zostawić w spokoju. W tej sytuacji uznałem, że nie ma sensu zawracać ci głowy takimi błażostkami jak nasz orzeźwiający spacer.

Quenthel westchnęła. Po raz kolejny czarodziej przekręcał jej słowa tak, żeby świadczyły na jego korzyść.

- Nie potrafię powiedzieć, kto nas obserwował. Może to nic ważnego. Może jakiś ciekawski mag rutynowo sprawdzał niecodziennie wyglądających osobników, po czym ruszył swoją drogą. Ale z drugiej strony mógł to być ktoś, kto szukał właśnie nas. Nie widziałem, kto nas szpiegował. Kiedy wróciłem, wyciągnąłem moje grimuary i zapamiętałem czar, który wykryje wrożenie, choć nie będzie w stanie mu zapobiec. Kiedy dam znak, wszyscy muszą zamilknąć.

Quenthel kiwnęła krótko głową, wiedząc, że czarodziej przedsięwziął rozsądne środki ostrożności.

- Doskonale - powiedziała. - Co takiego odkryłeś podczas spaceru, że doszedłeś do wniosku, iż w mieście wkrótce wybuchną rozruchy?

- To prawda - odezwał się ze swojego kąta Valas. - Niższe rasy zaczynają się burzyć. Byliśmy dziś świadkami napaści.

- I co z tego? - odparła kapłanka. - W Menzoberranzan bez przerwy wszczynają jakieś burdy.

- Tak, ale tym razem cała ich banda napadła kapłankę - odparł Ryld, patrząc spode łba, choć Quenthel nie była pewna na kogo. - Byli na tyle bezczelni, że zabili ją na oczach wszystkich na środku miejskiego placu.

- Ośmielili się? - zapytała Faeryl siedząca na brzegu łóżka. Jej czerwone oczy ciskały błyskawice. - A wy nic nie zrobiliście?

- Prawdę mówiąc, była bardzo pijana - odparł Pharaun, odchylając się na oparcie sofy. - Mimo to dostarczyła nam dowodów, których potrzebowaliśmy. Kapłanki w Ched Nasad cierpią na tę samą... muszą sprostać tym samym wyzwaniom, co wy, mistrzyni.

Quenthel założyła ramiona na piersi i stanęła przed czarodziejem.

- Nie zrobiliście nic, żeby jej pomóc? - zapytała, spoglądając na dwóch pozostałych mężczyzn, którzy odwrócili wzrok z niejakim poczuciem winy na twarzach.

Pharaun wzruszył ramionami.

- Gdybyśmy się wtrącili, tylko zwrócilibyśmy na siebie uwagę, mistrzyni. Jeśli mamy kontynuować śledztwo, nie możemy rzucać się w oczy. Poza tym - dodał, pochylając się z powrotem do przodu - kapłanka błagała Lolth, żeby ta do niej wróciła, na samym środku miejskiego placu. Wyraźnie utraciła wiarę i moim skromnym zdaniem nie była godna służyć bogini.

- Twoim skromnym...! - wściekła się Faeryl. - W większości kwestii opinia mężczyzny ma niewielkie znaczenie. W kwestiach kapłaństwa w ogóle się nie liczy!

Wstała i postąpiła krok w stronę czarodzieja. Na znak dany przez Quenthel Jeggred natychmiast znalazł się pomiędzy nimi. Ambasador odsunęła się gwałtownie od swojego byłego oprawcy.

- Faeryl, moja droga, w tych sprawach masz zwykle rację - odezwała się Quenthel swoim najłagodniejszym tonem. Rzadko z niego korzystała, ale w tej sytuacji uznała jego użycie za uzasadnione. Uśmiechnęła się, ponieważ Pharaun gapił się na nią. - Ale zastanów się, moja droga - podjęła wysoka kapłanka. - Czarodziej ma słuszność, choć możliwe, że wpadł na to przez przypadek, jako że brandy przyćmiła mu umysł. Rozumiem twoje obawy, ale nie pozwól, żeby zakłóciły one twoją zdolność logicznego myślenia. Jeśli kapłanka traci wiarę w takim publicznym widowisku, czy oddaje jakąkolwiek przysługę swoim siostrze?

Faeryl potrząsnęła głową, odsuwając się do Jeggreda i wracając na swoje miejsce na łóżku.

- Nie, oczywiście, że nie - wymamrotała w końcu. - Swoim tchórzostwem przynosi wstyd nam wszystkim.

- Otóż to - potwierdziła Quenthel, kiwając mądrze głową - a choć wyjście do miasta było głupotą, narobiliby jeszcze więcej szkód, gdyby zrobili z siebie widowisko.

- Wybacz mi zuchwalstwo, mistrzyni Quenthel - powiedziała Faeryl posępnym tonem. - Wróciłam do swojego rodzinnego miasta, żeby zastać je na krawędzi wybuchu powstania. Niewolnicy ośmielają się napadać na kapłanki na publicznych placach. Tak jak ty kochasz Menzoberranzan, swoje miasto i ojczyznę, tak ja kocham Ched Nasad i nie chcę oglądać jego końca. Zapomniałam się w chwili wzburzenia.

Quenthel zbyła przeprosiny machnięciem ręki.

- To rozumiałe w tych trudnych chwilach - rzekła - ale musisz się nauczyć panować nad emocjami, jeśli chcemy do czegoś dojść.

- Czy mam przez to rozumieć, że twoim zdaniem powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej? - zapytał Pharaun.

- Może - odparła wysoka kapłanka, znów chodząc tam i z powrotem po pokoju. - Zanim podejmę

decyzję, chciałabym usłyszeć, co myślą na ten temat pozostali.

Pierwszy odezwał się Valas.

- Uważam, że dłuższy pobyt w mieście jest niebezpieczny, mistrzyni - stwierdził drobny zwiadowca. - Zdobyliśmy potrzebne nam informacje i uważam, że rozsądniej byłoby powrócić do Menzoberranzan, zanim na ulicach wybuchną zamieszki i utkniemy w kolejnej niewolniczej rewolcie, albo jeszcze gorzej.

- Zgadzam się z Valasem - dodał Ryld. - Jest dla mnie rzeczą jasną, że tutejsze kleryczki poradziły sobie ze zniknięciem Lolth gorzej niż wy. Niewiele mogą dla nas zrobić.

Quenthel spojrzała na Pharauna, wiedząc, że będzie miał na ten temat zupełnie inne zdanie.

Pharaun zmienił nieznacznie pozycję, przypatrując się dwóm elfom, po czym powiedział:

- Myślę, że lepiej będzie dowiedzieć się czegoś więcej. Valas otworzył mi oczy na nowy kierunek badań. Oprócz drowów istnieją inne rasy czczące Mroczną Matkę i wypadałoby dowiedzieć się, czy i one straciły z nią kontakt.

Quenthel skinęła głową.

- Interesujący pomysł, ale niezbyt praktyczny. Inne rasy nie przepadają za nami i wątpię, by te, które czczą Lolth, dobrowolnie wyjawily nam tak poufne informacje. Zauważ, że sami nie grzeszymy wylewnością, nawet w stosunku do mrocznych elfów z naszego siostrzanego miasta. Ale ponieważ nie załatwiliśmy tu jeszcze wszystkich spraw, jeszcze nie wyjeżdżamy.

- Właśnie - podchwycił Pharaun. - Kiedy wy będziecie jutro zajęci, zamierzam przyjrzeć się bliżej mojej teorii. Chyba mam pomysł, jak potwierdzić jej słuszność.

- Na jutro mam dla ciebie inne zadanie - powiedziała Quenthel, mierząc czarodzieja chłodnym spojrzeniem. - Faeryl, Jeggred i ja odwiedzimy magazyny towarzystwa kupieckiego Czarny Szpon i odbierzemy to, co zgodnie z prawem należy do domu Baenre, a tymczasem wy trzej znajdziecie sposób przetransportowania tych dóbr z powrotem. Zamierzam wydostać się z nimi z miasta tak szybko, jak to tylko możliwe. Do Menzoberranzan już od dawna nie przybywały żadne karawany i jesteśmy tu po to, żeby odplacić za to Ched Nasad.

Pharaun sposepniał na chwilę i Quenthel spodziewała się sprzeciwu, ale czarodziej kiwnął tylko głową.

* * *

Pharaun był zaskoczony, kiedy Quenthel po odprawieniu pozostałych członków drużyny, a także poinstruowaniu Jeggreda, żeby miał oko na Faeryl (czym przypawiła ambasador o dreszcze), poprosiła go, żeby został jeszcze chwilę. Czekał w milczeniu, aż Quenthel zamknie drzwi, po czym uniósł brew, gdy zapytała, czy jego zaklęcia wykrywające wciąż działają.

- Owszem, działają - zapewnił mag. - Powinny działać przez cały dzień.

- To dobrze - odparła wysoka kapłanka, kiwając głową z zadowoleniem. - Jesteś utalentowanym wieszczem, nieprawdaż?

Pharaun uśmiechnął się mimowolnie, usiadł jednak na sofie, rozkładając ręce i zastanawiając się, dlaczego akurat ona prawi mu komplementy.

- Nie narzekam - odpowiedział.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił - oznajmiła Quenthel, zagryzając wargę.

Przekrzywił głowę na bok, zaskoczony, gdyż prawienie mu komplementów, nie mówiąc już o proszeniu go o przysługę, zupełnie do niej nie pasowało, zwłaszcza ostatnio.

Jesteśmy naprawdę daleko od Menzoberranzan, pomyślał kwaśno.

Gdyby wyświadczył jej większą przysługę, zyskałby możliwość wywierania na nią nacisku, ale oczywiście pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, była perspektywa zostania wykorzystanym.

Wzruszył ramionami i gestem zachęcił ją, żeby mówiła dalej.

Po dłuższej przerwie wysoka kapłanka oświadczyła:

- Chcę, żebyś ustalił dla mnie czyjaś tożsamość.

- Czyjaś? - zapytał Pharaun. - Potrafisz chyba powiedzieć coś więcej?

- Tak... - odparła Quenthel, znów zagryzając wargę - ... tożsamość osoby, która próbowała mnie zabić.

Pharaun wyprostował się na sofie, patrząc prosto w oczy stojącej przed nim elfce.

- Zabić cię?

Był zaskoczony, nie dlatego jednak, że nie był w stanie wyobrazić sobie, iż Quenthel stała się celem ataków - mistrzyni Arach-Tinilith z racji swego stanowiska miała wielu wrogów - lecz ponieważ postanowiła mu zaufać i powierzyć to zadanie. O ile rzeczywiście tego chciała. Może tylko próbowała go czymś zająć. Przez głowę przemknęło mu z tysiąc możliwości.

- Ktoś w Menzoberranzan nasłał na mnie kilka demonów - wyjaśniła Quenthel. - Wysłał je prosto do Akademii. Na szczęście udało mi się odeprzeć te ataki, ale chciałabym skończyć z nimi, zanim wrócimy. Szkoda życia moich podwładnych i magii, którą musiałam zużyć.

Pharaun kiwnął głową, zastanawiając się. Doszedł do wniosku, że ktoś na tyle potężny, żeby nagiąć demony do swej woli, musiał pochodzić z Sorcere. Z pewnością wielu magów ze szkoły rozporządzało odpowiednimi środkami, ale ilu z nich było zainteresowanych zlikwidowaniem Quenthel Baenre?

- Zajmę się tym - oznajmił mistrz Sorcere. - Jeśli uda mi się ustalić, kto nasłał na ciebie demony, dowiesz się o tym jako pierwsza.

- Świetnie - powiedziała Quenthel. - Nie wolno ci nikomu o tym mówić, nawet pozostałym członkom wyprawy.

- Oczywiście, mistrzyni - zapewnił Pharaun. - To sprawa między nami dwojgiem, wyłącznie między nami dwojgiem.

- Doskonale - powiedziała wysoka kapłanka, dając mu do zrozumienia, że uważa spotkanie za zakończone. - Wyśledź mojego wroga, a kiedy wrócimy do Menzoberranzan okryci chwałą, dopilnuję, żebyś został odpowiednio uhonorowany. Twoja przyszłość w Tier Breche będzie równie świetlana jak Narbondel.

Pharaun skłonił się nisko, dziękując.

Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że będę płonął płomieniem tysiąca twoich zabójczych zaklęć, pomyślał, to się dopiero okaże.

- Nie mogę się już doczekać tych zaszczytów, mistrzyni Quenthel - powiedział na głos, po czym otworzył jej drzwi i ruszył za nią, aby spożyć wraz z pozostałymi wieczorny posiłek.

* * *

Gromph siedział za swoim kościanym biurkiem, rozmyślając nad niemożnością spojrzenia w tę część Pajęczyny Demonów, którą zamieszkiwała Lolth. Żadne z używanych przez niego zaklęć jasnowidzących nie działało i zaczynało go to już drażnić. Rozważał właśnie sposoby wybrnięcia z tej sytuacji, kiedy otrzymał wiadomość. Był to tylko szept, niemniej Gromph rozpoznał w nim przekazywany w magiczny sposób głos Pharauna Mizzryma.

- Dotarłem do Ched Nasad. W mieście chaos; matki opiekunki rządzą tylko nominalnie. Badam nową ewentualność, więcej informacji następnym razem. Quenthel idzie jutro do Czarnego Szpona.

Gromph zacisnął usta na wzmiankę o siostrze.

Mam nadzieję, że nie wróci, pomyślał.

Arcymag znał czar, którego używał do komunikacji drugi czarodziej i wiedział, że może po prostu wyszeptać odpowiedź. Niestety, nie był na to przygotowany. Zebrawszy myśli, wyszeptał kilka poleceń.

- Skup się na zbieraniu informacji, które mogą nam być przydatne. Informuj mnie na bieżąco o wszystkich nowych możliwościach. Przekaż, jak poszło z Czarnym Szponem, w następnym...

- ... sprawozdaniu - zakończył Gromph, ale wiedział, że zaklęcie przestało działać, zanim zdążył wypowiedzieć ostatnie słowo. Potrząsnął głową, poirytowany, wiedział jednak, że Mizzrym był na tyle sprytny, żeby domyślić się, co miał na myśli. To, czy zastosuje się do jego poleceń, było zupełnie inną sprawą.

Czarodziej Baenre odchylił się na oparcie krzesła, zastanawiając się, w jakim stanie znajdują się członkowie wyprawy. Był zwłaszcza ciekawy, jak wiedzie się jego siostrze i czy jego ataki, w połączeniu z podróżą, zebrały swoje żniwo. Miał taką szczerą nadzieję.

Podejrzewał, że między nią a Pharaunem regularnie dochodzi do starć. Czarodziej był zbyt niezależny, zbyt zarozumiały, żeby wiedzieć, kiedy należy ustąpić wysokiej kapłance, ona zaś zbyt długo przebywała w Akademii, za bardzo przyzwyczała się do stawiania na swoim, żeby słuchać cudzych rad, bez względu na to, jak rozsądnych.

Taka jest moja siostra, myślał mag, marszcząc brwi.

Gromph często odnosił wrażenie, że obie jego siostry podejmują błędne decyzje tylko i wyłącznie po to, żeby zrobić na złość innym. Nawet gdyby Quenthel przeżyła podróż, zawsze można ją zamordować po powrocie. O ile w ogóle powróci. Gdyby wyprawa do Ched Nasad zakończyła się fiaskiem, z pewnością byłoby mu to na rękę. Jednym zgrabnym posunięciem pozbyłby się zarówno jej, jak i tego fircyka Mizzryma. Jednak los Menzoberranzan może spoczywać na ich barkach. Czy wysyłanie ich razem było najtrafniejszym wyborem?

Wciąż niepewny, jaki będzie jego następny krok mający na celu zbadanie królestwa Lolth, ale z całą masą innych spraw do załatwienia, Gromph wstał zza kościanego biurka i pospieszył szukać siostry.

* * *

Na widok wchodzącego do sali audiencyjnej Grompha Triel zmarszczyła lekko brwi. Nie była to pora publicznych posłuchań, a choć jej brat nie był jakimś petentem z gminu, miała nadzieję, że przez jakiś czas będzie miała spokój. Matka opiekunka wyprostowała się na zbyt wielkim tronie. Arcymag skłonił się nisko i podszedł bliżej, co jeszcze bardziej ją rozdrażniło. Lubiła, gdy wszyscy trzymali się od niej na dystans.

Gromph zniżył głos niemal do szeptu:

- Triel, mam wiadomości.

Triel wątpiła, by stojący przy drzwiach strażnicy byli w stanie usłyszeć rozmowę prowadzoną normalnym tonem, ale jej brat nie został arcymagiem Menzoberranzan przez brak ostrożności. Nachyliła ku niemu głowę.

- Mów - poleciła.

- Quenthel i pozostali dotarli do Ched Nasad - rzekł arcymag. - Pharaun Mizzrym donosi, że w mieście panuje chaos. Najwyraźniej Menzoberranzan nie jest jedynym miastem, które popadło w niełaskę Lolth.

- Nie wiemy, czy to niełaska! - warknęła Triel. - Może istnieje inne wytłumaczenie.

Gromph pochylił lekko głowę, przepaszając.

- Które jest dotknięte jej nieobecnością - poprawił się. - Ale matkom opiekunkom nie udało się utrzymać tego w tajemnicy.

- Czy sytuacja jest bardzo zła?

- Zrozumiałem, że szykują się jakieś kłopoty... poważne kłopoty.

Triel westchnęła. Choć z ulgą przyjęła wiadomość, że kara spotkała nie tylko Menzoberranzan, dzięki otrzymanym wieściom nie zbliżyli się ani trochę do odpowiedzi na pytanie, dlaczego Mroczna Matka postanowiła zniknąć. Triel nie miała pojęcia, co teraz zrobić.

- Czy mówił, jakie mają plany? - zapytała brata.

- Quenthel wydaje się zdecydowana wypełnić twoje rozkazy i odzyskać nasze dobra - odparł Gromph.

Perspektywa odzyskania magicznych zasobów poprawiła jej trochę humor, ale nieznacznie.

- Więc przypuszczam, że wrócą za kilka tygodni - powiedziała. - Nie jesteśmy wcale bliżsi odpowiedzi niż wtedy, kiedy wyjeżdżali. Prędzej czy później Menzoberranzan będzie miało takie same problemy jak jego siostrzane miasto.

- Niestety jesteś bliższa prawdy, niż ci się wydaje.

- Jakie złe wieści masz mi jeszcze do przekazania?

Jeśli jej poranki miały się zaczynać w ten sposób, Triel uważała pozostanie w Zadumie do południa za lepszą alternatywę od wstawania i rozwiązywania narastających problemów.

- Otrzymałem raporty, z których wynika, że nasze patrole stykają się ze wzmoczoną aktywnością wokół miasta.

- Jakiego rodzaju aktywnością?

- Dokładnie taką, jakiej mogłabyś się spodziewać - odparł Gromph. - Choć nic się właściwie nie wydarzyło, nie doszło do żadnych starć, nasze patrole odkryły coś, co wygląda na grupy zwiadowcze starające się wybadać naszą sytuację. Zauważono większą niż zwykle liczbę duergarów, gnomów podziemnych, a nawet kuo-toa.

- Wiedzą. Wiedzą, że coś jest nie w porządku.

- Możliwe. Może po prostu tędy wypadła im droga... dokąś, a my staliśmy się przewrażliwieni na ich obecność.
 - Wątpię - odrzekła. - To nie może trwać długo. Wkrótce będziemy musieli coś z tym zrobić. Poruszę tę kwestię podczas następnego spotkania rady.
 - Oczywiście - powiedział Gromph, dając jej do zrozumienia, że chce się oddalić.
- Odprawiła brata gestem i powiedziała sobie, że czas wziąć się do roboty, ale jeszcze jakiś czas spędziła na tronie, rozmyślając.

* * *

Quenthel cieszyła się, że w drodze z Płomienia i Żmii do dzielnicy magazynów towarzyszy jej Jeggred. Nastroje panujące w mieście były jeszcze gorsze niż dnia poprzedniego, a idące ulicami drowki raz po raz obrzucano groźnymi spojrzeniami i poszturchiwano. Na szczęście nie musieli iść daleko, żeby dotrzeć na miejsce, a większość drogi przebyli lewitując. Faeryl była w podłym humorze, chociaż wydawała się bardziej niż chętna, żeby pomóc Menzoberranzańczykom. Może wciąż była obrażona na Quenthel za brak zaufania, a może po prostu nie mogła znieść obecności Jeggreda. Wysoka kapłanka nie mogła jej za to winić. Torturowanie Faeryl sprawiało draeglothowi tak ogromną przyjemność, że Quenthel było prawie żal młodszej elfki. Prawie.

Quenthel kazała mężczyznom załatwić jakiś transport na podróż powrotną do Menzoberranzan. Bez względu na to, czy uda im się zlokalizować magiczne zasoby, czy nie, nie miała zamiaru znów dźwigać swoich bagażów na własnych plecach, a gdyby im się powiodło, potrzebowali wystarczającej ilości jucznych jaszczurów i strażników, żeby dostawa dotarła bezpiecznie do domu.

Valas ostrzegł wysoką kapłankę, że każdy najemnik z prawdziwego zdarzenia zażąda bardzo wygórowanej zapłaty, o ile w ogóle da się go zwerbować, ale Quenthel nic to nie obchodziło i nie omieszkała powiedzieć o tym zwiadowcy.

Dlaczego, zastanawiała się Quenthel, zbliżając się do magazynów Czarnej Szpona boczną uliczką, po której kręciło się mniej osób, mężczyznom trzeba wszystko tak szczegółowo tłumaczyć? Dlaczego nie mogą po prostu wypełniać rozkazów i już?

Pharaun jest najgorszy ze wszystkich, uznała. Quenthel nie wątpiła, że czarodziej poszedł się zająć swoimi sprawami, całkowicie lekceważąc fakt, że kazała mu pomóc Valasowi i Ryldowi. Pharaun miał irytujący zwyczaj ignorowania jej życzeń i musiała coś z tym zrobić - kiedy wrócą już do Menzoberranzan, ma się rozumieć. Do tego czasu za bardzo potrzebne jej będą jego umiejętności.

- A teraz pamiętaj - ostrzegła Faeryl, gdy zbliżali się już do biurowej części magazynu. - Powiedz im tylko to, co kazałam. Jeśli nie będę zadowolona z tego spotkania, Jeggred dopilnuje, żebym w przyszłości nie miała podobnych problemów.

Draegloth szedł za dwiema kapłankami i Faeryl rzuciła mu przez ramię krótkie spojrzenie. Quenthel zauważyła, że zadrżała lekko, i uśmiechnęła się do siebie. To, że w Menzoberranzan Tiel napuściła na tę dziewczynę Jeggreda, okazało się całkiem użyteczne. Uczyniło ją taką... uległą.

- Tak, mistrzyni Quenthel - odparła Faeryl. - Rozumiem.

Cała trójka podeszła do drzwi magazynu. Wstępu do środka bronił sześciuosobowy oddział strażników domu Zuavirr. Mężczyźni wybałuszyli oczy na widok stojącego za elfkami draeglotha. Faeryl ruszyła śmiało w ich stronę.

- Musimy przeprowadzić inspekcję - oświadczyła tonem, który Quenthel uznała za zaskakująco władczy. - Odsuńcie się i pozwólcie nam wejść.

Mężczyzna, który wydawał się być dowódcą, zdołał oderwać wzrok od Jeggreda i spojrzeć na nią ze zdziwieniem.

- Nie znam cię - powiedział. - Co cię tu sprowadza?

Faeryl podeszła bliżej. Była od niego nieco wyższa, więc musiał podnieść głowę, żeby spojrzeć w jej gniewną twarz. Drowka chwyciła wpięte w piwafwi insygnia domu i podsunęła mu je pod nos.

- Wiesz, co to jest, prawda? - warknęła, potrząsając broszą. - Masz za zadanie bronić wstępu hołocie, głupcze, a nie zawracać głowę osobistej wysłanniczce opiekunek Zuavirr i Melarn.

Quenthel odnotowała z satysfakcją, że młodzieniec przelknął nerwowo ślinę, po czym wyraźnie wstrząśnięty odsunął się pospiesznie na bok. Ambasador weszła do środka, a wysoka kapłanka i Jeggred zaraz za nią. Mijając wartowników, Quenthel uśmiechnęła się słodko do jednego z mężczyzn, który wciąż

wytrzeszczał oczy na draeglotha.

Wewnątrz magazynu, który wydawał się uprzedzony z pajęczej nici, która stwardniała na kamień, Faeryl poprowadziła ich przez część biurową, potem minęli wielkie drzwi i weszli do ogromnej komnaty, która została podzielona na boksy niskimi ściankami. Faeryl szła śpiesznie wzdłuż niekończących się rzędów półek i skrzyń, jej kroki na kamiennej posadzce niosły się echem po całym magazynie. Quenthel szła za nią, domyślając się, że ambasador zna drogę do najcenniejszych magicznych zasobów.

Quenthel zakładała, że to bezpieczna część magazynu, i zaczynała się martwić. Cenna magia byłaby strzeżona.

Trzeba było zabrać tego fircyka Mizzryma ze sobą, skarciła się w duchu.

- Mistrzynie! - syknął Yngoth, unosząc się na trzonku bicia. - Grozi nam niebezpieczeństwo!

- Quenthel obróciła się, szukając oznak zagrożenia, ale niczego nie dostrzegła.

- Jakie niebezpieczeństwo? - zapytała. - Gdzie?

- Są tu jacyś żołnierze... drowy - odpowiedział Zinda i wszystkie pięć węży zaczęło się ze wzburzeniem tłuc o jej biodro.

- Drowy i inni - dodał Zinda.

Ktoś się tu ukrywa, uświadomiła sobie wysoka kapłanka. Co ty narobiłaś, bezczelna dziewucho?

Sekundę później zza niskiego murku wypadła niewielka grupa drowów - żołnierzy uzbrojonych w miecze i naciągnięte ręczne kusze, a także kilku czarodziejów. Wszyscy należeli do domu Zuavirr. Quenthel rozpoznała w dwóch elfkach matki opiekunki. Było to oczywiste, wystarczyło spojrzeć na ich postawę i sposób bycia. Jedna nosiła insygnia domu Zuavirr i uśmiechała się lodowato. Druga, raczej pulchna drowka, zdecydowanie się nie uśmiechała, właściwie wyglądała na dość nieszczęśliwą.

- Na Mroczną Matkę - wyszeptał jeden z mężczyzn stojących obok Faeryl, unosząc kuszę i mierząc z niej do demona.

- Jest niebezpieczny! - zawołała Faeryl, ale kilku czarodziejów zdążyło już wkroczyć do akcji - rzucili zaklęcia na draeglotha w chwili, w której ten spinał się do skoku, szczerząc kły i wyciągając pazury, gotowy rozszarpać wszystkich na strzępy. Faeryl mimowolnie zrobiła krok do tyłu, trzęsąc się. Jeggred pozostał nieruchomy, jak gdyby gotował się do kolejnego skoku, parszkając z wściekłości.

- To go powstrzyma - oznajmił jeden z magów.

Quenthel sapnęła ze zdumienia, wodząc wzrokiem od Jeggreda do Faeryl.

- Tak, Quenthel! - zawołała Faeryl. - Jest zupełnie bezradny. Nie zdoła cię z tego wyciągnąć.

Quenthel przeniosła wściekle spojrzenie na Faeryl. Żołnierze rozdzielili się, aby ją otoczyć, zachowując jednak bezpieczną odległość. Wielu z nich mierzyło do niej z kusz, a czarodzieje i kapłanki sprawiali wrażenie gotowych rzucić w nią zaklęciami, gdyby zdecydowała się uciekać lub zaatakować.

Wzburzone węże przy jej biczu wiły się, kłapiąc zębami, gdy ktokolwiek podszedł zbyt blisko.

- Ty bezczelna smarkulo! - warknęła Quenthel, trzęsąc się z wściekłości i patrząc na Faeryl, która w odpowiedzi uśmiechnęła się słodko. - Przez cały ten czas byłaś taka układna, a wszystko to okazało się kłamstwem. Wiedziałam, że jesteś zbyt przychylnie nastawiona. Powinnam była oddać cię Jeggredowi. Obedrę cię za to ze skóry.

- To może się okazać trudne, mistrzyni Quenthel - powiedziała Faeryl, wkładając w ten tytuł tyle sarkazmu, ile tylko potrafiła. - Jeśli choć przez chwilę zastanowisz się nad sytuacją, z pewnością zrozumiesz, że mamy nad tobą przewagę. Naprawdę byłoby lepiej, gdybyś się poddała.

Quenthel zamrugnęła, ważąc słowa ambasador. W końcu, niechętnie, przyznała, że nie ma szans i skinęła głową.

- Doskonale, mistrzyni - pochwaliła Faeryl. - Myślę, że teraz powinnaś położyć na ziemi broń i te wszystkie cudowne drobiazgi, które przy sobie nosisz.

Spojrzenie Quenthel stało się jeszcze bardziej nienawistne, ale drowka ostrożnie położyła bicz u swoich stóp.

- Daj spokój, Quenthel - skarciła ją Faeryl. - Podróżuję z tobą już od kilkudziesięciu dni. Wiem o pierścieniu, różdżce i wszystkich innych rzeczach. Nie utrudniaj sytuacji.

Westchnąwszy, Quenthel zaczęła układać na ziemi najprzeróżniejsze przedmioty, a kiedy Faeryl uznała, że wysoka kapłanka nie stanowi już zagrożenia, kazała jej odsunąć się od powstałej sterty.

Kiedy żołnierze podbiegli, żeby zebrać jej rzeczy, Faeryl podeszła do niej, znów się uśmiechając.

- Przykro mi, że musiało się to odbyć w taki sposób, Quenthel - powiedziała - ale jestem pewna, że to rozumiesz.

Quenthel, która odzyskała już do pewnego stopnia panowanie nad sobą, odwzajemniła uśmiech.

- Ależ oczywiście, pani ambasador. Moja siostra będzie wielce zawiedziona, kiedy dowie się, co zrobiłaś, ale tym bym się za bardzo nie przejmowała. Szkoda... jedyną osobą, której Triel będzie brakowało bardziej niż siostry, jest jej ukochany syn.

Faeryl nie przestała się uśmiechać, ale Quenthel miała wrażenie, że ambasador przełknęła nerwowo ślinę na myśl o tym, że matka opiekunka domu Baenre dowie się, iż jej draegloth został uśmiercony.

Faeryl wzruszyła ramionami.

- Tym będziemy się martwić innym razem, mistrzyni. A teraz, jeśli byłabyś tak miła i zechciała mi towarzyszyć, przedstawię cię matce opiekunce Drisnil Melarn i mojej własnej matce, Ssipriinie Zuavirr. Obie bardzo chciałyby usłyszeć coś więcej o planach kradzieży naszych zasobów i zabrania ich do Menzoberranzan.

- Te dobra należą do Menzoberranzan. Zgodnie z prawem należą do nas - powiedziała Quenthel, znów rozwścieczona.

W duchu powtarzała sobie, że powinna nauczyć się panować nad sobą, ale nie chciała tego słuchać.

Faeryl roześmiała się cynicznie.

- Nie myślałaś chyba poważnie, że pozwolę ci okraść mój dom? - zapytała. - Moje miasto? Jesteś szalona! - Ambasador wzięła głębszy oddech dla uspokojenia i ciągnęła dalej: - Rozejrzyj się wokół siebie, mistrzyni Baenre. Oto co zostało z twoich drogocennych dóbr.

Dopiero teraz Quenthel uświadomiła sobie, że rzędy półek i skrzyń są przeważnie puste. Nie było czego zabierać. Była oszukiwana, możliwe że od samego początku podróży, i wyszła na kompletną idiotkę. Zdrada nie była nieoczekiwana i Quenthel wiedziała, że gdyby role się odwróciły, dom Baenre postąpiłby w identyczny sposób. Irytował ją fakt, że jakaś głupia smarkula, która odpowiadała za logistykę całego przedsięwzięcia, nie zadała sobie trudu zostawienia na miejscu odpowiedniej ilości żołnierzy wiernych domowi, żeby mieć pewność, że nic podobnego się nie wydarzy. Quenthel podejrzewała, że kiedy kryzys się pogłębił, natychmiast urządzono oblawę na wierne oddziały, po czym je stracono. Świadczył o tym fakt, że w tej chwili nikogo tu nie było.

- Co z nimi zrobiłaś? - zapytała Quenthel, chcąc zyskać na czasie, aby móc lepiej ocenić sytuację. Choć na miejscu było kilku żołnierzy, wciąż miała szansę uciec - choć oznaczałoby to porzucenie Jeggreda.

Faeryl wybuchnęła śmiechem.

- Nie martw się. Czarny Szpon sporo ostatnio zarobił. Kapitał został wykorzystany w o wiele lepszy sposób, niż było to twoim zamiarem, mistrzyni.

W głosie dziewczyny wyraźnie słychać było szyderstwo.

- Dość tego, Faeryl - powiedziała Ssipriina Zuavirr, robiąc kilka kroków do przodu. - Nie ma potrzeby psuć niespodzianki, którą przygotowaliśmy dla naszego gościa.

Pochylając z szacunkiem głowę, Faeryl przybrała kamienny wyraz twarzy, ale Quenthel wiedziała, że w duchu cieszy się, iż może popsuć matce szyki.

Matka opiekunka Melarn również podeszła do przodu - a raczej dwóch ciężko uzbrojonych drowów podeszło do przodu, eskortując ją między sobą. Drowka była zasepiona, ale nic nie mówiła.

Ssipriina Zuavirr przeszła połowę dystansu dzielącego ją od Quenthel i zatrzymała się.

- Kiedy mojemu synowi udało się nawiązać bezpośredni kontakt z Faeryl, a ona była w stanie powiedzieć nam, jakie macie plany, oczywiście bezzwłocznie zaczęliśmy się przygotowywać na wasze przybycie. Muszę powiedzieć, że jestem szczerze zdziwiona, iż liczyłaś, że uda ci się wymknąć z miasta wraz z całym magazynem towarów tak, żebyśmy niczego nie zauważyli, ale w tej chwili nie ma to większego znaczenia. Jak już zauważyła moja córka, dom Zuavirr zrobił z zysków o wiele lepszy użytek.

Zdezorientowana Quenthel zamrugnęła.

- Dom Zuavirr? - zapytała. - Jesteście tylko nadzorcami. Towarzystwo handlowe należy do domów Melarn i Baenre. - Wysoka kapłanka odwróciła się do drugiej matki opiekunki i zapytała: - Pozwalasz na to? Pozwalasz tym zradzieckim kupcom podejmować decyzje w twoim imieniu? Jesteś o wiele bardziej ufna ode mnie.

Drisnil Melarn nie powiedziała ani słowa, choć skrzywiła się lekko, gdy Quenthel zwróciła się do niej. Ssipriina Zuavirr wybuchła krótkim, gorzkim śmiechem.

- Daleko jej do bycia zadowolona, Quenthel Baenre, ale nie ma większego wyboru.
W tej samej chwili Quenthel pojęła, dlaczego matka opiekunka Melarn sprawiała wrażenie takiej nieszczęśliwej. Dwa flankujące ją drowy nie stanowiły jej eskorty, tylko ją pilnowały.
- Ośmielisz się? - zapytała Quenthel. - Podniosłaś rękę na matkę opiekunkę szlacheckiego domu i masz nadzieję, że ujdzie ci to na sucho? Jak możesz na to liczyć, skoro... skoro...
Wysoka kapłanka zacisnęła usta, nie chcąc dokończyć.
- Skoro nie otrzymasz od Lolth żadnych czarów.
- Och, nie masz się czym przejmować - odpowiedziała Ssipriina, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Dzięki funduszom uzyskanym ze sprzedaży waszych kosztowności zyskałam pewność, że dom Zuavirr już nigdy nie będzie musiał klękać przed takimi jak wy dwie.
Kiedy kończyła, w jej oczach skrzyły się czerwone iskierki
Quenthel zobaczyła w nich zażartą nienawiść.
- Kapitanie Xornbane, można prosić? - zawołała Ssipriina.
Wokół zebranych drowów pojawił się jak spod ziemi krąg szarych krasnoludów, które wymachiwały groźnie wyglądającymi toporami i ciężkimi kuszami. Najwyraźniej krasnoludy stały w pobliżu już od jakiegoś czasu, ale były po prostu niewidzialne. Duergarowie wyglądali na pewnych siebie i gotowych na wszystko.
Quenthel poczuła, jak żołądek podjeżdża jej do gardła, ale zanim zdołała cokolwiek zrobić, poczuła, jak jakaś niewidzialna siła chwyta ją i unieruchamia. Nie była w stanie kiwnąć palcem - widziała, że Drisnil Melarn znajduje się w takim samym stanie.
- Mamy je zabić teraz? - zapytał jeden z duergarów, ruszając do przodu.

ROZDZIAŁ 7

Co za szczęście, że Valas już tu kiedyś był i zna trochę miasto, pomyślał Ryld, przeciskając się przez tłum za towarzyszem.

Ulice, o ile to w ogóle możliwe, były jeszcze bardziej zatłoczone niż poprzedniego dnia i wojownik był pewny, że szło by im jeszcze wolniej, gdyby poruszali się po pajęczych ulicach bez żadnego rozeznania w tym, gdzie szukać informacji i właściwych ludzi.

Ryld i Valas wyruszyli zaraz po porannym posiłku, zwiadowca prowadził wojownika do niższych dzielnic Miasta Połyskliwych Pajęczyn. Quenthel poleciła im znaleźć kogoś, kogokolwiek, kto dysponowałby prowiantem, ekwipunkiem i ludźmi, którzy mogliby im towarzyszyć w drodze powrotnej do Menzoberranzan. Ryld wciąż wątpił, by kapłance udało się zdobyć w magazynach Czarnej Szpona cokolwiek wartego zachodu, ale nie mógł się sprzeczać z mistrzynią Arach-Tinilith. Dzięki Pharaunowi wiedział, że to szaleństwo. A raczej węszył kłopoty. Pozornie niewinne uwagi coraz częściej uchodziły Pharaunowi na sucho, wojownik uświadomił też sobie, że czarodziej zaczął coraz konsekwentniej realizować swój plan.

Ryld przepchnął się obok grupki illithidów - illithidów! Na rogu ulicy stało ich pięć i nikt nie zwracał na nie uwagi - po czym wszedł za zwiadowcą do wyjątkowo obskurnej karczmy.

Ryld nie potrafił przestać myśleć o Pharaunie. Wydawało się, że mag potrafi przekonać każdego do swojego punktu widzenia, a kiedy to nie dawało efektów i tak zawsze udawało mu się zrobić po swojemu, a tłumaczył się dopiero po fakcie.

Wojownik zastanawiał się, jak często jego dawny przyjaciel postępował wobec niego w ten sam sposób, żeby dostać to, co chciał.

Przepychając się przez tłum przy barze, Valas kierował się na tyły głównej sali. Informacjami, jak się wydawało, zawsze handlowano przy stołach na samym końcu, a ta karczma nie była pod tym względem wyjątkiem. Ryld zajął pozycję za plecami towarzysza, który usiadł przy stole naprzeciw gburowato wyglądającego drowa w podartym i poplamionym piwafwi. Drow zdecydowanie nie był szlachcicem, ale Ryld nie miał mu tego za złe. Fehmistrz, który wychował się na ulicach Menzoberranzan, bardzo dobrze wiedział, co to znaczy urodzić się plebejuszem.

Na stole leżała plansza do savy, gra była w toku. Ryld widział, że przeciwnik drowa przegrywał i przerwał grę przed nieuniknionym zakończeniem. Ryld przyłapał się na tym, że ma ochotę usiąść i przesunąć kilka figur, próbując odroczyć koniec partii, ale odwrócił się, żeby obserwować zatłoczone pomieszczenie na wypadek kłopotów.

- Szukamy jucznych jaszczurów - zaczął Valas i wyciągnął rękę, żeby przesunąć pionek po planszy, kładąc przy tym na stole kilka złotych monet - trochę prowiantu i kilku najemników, którzy będą pilnować wyżej wymienionych.

Drow wysunął rękę spod poszarpanego piwafwi i zgarnął monety, zanim Valas zdołał dokończyć ruch, który, jak zauważył Ryld, nie mógł poprawić jego sytuacji.

Lepiej pozwolić mu wygrywać, domyślił się fehmistrz.

- Wy i całe miasto - zachichotał drow i uśmiechnął się krzywo, demonstrując braki w uzębieniu. - Tego rodzaju usługi kosztują więcej złota, niż wy dwaj możecie mieć - dodał, taksując Valasa i Rylda wzrokiem.

- O pieniądze się nie martw - odparł zwiadowca, a Ryld ponownie zainteresował się salą. - Wskaż nam tylko odpowiedni kierunek.

- W takim razie - powiedział informator - znam szarego krasnoluda, który może wciąż mieć kilka jaszczurów - za odpowiednią cenę, pamiętajcie - które powinny wam dobrze służyć. Postawcie kolejkę, a ja tymczasem pójde po kogoś, kto was do niego zabierze.

Ryld wydał usta z konsternacją. Wojownik miał nadzieję, że załatwią sprawę w miarę szybko, ale oczywiście nie zanosilo się na to.

Drow wysunął się zza stołu, klepnął Rylda w ramię i ze słowami „Rety, osilek z ciebie” zaczął się przepychać przez ciżbę.

Ryld zerknął na Valasa, który wydawał się przyglądać planszy do savy. Zwiadowca nie wykonał żadnego gestu, aby przywołać do stołu posługacza.

- Zamierzasz zamówić tę kolejkę, czy ja mam to zrobić? - zapytał towarzysza fehmistrz.

- Nie przejmuj się tym - odpowiedział Valas, podnosząc na niego wzrok. - Kiedy ten łajdak wróci,

powiem mu, że w takim tłumie nie byłem w stanie przywołać służby.

Ryld kiwnął głową i odwrócił się, czekając.

Niechlujny drow wkrótce wrócił, ale za nim szedł nie jeden, ale czterech wielkich półogrów. Ryld zmrużył oczy, widząc, z jaką brutalnością przepychają się przez tłum.

- Możemy mieć kłopoty - wymamrotał do Valasa, który wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Wypuść mnie - rozkazał zwiadowca, popychając Rylda do przodu, żeby móc się wysliznąć zza stołu.

Valas stanął obok wojownika, który zauważył, że zwiadowca dobył kukrisów, choć trzymał je nisko przy bokach, gdzie niełatwo je było zobaczyć.

- To ci goście, o których wam mówiłem - zwrócił się informator do największego z półogrów. - To ci, którzy mają kupę forsy.

Ryld jęknął w duchu, gdy przewyższający go o głowę półogr uśmiechnął się złowieszczo.

- Właśnie mieliśmy iść po kolejkę - powiedział Valas, próbując minąć półogra, który blokował im przejście. - Chyba będziemy potrzebować kilku dodatkowych kufli. Chodź, Ryld, pomożesz mi wszystko przynieść. Potem będziemy mogli porozmawiać z wami o interesach.

- Mam lepszy pomysł - powiedział ogr głębokim, grzmiącym głosem. - Może usiądziecie i powiecie nam, ile złota właściwie macie? Wtedy zdecydujemy, czy możecie odejść.

- To chyba niezbyt dobry pomysł - odparł Valas lodowatym tonem. - Załatwimy nasze interesy w innym miejscu.

- Przypuszczam, że półogr może być na tyle głupi - zwrócił się do zwiadowcy Ryld - żeby myśleć, że tylko dlatego, że Lolth zamilkła, zapomnieliśmy, jak się walczy.

Półogr uśmiechnął się.

- Świetny żart, mroczny elfie.

A potem stwórz skoczył.

* * *

W końcu Pharaun postanowił dostać się do jednej z magicznych uczelni w najprostszy możliwy sposób. Dzięki praktycznej znajomości osłon Sorcere wiedział aż nadto dobrze, że większość magicznych forteli została by wykryta bez względu na powzięte przez niego środki ostrożności. W naturze magów leżała nieufność wobec innych magów, a odkrył, że w Ched Nasad, gdzie można było wybierać spośród kilku różnych akademii, szkół i organizacji badawczych, miejscowi czarodzieje byli wobec siebie jeszcze bardziej podejrzliwi.

Najwyraźniej konkurencja pomiędzy stowarzyszeniami wabiącymi w swoje progi nowe talenty była zacięta, zaś prestiż zdobyty dzięki udanej rekrutacji ogromny. Zgodnie z drowią naturą stowarzyszenia nie wahały się sięgnąć po choćby najbardziej i pokrętne metody, byle tylko zmienić równowagę sił. Jaki mógłby być lepszy sposób na dostanie się do środka, rozumował Pharaun, niż podanie się za potencjalnego nowego członka? Musiał tylko zdjąć insygnia domu i poprosić u bram o możliwość porozmawiania z kimś, kto mógłby go oprowadzić, opowiedzieć o wyposażeniu, obowiązkach i tak dalej. Mógł z łatwością podać się za zbłąkanego czarodzieja z dala od domu, nie zdradzając przy tym prawdziwego poziomu swoich umiejętności ani sposobu, w jaki je zdobył.

Pierwszym miejscem, jakie odwiedził Pharaun, były imponujące komnaty Uczniów Phelthonga, szkoły prowadzonej przez samego arcymaga Ched Nasad - Ildibane'a Nasadrę. Pharaun zakładał, że największa i najbogatsza szkoła będzie miała to, czego szukał. Wyjaśnił jednak urzędnikowi, który miał mu towarzyszyć, że dziedziną, która go interesuje, są żywe istoty. Jeśli miał się tu naprawdę zadomowić, musiał mieć pod ręką sporą menażerię. Kiedy odkrył, że Uczniowie nie prowadzą takiego zoo, grzecznie odmówił zwiedzania szkoły.

Drugie miejsce, które postanowił wy badać, nazywało się Konserwatorium Wtajemniczeń. Nie było ani najbardziej, ani najmniej imponujące, ale wybrał je tknięty przecuciem. Drow, który spotkał się z nim, kiedy już opowiedział się strażnikom stojącym przed gmachem szkoły, był zaklinaczem o imieniu Kraszmyl Claddath z domu Claddath. Był to niski, zaskakująco krępy elf o żółtawych włosach i zepsutych zębach. Przedstawiając się, Pharaun udał, że posiada przeciętne umiejętności, a Kraszmyl wydawał się szczerze zachwycony, mogąc oprowadzić gościa po terenie szkoły.

- Powiedz mi, mistrzu Claddath, czy konserwatorium posiada na miejscu kolekcję żywych okazów?
- Jeśli masz na myśli najwspanialszą menażerię pełną stworzeń pochodzących zarówno ze Świata Ponad, jak i Podmroku, trzymanyh w dobrych warunkach i troskliwie pielęgnowanych, to tak.
- Och, to cudownie! - Pharaun nie musiał udawać podniecenia. - To brzmi jak miejsce w sam raz dla mnie!
- Powiedz mi, mistrzu Pharaunie, w czym konkretnie się specjalizujesz?
- Ostatnio pracowałem dla pewnego kupca, który życzył sobie, żebym zbadał różne efekty krzyżowania stad rothe - skłamał mag - ale interesuje mnie nowa dziedzina. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o chitynowcach i choldriczach.
- Naprawdę? - Kraszmyl, prowadzący Pharauna w głąb konserwatorium, wydawał się zaskoczony tym pomysłem. - Dlaczego uważasz tak prymitywne istoty za interesujące?
- O, są naprawdę fascynujące! - rozpląwał się Pharaun. - Choć uważamy je wyłącznie za zwierzynę łowną, mogą się one pochwalić unikalną kulturą i religią, która pod pewnymi względami stanowi odzwierciedlenie naszej.
- Rozumiem - powiedział drętwo mistrz Claddath. - Mam nadzieję, że nie należysz do tych skretyniałych dziwaków, którzy uważają, że powinniśmy przestać na nie polować.
- Pharaun roześmiał się.
- Co to, to nie - zapewnił - ale wyobraź sobie, co by było, gdyby dzięki mnie stanowiły większe wyzwanie.
- Tak, mogłoby to mieć pewne zalety. No, jesteśmy na miejscu - oznajmił przewodnik, wprowadzając Pharauna do skrzydła budynku, w którym mieściły się niezliczone klatki, cele i zagrody.
- Pharaun nigdy dotąd nie widział tak różnorodnej kolekcji i był pod ogromnym wrażeniem.
- Oszałamiające! - powiedział.
- Owszem, mistrzu Pharaunie, ale z twojej reakcji wnoszę, że nigdy dotąd nie widziałeś czegoś podobnego. A teraz zdradź mi, proszę, prawdziwy powód, dla którego odwiedziłeś dzisiaj nasze konserwatorium.
- Pharaun ostrożnie sięgnął do kieszeni piwafwi, wyjął kawałek szkła i spojrzał przez nie na swojego przewodnika. Chroniło go wiele zaklęć ochronnych, a w dłoni trzymał różdżkę wycelowaną w przybysza i Pharaun wiedział, że zdążył już jej użyć. Zgadywał, że to jakiś rodzaj magii zaklinającej.
- Usiłuje rzucić na mnie urok, żebym się wytlumaczył.
- Czy witacie w ten sposób wszystkich waszych przyszłych członków? - zapytał Pharaun z uśmiechem.
- Kraszmyl sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego, ale zaraz schował różdżkę.
- Nie, wyłącznie czarodziejów, którzy pojawiają się znikąd, twierdząc, że chcą wstąpić w nasze szeregi.
- Mag wyjął następną różdżkę i wycelował nią w Pharauna.
- Zwłaszcza tych na tyle głupich, by twierdzić...
- Słowa Kraszmyla Claddatha zawisły w powietrzu, a on sam zmienił się w szkło. Oczywiście jego piwafwi, różdżka i kilka innych ozdób pozostały nietknięte, ale samo ciało stało się czystym, przezroczystym kryształem.
- Wzdychając z zadowoleniem, Pharaun schował szkiełko do kieszeni.
- Gdybyś nie był tak zajęty rozwodzeniem się nad moją głupotą, mógłbyś usłyszeć słowa mojego zaklęcia - powiedział do nieruchomej postaci, podchodząc bliżej.
- Będąc zrobionym ze szkła, niski, krępy drow był ciężki. Pharaun nie dał jednak za wygraną i przesunął przetransformowanego elfa dokładnie tam, gdzie należało.
- A teraz sprawdźmy, czy jest tu to, czego szukamy.
- Mistrz Sorcere czuł, że powinien się spieszyć, bowiem menażerii z pewnością regularnie doglądano. Aby czyścić i karmić wszystkie uwięzione stworzenia potrzebnych było wielu pierwszorocznych studentów.
- Przesuwając się pomiędzy rzędami klatek, rozglądał się dookoła, próbując wypatrzeć to, czego szukał. Pomimo że się spieszył, kolekcja zrobiła na nim ogromne wrażenie. Pharaun dostrzegł na tyłach kilka naprawdę wielkich klatek, ale nie miał czasu, żeby zaspokoić ciekawość.
- Szkoda, pomyślał, wychodząc z za rogu i kontynuując poszukiwania. Chętnie spędziłbym tu kilka dziesiątków dni.

W końcu, minawszy kilka rzędów klatek, znalazł to, czego szukał. Z czterema rękami unieruchomionymi w czymś w rodzaju odlewu z żywicy, siedziała ponuro pojedyncza choldriczka, spoglądając na niego gniewnie zdecydowanie humanoidalnymi srebrnobiałymi oczyma. Przykucnął, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

Miała skórę koloru popiołu i była kompletnie pozbawiona owłosienia. Jej humanoidalne usta otaczały maleńkie szczękoczułki, tak małe, że Pharaun wątpił, by pełniły jakąkolwiek funkcję. Uszy, wystające ponad czubek głowy, przypominały uszy drowa, ale były jeszcze bardziej szpiczaste. Pharaun pomyślał, że przypominają nieco rogi. Dzięki temu, czego zdołał się dowiedzieć o tym gatunku, rozumiał, że okowy są konieczne, aby uniemożliwić stworzeniu rzucanie czarów i ucieczkę.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedział we wspólnym języku Podmroku. Choldriczka wpatrywała się w niego w milczeniu. - Wydaje mi się, że rozumiesz, co mówię, ale na wszelki wypadek... - poszperał w kieszeniach - ... dobrze, że się przygotowałem.

Wyjął maleńki gliniany ziggurat i szczyptę sadzy. Szybko utkał dwa zaklęcia, jedno, żeby mówić w jej języku, i drugie, żeby go rozumieć, po czym spróbował ponownie.

- Jeśli odpowiesz na moje pytania, uwolnię cię - oświadczył.

Otworzyła szeroko oczy z nadzieją, ale zaraz zmrużyła je podejrzliwie.

- Kłamiesz - powiedziała w dziwnej, kłaskającej mowie, przypominającej odgłosy wydawane przez pająka. - Wszystkie drowy nas okłamują.

- W większości przypadków może to być prawdą, ale nie tym razem. Nic nie zyskam, trzymając cię tutaj, a mogę zyskać wszystko, jeśli udzielisz mi kilku odpowiedzi.

Kiedy nadal milczała, zapytał:

- Co masz do stracenia? Tkwisz w klatce w mieście drowów, a ręce masz sklezione żywicą, żebyś nie mogła wezwać Mrocznej Matki. Tyle że nie ma to znaczenia, ponieważ ona również cię opuściła, prawda?

Choldriczka znów zrobiła wielkie oczy i Pharaun wiedział już, że to prawda.

- Wiesz o bogini? - zapytało stworzenie.

- Tak, i próbuję się dowiedzieć, co się z nią stało.

Czarodziej nie był pewny, ale wydawało mu się, że na twarzy nieszczęsnej istoty dostrzegł coś, co mogło uchodzić za uśmiech.

- A więc nie darzy mrocznych elfów większą miłością niż nas - wymamrotała, najwyraźniej do siebie samej. - Nie opuściła dla nich pajęczego ludu.

- Nie, wygląda na to, że jej nieobecność dotknęła wszystkich jej wyznawców - odparł Pharaun. - A ja próbuję się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.

- Mroczna Matka tka własne sieci. Mroczna Matka odcina się, ale powróci.

- Co? Jak to? Skąd to wiesz?

- Nie powiem ci nic więcej, morderco pajęczego ludu. Uwolnij mnie albo odejdz, odpowiedziałam na twoje pytania.

- To prawda - przyznał Pharaun - a ja wypuszczę cię z klatki. Jak znajdziesz drogę do siebie, to twoja sprawa.

Czarodziej otworzył drzwi klatki i odsunął się. Choldriczka ostrożnie ruszyła w stronę otworu, przyglądając się badawczo Pharaunowi - najwyraźniej wietrzyła jakiś podstęp. Czarodziej wskazał wyjście otwartą dłonią skierowaną ku górze i zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. Stworzenie wyprysło z klatki i było już w połowie holu, gdy czarodziej przyłapał się na tym, że się śmieje. Był ciekawy, jak pozbędzie się żywicy, ale to nie była już jego sprawa.

- Skoro otrzymałem odpowiedź, pora już na mnie - powiedział sam do siebie - ale najpierw muszę choć rzucić okiem... - Mag odwrócił się i ruszył w stronę większych klatek, które widział wcześniej.

Wiele większych zagród było pustych, ale widok tych zamieszkałych zapał Pharaunowi dech w piersi. W jednej z magicznie zapieczętowanych komór unosił się stwór niepodobny do niczego, co Pharaun widział do tej pory, jednocześnie straszny i fascynujący. Ciało miał szare i miękkie niczym tkanka mózgu stworzeń, na których Pharaun przeprowadzał w młodości sekcje, a spod podbrzusza zwisały mu liczne macki. Z przodu wystawał mu swego rodzaju dziób, ale czarodziej nie widział żadnych oczu. Stwór unosił się w swoim więzieniu, zwisiwszy bezwładnie macki. Pharaun przyglądał mu się przez chwilę, po czym ruszył dalej.

Następne stworzenie było magowi bardzo dobrze znane. Tyran licznych oczu należał do

mniejszych okazów, mierzył nie więcej niż dwie stopy średnicy. Młody osobnik, ocenił czarodziej. Wszystkie oczy stwora były mlecznobiałe i poblżnione, przez co był skutecznie oślepiiony i unieszkodliwiony. Mimo to obserwującemu go Pharaunowi ciarki przeszły po plecach.

Z drugiego końca wielkiej sali dobiegł go krzyk, a zaraz potem straszliwy łoskot i brzęk tłuczonego szkła. Czarodziej uśmiechnął się. To oczywiście mistrz Claddath ostrzega mnie, że ktoś nadchodzi. Dziękuję za wycieczkę, Kraszmylu.

Mag był ciekawy, jakiego rodzaju magiczne alarmy uruchomił, tworząc jeden ze swoich błękitnych portali i przenosząc się poza Konserwatorium Wtajemniczeń.

Nieważne, stwierdził, pozwalając magicznemu przejściu zniknąć. Unosił się w powietrzu pomiędzy dwoma poziomami pajęczych ulic, w pobliżu ściany wielkiej jaskini. Pomyślał, że moja obecność była atakiem konkurencyjnej uczelni. Jeśli komuś przyjdzie do głowy zapytać wartowników, będę sławny.

Pharaun spłynął na ulicę pod sobą i ruszył w drogę powrotną do Płomienia i Żmii.

Mógłby nawet uznać przechadzkę do karczmy za przyjemną, gdyby ulice nie były tak zatłoczone. Przez całą drogę dolatywały go urywki rozmów, które koncentrowały się na rosnącym niezadowoleniu mieszkańców, nieuchronności ataku z zewnątrz, który miały jakoby przypuścić jakieś armie demonów, i przekonaniu, że Lolth zostawiła miasto na pastwę losu. Kilkakrotnie był świadkiem początków awantury, ale za każdym razem, kiedy widział, że zanoszą się na kłopoty, rozsądnie wybierał inną drogę, często lewitując z poziomu na poziom, aby uniknąć burdy.

- Pharaunie! - zawołał go ktoś, kiedy szedł właśnie uliczką pełną sklepów z serami, żałując, że ich zapach nie jest nieco mniej... cóż, stęchły.

Zaskoczony i może odrobinę wyrażony z równowagi tym, że ktoś go zatrzymuje, wetknął ręce w kieszenie piwafwi, zastanawiając się, jakiego zaklęcia użyć, żeby wyplątać się z tej kabały.

Odwróciwszy się, czarodziej zobaczył przed sobą piękną drowkę, której srebrnobiałe włosy opadały lśnącymi lokami na ramiona. Elfka uniosła wysoko brew i uśmiechnęła się, a on poczuł się tak, jak gdyby ją znał. Miała na sobie dość niezwykłą suknię, nie nosiła też żadnych insygniów zdradzających jej tożsamość. Najbardziej znamienna była jednak magiczna aura, którą emanowała - wiedział, że coś przed nim ukrywa.

- Przepraszam... czy my się znamy? - zapytał Pharaun.

W odpowiedzi mrugnęła tylko i skinęła na niego palcem, nakazując mu iść za sobą. Zastanawiając się, w jaką niebezpieczną grę daje się wciągnąć, ale nie mając nic przeciwko dobrej zabawie, czarodziej ruszył za nią. Elfka poprowadziła go kilkoma ulicami, głównie bocznymi, a potem wzniosła się parę poziomów w górę, aż znaleźli się w dzielnicy mieszkalnej. Drowka weszła do niewielkiego domku, odwróciła się i spojrzała na niego wyczekująco.

Pharaun zawahał się przy wejściu, rozglądając się po ulicy w poszukiwaniu jakichś znaków, które pomogłyby mu podjąć decyzję.

- Chodź - powiedziała jego towarzyska, z powrotem wysuwając głowę na zewnątrz. - Wejdź do środka.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał czarodziej. - Otoczyłaś się jakąś magią kamuflującą, więc twoje wysiłki mające na celu oszukanie mnie okazały się nieskuteczne. Zależy mi na moim bezpieczeństwie, więc zostanę tutaj, dziękuję.

Uśmiechnęła się tylko i na jego oczach aura kamuflująca opadła jej włosy z jasnych stały się ciemne, a hebanowa skóra nabrała barwy najczystszej alabastru. Strój, w który się odziała, również zmienił się w czarny skórzany gorset.

Pharaun odwzajemnił uśmiech.

- Witaj, Aliiszo - powiedział.

- A teraz wejdź, żebyśmy mogli porozmawiać - rzekła alu-demon, gestem polecając mu iść za sobą, i znikła w środku.

Wnętrze domu było schludne, acz ciasne, wyglądało jednak tak, jak gdyby ktoś w nim od dawna mieszkał. Całe pomieszczenie zarzyło się miękkim, fioletowym światłem, które wystarczało do oświetlenia wysłużonej kanapy i stołu w pokoju dziennym.

- Śmiesz twierdzić, że to nie twoje mieszkanie - stwierdził Pharaun, patrząc, jak Aliisza przemyka przez pokój i sadowi się na sofie w prowokacyjnej pozie.

- Pożyczam je tylko na jakiś czas - odpowiedziała alu, odchylając się do tyłu i opierając nogę o

oparcie sofy. - Nie zabawię tu długo. Niestety dom to w tej chwili zła inwestycja. Wątpię, czy znalazłabym kupca, nawet gdyby należał do mnie.

Pharaun uśmiechnął się kwaśno, siadając na krześle naprzeciw skrzydlatej kobiety.

- A więc zauważyłaś brak stabilności na rynku? - zapytał. - Szkoda, ale to przecież nie twoje zmartwienie, skoro dom nie należy do ciebie. Gdzie są w tej chwili właściciele?

Alu-demon uśmiechnęła się ponownie, ale jej zielone oczy błysnęły groźnie, gdy odparła:

- Nie sądzę, by wrócili. Mamy ten dom tylko dla siebie.

Przewróciła się na brzuch i podparła na łokciach, machając leniwie nogami w powietrzu.

- Brzmi obiecująco - rzekł Pharaun, uśmiechając się jeszcze szerzej i pochylając do przodu. - Ale taka sprytna dziewczyna jak ty ma z pewnością masę spraw do załatwienia, musi chodzić w różne miejsca, widywać się z Kaanyrem Vhokiem.

Aliisza skrzywiła się.

- Daj spokój, czarodzieju. Nie zamierzasz chyba występować w obronie mojego honoru czy podobnej bzdury, co? Kaanyr jest daleko stąd.

- Nie o Dzierżącego Berło się martwię, uroczą istotę. Martwię się o siebie. Matka zawsze powtarzała mi, żeby nie zadawać się z niegrzecznymi dziewczynkami, zwłaszcza jeśli mają skrzydła. Jestem tylko wędrownym czarodziejem z dala od domu. Mogłabyś mnie wykorzystać.

Alu-demon zachichotała.

- Choć matka mogła ci mówić coś innego, my, niegrzeczne dziewczynki, nie zawsze marzymy o zabraniu was ze sobą do Otchłani. Czasami jakiś facet po prostu wpada nam w oko.

Pharaun spojrział na swoje dłonie.

- Z pewnością. A ty chcesz się tylko zabawić, tak? Bardzo chciałbym zostać i dotrzymać ci towarzystwa, ale naprawdę muszą...

- Pharaunie, ja już wiem, co się dzieje - powiedziała Aliisza poważnym tonem. - Wasza Pajęcza Królowa znikła bez śladu, nie zostawiając damom nawet odrobiny magii, a ty przybyłeś aż z Menzoberranzan, żeby dowiedzieć się dlaczego. Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. No, nie jest to do końca prawdą. Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę wyraz twarzy Kaanyra, kiedy mu o tym powiem, ale to może poczekać. Pomyślałam sobie, że zanim do niego wrócę, a ty wyruszysz w drogę powrotną do domu, moglibyśmy uciąć sobie miłą pogawędkę.

Przerzuciła nogi na podłogę, siadając przodem do niego.

- Poza tym - dodała, zaczynając rozwiązywać sznurówki gorsetu - nie skończyliśmy jeszcze dzielić się magicznymi sztuczkami.

- Nikt na mnie nie czeka - zachichotał Pharaun. - Myślę, że mogę jeszcze chwilę zostać.

* * *

Ryld wiedział, że w takiej ciasnocie Rozpruwacz będzie w zasadzie bezużyteczny, zdążył więc już sięgnąć po krótki miecz. Jednym płynnym ruchem wysunął ostrze z pochwy, przypominając sobie, jak leży w rękę, i zasłonił się nim przed mknącym na niego półogrem. Sparował cios uniesionej przez stwora maczugi, po czym ciął go zgrabnie przez brzuch.

Zaskoczony półogr szarpnął się lekko, a Valas, który pojawił się jak spod ziemi, natychmiast przeciągnął mu jednym z kukrisów przez ścięgno podkolanowe. Zakrzywione ostrze zaskwierczało, błysnęło, bestia zawyła i przewróciła się, ściskając z bólu brzuch i nogę.

Kątem oka Ryld dostrzegł nagły ruch i wykonał unik w samą porę, by uchylić się przed ciśniętym kuflem. Naczynie przeleciało mu nad ramieniem i uderzyło w ścianę obok stołu, roztrzaskując się na kawałki. Ryld nie tracił czasu na ustalenie, skąd nadszedł atak. Ciął kolejnego półogra, zostawiając mu na ramieniu cienką szramę, która wezbrała krwią. Stwór zatoczył się do tyłu, a wojownik już obracał się, parując uderzenie pałki, którą zamachnął na niego z prawej trzeci przeciwnik.

Starcie zaczynało przyciągać uwagę innych gości lokalu. Ryld słyszał, że spora ich część zagrzewa do walki półogrom, przeklina jego i Valasa, a może nawet szuka okazji, żeby samemu włączyć się do akcji. Sytuacja zaczyna wyglądać paskudnie, pomyślał wojownik, ostrożnie wymieniając ciosy z półogrem, który stał mu na drodze do wyjścia.

W żebra uderzył go bełt z kuszy. Grot nie zdołał przebić piwafwi ani napierśnika, jednak pod wpływem impetu uderzenia wojownik zachwiał się lekko i pałka z głośnym chrupnięciem wyrznęła go w

lewe ramię. Ryld stracił czucie w całej ręce i niewiele brakowało, a straciłby również równowagę, gdy ktoś podciął mu z tyłu nogi, usiłując go wyrzucić.

To jakieś szaleństwo, pomyślał wojownik, wycofując się z powrotem pod ścianę i ogradzając od pozostałych gości przesuniętym stołem. Valasa nigdzie nie było widać.

- Brać go! - warknął ktoś z tłumu.
- Śmierć mrocznym elfom! - krzyknął ktoś inny.

Jednak nikt nie kwapił się do niego podejść.

Zastawiwszy się mieczem przed groźnymi mu bywalcami, rozejrzał się po pomieszczeniu za towarzyszem, zastanawiając się, czy zwiadowca nie zostawił go przypadkiem i nie uciekł. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy Ryld znalazłby się w podobnej sytuacji.

Kiedy para quaggothów - wielkich humanoidów pokrytych białym futrem, czasem nazywanych podziemnymi niedźwiedziami - rzuciła się na wojownika, ten był zmuszony zająć się pilniejszymi sprawami. Ryld mieczem sparował pchnięcie włócznią, którą pierwszy stwór usiłował przebić mu pierś, po czym zrobił krok w bok, unikając ataku tego drugiego, który niemal rozplątał mu gardło. Kolejny belt uderzył w ścianę obok fehmistrza, roztraskując się na kamieniach.

W tej samej chwili znów pojawił się Valas, który chował się gdzieś wśród ciżby. Zwiadowca zatopił oba kukrisy w plecach pierwszego quaggotha. Ryld zamrugał ze zdumienia, ale skorzystał z okazji, żeby obrócić się i ciąć drugiego niedźwiedzia przez oba kolana. Oba stwory zwały się na ziemię w fontannie krwi, a Valas dołączył do stojącego pod ścianą Rylda.

- To było imponujące - przyznał Ryld, pomagając zwiadowcy odpierać ataki wrzeszczącego, klnącego tłum.

- Kiedy tych dwóch natarło na ciebie, dostrzegłem swoją szansę i skorzystałem z niej.
- Jak chcesz się stąd wydostać? - zapytał Ryld, szukając jakiejś drogi ucieczki z pomieszczenia. - Przebić się przez tłum?

- Nie wiem jak ty, ale ja już znalazłem sposób - odparł Valas. - Do zobaczenia na zewnątrz.

To powiedziawszy, zwiadowca wycofał się do migoczącego błękitnego portalu, który nagle pojawił się za jego plecami. Ryld nie miał czasu, żeby się nań gapić, ponieważ przejście zniknęło, zostawiając go samego naprzeciw hordy rozwścieczonych podistot. Z prawej zbliżał się do niego ostrożnie hobgoblin, a ork i jakiś dziwny stwór przypominający jaszczura zachodzili go z przodu i z lewej. Typowe, pomyślał. Wszyscy potrafią pojawiać się i znikać w tych przeklętych portalach.

Ryld skoczył naprzód i ciął wysoko orka, po czym obrócił się, by odbić cios krótkiego ostrza jaszczura. Wojownik kopnął hobgoblina i znów chlasnął orka, tym razem trafiając go prosto w policzek. Trysnęła krew, a Ryld zaczął torować sobie mieczem drogę przez tłum, wiedząc, że pozostając pod ścianą, nie ma szans na przeżycie.

Kiedy znalazł się wśród ciżby i przeciwnicy zakłębili się wokół niego, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Klęknąwszy na jedno kolano, zadał kilka obronnych pchnięć, a drugą dłonią klepnął podłogę, aby wezwać magiczną ciemność. Niemal całą salę zalał atramentowy mrok, okrzyki bojowe przeszły w odgłosy dezorientacji i paniki. Ciemność nie przeszkadzała Ryldowi. Był przyzwyczajony do walki po omacku, czuł i słyszał swoich przeciwników równie dobrze, jak wcześniej ich widział.

Nie czekając, aż rozhukani goście przyjdą do siebie, Ryld zaczął ciąć szeroko, torując sobie drogę ku drzwiom. Wrzaski, które rozległy się wokół fehmistrza, wytrąciły z równowagi pozostałych awanturników. Ryld szybko wydostał się z plamy mroku i znalazł tuż przy wyjściu z karczmy. Przy drzwiach stało jeszcze kilku gapiów, ale na widok rosnącego wojownika z wymierzonym w nich mieczem szybko się rozproszyli. Posiniaczony i krwawiący z kilku drobnych ranek Ryld przemknął przez drzwi i wybiegł na zewnątrz. Valas opierał się o mur po przeciwnej stronie ulicy, wyglądając go.

Na widok zwiadowcy Ryld wyduł usta z niesmakiem, ale zanim zdążył dać upust swemu gniewowi, Valas kiwnął głową i rzekł:

- O wiele łatwiej było ci się stamtąd wydostać, kiedy nie musiałeś już uważać, żeby mnie przypadkiem nie trafić, prawda?

Ryld otworzył usta, uświadomił sobie, że Valas ma rację, i zamknął je z powrotem.

Kiedy już ruszyli jedną z głównych ulic, wojownik powiedział:

- W następnym miejscu siądziemy przy drzwiach.

Dopiero kiedy zauważył, że nie muszą przepychać się przez tłum, który sam się przed nimi rozstępował, uświadomił sobie, że wciąż trzyma w dłoni ociekającego krwią Rozpruwacza.

ROZDZIAŁ 8

- Tak, kapitanie Xornbane, zabijcie je - potwierdziła matka Faeryl i szare krasnoludy zaczęły podchodzić do Drisnil i Quenthel.

Obie drowki i draegloth, nie mogąc uciec, rozglądali się wokół siebie. Podczas gdy Jeggred kipiał z wściekłości, usiłując wyzwolić się z magicznych okowów, Quenthel i Drisnil wyglądały na oszalałe z rozpacz. Duergar, który przemówił, skinął dłonią i kilku kolejnych krasnoludów ruszyło w ich stronę z uniesionymi toporami.

- Zaczekajcie! - zawołała Faeryl, po czym nachyliła się, żeby przez chwilę porozmawiać szeptem z Ssipriiną. - Matko, nie zabijajmy jeszcze dwojga Menzoberranzańczyków. Chciałabym zachować ich przez jakiś czas przy życiu.

- Myślę, że to wyjątkowo fatalny pomysł - powiedział jeden z mężczyzn towarzyszących jej matce, również nachylając się ku niej.

Faeryl spiorunowała wzrokiem impertynenta, który, jak pamiętała, nie należał do rodziny, ale służył jej pilnie od kilku lat. Chyba nazywał się Zammzt. Zmarszczyła lekko nos, bo trudno go było nazwać przystojnym.

- Czy zawsze wtrącasz się do rozmowy, która nie jest przeznaczona dla twoich uszu? - zapytała ambasador.

Zammzt tylko się skłonił.

- Wybacz mi, ale działałam wyłącznie w interesie domu. Jeśli ten wywrotowy plan mający na celu obalenie domu Melarn ma się powieść, nie możemy pozostawić przy życiu nikogo, kto zna prawdę. Jeśli elfce albo demonowi uda się komuś przekazać - komukolwiek - co się tu dzisiaj wydarzyło, stracisz poparcie innych domów. Nikt nie poprze twojej kandydatury, matko opiekunko. To niepotrzebne ryzyko.

Matka opiekunka Zuavirr przez chwilę przyglądała się uważnie córce, po czym stwierdziła:

- W tym co mówi, jest sporo racji.

- Matko, uwierz mi - odparła Faeryl - nie będą mieli okazji się z nikim skontaktować. Dopilnuję tego.

Ssipriina kiwnęła w końcu głową.

- W porządku, chyba zasłużyłaś sobie na zemstę, ale musisz dopilnować, żeby z nikim nie rozmawiali, zwłaszcza z Halisstrą. Zrozumiano?

Zammzt cmoknął z niezadowoleniem, ale wiedział, że nie ma sensu się dłużej spierać. Przedstawił swój punkt widzenia i przegrał. Odszedł na bok, aby porozmawiać z jednym z czarodziejów.

- Oczywiście, matko - zapewniła Faeryl, którą rozpierała radość. - Rozumiem to aż nadto dobrze. Jeśli nasz plan ma się powieść, wszyscy muszą myśleć, że one dwie spiskowały ze sobą.

- Otóż to. Teraz muszę iść się przygotować. Wciąż mamy jeszcze wiele do zrobienia.

Z tymi słowami Ssipriina Zuavirr oddaliła się, a Zammzt dołączył do niej, żeby porozmawiać z nią na osobności.

Ambasador z powrotem podeszła do Quenthel.

- Widzisz, mistrzyni Baenre - odezwała się, podkreślając tytuł do granicy absurdu - tak naprawdę to nie my ukradliśmy towary należące do Czarnego Szpona. Wy to zrobiłyście. A przynajmniej tak to będzie wyglądało, kiedy doniesiemy matkom opiekunkom o potajemnym spotkaniu członkiń dwóch potężnych domów, które przeszmygłowały z Ched Nasad do Menzoberranzan rozpaczliwie potrzebne nam zasoby i gotowe były ukraść ich jeszcze więcej. Jestem pewna, że będą się zastanawiać, dlaczego matka opiekunka Melarn chciała odwrócić się od swojego miasta, ale niestety nie będą mogły jej o to zapytać, ponieważ opierała się nam i musieliśmy ją zabić.

Faeryl dała znak dowódcy duergarów i z przyjemnością obserwowała, jak trzy szare krasnoludy podchodzą do ofiary. Gdy skinęła głową, krasnoludy wzniosły topory i zadały ciosy. Za sobą usłyszała zduszony okrzyk sprzeciwu, który wyrwał się Quenthel, ale nie zadała sobie trudu, żeby się odwrócić.

Drisnil tylko stęknęła, gdy trzy topory opadły w dół, ale ostrza wgryzły się głęboko i gruba drowka wytrzeszczyła oczy z bólu i przerażenia, choć nie była w stanie zareagować w żaden inny sposób. Trzej duergarowie wyrwali topory z ciała ofiary i unieśli je do kolejnego ciosu, ale Faeryl powstrzymała ich gestem. Chciała patrzeć, jak Drisnil powoli umiera.

- Już nigdy nie spojrzysz na mnie z góry, ty gruba rothe.

Drisnil zamrugała i wybałuszyła czerwone oczy. Wydawała się błagać Faeryl o łaskę, ale młodsza

elfka stojąca z rękami na biodrach tylko się uśmiechnęła, patrząc, jak ściekająca krew matki opiekunki tworzy kałużę wokół jej nieruchomego ciała. Drisnil zadrżała, oczy zaczęły jej zachodzić mgłą. Przez chwilę gwałtownie łapała oddech, a potem przestała oddychać. Martwymi oczyma wpatrywała się w pustkę.

Faeryl odwróciła się do Quenthel, która stała tak, że widziała morderstwo. Wysoka kapłanka wyglądała na przerażoną i wściekłą jednocześnie. Ambasador podeszła bliżej do szlachetnie urodzonej Baenre i uśmiechnęła się.

- Oczywiście powie się im, że przyłapano cię na próbie ucieczki, choć ty i ja będziemy wiedziały, że było inaczej, przynajmniej przez jakiś czas. Ty i Jeggred zostanieiecie poddani torturom, tak jak ja w Menzoberranzan. Nie cieszysz się? Zamiast umrzeć od razu, posmakujesz gościnności domu Zuavirr, tak jak ja byłam podejmowana przez twoją siostrę.

Faeryl już się nie uśmiechała. Wreszcie wyrzuciła z siebie całą nienawiść, cały strach.

- A jeśli chodzi o ciebie, ty nikczemny, cuchnący bydlaku - zwróciła się do Jeggreda - dopilnuję, żebyś dowiedział się, czym jest prawdziwy ból.

Draegloth świdrował ją nienawistnym wzrokiem, ale siłą woli wytrzymała jego spojrzenie przez trzy długie oddechy, po czym odwróciła się.

- Gruherth! - zawołała, szukając wśród kręcących się w pobliżu drowów jednego ze swoich braci. - Chcę, żeby tych dwoje zostało przeniesionych - potajemnie, pamiętaj - do lochów domu Melarn.

Gruherth podszedł do niej i odparł:

- Będziemy potrzebować bezpiecznego środka transportu.

- Ja się tym zajmę - oświadczył jeden z magów, podchodząc do demona.

Wyciągnąwszy z kieszeni kilka przedmiotów, mag rzucił zaklęcie i wokół draeglotha pojawiła się wielka biała bańka. Na polecenie czarodzieja czterech strażników uniosło kulę - z zaskakującą łatwością, zauważyła Faeryl - i zaczęło przenosić ją do innej części magazynu.

Zaraz potem ten sam czar rzucono na Quenthel i czterech kolejnych drowów wyniosło również jej mlecznobiałą sferę.

Faeryl odwróciła się, szukając dowódcy duergarów.

- Kapitan... Xornbane, czy tak?

Szary krasnolud, który wydał rozkaz zabicia Drisnil, kiwnął głową.

- Z tego, co wiem, następny etap polega na przeniesieniu was do domu Melarn tak, żeby nikt nic nie zauważył.

- Zgadza się - powtórzył duergar, zakładając ręce na piersi.

- Czy zostały poczynione wszystkie przygotowania?

- Owszem - odpowiedział krasnolud, po czym odwrócił się i pomaszerował za matką Faeryl, zostawiając poirytowaną jego arogancją ambasador samą.

Znów pojawił się Gruherth.

- Jesteśmy gotowi do przeniesienia wszystkich do wnętrza domu Melarn - oznajmił siostrze. - Matka życzy sobie, żebyś znalazła się na przedzie, aby nie padły na nas żadne podejrzenia, w razie gdyby oddziały Melarnów znalazły się w zasięgu wzroku, kiedy zaczniemy już przechodzić przez portal.

Faeryl skrzywiła się, ale kiwnęła głową. Zapomniała, że kiedy ostatnim razem była w mieście, musiała spełniać każdą zachcianką matki. Było to jednak lepsze, zdecydowała, niż spełnianie każdej zachcianki Quenthel.

Znacznie lepsze.

* * *

Aliisza przebierała z rozkoszy palcami u stóp, przeciągając się na łóżku obok czarodzieja. Już od dawna nie czuła się tak dobrze i to nie tylko za sprawą przyjemności fizycznej. Ten Pharaun jest całkiem inteligentny, uznała, niepokorny i bystry jak na drowa.

- Dlaczego różnisz się tak bardzo od innych przedstawicieli swojej rasy? - zapytała alu, przewracając się na bok i przebierając alabastrowymi palcami po jego szczupłym, czarnym ramieniu, delektując się kontrastem barw. - Wszystkie mroczne elfy, z którymi miałam kiedykolwiek do czynienia, były takie stateczne i nudne. Ty zaś ciągle mnie rozśmieszasz.

Pharaun, leżący na plecach z rękami pod głową uśmiechnął się.

- Taki już mój pech.
Aliisza zmarszczyła czoło z zakłopotaniem i zapytała:
- Co takiego?
- Czy możesz sobie wyobrazić, jak muszę się czuć, przebywając przez cały czas wśród „statecznych i nudnych” drowów? - zapytał, siadając i krzyżując nogi. - Nikt nigdy nie docenia moich żartów. Robię dowcipne uwagi i albo zostaję obrzucony dziwnymi spojrzeniami, jeśli rozmawiam z mężczyznami, albo spiorunowany wzrokiem, jeśli przebywam wśród dam. To szalenie przygnębiające. Dlatego twierdzę, że to pech. Urodziłem się drowem, ale otrzymałem o wiele lotniejszy umysł niż większość przedstawicieli mojej rasy.
Aliisza zachichotała i oparła podbródek na obu dłoniach, spoglądając mrocznemu cifowi w czerwone oczy.
- Daj spokój - powiedziała. - Nie może być aż tak źle. Przynajmniej możesz pogadać z innymi drowami. Spójrz na mnie. Przez cały dzień poganiam stado tanarukków.
- O, tak, tanarukkowie. Kilka chrząknięć, obsceniczny gest i już opowiedzieli całą historię swojego klanu, tak?
Aliisza gruchnęła śmiechem.
- Nie są aż tacy straszni, ale z pewnością nie można się po nich spodziewać inteligentnych żartów. Nawet Kaanyr nie lubi poświęcać aż takiej ilości czasu na same... rozmowy... - Urwała, widząc, że czarodziej przestaje się uśmiechać i posępnieje. - Co znowu?
- Dlaczego musiałas o nim wspomnieć? Całkiem dobrze mi szło, dopóki nie wspomniałaś o swoim drugim kochanku. O takich rzeczach nie rozmawia się w łóżku.
- Przepraszam, to się już nie powtórzy - obiecała Aliisza. - Ale powiedz mi... jak to jest, że bez przerwy wyklócasz się z tą swoją kapłanką? Myślałam, że mroczne elfki nie tolerują tego typu zachowań.
Pharaun jęknął i opadł z powrotem na poduszkę.
- Coraz gorzej - jęknął, nie kierując tej uwagi do nikogo konkretnego. - Dlaczego poruszasz tak nieprzyjemne tematy? Torturujesz mnie! Czy byłem aż tak fatalny?
Aliisza klepnęła go w ramię, śmiejąc się.
- Po prostu odpowiedz na pytanie.
Pharaun przyjrzał się jej badawczo. Nagle nabrał podejrzeń.
- Dlaczego tak cię to interesuje?
Aliisza potrząsnęła głową.
- Bez konkretnego powodu. Z czystej ciekawości.
Pharaun przetoczył się na brzeg łóżka i zapytał:
- Dlaczego tu jesteś? To znaczy w Ched Nasad.
Aliisza nadąsała się na chwilę. Naprawdę nie miała zamiaru zdenerwować maga, a teraz musiała wymyślić jakiś sposób, żeby go znów uspokoić. Zdecydowała, że prawda, a przynajmniej jej część, będzie najlepszym lekarstwem.
- Ponieważ Kaanyr chce, żebym się dowiedziała, co się tutaj dzieje.
- Powiedziałaś mi, że już wiesz. Właściwie wytłumaczyłaś mi, co się dzieje. Czego jeszcze szukasz?
Niczego - odparła alu, wyciągając rękę, żeby pogłodzić palcami ramię drowa. - Zdobyłam już wszystkie potrzebne informacje. No, może powinnam jeszcze odwiedzić jedną z matek opiekunek, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy Kaanyra. Zawarli kiedyś umowę. Zostałam dłużej, bo ty tu jesteś.
Pharaun przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, a potem zachichotał i pokręcił głową.
- Wiedziałem, że to zły pomysł - powiedział w końcu. - Unikam matek opiekunek tego miasta jak ognia, a ty masz właśnie zamiar wpaść do jednej z nich. Nie najlepsza to dla mnie wróżba.
- Och, przestań - zirytowała się Aliisza, unosząc brew. - Nie powiem o tobie żadnej matce opiekunce. Nie chciałabym, żeby doszło to do wiesz kogo - znów się uśmiechnęła - choć nie wiem, jak chcesz uniknąć spotkania z matkami, skoro podróżujesz w takim, a nie innym towarzystwie.
- Masz na myśli Quenthel? To żaden problem. Wie, że dom Melarn nie zgodzi się, żeby zabrała dobra należące do towarzystwa kupieckiego z powrotem do Menzoberranzan, więc... - czarodziej urwał w pół zdania. - Nie powinienem ci tego mówić. Seks rzucił mi się na mózg.
Wpił wzrok w Aliiszę, jego czerwone oczy zamigotały.
Alu-demon odwzajemniła spojrzenie, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Co robisz? Zastanawiasz się, czy nie spróbować mnie zabić, żeby twój sekret mógł pozostać bezpieczny? - zapytała. Unosząc brew, odsunęła się od czarodzieja i oparła na łokciach, prowokacyjnie odchylając się do tyłu. - Mam lepszy pomysł - powiedziała, czując, że głos robi się jej ochryply od pożądania. - Naucz mnie lepiej jakiejś nowej magicznej sztuczki.

* * *

Pharaun zostawił Aliiszą z mieszaniną upojenia i strachu. Upojony satysfakcjonującym popołudniem spędzonym z alu, obawiał się, że za dużo jej zdradził. Chociaż przez cały czas powtarzał sobie, żeby mieć się na baczności, zdążył się kilka razy wygadać. Przebywanie z demonem uspiło jego czujność, tak że miał tylko niejasne poczucie zagrożenia, którego powinien być świadomy, ale nie był. Zgodnie z panującym zwyczajem drowy nigdy nie otwierały się przed demonami, a stosunki między nimi ograniczały się wyłącznie do interesów, jednak on dzielił z demonem łożę i zdradzał mu pilnie strzeżone tajemnice. Mimo to, choć rozrywka należała do ryzykownych, Aliisza była warta grzechu.

Pomimo dręczących go obaw ruszył szybkim krokiem w kierunku Płomienia i Żmii. Zdobył użyteczne informacje, którymi chciał się podzielić z resztą Menzoberranzańczyków, miał też zamiar wypróbować kilka czarów objawień, aby wyjaśnić choć trochę z tego, co działo się w Otchłani. Mogło mu jeszcze starczyć czasu, żeby spełnić prośbę Quenthel. Zapowiadał się naprawdę pamiętny dzień.

Pomimo uniesienia wciąż wyczuwał w powietrzu panujące w mieście napięcie i starał się unikać większych tłumów. Po doświadczeniach dnia poprzedniego Uważał wdawanie się w awantury z bandą niezadowolonych miejscowych za nierozsądne. Przez większość czasu lewitował więc z jednej dzielnicy do drugiej, całkowicie unikając zwapniałych pajęczych nici łączących poszczególne poziomy.

Po drodze zatrzymał się w obskurnym sklepie o nazwie Przyprawy Gauralta, w którym sprzedawano ponoć rzadkie komponenty do zaklęć. Valas wspomniał mu o nim rankiem, kiedy się rozstawali, i Pharaun znalazł go dokładnie tam, gdzie miał się znajdować według zwiadowcy. Oczywiście mógł nie dostać tego, co było mu potrzebne, ale Garault drow, który prowadził sklep był w stanie sprzedać mu cztery pałeczki kości słoniowej oraz specjalny rodzaj kadzidła, więc wnet ruszył w dalszą drogę.

W karczmie okazało się, że jego towarzysze jeszcze nie wrócili. Domyślał się, że próba zdobycia prowiantu i wierzchowców na podróż powrotną może zająć Ryldowi i Valasowi większość dnia, ale był nieco zdziwiony tym, że Quenthel, Faeryl i Jeggred jeszcze nie wrócili z magazynu. Nie był w stanie wyobrazić sobie, co mogło ich tam tak długo zatrzymać, ale było mu to nawet na rękę.

Gdyby tu była, przekonywał sam siebie, i tak znalazłaby coś, do czego mogłaby się przyczepić.

Zaczął układać w pamięci listę zaklęć, które chciał rzucić. Najpierw użyje nowych komponentów, żeby dowiedzieć się, kto próbował zabić Quenthel.

I zapewne zaproponować mu pomoc, dodał, szczerząc zęby.

Planował również zajrzeć do Pajęczyny Demonów.

Było to zaklęcie, którego kilkakrotnie używał w Menzoberranzan, jak na razie bez powodzenia, miał jednak nadzieję, że z dala od Miasta Pajaków da ono bardziej satysfakcjonujące rezultaty. Mistrz Sorcere nie miał żadnych podstaw, by tak sądzić, ale uważał, że i tak warto spróbować.

Pharaun wyjął cztery pałeczki kości słoniowej oraz kadzidło i usiadł, aby utkać czar. Rzucenie go było bardzo wyczerpujące i ograniczało dzienny limit zaklęć, ale jeśli wiedza, którą dzięki niemu zdobędzie, będzie miała się okazać użyteczna, gra była warta świeczki.

Mag ułożył cztery pałeczki na dywanie tak, aby tworzyły prostokąt, zapalił kadzidło i zamknął oczy. Czar tego nie używał często, w dodatku wymagał on starannej recytacji oraz zadawania precyzyjnych pytań. Nie wolno mu było popełnić żadnego błędu, ponieważ nie wiedział, kiedy nadarzy się kolejna okazja, żeby go rzucić.

Kiedy kadzidło już płonęło i zaklęcie zaczęło działać, Pharaun zadał swoje pytanie, błagając siły magii i plany egzystencji o sensowną odpowiedź.

- Wskaż mi wroga Quenthel Baenre z domu Baenre w Menzoberranzan, wroga, który stara się ją zniszczyć, który wzywa demony, aby zabiły ją w świątyni, którą rządzi.

Płonące kadzidło zamigotało i pokój napełnił się dymem. Po chwili w umyśle Pharauna pojawiła się odpowiedź, słowa wypowiedziane przez wiatr, a może przez sam Splot. Bez względu na to, skąd się wzięły, ich sens był dla Pharauna jasny.

- Osoba, która pragnie śmierci wysokiej kapłanki, jest tej samej krwi i jest równie ambitna. Wróg Quenthel pochodzi z tego samego łona, ale nie ma łona.

Pharaun zamrugał, omiatając wzrokiem zaciemniony pokój. Resztki kadzidła wypaliły się i spopieliły.

- Pochodzi z tego samego łona, ale nie ma łona. Nie siostra. Brat? Gromph! To musiał być...

Pharaun był zaskoczony nie tyle tym, że arcymag Menzoberranzan pragnął śmierci siostry, ale faktem, że nie wpadł na to wcześniej. Gromph mógł wiele zyskać, eliminując jedyną konkurentką do ucha Triel. Arcymag nie mógł zasiąść na tronie domu Baenre, ale mógł zostać pociągającym za sznurki mistrzem marionetek. Quenthel nie zgadzała się z niczym, co powiedział jej brat, i vice versa, było więc rzeczą oczywistą, że stała na przeszkodzie jego ambicjom.

Na dodatek Gromph znał osłony Akademii i potrafił wezwać demony, które ją zaatakowały. Talent taki posiadało niewielu magów, a przynajmniej niewielu, którzy mieli w tym jakiś interes. W Sorcere byli inni potężni czarodzieje i Pharaun domyślał się, że część z nich chętnie widziałaby na miejscu mistrzyni Akademii kogoś innego, ale to Gromph mógł na tym najwięcej zyskać.

Choć znał już odpowiedź, nie był pewien, co z nią począć.

Z jednej strony, rozmyślał, jestem tu z Quenthel. Czy odniosę jakieś korzyści, mówiąc jej o tym? Czy po prostu przypieczętuję mój los po powrocie do Sorcere? Jeśli powiem Gromphowi, że Quenthel próbuje dowiedzieć się, kto usiłował ją zabić, a nawet wyświadczę mu przysługę, wprowadzając ją w błąd albo zlikwiduję ją, podsunęła mu jakaś część umysłu czy moje notowania w Sorcere wzrosną, czy też arcymag nie będzie w stanie uchronić mnie przed gniewem Triel?

Oczywiście Pharaun wiedział, że większość jego decyzji zależy od tego, czy wrócą do Menzoberranzan, a on miał zamiar odwieść Quenthel od tego zamiaru. Wciąż istniało zbyt wiele zmiennych, zbyt wiele możliwych rozwiązań, żeby potrafił zdecydować, po której stronie stanąć. Mógł przez jakiś czas zwodzić Quenthel, grając na zwłokę. Nie mogła wiedzieć, czego potrzebował, żeby zdobyć informacje, na których jej zależało. Z tego, co wiedziała, mógł pracować nad zaklęciem, którego rzucenie trwało kilka dni, albo prowadzić negocjacje z jakimś żywiołakiem, próbując wytargować od niego rzucenie czaru, którego sam nie znał. Mógł okłamywać ją na wiele sposobów, żeby zyskać na czasie.

Na razie postanowił nie wspominać jej nic o swoim odkryciu i przekonać się, z której strony wieje wiatr. W odpowiednim czasie postara się wyciągnąć z całej tej sytuacji jakieś korzyści. Bez względu na wynik umocni swoją pozycję w Akademii.

Pharaun jeszcze przez chwilę odpoczywał na podłodze, zbierając siły po rzuceniu wyjątkowo męczącego zaklęcia, a potem włożył pałeczki kości słoniowej do kieszeni piwafwi.

Następnie wyjął z plecaka małe lusterko. Przez chwilę zastanawiał się, czy to samo zaklęcie, którego właśnie użył, aby ustalić tożsamość wroga Quenthel, nie byłoby bardziej na miejscu, ale nie mógł go rzucić po raz kolejny bez kilkugodzinnego odpoczynku i studiowania ksiąg. Utwierdziwszy się w podjętej decyzji, czarodziej zaczął recytować słowa potrzebne do aktywacji magicznego widzenia.

Mistrz Sorcere wiedział, że zaklęcie jest niebezpieczne. Próba spojrzenia na bóstwo bez pozwolenia mogła mieć katastrofalne konsekwencje. Niemniej jednak był zdecydowany spróbować, nawet tylko po to, żeby dowiedzieć się, co się dzieje pod nieobecność bogini. Czerpiąc ze wspomnień swego przedziwnego pobytu w Pajęczynie Demonów, dokończył zaklęcie i wbił wzrok w lusterko, które zamiast jego ciemnoskórej twarzy odbijało zamglony obraz jakiegoś innego miejsca.

Pharaun przez kilka minut wpatrywał się w magiczne zwierciadło w nadziei, że rozpozna coś w jego mrocznych głębinach. Nie widział nic. Rozkazał widmowemu oku, które znajdowało się na drugim końcu zaklęcia, żeby podплыnęło do przodu i rozejrzało się na wszystkie strony, próbując wypatrzeć cokolwiek stałego w bezkształtnej mgle.

Mag poczuł mrowienie, ostrzeżenie w głębi umysłu. Usiłował rozproszyć zaklęcie, zerwać połączenie z okiem na odległym końcu czaru i prawie mu się to udało, ale nie do końca. Strumień energii, który wystrzelił z lustra, wyrzynał w maga z ogromną siłą. Jednocześnie Pharaun wyczuł, że w dół zsuwa się ściana mocy, odcinając go od magicznego oka.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał na wznak, mrugając i usiłując skupić wzrok na suficie. Jęknął i usiadł, widząc, że został odrzucony ponad dziesięć stóp od lusterka. Stał na trzęsących się nogach i potykając się, doszedł do zwierciadła. Było popękane, jego powierzchnię pokrywała pajęczna sieć setek rys. Wpatrywał się w nic przez chwilę, zastanawiając się, czy ów wzór ma jakieś znaczenie, czy też jest

tylko zbiegiem okoliczności.

Cóż, oto odpowiedź na moje pytanie, pomyślał Pharaun. Zwykły śmiertelnik nie jest w stanie przeniknąć zasłony, która opadła na sześćdziesiąty szósty poziom Otchłani, ale może potrafi to wyższa istota.

Mistrz Sorcere pokręcił głową i westchnął, ostrożnie zbierając odłamki potłuczonego lusterka.

Po co się tak trudzę? - pomyślał, zastanawiając się, gdzie je wyrzucić. - Nadstawiam karku dla innych i mam z tego powodu same zmartwienia. Idę o zakład, że inne ludy nie zadają sobie tyle trudu, żeby wysledzić swoje bóstwa. Jestem pewien, że po prostu zagląдают do nich, kiedy tylko przyjdzie im na to...

Czarodziej zastygł na środku pokoju, w jego głowie zaczynał nabierać kształtów pewien pomysł. Mało brakowało, a palnąłby się w głowę.

No jasne, pomyślał. Przez cały czas byłem w błędzie. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Zadajemy złe...

Cisnął lusterko na podłogę, po której rozsypało się z brzękiem, i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, rozmyślając. W jego głowie zaczynał kielkować plan, który wprawiał go w podniecenie. Najtrudniejsze, uzmysłowił sobie, będzie przekonanie do niego Quenthel.

Wkrótce potem wrócili Ryld i Valas.

Jeden rzut oka powiedział czarodziejowi, że ich wyprawa zakończyła się nie tylko niepowodzeniem, ale i rozlewem krwi. Oba drowy miały ponure miny, były zakrwawione i posiniaczone. Valas utykał lekko, a Ryld nie był w stanie podnieść lewej ręki powyżej pasa. Prawie jak jeden mąż rzucili na ziemię swój ekwipunek i opadli na sofę.

- Rozumiem, że nie najlepiej wam poszło - skomentował Pharaun. - Żadnych szans na wywiezienie stąd dóbr Quenthel?

- Trzy miejsca - wymamrotał Valas. - Próbowaliśmy w trzech miejscach i wdaliśmy się w trzy bójki.

- Wygląda na to, że jucznych jaszczurów nie można dostać - dodał Ryld, przecierając oczy sprawną ręką. - Jeśli nawet, nikt nie chce ich sprzedać osobom z zewnątrz.

- Nietrudno mi w to uwierzyć - odparł Pharaun - skoro od tak dawna żadna karawana nie przybyła do miasta ani go nie opuściła. Wszyscy trzymają się kurczowo tego, co mają, usiłując przeczekać ciężkie czasy.

Pharaun zajął się wygładzaniem stroju. Obydwaj pozostali mężczyźni siedzieli nieruchomo.

- Zagram z tobą o to, kto ma jej o tym powiedzieć - zaproponował Valasowi Ryld. - Kamień, nóż i pergamin?

Zwiadowca potrząsnął głową.

- Niech czarodziej jej powie - rzekł, wskazując Pharauna. - Torturowanie jej wydaje się sprawiać mu ogromną przyjemność, więc co znaczy kolejna zła wiadomość z jego ust?

Ryld kiwnął głową, a Pharaun odkrył, że się uśmiecha.

- Na razie wszystkim nam się upiecze - powiedział mag. - Ona i pozostała dwójka jeszcze nie wrócili z magazynu.

- Naprawdę? - zdziwił się Valas, prostując się. - Byłem pewny, że wrócą przed nami.

Pharaun wzruszył ramionami.

- Ja również, ale żadne z nich jeszcze nie wróciło.

- Ja nie mam nic przeciwko - powiedział Ryld, opierając się o ścianę i zamykając oczy. - Im mniej muszę patrzeć na tego przeklętego draegloth, tym lepiej.

Pharaun wyduł usta, uświadamiając sobie, że to, co ma zamiar za chwilę zaproponować, może nie przypaść do gustu ani fehmistrzowi, ani zwiadowcy.

- Dowiedziałem się dzisiaj czegoś - oznajmił cicho.

Ryld otworzył jedno oko i spojrzał na czarodzieja.

- O?

Valas pochylił się do przodu na brzegu łóżka.

- Ustaliłeś, co się stało z Mroczną Matką?

Pharaun zachichotał.

- Nie do końca, ale dowiedziałem się, że jej zniknięcie nie ogranicza się jedynie do naszej rasy. Inne gatunki również odczuwają jej brak.

- Nie wiem, czy uznać to za dobrą, czy złą wiadomość - stwierdził zwiadowca, znów siadając prosto.
- Ani ja - zgodził się Pharaun - ale dowiedziałem się również, że coś broni nam dostępu do Pajęczyny Demonów. Próbowałem tam zajrzeć w nadziei, że dowiem się czegoś o stanie bogini o ile jeszcze istnieje - ale nie byłem w stanie. Jakaś bariera mi na to nie pozwala.
- Bariera? Mówisz teraz o rzeczach, z którymi nie miałem nigdy do czynienia - odezwał się Ryld. - Jakiego rodzaju bariera?
- Potężna. Mało brakowało, a starłaby mnie na proch - powiedział Pharaun z kwaśnym uśmiechem.
- Już wcześniej próbowałem to zrobić, nawet rozmawiałem o tym przed naszym wyjazdem z arcymagiem Menzoberranzan. Gromph napotkał podobne trudności.
- Brzmi to tak, jak gdyby Pajęcza Królowa nie chciała, żeby jej przeszkadzano - stwierdził Valas.
- Jeśli to ona za to odpowiada - odparował Ryld. - Może to inny bóg wznosił barierę, żebyśmy nie mogli jej zobaczyć.
- Otóż to! - potwierdził z zapalem Pharaun. - Z pewnością ktoś wie - albo może się dowiedzieć - to, czego my nie potrafimy dociec.
- Myślałem, że taki jest cel naszej misji... dowiedzieć się, co przytrafiło się Lolth - powiedział Valas. - Dlatego tu jesteśmy.
- Tak, masz rację - przytaknął Pharaun, kiwając głową - choć wygląda na to, że ta sprawa z magazynem pełnym magicznych zasobów wysunęła się na pierwszy plan. Mam jednak pewien pomysł, który pozwoli nam zająć się ponownie właściwym celem naszej ekspedycji. Chcę poszukać pomocy z zewnątrz.
- Pomocy? Czyjej? - Ryld również usiadł prosto.
- Zwykły śmiertelnik, nawet równie przenikliwy jak ja, nie jest w stanie przebić wzrokiem zasłony, która przykryła Pajęczynę Demonów. Coś usiłuje do tego nie dopuścić. Potrzebna nam pomoc, żeby dowiedzieć się, co tam się dzieje. Pomoc istoty innej niż my.
- Oba drowy wpatrywały się w czarodzieja z wyraźnym powątpiewaniem na twarzach.
- Nie masz chyba na myśli... - zaczął Ryld.
- Innego boga.
- Fechmistrz sprawiał wrażenie osłupiałego. Valas nic nie powiedział, ale mógł rozważać perspektywę takiego czynu - i jego konsekwencje.
- Może wyższa istota - ciągnął Pharaun - zamieszkująca jeden z poziomów Otchłani mogłaby dowiedzieć się czegoś więcej niż my, a może nawet już to zrobiła. Może udałoby się nam przekonać jedną z nich, żeby powiedziała nam, co się wydarzyło, albo co się dzieje wewnątrz. Nie bezpośrednio, ma się rozumieć - dodał pospiesznie - ale przez pośrednika... wyznawcę.
- Grasz w niebezpieczną i głupią grę, Pharaunie Mizzrymie - stwierdził Ryld, potrząsając głową. - Mroczna Matka może uznać to za bluźnierstwo, zdradę wiary.
- Albo pogratulować mi pomysowości i zapału, z jakim staram się dociec prawdy, bez względu na ryzyko. Możemy też przyznać się do porażki, wrócić do Menzoberranzan i siedzieć z założonymi rękami.
- Quenthel nie będzie zachwycona tym planem - ostrzegł Valas. - Najprawdopodobniej uzna go za osobistą zniewagę.
- Tak, cóż, Quenthel jest zbyt zajęta dbaniem o stan szkatuły domu Baenre, żeby spojrzeć na naszą sytuację z szerszej perspektywy. Zaczynam się zastanawiać, czy powierzenie jej kierownictwa wyprawy było najmądrzejszym wyborem... Nie gap się tak na mnie, Ryldzie... Od wyjazdu zakwestionowałeś kilka jej decyzji.
- Nie otwarcie. Nie prosto w oczy.
- Przecież teraz jej tu nie ma, prawda? Przyjacielu, igrzm z ogniem, wiem o tym, ale jeśli nie postąpię tak, jak mi serce dyktuje, zawiódę naszą rasę o wiele bardziej niż ona. Zadawałam się kontrolowaniem sytuacji zza kulis, pozwalając jej wierzyć, że nadaje nam tempo i kierunek, ale taka metoda wymaga cierpliwości, czasem bywa dość frustrująca, a także można ją przejrzeć. Miałbym o wiele większe szanse, gdybyśmy kierowali nią we trójkę. Przydałaby mi się wasza pomoc.
- Valas oparł brodę na dłoni, rozmyślając. Ryld potrząsnął głową, marszcząc brwi z troską.
- Walczysz przeciwko tysiącleciom tradycji i przyzwyczajęń, Pharaunie - powiedział fehmistrz. - Nie powiem, że uśmiecha mi się perspektywa powrotu do Menzoberranzan z niczym, ale uzurpując sobie władzę wysokiej kapłanki, możemy zobaczyć nasze głowy na parapetach domu Baenre.

- Czarodziej robi to już od kilkudziesięciu dni - zauważył Valas.
- Może, ale do tej pory sam występował przeciwko niej, nas w to nie wciągał.
Pharaun cmoknął ze złością.
- Naprawdę myślicie, że nie pociągnie do odpowiedzialności nas wszystkich, bez względu na stopień zaangażowania? - zapytał mistrz Sorcere. - Obarczy cię winą tylko dlatego, że jesteś mężczyzną, mistrzu Argith.
Ryld powoli skinął głową.
- Chyba masz rację - przyznał. - Wcale nie czuję się przez to lepiej.
- Nie proponuję, żeby ją związać i wrzucić do skrzyni, fechmistrzu. Proszę tylko, żebyście poparli mnie, kiedy wysunę jakąś propozycję, stanęli po mojej stronie, kiedy będziemy się spierać. Pomóżcie mi przekonać ją, że dalsze badania są mądrzejszym rozwiązaniem niż powrót do Menzoberranzan.
- To, co mówisz, ma sens - odparł Ryld - ale musimy znaleźć kogoś, kto zechce posłużyć za pośrednika. Znasz kogoś takiego?
- Ja znam - powiedział cicho Valas.
Pharaun ukucnął przed zwiadowcą i zapytał:
- Znasz? Kogo?
- Znam pewnego kapłana, wyznawcę Vhaerauna.
- Vhaerauna - powtórzył Ryld zgaszonym tonem. - Wątpię, czy otrzymamy od niego jakąś pomoc.
- Możliwe, ale Tzirik jest moim dawnym towarzyszem - odparł Valas. Widząc zaskoczoną minę Rylda, zwiadowca dodał: - Kiedy wędruje się po dzikich pustkowiach Podmroku tyle co ja, trzeba mieć o wiele bardziej pragmatyczne nastawienie niż w pieleszach Menzoberranzan. Tzirik Jaelre jest mi winien przysługę. Jeśli uda nam się do niego dotrzeć, myślę, że będzie w stanie nam pomóc. - Valas odwrócił się do Pharauna i dodał: - Zakładając, ma się rozumieć, że wiesz, co powinien zrobić, kiedy go już znajdziemy.
- Będę to wiedział, kiedy odnajdziemy kapłana - odparł Pharaun. - Na razie nic o nim nie wspominaj, dopóki nie poruszę tego tematu w rozmowie z Quenthel. W odpowiedniej chwili powiedz, że go znasz, a my przekonamy ją, że rozsądek nakazuje doprowadzić tą sprawę do końca.
- Miejmy nadzieję, że nastąpi on później niż prędeż - zauważył ponuro Ryld.

ROZDZIAŁ 9

Halisstra nie mogła oddychać. Krew pulsowała jej w uszach, przez co miała trudności ze zrozumieniem słów matki opiekunki Zuavirr. Zresztą i tak nie chciała słuchać.

- Chciałabym, żeby to była prawda, Halisstro, naprawdę bym chciała, ale nic nie da się zrobić. Przyłapałyśmy ją na gorącym uczynku, a kiedy doszło do konfrontacji, nie chciała się poddać. Twoja matka próbowała uciec, a żołnierze po prostu zrobili to, co do nich należało. Kiedy do niej dotarłam, nie mogłam jej już pomóc.

Halisstra potrząsnęła głową, usiłując wyrzucić z umysłu nienawistne jej słowa. Jej matka nie żyła. To nie była prawda. To nie mogła być prawda!

- Nie! - zawołała Halisstra, odpychając od siebie Danifae. Jej branka, cała w zwiewnych jedwabiach, wyciągała do niej ręce, usiłując ją pocieszyć. - Kłamiesz!

Spróbowała się wyrwać, wybiec z pokoju, ale wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte. Żołnierze matki opiekunki Zuavirr stali beczynnymi, jak gdyby byli tylko gośćmi w cudzym domu, ale zostali strategicznie rozmieszczeni przy drzwiach. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając wzrokiem jakichś żołnierzy należących do jej własnej rodziny, ale nigdzie nie było ich widać. Matka opiekunki Zuavirr dobrze zaplanowała sytuację, przekazując swoje druzgocące wieści z pozycji siły.

Halisstra osunęła się na podłogę, nie wiedząc, co robić. Danifae usiadła obok niej, przemawiając do niej czułymi słowami i usiłując ją uspokoić. Nie chciała się uspokoić. Chciała wymierzyć niewolnicy policzek, tak żeby przeleciała na drugą stronę pokoju, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Jeśli chciała wyjść cało z tej koszarnej sytuacji, potrzebowała pomocy branki. Musiała się zastanowić.

Nie chodziło nawet o to, że jej matka nie żyła. To, rzecz jasna, wcale jej nie zmartwiło. W innych okolicznościach byłaby tym zachwycona, ale okoliczności były takie, a nie inne. Jej matka została przyłapana na jawnej zdradzie swojego miasta, tak w każdym razie twierdziła Ssipriina, a Halisstra nie była w stanie odeprzeć jej argumentów, pomimo że sam ten pomysł był absurdalny. Jej matka nigdy nie poszłaby na takie ryzyko, a już na pewno nie pomagałaby obcym, bez względu na to, jak dobre byłyby stosunki pomiędzy ich domami. Nie wspominając już o tym, że szmuglowanie dóbr towarzystwa handlowego Czarny Szpon poza miasto zrujnowałoby dom Melarn. Nic by na tym nie zyskali, a mogli wiele stracić.

Oczywiście kiedy Ssipriina przybyła do sali audiencyjnej domu Melarn, usiadła na tronie Drisnil i ogłosiła te rewelacje, zawarta w nich była niewypowiedziana implikacja. Drisnil nie działała na własną rękę. Kiedy reszta rady się o tym dowie, prawdopodobnie uznają Halisstrę za współwinną zbrodni matki, uwiężą i stracą wszystkich członków rodziny, rozwiążą dom Melarn i podzielą między siebie jego majątek. Chyba że znajdzie jakiś sposób, by temu zapobiec.

Nie miała żadnych wątpliwości, że za tym wszystkim stoi czerpiąca korzyści z obalenia domu Melarn Ssipriina, i że drowka będzie chciała również wyeliminować Halisstrę. Halisstra musiała działać szybko, wiedziała jednak, że opiekunka nie ma najmniejszego zamiaru spuszczać z oka pierwszej córki domu Melarn. Jej jedyną szansą na uzyskanie pomocy było wysłanie po nią Danifae, a to było możliwe tylko pod warunkiem, że Ssipriina Zuavirr uwierzy, iż branka jest bardziej zainteresowana ocaleniem własnej skóry niż poparciem swojej pani.

Halisstra zerknęła na Danifae, biorąc głęboki oddech, aby się uspokoić, po czym zaczęła na migi przekazywać służącej znaki, robiąc to tak, żeby nikt niczego nie zauważył.

- *Musisz zwrócić się przeciwko mnie, przekazała. Przekonaj ich, że najchętniej widziałabyś mnie martwą. Potem znajdź pomoc, Idź do domu Maerett.*

Kiedy Danifae niemal niezauważalnie skinęła głową, Halisstra wymierzyła jej policzek. Mocno. Branka przewróciła się do tyłu i przejechała kawałek po podłodze. Rozwarła szeroko oczy, podnosząc dłoń do policzka, ale zanim otworzyła usta, psując cały efekt, Halisstra wydarła się na nią:

- Jak śmiesz proponować coś podobnego? Nigdy nie wzięłabym tego pod uwagę!

Czerwone oczy Danifae zwężyły się - Halisstra nie była pewna, czy ich jadowite spojrzenie było udawane, czy stanowiło część fortelu.

- Więc gnij w celi, dopóki nie zatkną twojej głowy na pal, pani. - Wstała, specjalnie rozmasowując pośladki i wygładzając zwiewne jedwabie, które bardziej odstaniały, niż zasłaniały jej krągłe kształty. - Jeśli ty nie chcesz, w takim razie ja to zrobię, żeby się uratować.

Danifae odwróciła się w stronę Ssipriiny i powiedziała:

- Pani Zuavirr, pokornie błagam o pomoc w uwolnieniu się od niej. - Ostatnie słowo wypowiedziała szyderczym tonem, wskazując kciukiem Halisstrę, która wciąż siedziała na posadzce. - Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia, które uznasz za wystarczająco satysfakcjonujące, żeby zwolnić mnie ze służby.

Ssipriina wodziła wzrokiem od stojącej przed nią branki do szlacheckiej córki na podłodze, mrugając z zaskoczenia wywołanego tym wybuchem. Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zaraz zamknęła je z powrotem.

Danifae, korzystając z jej milczenia, podjęła:

- Właśnie zaczynam sobie przypominać rozmowy z panią Halisstrą, które mogą ją obciążyć. Gdybym mogła zostać przez chwilę sama w jej komnacie, zdobyłabym jeszcze więcej dowodów na to, że wiedziała wcześniej o tym haniebnym, zdradzieckim czynie.

Spojrzała z góry na Halisstrę ze znaczącym uśmieszkiem na twarzy.

Chociaż wiedziała, że jej służąca odgrywa tylko rolę - a przynajmniej taką miała nadzieję - Halisstra zadrżała na widok miny Danifae. Nie musząc wcale udawać przestraszonej, córka Drisnil wzięła kolejny głęboki oddech.

- Matko opiekunko - rzekła Halisstra - zapewniam cię, że nie miałam wcześniej pojęcia o żadnych knowaniach mojej matki. Moja branka okłamuje cię, usiłując ocalić swoją bezwartościową skórę poprzez pograżenie mnie swoimi fałszywymi oskarżeniami. Nie możesz brać na poważnie słów branki wojennej. Powie wszystko, byle tylko zobaczyć mój koniec.

Ssipriina przyglądała się Halisstrze jeszcze chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem.

- To jasne, głuptasie, ale jest mi to bardzo na rękę. - Matka opiekunka odwróciła się do Danifae, uśmiechnęła się i powiedziała: - Może uda nam się dojść do porozumienia. Idź sprawdzić, co uda ci się znaleźć.

Danifae uśmiechnęła się i ukloniła głęboko matce opiekunce Zuavirr, po czym odwróciła się, żeby odejść. Obracając się na pięcie, rzuciła Halisstrze drwiące spojrzenie.

Odprowadzając wzrokiem plecy swojej służącej, Halisstra usłyszała, jak Ssipriina bierze głęboki oddech.

- Co tu z tobą zrobić... - powiedziała matka opiekunka wyjątkowo nieprzyjemnym tonem.

* * *

Faeryl Zuavirr pochyliła się nad swoją więźniarką, uśmiechając się z zachwytem. Koralki wilgoci lśniące na czole Quenthel Baenre spływały jej strużkami do oczu, zmuszając ją do bezustannego mrugania. Usta zastygły jej w grymasie bólu i cierpienia, choć z wepchniętym głęboko do gardła kołkiem obciążonym skórą rothe trudno jej było przybrać inny wyraz twarzy. Wędzidło pozostawało na miejscu dzięki plecionemu sznurkowi zawiązanemu ciasno na szyi. Długie białe włosy otaczające jej głowę były zmierzwione i rozrzucone po blacie, na którym leżała.

Faeryl odsunęła się od ławy, na której rozciągnięto Quenthel. Ciało wysokiej kapłanki było napięte jak struna instrumentu i pokryte warstewką potu, który lśnił w świetle żarzących się węgla, ale Faeryl wciąż nie była zadowolona.

- Może powinniśmy znów użyć igieł - zastanawiała się na głos ambasador. - Tak dobrze pasują pod paznokcie palców u stóp, a tyle przy tym zabawy.

Quenthel stęknęła i potrząsnęła głową, wytrzeszczając oczy.

- Nie? Więc może tu znajdzie się coś, co dostarczy mi rozrywki - powiedziała Faeryl, podchodząc do jednego z koszy i porządkując w nim narzędzia. - Część już całkiem ładnie się żarzy. Słyszałam, że te tępo zakończone nadają się świetnie do wypalania oczu.

Stękanie nasiliło się i podniosło o oktawę.

Faeryl z powrotem przysunęła twarz do twarzy Quenthel, ale już się nie uśmiechała.

- To dopiero początek, mistrzyni Baenre - prychnęła, znów przeciągając tytuł. Sarkastyczny ton zaczynał wchodzić jej w nawyk. - Mamy przed sobą tyle czasu, ile dusza zapagnie, a ja chcę mieć pewność, że doświadczysz każdej najdrobniejszej „uprzejmości”, jaką wyświadczył mi Jeggred.

Quenthel zamknęła oczy, a z jej zakneblowanych ust wydobył się stłumiony jęk.

Faeryl wydawało się, że wysoka kapłanka się trzęsie, a może po prostu drżały jej napięte od tak dawna mięśnie. Zachichotała i odwróciła się, żeby przyjrzeć się drugiemu więźniowi.

Jeggregd został przywiązany do grubej kolumny, zwoje łańcucha opasywały go od kostek po brodę. Więzy były tak ciasne, że draegloth mógł ruszać wyłącznie głową, którą rzucał na boki, usiłując się uwolnić. Warknął, gdy Faeryl spojrziała na niego.

- O, wiem - zagruchała, podchodząc bliżej. - Chcesz mnie wypatroszyć, prawda? Chcesz przelać moją krew i tańczyć w niej.

- Umrzesz powolną, bolesną śmiercią - zaryczał demon. - Osobiście tego dopilnuję.
Faeryl zamachała dłonią przed nosem.

- Przestań tyle gadać, nikczemny bydlaku. Masz cuchnący oddech.
Jeggregd tylko warknął.

Faeryl wbiła w niego wzrok.

- Pamiętaj, co mi robiłeś? - Prawie się wzdrygnęła, ale udało jej się zapanować nad sobą. - Zamierzam ci za to odpłacić... za wszystko. A kiedy skończę, odeślę twoje truchło Triel.

Jeggregd uśmiechnął się.

- Nawet nie rozumiesz sposobów zadawania bólu. Moje zabiegi były zaledwie ich częścią, a ja nawet nie zauważę tego, co jesteś sobie w stanie wyobrazić.

- Doprawdy? - odparła Faeryl, wydymając usta. - Zobaczmy. Moi doradcy powiedzieli mi, co czujesz, a czego nie. „Jest odporny na kwas i ogień, nie ucierpi też od zimna i pioruna”, powiedzieli. Ale znajdziemy coś. O tak. Może dźwięk, hm? Musi być coś, czego nie lubisz, a kiedy dowiem się, co to, będziemy się tym rozkoszować w nieskończoność. Obiecuję ci.

Na kamiennej posadzce obok wejścia rozległo się miękkie stąpanie. Faeryl odwróciła się z irytacją, żeby sprawdzić, kto ją nachodzi. Był to Zammzt.

- Czego chcesz? - zapytała.

Wiedziała, że przyszedł z rozkazu jej matki, która bez wątplenia wzywała ją do siebie. Nie była tym zachwycona, a choć nie mogła wyrzucić swojego gniewu na matkę, mogła z łatwością wyładować go na tym brzydaku. Mroczny elf ugiął kolano i pochylił lekko głowę.

- Proszę o wybaczenie, pani Zuavirr, ale twoja matka życzy sobie, żebyś niezwłocznie znalazła się w sali audiencyjnej.

- To jasne - burknęła Faeryl. - Gdy tylko podejrzewa, że jestem zajęta, zaraz znajduje mi coś do roboty.

Kiedy Zammzt zawahał się przez ułamek sekundy, zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- No i na co czekasz? - zapytała. - Powiedz jej, że już idę!

Zammzt pospiesznie opuścił salę tortur i zniknął za rogiem.

Faeryl znów zainteresowała się Quenthel.

- Zaraz wrócę i znów się tobą zajmę - powiedziała - a wtedy chciałabym wypróbować te igły jeszcze raz. Może tym razem paznokcie u rąk?

Związana postać rozciągnięta na ławie zaskowyczała.

- Świetnie. Cieszę się, że tobie też podoba się ten pomysł.

* * *

Danifae Yauntyrr nie liczyła na to, że matka opiekunka Zuavirr pozwoli jej poruszać się swobodnie po całym domu, i jej podejrzania potwierdziły się. Kiedy wychodziła z sali audiencyjnej, rzucając Halisstrze ostatnie szydercze spojrzenie, zauważyła, że Ssipriina skinęła nieznacznie głową dwóm strażnikom stojącym przy drzwiach. Kiedy wyszła na zewnątrz, żołnierze dyskretnie ruszyli za nią. Branka wydeła usta, nieco zawiedziona, ale czego innego mogła się spodziewać? Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Musiała ciągnąć dalej to przedstawienie.

Ignorując dwóch żołnierzy domu Zuavirr, którzy za nią szli, Danifae skierowała się w stronę prywatnych komnat Halisstry, gdzie sypiała, aby móc spełniać wszystkie zachcianki szlachetnie urodzonej elfki. Zgadywała, że strażnicy nie będą na tyle natrętni, żeby wejść za nią do środka, i intuicja znów jej nie zawiodła. Przeszła przez drzwi i zamknęła je za sobą. Kiedy została sama, zaczęła przechadzać się po pokoju, rozważając różne wyjścia z sytuacji.

Halisstra właśnie dostarczyła swojej służącej doskonałej okazji, żeby ta mogła wyzwolić się spod jej władzy. Danifae śmiech ogarniał na myśl o naiwności swej pani, która myślała, że Danifae ucieknie, aby próbować ją ocalić. Po dziesięciu latach służby u Halisstry Danifae niczego nie pragnęła bardziej, niż

uwolnić się od przeklętej elfki. Niczego nie pragnęła bardziej, niż powrócić do Eryndlynu. Problem polegał na tym, że dopóki istniała magiczna więź łącząca ją z Halisstrą, nie była pewna, czy uda jej się uwolnić, nawet z pomocą Ssipriiny Zuavirr. Prawdę mówiąc, podejrzewała, że kiedy rzeczywiście zwróci się przeciwko Halisstrze i dostarczy matce opiekunce „dowody” winy córki Drisnil, Ssipriina po prostu pozwoli jej umrzeć razem z Halisstrą.

Danifae wiedziała, że najpierw musi odzyskać wolność, nie licząc przy tym na niczyją pomoc. Ale jak?

Nienawidziła więzi łączącej ją z Halisstrą, a ta działała z przewrotną skutecznością. Choć Danifae tak naprawdę w to nie wierzyła, czasem żałowała, że więź nie sprawuje całkowitej kontroli nad jej umysłem, zamiast tylko ograniczać jej zdolność do oddalania się od Halisstry. Powtarzała sobie, że lepiej byłoby służyć córce Melarnów jako bezmyślne zombi, zamiast dobrowolnie spełniać jej życzenia, aby uniknąć konsekwencji pozostawiania zbyt długo z dala od swej pani. Przywiązywało ją to do Halisstry równie pewnie, jak gdyby ich nadgarstki łączył łańcuch.

W pierwszych latach niewoli Danifae rozpaczliwie pragnęła udusić swoją panią, ale śmierć Halisstry spowodowałaby jej własną, która nadeszłaby w powolny, dojmująco bolesny sposób. Na tym polegała więź. Utrzymywała ją przy życiu tak długo, jak chciała tego Halisstra. Odległość nie miała znaczenia, ale w chwili, w której Danifae zlekceważyłaby życzenia Halisstry i poszła swoją drogą, elfka bez wątpienia pozwoliłaby jej uschnąć jak grzyb, któremu odcięto grzybnię. Wystarczyło rozgniewać mroczną elfkę, by jedna jej myśl uśmierciła Danifae. Na Mroczną Matkę, jak ona tego nienawidziła.

Magia wiążąca była Danifae obca. Drowka nie wiedziała, w jaki sposób zerwać więź, ani czy może to zrobić ktokolwiek poza Halisstrą. Ryzyko przyłapania było zbyt wielkie, by próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie, poza tym Halisstra rzadko spuszczała służącą z oka. Ponieważ Halisstra została aresztowana, Danifae trafiła się doskonała okazja, żeby dowiedzieć się, co można zrobić, ale czas naglił. Halisstra musi umrzeć, chyba że Danifae uda się przekonać Ssipriinę Zuavirr, żeby rozwiązać jakoś jej problem, ale branka wątpiła, by matka opiekunka kiwnęła choćby palcem, żeby jej pomóc, choć obiecała złożyć zeznania obciążające Drisnil Melarn. Danifae pozostawało tylko jedno wyjście - uratować Halisstrę.

Niech będzie przeklęta! - wrzasnęła w duchu branka, siedząc na sofie swojej pani i uderzając pięścią w poduszkę. Kobieta chciała wypruć z niej wypełnienie, ale długie lata życia w strachu przed karą nauczyły ją panować nad emocjami, więc powstrzymała się. Wzięła głęboki oddech na uspokojenie i zastanowiła się nad sytuacją.

Kolejny problem polegał na tym, że nawet gdyby udało jej się jakoś wyciągnąć Halisstrę - a tym samym siebie - z tego bagna, życie, jakie obie do tej pory wiodły, mogło się skończyć. Nawet gdyby przeżyły zamach, gdzie miałyby się podziąć? Bez błogosławieństw Lolth była to wyjątkowo niewesoła perspektywa.

Podjąwszy decyzję, Danifae postanowiła ustalić, którzy członkowie domu Melarn są wciąż wierni Halisstrze. Najpierw wzięła pod uwagę strażników. Wszyscy zniknęli, a ona domyślała się dlaczego. Ssipriina z pewnością dotarła do nich i złożyła im standardową ofertę - albo przejdą na stronę domu Zuavirr, albo zostaną zwolnieni lub usunięci. Wątpiła, by ostali się jeszcze tacy, którzy poparliby Halisstrę, ale musiała ich poszukać.

Danifae otworzyła drzwi prowadzące na korytarz i z lekkim zaskoczeniem odkryła, że dwaj strażnicy, którzy jej towarzyszyli, zniknęli. Przypuszczała, że uznali, iż tak długo, jak dom jest zamknięty, nie będzie próbowała żadnych sztuczek, i postanowili znaleźć sobie coś bardziej interesującego do roboty.

Tylko ułatwili mi sprawę, pomyślała, uśmiechając się, i wysliznęła się z komnaty.

Pospiesznie ruszyła w drogę.

* * *

Sala audiencyjna domu Melarn wyglądała mniej więcej tak, jak spodziewała się Faeryl. Jej matka siedziała na ogromnym tronie ustawionym na podwyższeniu, otoczona swoimi doradcami, zaś żołnierze domu Zuavirr rozproszyli się po całej komnacie. Faeryl była ciekawa, jak jej matka zdołała przejąć kontrolę nad salą audiencyjną bez wdawania się w spory ze strażnikami domu Melarn. Kłamstwa, jakich im naopowiadała, musiały trafić im do przekonania.

- Tu jesteś - powiedziała ze zniecierpliwieniem Ssipriina. - Podejdz. Chcę, żebyś jeszcze raz przedstawiła mi swoją wersję wydarzeń, zanim pojawią się pozostali.
Faeryl westchnęła, ale posłusznie podeszła do tronu.
- Matko, zapamiętałam wszystkie szczegóły. Myślę, że dam radę...
- Będziesz powtarzać wszystko od początku dopóty, dopóki ja nie będę tego pewna, ty niewdzięcznico! Skończysz, kiedy ja ci pozwolę.
Jej matka zbyt dobrze czuła się na tronie, który prezentował się zdecydowanie lepiej niż jakikolwiek sprzęt w ich posiadłości. Na tym polegała różnica między kupieckim a szlacheckim domem. Faeryl pragnęła wrócić do lochów, gdzie mogła w spokoju dyrygować swoimi podopiecznymi. Nie znosiła wykonywać poleceń matki. Jeśli chodziło o jeńców, nawet w małym stawie to ona była grubą rybą. Zawsze tak było. W magazynie, gdzie nadzorowała transport więźniów, to ona za wszystko odpowiadała, choć trwało to krótko. Pod czujnym okiem matki znów była rozkapryszonym dzieckiem.
- Faeryl marzyła, żeby któregoś dnia przejąć władzę, ale ponieważ była czwartą córką domu i została wysłana do Menzoberranzan, aby reprezentować domy Zuavirr i Melarn, rozumiała, jak niewielkie ma szanse znaleźć się na szczycie. Nawet gdyby udało jej się zasiąść na tronie, który Ssipriina Zuavirr miała nadzieję zagarnąć dzięki umiejętnemu pokierowaniu wydarzeniami dnia dzisiejszego, Faeryl wciąż musiałaby odpowiadać przed innymi.
- A więc - zaczęła Ssipriina, zaginając palec przy każdym punkcie - zostałam zmuszona przybyć tu wraz z Quenthel i pozostałymi. Przy pierwszej możliwej okazji zawiadomiłam mnie, co planuje dom Baenre. Zastawiliśmy na nich pułapkę i dopiero wtedy odkryliśmy, że w całą sprawą zamieszana była Drisnil. Zrozumiałaś?
- Tak, matko - odparła posępnie Faeryl.
- Dobrze. Kiedy dotrą tu matki opiekunki, schodź im z oczu, dopóki ciebie nie wezwę. Zrozumiałaś?
- Tak, matko.
- Przestań. To dziecinne i świadczy o rozkapryszaniu.
Faeryl zmarszczyła brwi, ale zacisnęła usta.
- Tak lepiej - powiedziała Ssipriina. - Teraz powinniśmy jak najszybciej wezwać tu tych mężczyzn. Zammzt, myślę, że to robota dla ciebie.

* * *

- Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Pharaun spodziewał się zobaczyć Quenthel. Było już późno i mistrz Sorcere zaczynał się zastanawiać, czy wysokiej kapłance i dwójce jej towarzyszy nie przytrafiło się coś nieprzewidzianego. Jednak kiedy otworzył drzwi, zaskoczył go widok nieznanego i raczej niezbyt przystojnego elfa w barwach szlacheckiego domu.
- Wybacz mi, proszę, to najście - powiedział elf - ale szukam czarodzieja Pharauna Mizzryma, wojownika Rylda Argitha i Valasa Hune.
Pharaun stał niewzruszenie pomiędzy gościem i wnętrzem pokoju, nie pozwalając mu zajrzeć do środka. Słyszał, że za jego plecami Valas i Ryld dobywają broni.
 - Kim jesteś? - zapytał czarodziej, zastanawiając się, które z czarów, jakimi wciąż dysponował, wystarczą mu do obrony przed ewentualnym atakiem.
 - Nazywam się Zammzt. Przychodzę z polecenia matki opiekunki Ssipriiny Zuavirr z domu Zuavirr, matki opiekunki Melarn z domu Melarn, a także Quenthel Baenre z domu Baenre. Czy należysz do wymienionej trójki?
 - Być może - odparł Pharaun, oceniając zagrożenie, jakie stanowi nieznanemu. Drow emanował kilkoma magicznymi aurami. - To zależy od powodu, dla którego ich szukasz.
 - Mistrzynie Quenthel jest gościem pani Drisnil Melarn z domu Melarn. Mam zaprosić was na bankiet wydawany na waszą cześć.
 - Jak uroczo - zakpił Pharaun. - Zakładam, że możesz nas tam również zaprowadzić?
 - W rzeczy samej, mistrzu, hm...
Mag przewrócił oczyma.
 - Pharaun. To ja jestem czarodziejem.
 - Oczywiście, mistrzu Mizzrym. Polecono mi odprowadzić was do domu Melarn.

- Rozumiem. Czy możesz dać mi chwilę na doprowadzenie się do porządku? Nie chciałbym uczestniczyć w uczcie na moją cześć w takim stanie - powiedział czarodziej, wskazując swoje piwafwi.
- Oczywiście, mistrzu Mizzrym. Jak sobie życzysz. Kolacja nie zacznie się bez was.
- Wspaniale - odparł Pharaun. - Daj mi chwilę, a zaraz wyjdziemy. Możesz poczekać na nas w sali na dole.

Z tymi słowami zamknął drzwi i odwrócił się do towarzyszy.

- Albo została złapana, albo uznała, że obsługa karczmy źle ją traktuje - powiedział Valas, marszcząc brwi.

Tak czy owak, dobrze nam to nie wróży - dodał Ryld. - A ja właśnie zaczynałem doceniać fakt, że nie muszę tańczyć, jak mi jakaś matka opiekunka zagra.

- Cóż... co w takim razie robimy, drodzy panowie? - zapytał ich Pharaun. - Okno czy uczta?

Ryld i Valas spojrzeli po sobie.

W końcu Valas westchnął.

- Uczta.

Doskonale - rzekł Pharaun - ale najpierw chciałbym przyjrzeć się moim grimuarom. Mam przeczucie, że nim noc dobiegnie końca, będę potrzebował trochę czarodziejskiej mocy.

Tak, myślę, że to rozsądne - zgodził się Valas. - Ryldowi i mnie przydałaby się odrobina magii uzdrawiającej, jeśli to w ogóle możliwe.

Może przeszukajcie pokój kapłanek i spróbujcie coś znaleźć? - podsunął Pharaun. - Wiem, że Quenthel miała różdżkę, ale pewnie zabrała ją ze sobą. Może uda się wam znaleźć jakieś eliksiry.

Zwiadowca kiwnął głową i razem z Ryldem wysłiznął się z pokoju.

Pharaun otworzył swój plecak i wyciągnął z niego księgi z zaklęciami, które leżały na samym wierzchu. Właśnie to kochał w swojej magicznej torbie. To, czego akurat potrzebował, zawsze leżało na wierzchu. Usiadł, aby je przekartkować.

Czarodziej nie był w stanie przypomnieć sobie wszystkich inkantacji, które rzucił w ciągu dnia, ponieważ potrzebował kilku godzin odpoczynku, aby jego ciało wystarczająco się zregenerowało, ale rankiem przezornie postanowił poczekać z zapamiętaniem całej treści zaklęć, miał więc możliwość wybrania czterech czy pięciu, które mogły się najbardziej przydać.

Jakiego rodzaju czary, zastanawiał się Pharaun, będą przydatne podczas uczty?

Dokonał wyboru i przystąpił do ich zapamiętywania.

Niemal godzinę później mistrz Sorcere podniósł głowę znad ksiąg, słysząc, że dwa elfy wracają do pokoju.

- Doskonałe wycucie czasu - powiedział. - Jestem już chyba gotowy. Poszczyściło się wam?

Musieliśmy trochę poszperać - odparł Ryld - ale udało nam się znaleźć w rzeczach Quenthel dwa eliksiry. To kolejna rzecz, którą, jak ustaliliśmy, powiesz jej, kiedy ją znów zobaczymy.

Pharaun zachichotał.

Muszę przyznać, że wypicie ich dobrze wam zrobiło. Prezentujecie się o wiele lepiej niż jeszcze godzinę temu. Zatem jesteście gotowi?

Tak mi się wydaje - rzekł Valas. - Przeprowadziliśmy szybką inspekcję zajazdu i wygląda na to, że nasz towarzysz jest sam. Jak dotąd nie zauważyłem niczego podejrzanego.

W takim razie proponuję wyruszyć natychmiast - zarządził mistrz Sorcere. - Umieram z głodu i chętnie napiłbym się czegoś lepszego od berbeluchy, którą kupiliśmy wczoraj wieczorem.

Ryld i Valas wymienili spojrzenia i cała trójka ruszyła do wspólnej sali. Drow, który twierdził, że nazywa się Zammzt, czekał tam na nich cierpliwie, ale Pharaun poznał po jego minie, że zaczynał się już trochę denerwować.

Pewnie zastanawiał się, czy nie daliśmy nogi, pomyślał czarodziej. Martwił się, co powie matce opiekunce, kiedy będzie musiał jej zameldować, że nie chcieliśmy współpracować.

Spacer do domu mógłby być nawet przyjemny, uznał Pharaun, gdyby po ulicach nie wałęsały się bandy rozwścieczonych miejscowych. Dwa razy musieli salwować się ucieczką w boczną uliczkę albo lewitować na inny poziom, żeby nie porwała ich fala awanturników. W pewnej chwili Pharaun myślał już, że będzie musiał utorować sobie drogę przez tłum błyskawicą albo kulą ognistą, ale na szczęście nie doszło do tego. Aby za nimi nadążyć, Valas musiał korzystać z pozawymiarowego portalu. Umożliwił mu to przedmiot, o którego istnieniu Pharaun do tej pory nie wiedział.

- Wiesz - rzekł mag, gdy wznosili się ku najwyższym poziomom miasta, gdzie mieściły się

najwspanialsze posiadłości szlacheckie. - Szczerze wątpię, czy zostaniemy na cały wieczór.

- Myślisz, że w mieście robi się zbyt niebezpiecznie? - zapytał kwaśno Valas. - Gdybyśmy się nad tym wcześniej zastanowili, spakowalibyśmy bagaże i zabrali je ze sobą.

Pharaun zwolnił na chwilę, rozważając słowa zwiadowcy, ale zaraz ruszył dalej, mówiąc:

- Tak, masz rację, ale jeśli okoliczności na to pozwolą, mogę później wrócić po nie sam.

W końcu cztery drowy dotarły do domu Melarn, imponującego wybrzuszenia w górnej części miasta. Budynek wystawał ponad poziom ulicy, a także zwisał pod nią, zajmując wznwyż i wszsz powierzchnią kilku przecznic. Pharaunowi przypominał jakąś ogromną cystę, co, jak przypuszczał, było zamysłem architektów, którzy go zaprojektowali.

Lepiej żeby jedzenie i trunki były tego warte, pomyślał czarodziej, wdychając i wchodząc do środka za pozostałymi. W tej chwili wygląda jak więzienie.

* * *

Postać, jaką przybrała Aliisza, budziła w niej odrazę, wydawała się wstrętna i ordynarna. Oczywiście każdy ork, który ją widział, musiał ją uznać za piękną, ale alu-demon uważała całą ich rasę za odpychającą. Wybór tej a nie innej postaci miał jednak swoje dobre strony.

W tej chwili miał taką zaletę, że Pharaun nie mógł jej rozpoznać. idąc pajęczymi ulicami Ched Nasad za czarodziejem i jego dwoma towarzyszami, których prowadził czwarty drow - którego uznała za nieszczerólnie atrakcyjnego - nie chciała, żeby jej kochanek ją zauważył. Jako przedstawicielka niższej rasy nie zwracała też na siebie uwagi tak jak mroczna elfka. Miejscowe drowy mogły przewyższać liczebnością przedstawicieli innych ras razem wziętych, ale wyglądało na to, że obawiają się wychodzić same na ulicę, a choć Aliisza nie obawiała się o swoje bezpieczeństwo, uważała, że najlepiej będzie nie rzucać się w oczy.

Poza tym odkryła, że pod postacią orczyca może podsłuchiwać znacznie bardziej interesujące rozmowy. Niższe istoty milkły lub zaczynały szeptać, kiedy dojrzały w pobliżu drowa, ale nie uważały już tak bardzo na to, co mówią, kiedy była to tylko orczyca, choćby nawet wyjątkowo urodziwa. Aliisza rozumiała oczywiście, dlaczego.

Wszędzie, gdzie szła, rozmawiano o rebelii albo inwazji. Połowa miejscowych uważała, że kryzys w Mieście Połyskliwych Pajęczyn to świetna okazja, by raz na zawsze położyć kres rządóm mrocznych elfów, podczas gdy druga połowa była zdania, że już ktoś inny się tym zajął i wszyscy pozostali mieszkańcy będą musieli za to zapłacić. Jedna rzecz pozostawała niezmienna, bez względu na to, jakie opinie wygłaszano - wszyscy uważali, że mroczne elfy są same sobie winne.

To drowy, słyszała, rozgniewały Lolth. Bogini odwróciła się od miasta, które teraz było zdane tylko na siebie. Inni twierdzili, że Lolth stała się słaba i bezsilna z powodu samozadowolenia swoich wyznawców, co pozwoliło innym bóstwóm zmiądzzyć ją, kiedy się tego najmniej spodziewała. Najbardziej intrygująca była oczywiście ta plotka, która wydawała się najświeższa. Według tej rozchodzącej się lotem błyskawicy pogłoski matki opiekunki odkryły w swoim gronie zdrajczynię, która spiskowała z wysoką kapłanką spoza miasta, aby doprowadzić Ched Nasad do ruiny...

Historia ta miała z tuzin wariantów. Zdraycy zadawali się z demonami, sami zdrajcy byli demonami, zdrajcy okradali miasto, zdrajcy przygotowywali się do ataku na miasto...

Aliisza nie wątpiła, że historia ta jest prawdziwa, ponieważ podejrzewała, że ową wysoką kapłanką jest Quenthel. Elfka z Menzoberranzan musiała zostać przyłapana, kiedy przeprowadzała swój żalósny plan, ten, o którym Pharaun nie chciał rozmawiać. Aliisza była ciekawa roli, jaką plotka przypisywała Pharaunowi, a przynajmniej tego wszystkiego, co dotyczyło matki opiekunki. Alu zastanawiała się, czy Pharaun dał się wciągnąć w wir wydarzeń, czy też popołudnie spędzone wraz z nią - zadrzała z rozkoszy na to wspomnienie - pozwoliło mu tego uniknąć.

Nawet jeśli do tej pory nie został uwikłany w knowania matek opiekunek, w końcu musiało to nastąpić. Wiedziała to z całą pewnością, bowiem zdążyła się napatrzeć, jak polityczne machinacje jej pobratymców wciągają w swą sieć nawet najbardziej odporne istoty. Pharaun miał w nadchodzących wydarzeniach rolę do odegrania, zarówno ze względu na swoją ciekawską, energiczną naturę, jak i na związek z kapłanką, do której miał taki swobodny stosunek.

Bez względu na to, czego chciał, towarzyszył mu jakiś nieznajomy, ktoś należący do szlacheckiego domu, sądząc po insygniach na piwafwi, ale nie odniosła wrażenia, że mag działa pod

przymusem. Może nie wiedział, co się dzieje. Aliisza musiała to jeszcze przemyśleć. Jedno było pewne - plotka miała na miejscowych bardzo zły wpływ.

Aliisza wiedziała, że to, czy Pharaun zostanie pojmany, nie powinno jej obchodzić. Ich związek służył obopólnej satysfakcji, ni mniej, ni więcej. Romans stanowił przyjemną odmianę, ale od początku wiedziała, że wróci do markiza, zawsze miała taki zamiar. Pharaun również o tym wiedział, i właśnie fakt, że nie przeszkadzał mu nieformalny charakter ich „przypadkowego spotkania” na ulicy, czynił go tak smakowitym kąskiem.

Jednak alu przejmowała się losem drowa, w każdym razie na tyle, by zastanawiać się, czy nie powinna sprawdzić, czy nie jest mu potrzebna jej pomoc. Aliisza przypuszczała, że po prostu nie jest jeszcze gotowa, żeby z niego zrezygnować.

Wiedziała również, że nie jest to jedyny powód, dla którego nie wróciła jeszcze do Ammarindaru, aby poinformować Kaanyra Vhoka o wszystkim, czego dowiedziała się do tej pory. Przyczyną mogło być niezwykle nagromadzenie widoków i dźwięków, które ją wciąż pociągało. A może jedyne w swoim rodzaju uczucie, jakiego doświadczała za każdym razem, kiedy podziwiali ją przedstawiciele rasy, w którą się wcieliła. Już zbyt długo odmawiała sobie tej przyjemności. Chciała również zobaczyć, co się dalej wydarzy. Wyczuwała w powietrzu napięcie i chciała być świadkiem przemocy, chaosu, gdyby rzeczywiście do czegoś doszło. Ched Nasad dojrzało już do tego. Całe miasto dosłownie wrzało.

Czterej mężczyźni, których śledziła, poruszali się swobodnie, jednak cały czas starali się unikać największych tłumów i nigdy nie zatrzymywali się na dłużej w pobliżu bocznych uliczek czy wąskich przejść. Dla Aliiszy było rzeczą jasną, że starają się zachować ostrożność. Kilka razy ominęli najgorszy ścisk, lewitując lub używając magicznych portali, z których ona i Pharaun korzystali od czasu do czasu. Zawędrowała za nimi do wyższych dzielnic miasta i wkrótce stało się dla niej jasne, że aby móc ich nadal śledzić, musi się zatrzymać albo zmienić postać. Tak wysoko przebywało niewiele orków, więc w swojej obecnej postaci zwracałaby na siebie uwagę.

Przybierając z powrotem postać drowki, w którą wcielała się już wcześniej, ruszyła dalej za czterema elfami, aż dotarli przed ogromny szlachecki dom, do którego mężczyźni weszli.

Aliisza znalazła sobie zaciszne miejsce na szczycie budynku po przeciwnej stronie ulicy i usadowiła się wygodnie, czekając.

ROZDZIAŁ 10

Khorrl Xornbane wiedział, że wiercenie się to zły znak, ale nie był w stanie zapanować nad sobą. On i jego klan czekali w ukryciu od tak dawna, że siedział jak na szpilkach. Ukrywanie kilku tysięcy duergarów nigdy nie było proste, ale próba ukrycia ich w środku miasta pełnego drowów miała fatalny wpływ na stan jego nerwów. Cieszył się, że czekanie już się kończy.

Do tej pory wszystko przebiegało stosunkowo łatwo i bezboleśnie. Zastawienie w magazynie zasadzki na matkę opiekunkę i jej eskortę było dziecinnie proste. Najwidoczniej drowka za bardzo ufała tej drugiej opiekunce i musiała za to zapłacić. Był ciekawy, czy ktoś odnalazł już ciała jej żołnierzy i doradców. Wiedział, że musi to wkrótce nastąpić. Zapach rozkładających się ciał musiał kogoś zwabić.

Khorrl i jego duergarowie ukrywali się w nieużywanym skrzydle rezydencji, w koszarach, gdzie nie stacjonowali chwilowo żadni żołnierze. Doprowadzało to Khorrla do szaleństwa. Jego strażnicy ani razu nie donieśli mu, by ktokolwiek choć zbliżył się do komnat, w których czekał ze swoimi ludźmi, ale gdyby ktoś ich znalazł, cały plan wiałby w łeb.

- Kapitanie - usłyszał znajomy głos dobiegający z końca magazynu.

Khorrl poczuł, że serca zaczyna mu walić jak młotem. Zammzt wyszedł z cienia z kwaśnym uśmiechem na twarzy.

- A więc? - zapytał duergar.

- Otrzymaliśmy rozkazy - odparł Zammzt. - Czas wziąć się do roboty.

Khorrl zatarł z radością dłoń. Wreszcie. Jeszcze raz powtórzył w myślach cały plan, jednocześnie wydając rozkazy. Zammzt zniknął w cieniu, z którego wyszedł.

Prawdziwa walka miała się dopiero rozpocząć.

* * *

Faeryl była tym wszystkim coraz bardziej znudzona. Chciała, żeby matki opiekunki przyjęły do wiadomości wersję wydarzeń wyłożoną im tak starannie przez jej matkę, uznały dom Melarn winnym zdrady, rozwiązały go i awansowały dom Zuavirr, aby Ssipriina Zuavirr mogła zasiąść w radzie. Ale oczywiście nie mogło się obejść bez kłótni. Faeryl przypuszczała, że obchodziłoby ją to bardziej, gdyby mogła więcej zyskać, ale wiedziała, że matka wciąż będzie nią dyrygować - a nią jeszcze ktoś inny, nawet jeśli nie będzie to Drisnil Melarn.

Zawsze jesteś czymś popychadłem, pomyślała Faeryl, bez względu na to, jak wysoko zajdziesz. Nawet Triel Baenre musiała posłusznie spełniać kaprysy Lolth, a możliwe, że nawet sama Mroczna Matka została zmuszona...

- Faeryl, przestań marnować nasz czas i zacznij uważać! - warknęła Ssipriina, wrywając Faeryl z zadumy.

- Przepraszam, matko - odpowiedziała młodsza drowka z rozgoryczeniem.

Faeryl skupiła uwagę na toczącej się rozmowie, bo matki opiekunki przestały wreszcie mówić wszystkie naraz.

- Powiedziałam - oznajmiła Inidil Mylyl, wymawiając to słowo z emfazą, żeby do wszystkich obecnych dotarło, że jest poirytowana koniecznością powtarzania się - że wysłuchanie całej historii po raz kolejny pomogłoby nam zrozumieć, jak coś podobnego mogło się wydarzyć tuż pod naszym nosem. Może Faeryl zechciałaby poświęcić nam jeszcze chwilę, aby to wyjaśnić.

Faeryl jęknęła w duchu. Już trzy razy tłumaczyła się tym matkom opiekunkom, które przybyły jako pierwsze. Nie zadowolili ich niektóre fragmenty jej opowieści, więc musiała opowiedzieć wszystko jeszcze raz tym matkom opiekunkom, które nie wiedzieć czemu postanowiły się spóźnić. Oczywiście były to najpotężniejsze drowki w Ched Nasad, przywykłe do tego, że każą na siebie czekać, i niechby tylko ktoś spróbował mieć im to za złe. Wychodząc ma środek komnaty, Faeryl poczuła mdłości.

- Tak, oczywiście, matko opiekunko Mylyl - odpowiedziała najuprzejmiej, jak potrafiła.

W przeciwieństwie do zebranej w sali szlachty dom Zuavirr wciąż niewiele znaczył i mógł zostać pociągnięty do odpowiedzialności za wszystko, co Faeryl zrobiła i powiedziała do tej pory. Zawstydzenie własnej matki na oczach jej przełożonych nie mogło pomóc Faeryl w objęciu wyższego stanowiska. Ambasador wiedziała, że zarówno ton jej głosu, jak i wyjaśnienia muszą być idealnie wyważone.

- Aby wszystko było jasne - podjęła - zacznę od tego, że dom Zuavirr reprezentuje niektóre interesy

domu Melarn, a ja reprezentuję dom Zuavirr w imieniu domu Melarn w Menzoberranzan. Służę - a raczej służyłam - jako ambasador na dworze samej Triel Baenre. Kiedy pojawiły się trudności, dotknęły one również, o czym już wiecie, Menzoberranzan. Zaniepokojona tym, a także ustaniem ruchu towarowego pomiędzy oboma miastami, poprosiłam matkę opiekunkę Baenre, żeby pozwoliła mi wrócić, gdyż miałam nadzieję dowiedzieć się, co się stało. Triel odmówiła i w praktyce umieściła mnie w areszcie domowym, z jakich powodów, nigdy się nie dowiedziałam. W końcu, kiedy spróbowałam opuścić miasto na własną rękę, uwięziła mnie. Choć nie dążyłam do pogorszenia stosunków między naszymi domami a domem Baenre, pozostałam wierna wyłącznie własnej rodzinie i tym rodzinom, którym służymy tu w Ched Nasad. Wydano rozkaz stracenia mnie za zdradę, ale na szczęście do egzekucji nie doszło. W pewnej chwili Triel zmieniła zdanie i postanowiła wybaczyć mi grzechy, które ponoć popełniłam. Poleciała mi wyruszyć wraz z jej siostrą, Quenthel Baenre, i kilkoma innymi osobami w podróż do Ched Nasad, aby wznowić stosunki handlowe i spróbować zdobyć więcej informacji na temat, hm...

- Dziecko, wszyscy wiemy, że Lolth zniknęła. Nie musisz unikać tego tematu. - Powiedziała to matka opiekunka Aunrae Nasadra, niekoronowana królowa Ched Nasad, przywódczyni najpotężniejszego domu w mieście. Faeryl przełknęła ślinę, gdy Aunrae dodała: - Przejdź do rzeczy.

Ambasador skinęła głową i ciągnęła dalej:

- W Menzoberranzan doszło do powstania, niewolniczej rewolty wspieranej przez siły z zewnątrz. Opanowanie go pochłonęło znaczną część magii objawień tamtejszych kapłanek. Matka opiekunka Triel wysłała nas tutaj, żeby ustalić, czy zniknięcie Lolth ogranicza się do Menzoberranzan, czy też dotknęło wszystkie plemiona drowów, ale chciała też, żeby Quenthel postarała się zdobyć wszelkie magiczne zasoby, jakie uda jej się tu znaleźć. Quenthel i Triel najwyraźniej rozumowały w następujący sposób - skoro dom Baenre posiada częściowe udziały w towarzystwie handlowym Czarny Szpon, wszystko, co jest przechowywane w magazynach zgodnie z prawem należy do jej miasta. Kiedy za pośrednictwem brata i jego magicznych kontaktów byłam w stanie przekazać to mojej matce, wspólnie zastawiłyśmy pułapkę na Menzoberranzańczyków, chcąc przyłapać ich na gorącym uczynku. Dopiero kiedy wszyscy przybyliśmy do magazynu, okazało się, że przybyszom pomaga matka opiekunka Melarn. Doszło do konfrontacji między nimi obiema i moją matką i matka opiekunka Melarn próbowała uciec.

Kiedy skończyła, uświadomiła sobie, że resztę wyjaśnień wyrzuciła z siebie w takim tempie, iż brakuje jej tchu. Matka opiekunka Aunrae działała w ten sposób na wszystkich.

- Drisnil została zabita podczas próby ucieczki - dodała Ssipriina, znów skupiając na sobie uwagę. - Zrobiłabym wszystko, żeby ją oszczędzić, gdybym dotarła do niej na czas, ale było już za późno, a moja magia jest zbyt słaba, żebym mogła pokonać śmierć.

- A więc pozwoliliście im wśliznąć się do miasta, a nawet posunęliście się do tego, żeby wprowadzić w błąd miejski patrol?

Matką opiekunką, która zadała to pytanie, była Jyslin Aleanrahel. Drowka miała ostre, niemal dzikie rysy twarzy, a jej opinia złośliwej, chciwej elfki, która wszystkiego się czepia, była już legendarna. Faeryl nigdy jej nie lubiła, ale nie mogła się z tym zdradzić.

- Z pewnością zostali tu przysłani, żeby nas szpiegować - podjęła Jyslin - a ich bajeczka o odbudowaniu kontaktów była po prostu kłamstwem mającym na celu wprowadzenie cię w błąd. Śmiem twierdzić, że mężczyźni, którzy wciąż poruszają się swobodnie po mieście, nawet teraz przesyłają swoim przełożonym poufne informacje, zwłaszcza jeśli czarodziej jest tak uzdolniony, jak twierdzisz. Liczyłam, że okazesz się mądrzejszą dziewczynką i przeszkodzisz im w dostaniu się do miasta, ale chyba nie można wymagać od ciebie zbyt wiele.

- To głupie - odezwała się Umrae D'Dgttu, matka opiekunka drugiego pod względem potęgi domu w mieście. - Wysłuchałyśmy całej historii, niektóre z nas nawet kilkakrotnie. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że dom Zuavirr miał na uwadze wyłącznie dobro Ched Nasad. Zgłaszam wniosek o natychmiastowe rozwiązanie domu Melarn.

Faeryl wiedziała, że Umrae jest jedną z tajnych sojuszniczek Ssipriiny. O to chodziło. Zaczynały przetwarzać informacje, dając jej matce to, czego chciała. Rozwiązanie domu Melarn było pierwszym krokiem do przyznania Ssipriinie miejsca w radzie.

- Zgadza się - powiedziała Ulviirala Rilynt, kolejna z czterech drowek przekupionych przez jej matkę. - Zdrada domu Melarn wydaje mi się dość oczywista.

Faeryl zerknęła na Ssipriinę, która usiłowała nie uśmiechać się zbyt szeroko.

- Bardziej interesuje mnie wiarygodność tej historii - odezwała się Lirdnolu Maerett. - Jak dotąd

poznałyśmy tylko fantastyczną opowieść Ssipriiny i jej córki, ale żaden neutralny obserwator nie potwierdził jej prawdziwości. Dom Zuavirr może wiele zyskać dzięki śmierci Drisnil i jej rodziny. Dla dobra miasta nie chciałabym od razu zakładać, że mówią prawdę.

- Racja - zgodziła się Jyslin Aleanrahel. - Wysłuchajmy, co ma do powiedzenia córka Drisnil.

Faeryl otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz zamknęła je z powrotem. Matki opiekunki dobrze znały skłonność drowów do intryg, a to było wyzwanie, przed którym ostrzegła ją Ssipriina. Wiedziała, że niektóre opiekunki będą chciały poznać całą prawdę i będą się starały zarzucić domowi Zuavirr kłamstwo, a w przypadku sojuszniczek domu Melarn - obarczyć całą winą Ssipriinę. Matka pouczyła Faeryl, żeby uzbroiła się w cierpliwość. Kiedy ich nowi wrogowie się ujawnią, albo podjęta decyzja nie będzie po myśli domu Zuavirr, do akcji miała wkroczyć ich tajna armia najemników.

Z lochów pod pałacem przyprowadzono Halisstrę Melarn, aby odpowiedziała za zbrodnie swojej matki. Drowka niemal siłą została wprowadzona do komnaty przez dwie strażniczki. Wcześniej zdarto z niej eleganckie odzienie i ubrana była tylko w cienką koszulę. Kobieta omiotła spojrzeniem pomieszczenie, badając wzrokiem twarze zgromadzonych, może szukając u nich współczucia lub poparcia.

Krażyły pogłoski, że Halisstra ma pewną słabość - nigdy nie zdradzała tego rodzaju ambicji, jakie jej matka chciała widzieć u swoich córek. Bardziej interesowało ją, sugerowały owe plotki, włóczenie się ze swoją branką, Danifae, po dzielnicach nędzy, gdzie korzystała z atrakcyjnego wyglądu służącej, aby przyciągnąć mężczyzn. Byli nawet tacy, którzy szeptali, że w innych okolicznościach matka opiekunka Melarn wyrzuciłaby ją z domu. Faeryl wiedziała, że pogłoski o wałęsaniu się po slumsach są prawdziwe i to podsunęło jej pewną myśl.

Rozłożyła bezradnie ręce, jak gdyby przyznawała się do popełnienia błędu.

- Proszę, żebyście wybaczyły nam wszelkie niedociągnięcia naszego planu, o matki opiekunki - powiedziała cicho. - Jestem tak samo jak wy rozgoryczona faktem, że dom w naszym ukochanym mieście spiskował z cudzoziemcami naszym kosztem. Teraz przypominam sobie dodatkowe dowody obciążające, które mogą położyć kres tej debacie.

- Co takiego? - zapytała Ssipriina i pochyliła się do przodu, najwyraźniej obawiając się, że córka zrukuje misterną sieć kłamstw, którą tak starannie uplotła.

Faeryl umyślnie zignorowała matkę.

- Co masz na myśli? - zapytała Jyslin, mrużąc oczy.

Faeryl była pewna, że ma przewagę. Choć nie wspomniała o tym wcześniej - było to kłamstwo, które przyszło jej do głowy pod wpływem chwili - Jyslin w żaden sposób nie mogła jej zarzucić, że opuściła ten fragment za pierwszym razem. Faeryl mogła udać, że przypomniła sobie o tym dopiero teraz.

- Tylko to, że zaraz po przekroczeniu bram miasta miałam szczęście zauważyć panią Halisstrę i jej towarzyszkę, Danifae Yauntyrr. Byłam zaskoczona, widząc je w tak podłej części miasta, jednak uznałam to za łut szczęścia. Dołożyłam wszelkich starań, żeby znaleźć się w ich polu widzenia, aby widziały, że to ja, i zauważyły, że towarzyszą mi cudzoziemcy. Byłam pewna, że mnie dostrzegły, nawet przesłałam Danifae na migi krótką wiadomość, ale albo mnie nie poznała, albo nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że tam były. Odwróciły się wraz z Halisstrą i zniknęły w tłumie. Wówczas nie dało mi to do myślenia, ale teraz dociera do mnie, że musiały się tam pojawić, żeby dać Quenthel i pozostałym jakieś znaki.

Halisstra zrobiła wielkie oczy, słysząc oskarżenia Faeryl. Zaczęła bełkotać, usiłując znaleźć słowa na swoją obronę.

- Ja... my nigdy... Matki opiekunki, zapewniam was, że nigdy nie widziałyśmy ambasador i jej towarzyszy w niższych partiach miasta. Jestem niewinna zarzucanych mi zbrodni.

Faeryl uśmiechnęła się do siebie. Halisstra wyraźnie nie zaprzeczyła, że tam była. Faeryl ryzykowała, zakładając, że dwie elfki przebywały w tamtej okolicy w ciągu kilku ostatnich dni, ale opłaciło się. Niepożądana uwaga skupiła się na Halisstrze.

- Może się myłę - wtrąciła szybko Faeryl. Uśmiechnęła się do Halisstry, która w odpowiedzi posłała jej mordercze spojrzenie. - Panował tam straszny ścisk, pełno było uchodźców i nisko urodzonych mężczyzn oddających się hulankom, więc łatwo zrozumieć, że tylko wydawało mi się, iż Danifae wpadła w oko komuś z mojej drużyny. Pewnie szukaliście kogoś innego.

Faeryl była tak zachwycona własną przebiegłością, że miała ochotę się uśmiechnąć. Wycofując

się, przyznając do błędu, podwójnie obciążyla Halisstrę. Ziarno wątpliwości zostało zasiane w umysłach wszystkich opiekunek, a im mniej przekonywała je do tej teorii, tym większe było prawdopodobieństwo, że w nią uwierzą - taka była natura drowów. Tym, które chciały wierzyć w niewinność Halisstry, pozostawał tylko jeden powód, dla którego znalazła się w tak nieodpowiedniej części miasta. Tak czy owak, stawiało to córkę Zdrajczyni w niekorzystnym świetle.

Ssipriina odwróciła się w stronę Jyslin Aleanrahel i powiedziała:

- Matko opiekunko, zajmuję się wyłącznie handlem, nie przywykłam do machinacji wyższej szlachty. Gdybym przewidziała, jak bardzo będziecie niezadowolone, wymyśliłabym lepszy sposób poradzenia sobie z sytuacją kryzysową. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że weźmiecie pod uwagę to, iż działałam w interesie Ched Nasad, mając zawsze na względzie jego dobro.

Po sali przeszedł ogólny pomruk, matki opiekunki zaczęły dyskutować, bez wątpienia roztrząsając dodatkowe dowody winy domu Melarn, jakich dostarczyła w swej krótkiej przemowie Faeryl. W najgorszym wypadku sugestia, że Halisstra zadawała się z mężczyznami z gminu, oznaczała, iż jej haniebne zachowanie najgorszego rodzaju czyniło ją niegodną rządzenia szlacheckim domem. Fakt, że połowa tych oskarżeń okazała się prawdą, sprawiał, iż cały ten incydent wydawał się Faeryl jeszcze słodszy - po prostu cieszyła się, że to nie ona jest elfką, na którą wszyscy patrzą z góry.

- Wystarczy! - krzyknęła Aunrae Nasadra, stukając pokrytą runami laską w podłogę. Nawet podczas takiego nieplanowanego spotkania najpotężniejsza matka opiekunka wzbudzała powszechny szacunek - cała sala umilkła. - Z powodu takich właśnie bzdur utraciliśmy łaskę naszej bogini. Jak możemy oczekiwać, że Lolth zwróci na nas uwagę, skoro tracimy tyle czasu i energii na tak absurdalne dyskusje, jak kto wdepnął w największą kupę gówna? - Matriarchini przechadzała się pomiędzy zgromadzonymi, wodząc po nich wzrokiem. - To, czy potomstwo domu Melarn ma ochotę kurwić się z pospółstwem w najciemniejszych zaułkach Ched Nasad, nic mnie nie obchodzi.

Faeryl rzuciła okiem na Halisstrę, która opuściła głowę ze wstydem.

Matka opiekunka Nasadra nie zwracała uwagi na żadną z nich.

- Na ulicach większość drowów nie jest bezpieczna - oznajmiła. - Wszystkie wiemy, że musieliśmy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności, żeby móc się tu dostać. Nasze miasto znajduje się na skraju katastrofy, opiekunki, a my musimy siedzieć tu i dyskutować o losie szlacheckiego domu, na tyle wysoko postawionego, by mieć miejsce w radzie. Ssipriina zaproponowała, żeby rozwiązać dom Melarn i złożyć Halisstrę oraz resztę cudzoziemców w ofierze, aby obłaskawić tłumy i Mroczną Matkę. Choć nie wiemy, dlaczego nasza ukochana Lolth gniewa się na nas, tego że się gniewa, jesteśmy pewne. Czy to pomoże? Czy to przywróci nam jej błogosławieństwo? Jeśli ukarzymy zdrajców dla przykładu i pozwolimy patrzeć na to całemu miastu, czy na jakiś czas uspokoi to mieszkańców? Być może, ale ważniejsze jest to, czy zadowolili was? Czy powrócicie do waszych domów zadowolone, że jeden z domów upadł i że hierarchia uległa przetasowaniu? Są rzeczy bardziej kruche niż spokój naszego miasta, ale jest ich niewiele. Działanie na własną niekorzyść, choć leży w naszej naturze, jest nie na miejscu w sytuacjach kryzysowych.

- A co, jeśli towarzysze kapłanki Baenre wiedzą o czymś? - zapytała Halisstra. - Co, jeśli mają jakieś pojęcie o tym, co dolega Mrocznej Matce? Jeśli po prostu mnie zabijecie, dostaniecie to, czego chcecie - o jeden dom mniej na drodze do władzy ale jeśli zabijecie ich, jako szpiegów lub w ofierze, możecie stracić cenne informacje.

- Siedź cicho, dziewczyno! - syknęła Ssipriina. - Już i tak musimy się przez ciebie wstydzić. Nie myśl sobie, że uda ci się umknąć przed sprawiedliwością, jeśli będziesz teraz udawać wierną poddaną. Już na to za późno.

Halisstra nie dała się jednak zbić z tropu - ciągnęła dalej, ignorując ponure spojrzenia matek opiekunek.

- A jeśli czarodziej coś odkrył? - pytała. - Faeryl mówiła nam już, że jest sprytny i że nie wahał się narazić Quenthel. Nie zdziwiłabym się, gdyby wiedział więcej, niż utrzymuje. Po co go zabijać, skoro może zechcieć z nami pertraktować? Czy byłby skłonny wyjawić swoje sekrety? Może nawet za zapłatą? Są wśród was osoby, które nie chcą usłyszeć, co ma do powiedzenia. Może zdemaskować kłamstwa, które opowiadałyście o mnie i mojej matce.

Aunrae uśmiechnęła się.

- Powiedz mi, dziecko, czy sądzisz, że Lolth obdarzyłaby taką wizją mężczyznę? Myślisz, że pozwoliłaby chłopcu, choćby i najmądrzejszemu, odkryć tajemnicę jej milczenia?

- Znalazłyśmy się w rozpaczliwej sytuacji, matko opiekunko, sama to powiedziałaś. Nie odrzucałabym żadnej drogi odkupienia, choćby wydawała się najbardziej szalona. Ja nie mam wielu możliwości ocalenia życia. Sama jestem w rozpaczliwej sytuacji. Bez względu na to, czy chcesz go przesłuchać, proszę tylko, żeby zeznawał jako świadek. Jego słowa mogą potwierdzić moją niewinność.

Faeryl sposepniała. Nie podobało jej się to, do czego prowadziły słowa Halisstry. Zaczynała dochodzić do wniosku, że błędem było rozpoczynanie całej akcji przed ujęciem, albo, jeszcze lepiej, zabiciem Pharauna i pozostałych. Może mogła jeszcze dotrzeć do niego, zanim pozostałe elfki będą miały okazję z nim pomówić, zając się tym samemu, w ten czy inny sposób. Może wtedy matka przestałaby ją traktować jak dziecko.

Aunrae kiwnęła głową, wydymając usta, jak gdyby rozważała słowa młodszej drowki.

- Grasz o życie, Halisstro Melarn, ale twoje argumenty nie są pozbawione sensu. Zaczekamy z wydaniem wyroku na ciebie, dopóki nie wysłuchamy wszystkich stron. A co do „sprytnego chłopca” - kiedy przyjdzie tu do nas, kiedy znajdzie się w naszych rękach, wyciągniemy z niego wszystkie informacje, jakie posiada, nic mu za nie, nie płacąc. Coś mi się wydaje, że Quenthel Baenre nie trzymała swojego czarodzieja wystarczająco krótko. Nie zamierzam popełnić tego samego błędu.

- Matko opiekunko Nasadra! - zawołał z końca pomieszczenia Zammzt, który właśnie wszedł do środka. - Już tu są.

* * *

Pharaun, Ryld i Valas zostali wpuszczeni do środka i zaprowadzeni do sali przeznaczonej dla petentów oczekujących na posłuchanie, miejsca dobrze im wszystkim znanego, które bynajmniej ich nie uspokoiło. Zostali sami, a raczej towarzystwa dotrzymywali im tylko strażnicy rozstawieni przy wszystkich wyjściach. Pharaun dla zabicia czasu zaczął się przechadzać po komnacie, podziwiając liczne freski i posągi przedstawiające głównie motyw pajaków, pajęczyn i chwały mrocznych elfów. Było tam również wiele instrumentów muzycznych, ale niektórych nawet nie rozpoznawał. Mistrz Sorcere przypuszczał, że spora część tych dzieł sztuki ma jakiś związek z historią domu Melarn, ale jego zdaniem było w tym zbyt wiele przepychu i pompy. Ryld i Valas naradzali się tymczasem, najprawdopodobniej zastanawiając się, co zrobić, gdyby sprawy poszły nie po ich myśli.

Kiedy podwójne drzwi na końcu komnaty zostały otwarte, Pharaun zobaczył nie jedną, ale kilka drowek - był pewien, że wszystkie są matriarchiniami - czekających w wielkiej sali audiencyjnej. Towarzyszyli im czarodzieje, żołnierze i młodsze elfki, wszyscy w barwach domów. Pharaun zauważył, że część z nich otaczają magiczne osłony i inne zaklęcia.

- Dobry wieczór i witajcie w domu Melarn - odezwała się władcym tonem wysoka i szczupła drowka spoczywająca na tronie. - Jestem matka opiekunka Ssipriina Zuavirr.

Pharaun skłonił lekko głowę i podszedł do tronu, zachowując jednak pewną odległość, by nie dawać matce opiekunce powodów do obaw. Ryld i Valas dołączyli do niego, pozostałe matki opiekunki zebrały się wokół tronu, zaś czarodzieje, kapłanki i żołnierze otoczyli wszystkich pozostałych.

Pharaun wiedział oczywiście, że ta kobieta jest matką Faeryl, ale nie potrafił odgadnąć, co robi na tronie domu Melarn.

Mag rozejrzał się po komnacie, próbując odnaleźć Faeryl. Była tam, choć stała w rogu pomieszczenia, jak gdyby nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, pomyślał kwaśno Pharaun, pomyślałbym, że spodziewają się jakichś kłopotów.

Ani Valas, ani Ryld nie odzywali się, ale czarodziej czuł, że stoją po obu jego bokach, spięci i gotowi do skoku.

- Jesteśmy zaszczytzeni, mogąc gościć w twoim domu, matko opiekunko Zuavirr - odezwał się Pharaun. - Czemu zawdzięczamy to zaproszenie?

I gdzie, na Otchłań, są Quenthel i Jeggred? - dodał w duchu.

Ssipriina Zuavirr pociągnęła nosem.

- Wręcz przeciwnie, Pharaunie Mizzrymie, to ja powinnam ci podziękować i zapytać, dlaczego zaszczyciłeś swą dostojną obecnością Miasto Połyskliwych Pajęczyn. Sława, która cię wyprzedza, opinia pewnego siebie, opanowanego maga o niemałych umiejętnościach, wydaje się nie oddawać ci sprawiedliwości.

Pharaun uśmiechnął się najbardziej rozbrajająco, jak potrafił, przestępując z jednej nogi na drugą.

- Każdy ma prawo do własnej opinii, matko opiekunko. Co nie oznacza, że ktokolwiek jest w błędzie, a tylko że pozory i rzeczywistość nie zawsze się zająbiają.

- Oczywiście - odezwała się inna matka opiekunka, wysuwając się naprzód z lewej strony tronu - a naszym zdaniem ty i twoi towarzysze, choć podajecie się za zwykłych podróżników czy nawet emisariuszy z naszego siostrzanego miasta Menzoberranzan, jesteście w rzeczywistości szpiegami, którzy chcą nas okraść i ujawnić całemu światu nasze słabości, które próbowaliście odkryć.

To by było na tyle, jeśli chodzi o pozory, pomyślał Pharaun, przestępując nerwowo na drugą nogę. Czarodziej bardziej wyczuł, niż zobaczył, że po jego prawej Ryld, a po lewej Valas, sztywnieją, słysząc to jawne oskarżenie.

- Spokojnie - wymamrotał pod nosem. - Zaczekajcie z bohaterskimi czynami do części programu pod tytułem „wszystkie inne sposoby zawiodły”.

Starając się przybrać spokojny wyraz twarzy, mag rozłożył ręce i powiedział:

- Przykro mi, pani...

- Matka opiekunka Jyslin Aleanrahel, z domu Aleanrahel.

Pharaun przełknął ślinę.

- Matko opiekunko Aleanrahel. Choć jestem pewny, że nasze wysiłki mające na celu utajnienie naszej misji mogły się wydać bardzo tajemnicze, mogę cię zapewnić, że nie mieliśmy wrogich zamiarów. Chcieliśmy tylko...

- Uniknąć takiej konfrontacji jak ta? - przerwała mu Jyslin. - Czy wyszło wam to na dobre?

Pharaun westchnął i odparł:

- Wygląda na to, że nie, ale ja i moi towarzysze wciąż nie jesteśmy całkiem pewni, czy rozumiemy, co was niepokoi. Muszę wyznać, że nie rozumiem, dlaczego się tu spotykamy, skoro żadna z was nie jest matką opiekunką Melarn.

Kilka matek opiekunek popatrzyło po sobie znacząco. Pharaun był całkowicie zdezorientowany. Obserwując komnatę, zauważył kolejną dziwną rzecz - drowkę, z pewnością wysoko urodzoną, ale rozebraną do bielizny i pilnowaną przez dwie krzepkie strażniczki. Nie była to Quenthel.

- O, nic nas nie niepokoi - odparła Jyslin Aleanrahel. - Już nie. Do waszego przybycia niepokoiłyśmy się, że nie będziemy w stanie was zatrzymać, że będziecie próbowali wymknąć się z miasta. Niepokoiłyśmy się, że doniesiecie o swoich odkryciach waszym przełożonym w Mieście Pająków. Niepokoiło nas to, że spróbujecie zrobić coś głupiego, na przykład doprowadzić do końca nieprzemyślany plan waszej wysokiej kapłanki, mający na celu kradzież i szpiegostwo. Jednak zechcieliście współpracować, więc czujemy, że sytuacja jest pod kontrolą.

Ryld wydał z siebie niemal niedosłyszalny zduszony dźwięk i mag poczuł, że wojownik przenosi ciężar ciała na drugą nogę. W odpowiedzi kilku żołnierzy, którzy rozproszyli się, aby dokładniej otoczyć trójkę towarzyszy, zeszywniało, jak gdyby spodziewali się, że Ryld zaraz się na nich rzuci.

Pharaun nachmurzył się.

- Nie wiedziałem, że nasza wysoka kapłanka planuje coś podobnego - rzekł. - Jeśli doszło do jakiegoś nieporozumienia, wszyscy musimy się postarać, żeby to naprawić. Powiedzcie nam tylko, gdzie ona jest, a z pewnością uda nam się rozwiązać wszelkie...

- Quenthel Baenre została przyłapana na zdradzie Ched Nasad - odezwała się trzecia matka opiekunka, wychodząc zza tronu. Pharaun wyczuł, że ta kobieta, której twarz zdradzała podeszły wiek, może być najpotężniejszą drowką, jaką kiedykolwiek spotkał. - Nie było żadnych wątpliwości co do jej winy. Zginęła podczas próby ucieczki z miejsca zbrodni.

Pharaun zamrugnął, nogi ugięły się pod nim. Martwa? Quenthel Baenre nie żyje? Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Za sobą usłyszał zduszone okrzyki zaskoczonych towarzyszy.

- Została przyłapana na spiskowaniu z domem Melarn, aby nielegalnie wejść do miasta i skraść cenne zasoby będące naszą własnością - oznajmiła sędziwa elfka. - Uważamy, że zajmowała się również szpiegowaniem na rzecz Menzoberranzan. Uznajemy, że to zbrodnie przeciwko miastu, przeciwko wszystkim drowom, a zwłaszcza przeciwko samej Mrocznej Matce.

Spisek? - zdziwił się Pharaun. Jakże jeszcze bzdury gotowe były wymyślić?

Czarodziej wpatrywał się w tron, na którym siedziała matka Faeryl i zaczynał rozumieć, kto za tym wszystkim stoi, a może nawet dlaczego.

Nic dziwnego, że Faeryl tak się paliła, żeby nam pomóc, pomyślał. Przez cały czas wodziła nas za

nos.

- Ponadto - ciągnęła matka opiekunka - przez wzgląd na waszą współpracę z Quenthel stawia się wam te same zarzuty. Jesteście aresztowani i zostaniecie zatrzymani, dopóki nie będziemy w stanie orzec, czy jesteście winni, czy nie.

- Nie dzisiaj - powiedział Ryld, robiąc krok do przodu i sięgając po Rozpruwacza.

Żołnierze jak na komendę unieśli ręczne kusze, a przynajmniej pół tuzina czarodziejów i kapłanek wyglądało tak, jak gdyby przygotowywali się do rzucenia czarów.

- Ryld, głupcze, zaczekaj! - warknął Pharaun, wciąż starając się nie podnosić głosu. - Są lepsze sposoby...

Valas wyciągnął rękę i powstrzymał większego elfa przed dobytciem wielkiego miecza.

- Jeszcze nie teraz - poprosił. - W ten sposób nie mamy żadnych szans.

Ryld wydał z siebie gniewny pomruk, ale wypuścił z ręki rękojeść miecza i cofnął się.

- Dobrze - powiedziała trzecia matka opiekunka. - Nie jesteście aż tak lekkomyślni, jak sugerowała Faeryl. Choć brawura jest w tej chwili nie na miejscu, jestem pewna, że w przeszłości wychodziła wam na dobre.

- Pani...? - zaczął Pharaun.

- Aunrae Nasadra, z pierwszego domu Nasadra - dokończyła za niego drowka.

To oczywiście, pomyślał czarodziej.

- Pani Nasadro - rzekł - choć jestem zaszokowany i zasmucony wiadomością o śmierci Quenthel, błagam, żebyś mnie wysłuchała. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby Quenthel spiskowała z kimkolwiek z tego miasta. Musiało dojść do jakiegoś strasznego nieporozumienia.

- Wątpię - odparła Aunrae - ale masz szansę to udowodnić i ocalić głowę. Po prostu powiedz nam, jak było naprawdę. Czy przekradliście się do miasta i spotkaliście w tajemnicy z Drisnil Melarn, matką opiekunką domu Melarn, aby okraść magazyn towarzystwa handlowego Czarny Szpon, czy też nie?

- Jak najbardziej - odparł ze śmiertelną powagą mag i wszyscy, łącznie z Ryldem i Valasem, wciągnęli ze świstem powietrze w płuca. Zanim pozostali dwaj Menzoberranzańczycy zdążyli zaprotestować, podjął: - A raczej Quenthel musiała to zrobić. Teraz wydaje mi się, że ma to sens. Widzisz, pani, Quenthel kazała mi i moim dwóm towarzyszom znaleźć karawanę, która pomogłaby nam w przetransportowaniu dużej ilości towarów, nie mówiąc nam po co. Mistrzynie Baenre niewiele zdradzała nam, mężczyznom. Tuż przed tym, jak wyruszyliśmy wypełnić jej polecenie, podsłuchałem jej rozmowę z Faeryl Zuavirr, ambasador Menzoberranzan, która nam towarzyszyła. Przypominam sobie, że mówiła coś o spotkaniu z jej matką i jeszcze kimś, choć wtedy nie wiedziałem, o kogo chodzi. Zadała Faeryl pytanie, które brzmiało jakoś tak: „I czy jesteś pewna, że miejsce spotkania jest bezpieczne? Nikt nie może nas zobaczyć.”

- Ty napuszony, przemądrzały kłamco! - wrzasnęła Faeryl z przeciwnej strony komnaty. - Zabijcie ich teraz i skończcie z tym!

Pharaun ze wszystkich sił starał się powstrzymać uśmiech. Wokół niego wszyscy zaczęli rozmawiać, a choć dosłyszał kilka głosów potępiających jego i jego dziwną opowieść, wiedział, że zasiał ziarno wątplenia. Jednak żołnierze, którzy ich otaczali - żołnierze noszący insygnia domu Zuavirr - zaczęli się już ostrożnie zbliżać do ich trójki.

- W porządku, czarodzieju - syknął Ryld - nie mamy już czasu. Co teraz zrobimy?

Pharaun otworzył usta, żeby powiedzieć wojownikowi, że nie ma zielonego pojęcia, gdy nagły i gwałtowny wstrząs zakołysał komnatą, sprawiając, że wszyscy zatoczyli się, wytrąceni z równowagi. Ułamek sekundy później przez ściany przeniknął potworny grzmot, głęboki i donośny, rozchodząc się echem po całej komnacie.

- Na Mroczną Matkę! - zawołał ktoś. Wszyscy spoglądali po sobie z przerażeniem i dezorientacją.

Do sali wbiegł służący z paniką w oczach.

- Pani! To duergarowie! Całe setki, otaczają nas... atakują! - Kolejny ogłuszający wstrząs obalił chłopca na kolana. Służący wydawał się obejmować posadzkę z przerażenia. - Pałaj kamienie, o matki! Miasto płonie!

ROZDZIAŁ 11

Aliisza była zaskoczona, widząc, że wokół wielkiej rezydencji, do której wszedł Pharaun i jego towarzysze, pojawiła się jak spod ziemi horda duergarów. Jednak jeszcze bardziej zaskoczone niż ona, co poznała po ich minach, były drowy strzegące pałacu. Szare krasnoludy, w sile dwóch do trzech tysięcy, jak oceniła, zdążyły utworzyć szereg wzdłuż jednego z boków posiadłości, zanim stały się widzialne wskutek wypuszczenia salwy z kusz. Cisnęły też kilkudziesięcioma glinianymi garnkami, które po uderzeniu w kamienny mur otaczający rezydencję przeistoczyły się w czerwone kule płomieni.

Nieliczne drowy leniuchujące przed bramą wejściową rzuciły się do ucieczki przed gradem bełtów i bomb zapalających. Wybuch, jaki nastąpił, wstrząsnął całą pajęczą ulicą i Aliisza musiała mocniej się chwycić, żeby nie ześliznąć się ze swojego siedziska na dachu budynku po przeciwnej stronie placu. Kiedy demonica znów spojrzała, okazało się, że tylko garstka mrocznych elfów przeżyła pierwszy atak. Na dziedzińcu przypominającej cystę budowli szybko zagrano na alarm i ze środka wybiegło więcej drowów, właściwie spory oddział. Aliisza przyglądała się, jak elfy formują szyk za murem obronnym i odpowiadają ogniem z ręcznych kusz. Kilku duergarów padło pod ostrzałem, ale pierwszy szereg natychmiast utworzył mur z tarcz i zza tej bariery ochronnej wypuścił kolejną salwę. Wydawało się, że w kilku miejscach kamień płonął od bomb duergarów, ogień rozprzestrzenił się.

Kręcący się po placu mieszkańcy Ched Nasad rzucili się do ucieczki, a w oddali, jedną ulicę wyżej, Aliisza dostrzegła wielką kolumnę żołnierzy maszerujących w jej kierunku. Duergarowie będą mieli nieproszonego gościa... tak jej się wydawało.

W tej samej chwili druga grupa szarych krasnoludów pojawiła się zniemacka wewnątrz dziedzińca, oskrzydając drowy broniące bramy.

Sprytne, pomyślała alu-demon. Wygląda na to, że nie robią tego po raz pierwszy.

* * *

Pharaun nawet się nie zawahał.

- Rozproście się - rzucił ostro towarzyszącej mu dwójce drowów.

Siłą woli rzucił zaklęcie. Zazwyczaj wymówienie frazy i wykonanie gestów, konieczne do uzyskania magicznego efektu, zajęłoby mu przynajmniej kilka sekund, ale zawczasu spotęgował ten konkretny czar i zaklęcie zaczęło działać w momencie, w którym je pomyślał, bez żadnych gestów, słów ani opóźnień. W powietrzu pojawiła się gęsta, kłębiąca się mgła, przesłaniając wszystko wokół czarodzieja. Pharaun wiedział, że Ryld potrafi się o siebie zatroszczyć, i miał nadzieję, że Valas też da sobie radę. Szybko zapomniał o nich, lewitując w górę.

Kolejny wybuch zatrząsł domem, choć czarodziej, unoszący się w powietrzu, tym razem tylko go usłyszał. Pharaun wzniosł się aż pod sam sufit, rzucając na siebie czar niewidzialności. Wiedział, że nie osłoni go on całkowicie przed co bystrzejszymi czarodziejami i matkami opiekunkami, ale przynajmniej zwykli żołnierze nie będą mogli go dostrzec. Z dołu dobiegał go zgiełk i wrzawa, jaką drowy zareagowały na słowa posłańca i huki wstrząsające gmachem aż po fundamenty.

Kiedy dotarł do sklepienia, sięgnął do kieszeni piwafwi i wydobył szczyptę diamentowego pyłu. Raz jeszcze wymówił inkantację, patrząc, jak pył znika w rozbłysku światła. Miał nadzieję, że zapewni mu dodatkową osłonę, tym razem przed magią wykrywającą.

Do tego czasu ktoś miał na tyle przytomności umysłu, żeby rozprościć mgłę Pharauna i posadzka była znów czysta. Mistrz Sorcere rozejrzał się po całej komnacie, szukając Rylda i Valasa. Zwiadowcy nigdzie nie było widać, co wcale nie zdziwiło czarodzieja, zaś Ryldowi udało się dostać na skraj komnaty. Fehmistrz kucnął za jakimś posągiem z Rozpruwaczem w dłoni, obserwując wrogów biegnących we wszystkie strony.

Długo nie uda mu się tam ukrywać, uznał Pharaun, wiedząc, że matki opiekunki wciąż zamierzają wymierzyć przybyszom karę, gdy tylko uda im się zaprowadzić jako taki porządek.

Nie zastanawiając się długo, czarodziej wydobył z jednej z kieszeni odrobinę owczego runa i rzucił kolejne zaklęcie, tym razem na Rylda. Kiedy skończył, nowy, iluzoryczny posąg stał tam, gdzie Ryld, ukrywając mężczyznę jeszcze skuteczniej.

Pharaun z powrotem skupił uwagę na środku komnaty, gdzie stało kilku czarodziejów, w tym kilku rzucających zaklęcia. Jeden z nich obracał się powoli, spoglądając w każdą stronę. Pharaun widział,

że emanuje magią.

Szukając nas, uświadomił sobie mistrz Sorcere.

Szperając w kieszeniach, Pharaun znalazł to, czego szukał - maleńki młoteczek i dzwonek, oba wykonane ze srebra. Uderzając młotkiem w dzwonek, czarodziej wywołał kolejny magiczny efekt. Tym razem rezultaty były wyjątkowo spektakularne.

Potworna vibracja przebiła się przez posadzkę pod stopami magów, wytrącając ich z równowagi i zmuszając do zakrycia uszu.

Nawet ten, który rozglądał się po sali, wyglądał na przerażonego, ale mocno zaparł się nogami w ziemię i kontynuował poszukiwania. Kiedy vibracja osiągnęła crescendo, kamienna posadzka nie wytrzymała napięcia i zaczęła pękać. Po podłodze rozbiegła się pajęczyna tysięcy szczelin, pozbawiając czarodziejów oparcia dla stóp i obalając wielu z nich na ziemię. Posadzka wciąż pękała, aż w końcu zmieniła się w pył głęboki na pół stopy. Leżący na ziemi magowie usiłowali się podnieść, wzbijając tumany kurzu. Kilku w ogóle się nie ruszało.

Doskonale, pomyślał Pharaun, ale jego radość nie trwała długo. Ryld został zauważony i teraz toczył zacięty pojedynek z kilkoma żołnierzami domu Melarn i co najmniej dwiema kapłankami. Choć krew lała mu się z rozcięcia na jednym ramieniu, wojownik nie poddawał się. Pharaun wiedział jednak, że niw da sobie rady, jeśli ktoś użyje magii. Mag widział już, jak jedna z kapłanek rozwija zwój. Zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić, za nią, jak spod ziemi, pojawił się Valas - Jak on to robi, nie mógł się nadziwić Pharaun - i zatopił jej w krzyżu jeden ze swoich zakrzywionych sztyletów. Kiedy kleryczka zwała się na ziemię jak kłoda, zwiadowca odwrócił się i Pharaun, który na chwilę spojrział w drugi koniec sali, znów stracił go z oczu.

W przeciwległym końcu komnaty kilka matek opiekunek, chronionych przez znaczną część swojej świty, stłoczyło się wokół czegoś, czego Pharaun nie widział. Czarodziej zastanawiał się, czy nie uderzyć w nie teraz, gdy stały tak blisko siebie, ale odrzucił ten pomysł.

Nie chcę zwracać na siebie uwagi bardziej niż to konieczne, zdecydował.

Pharaun poczuł mrowienie, znak, że ktoś rzucił na niego zaklęcie, i zobaczył czarodzieja z palcem skierowanym w jego stronę. Jakimś sposobem udało im się go zlokalizować. Pharaun zdał sobie sprawę, że choć jest niewidzialny, żarzy się bladofioletowym płomieniem. Kilku innych czarodziejów patrzyło już w jego kierunku, a garstka żołnierzy mierzyła do niego z kusz.

A niech to szlag, zaklął w myśli mag.

Błyskawicznie owinął się piwafwi i odwrócił w momencie, w którym pierwsza salwa bełtów rozbiła się o sufit nad nim. Poczuł, że kilka pocisków trafiło go w plecy, ale piwafwi spełniło swoje zadanie. Wiedział, że w żaden sposób nie jest w stanie zlikwidować magicznego ognia wokół siebie, nie rozpraszając przy tym czaru niewidzialności, ale jeśli miał nadal służyć im za cel, skończyłby jako poduszka na szpilki. Potrząsnawszy głową, Pharaun szybko opadł w dół, wyhamowując tuż nad podłogą. Grupa czarodziejów i żołnierzy widziała to i zbliżyła się już do niego. Dwaj żołnierze uzbrojeni w długie miecze zaszli go z dwóch przeciwnych stron, a choć udało mu się uchylić przed pierwszym atakiem, drugi cios przebił piwafwi i rozciął mu ramię. Mag wrzasnął z bólu, z rany trysnęła krew. Uderzenie serca później on i jego dwaj przeciwnicy znaleźli się w rwącym strumieniu, jak gdyby weszli w sam środek wodospadu - tyle że nie był to strumień wody. Palił jak ogień i dwaj żołnierze wrzasnęli i zaczęli się miotać, a ich skóra zrobiła się czerwona i pokryła bąblami. Pharaun poczuł, jak na jego własnej skórze pojawiają się pęcherze. Zakrył twarz połą piwafwi i rzucił się w bok, poruszając się z nadnaturalną szybkością dzięki magicznym butom.

Wytoczywszy się z ulewy kwasu, Pharaun wezwał swój rapier, zerwał się na równe nogi i pobiegł dalej prosto na dwóch kolejnych żołnierzach. Użył unoszącej się w powietrzu klingi, żeby utrzymać ich na dystans, a sam przemknął między nimi, zanim w ogóle go zauważyli. Kiedy znalazł się już po drugiej stronie, ruszył w stronę Rylda.

Valas znów się gdzieś ukrył, ale Ryld, otoczony przez nie mniej niż sześciu przeciwników, dwoił się i troił. Mężczyzna każdym ciosem Rozpruwacza parował jednocześnie kilka ataków. Oddychał ciężko i broczył krwią z kilkunastu drobnych ran. Przy takiej ilości napaśników nie był w stanie przejść do ofensywy.

Zbliżywszy się do towarzysza, mag wbił magiczny rapier w plecy jednego z jego przeciwników. Ostrze dźgnęło żołnierza od tyłu, nieszczęśnik wygiął grzbiet z bólu i runął na ziemię. Pharaun rozkazał rapierowi wrócić, a sam zaczął rzucać kolejny czar.

Wycofawszy się w pobliże tych samych posągów, pomiędzy którymi chował się wcześniej Ryld, mistrz Sorcere wydobył kolejną szczyptę sproszkowanego diamentu. Jednak tym razem utkany przez niego czar utworzył niewidzialną barierę pomiędzy nim a kilkunastoma żołnierzami i czarodziejami, którzy go ścigali. Miejsce, w którym Ryld postanowił się schronić, znajdowało się mniej więcej w rogu wielkiej sali audiencyjnej i Pharaun wykorzystał ten fakt, rozciągając swoją niewidzialną ścianę pod kątem i odcinając siebie oraz mistrza Melee-Magthere od większej części komnaty, tak że musieli się uporać już tylko z pięcioma drowami, którzy wciąż otaczali Rylda.

Mistrz Sorcere znów zainteresował się Ryldem. Pozostali żołnierze na własnej skórze przekonali się o istnieniu magicznej ściany. Mag zignorował głuchy łomot, z jakim pierwsi dwaj czy trzej wpadli na barierę, ale nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Ryld ranił śmiertelnie następnego przeciwnika - kapłankę, która teraz wyla się na ziemi w kałuży krwi. Pharaun wyciągnął własną kuszę i załadował ją, jednocześnie nacierając tańczącym rapierem na drowa, który próbował zająć Rylda od tyłu.

Rapier drasnął żołnierza w ramię, a kiedy ten odwrócił się, żeby bronić się przed tym nowym zagrożeniem, Pharaun władował w niego belt z kuszy. Żołnierz stęknął z zaskoczenia i bólu, gdy belt wbił mu się w prawe ramię. Upuścił długi miecz i zatoczył się do tyłu, obserwując rapier latający mu przed oczyma. Pharaun załadował znów kuszę i właśnie celował, gdy z cienia wynurzył się Valas i wykończył strażnika od tyłu. Wybałuszając oczy, drow westchnął i spróbował coś powiedzieć. Wydając się zmieszany tym, że nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, w końcu umarł i osunął się na ziemię, gdy zwiadowca wyciągnął z jego ciała kukris.

- Zakładam, że to ty, czarodzieju? Jaki ma sens bycie niewidzialnym, skoro żarzysz się cały na fioletowo?

- Cieszę się, że znalazłeś się po właściwej stronie - powiedział Pharaun, po czym zachwiał się, gdy kolejny grzmot wstrząsnął budynkiem. - Na Mroczną Matkę, co tam się dzieje? - zapytał, starając się odzyskać równowagę.

- Cokolwiek to jest, nie wiem, czy lepiej być tam, czy tutaj - odparł Valas, wycierając zakrzywiony sztylet w piwafwi martwego drowa. - Musimy się stąd wydostać.

Pharaun kiwnął głową, zapominając, że zwiadowca go nie widzi, ale zaraz dodał

- Zgadzam się - po czym odwrócił się, żeby sprawdzić, jak radzi sobie Ryld.

Wojownikowi został już tylko jeden przeciwnik, który obchodził ostrożnie śliskie kałuże krwi. Kilka razy spróbował zamarkować cios, ale nie odniosło to większego efektu. Z trudem łapał oddech, a jego krótko przycięte białe włosy były czerwone od krwi.

Valas podkraść się do niego, gotowy zaatakować od tyłu, gdy tylko nadarzy się okazja, więc mag z powrotem zajął się magiczną ścianą, pewny, że jego dwaj towarzysze panują nad sytuacją.

Po drugiej stronie bariery kilku czarodziejów lewitowało, chcąc się przekonać, czy Pharaun nie zostawił jakichś prześwitów wzdłuż sklepienia. Jakiś inny mag czarował, najwyraźniej usiłując znaleźć sposób rozproszenia zaklęcia. Żołnierze stali w pogotowiu, obracając w dłoniach broń i spoglądając złowrogo na Pharauna oraz jego dwóch towarzyszy. Pharaun czuł, że magiczna przegroda wciąż działa, ale było jasne, że prędzej czy później ich wrogowie znajdą odpowiednią kombinację zaklęć, która ją zlikwiduje.

W tej chwili Pharaun zauważył dym w przeciwległym końcu komnaty. Dym pojawił się tam, gdzie stały wcześniej matki opiekunki, ale ich już tam nie było.

To oczywiście, pomyślał z przekąsem mag. Nie wyjdą, dopóki nie będą miały pewności, że znów zostaliśmy pojmani.

Jednak dym był gęsty, czarny, i wydawał się wlewać do sali przez dziurę w ścianie. Czarodziej widział płomień liżące kamień i uzmysłowił sobie, co się dzieje.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział do Valasa.

- Też tak mówiłem - odparł Valas - ale wygląda na to, że nas tu uwięziłeś.

Ryld zabił ostatniego przeciwnika i osunął się na jedno kolano, usiłując odzyskać oddech.

- Cześć, Pharaunie. Miło znów cię „widzieć”. Wy dwaj nie zamierzacie znów przenikać przez ścianę, co? - zapytał Ryld, dźwigając się z kolan.

Część zgromadzonych po drugiej stronie bariery drowów straciła zainteresowanie zbiegami i odwróciła się, wskazując dym, albo pobiegła w jego kierunku. Cokolwiek działo się w zaciemnionej części sali audiencyjnej, byli bardzo wzburzeni.

- Niestety - odpowiedział wojownikowi Pharaun - wyczerpałem mój przydział przenikania przez

ściany na dzień dzisiejszy. Obawiam się, że będę musiał zdać się na bardziej konwencjonalne metody. Nie powinniśmy jednak zwlekać. Dym pochodzi z tego samego paskudztwa, z którym musieliśmy sobie radzić podczas powstania w Menzoberranzan.

- Ogniste bomby, które paliły kamień? - zapytał Valas.
- Co oznacza... - dodał Ryld.
- Otóż to. Możemy mieć do czynienia ze sprzymierzeńcami Syrzana, albo kimś innym, kto podburza lud do buntu i zbroi go w te same narzędzia zniszczenia.
- Wydawało mi się, że mówiłeś, że alhoon działał w pojedynkę, że był wygnańcem - zauważył Ryld, obracając się i badając każdy zakamarek kąta, w którym się znaleźli.
- Bo mówiłem - przyznał Pharaun. - W rozmowie, którą z nim przeprowadziłem, kiedy zostaliśmy uwięzieni, właśnie tak twierdził. Może ktoś, kto dostarczał mu i jego sługom alchemicznych pocisków zapalających, działa na wielu frontach.
- Ktokolwiek za to odpowiada, wiemy, jak poważna jest sytuacja - rzekł Ryld. - Musimy wydostać się z miasta.
- Znów się zgadzam - powiedział Pharaun. - Proponuję rzucić się pędem do wyjścia, gdy tylko opuszczę barierę.
- W ten tłum? - sprzeciwił się Ryld. - Powinniśmy znaleźć inną drogę.
- Ale to najszybsza droga na ulice. Nie znamy tego miejsca, a dom Melarn może się wkrótce zamienić w istne piekło.
- Słuchaj - argumentował Ryld - może ty czujesz się dobrze, ale ja nie przeżyję kolejnej walki. - Wskazał swoją zakrwawioną postać. - Muszą istnieć inne wyjścia z tego domu. Znajdźmy jedno z nich. - Wojownik wskazał drzwi w rogu i dodał: - Zostaw swoją barierę i chodźmy.
- Valas kiwnął głową.
- Ryld ma rację. Nie przebijemy się przez nich wszystkich. Spróbujmy wydostać się inną drogą.
- Świetnie - westchnął Pharaun - ale jeśli dom zawali się nam na głowę, będę za to winił was obu. Wskazał gestem drzwi, proponując Valasowi, by ruszył przodem.

* * *

Przez pierwszych kilka minut komnaty domu Melarn wydawały się zadziwiająco puste. Kuśtykający przez nie Ryld, Pharaun i Valas słyszeli od czasu do czasu kroki kogoś biegnącego jednym z krętych, wijących się korytarzy, ale byli w stanie uniknąć konfrontacji, wybierając określną drogę lub chowając się na chwilę. Mistrzowi Melee-Magthere wydawało się, że większość mieszkańców koncentrowała się na tym, co działo się na zewnątrz, gdzie toczyła się większość walk.

Dotarli do rozwidlenia dróg. Valas uniósł rękę, nakazując im się zatrzymać, po czym oddalił się chyłkiem jednym z tuneli, badając dalszą trasę. Ryld i Pharaun przycisnęli się do ściany, starając się nie rzucać w oczy. Czarodziej nie był już niewidzialny, nie żarzył się już także irytującym, fioletowym blaskiem. Ryld załatwił to swoją magiczną klingą. Wojownik widział, że towarzysz ma skórę pokrytą pęcherzami i domyślał się, że musi go to boleć. Własne rany doskwierały mu tylko wtedy, kiedy o nich myślał.

- *Nie masz jakichś zaklęć, które pomogłyby nam zlokalizować wyjście?* - przekazał na migi czarodziejowi, gdy czekali na powrót zwiadowcy.

Pharaun potrząsnął głową.

- *Takie czary istnieją, ale ich nie znam, odpowiedział bez słów. Nie znając drogi, możemy nigdy się stąd nie wydostać. To nie ma sensu, Ryldzie.*

- *Może więc powinniśmy pójść za żołnierzami. Wyprowadzą nas stąd, niczego się nie domyślając.*

Pharaun machnął ręką na propozycję wojownika, ale Ryld nie był pewny, czy była to oznaka irytacji, czy zgody.

- *Ryzyko niepowodzenia lub wykrycia będzie w ten sposób większe.*

Ryld wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział. Zamiast tego odwrócił się, żeby wyglądać powrotu Valasa.

Po co ja się w ogóle z nim kłócę? - pomyślał fehmistrz, nasłuchując. - On i tak już podjął decyzję.

W tej chwili pokazał się Valas, dając im znaki, żeby szli za nim. Skradając się, weszli w nowy korytarz, gdzie Valas wskazał im drzwi naprzeciw.

- *To jest kuchnia, przekazał, a za nią spiżarnia. Po drugiej stronie, tutaj - zwiadowca wskazał drzwi tuż obok - jest kantyna. Myślę, że jesteśmy w koszarach.*
- *To nie jest dobra wiadomość, przekazał Pharaun. Chcemy uniknąć strażników, a nie z nimi spać.* Valas zmierzył Pharauna groźnym spojrzeniem i gestem polecił dwójce towarzyszy iść za sobą. - *Wydaje mi się, że dalej są schody, które nas stąd wyprowadzą, zamigał, prowadząc ich korytarzem.*

Ryld był zdania, że przy odrobinie szczęście uda im się minąć niepostrzeżenie kwatery straży, ale kiedy zbliżali się do przeciwnego końca tunelu oddzielającego koszary od kantyny, usłyszeli, że z naprzeciwka zbliża się duży oddział. Jak jeden mąż rzucili się do ucieczki w przeciwnym kierunku, ale w tej samej chwili w drugim końcu korytarza pojawiło się kilku żołnierzy domu Zuavirr. Zostali wzięci w dwa ognie.

- *Cholera! - warknął Pharaun, wkładając rękę w piwafwi. Powstrzymajcie ich, a ja zobaczę, co się da zrobić.*

Kiwnąwszy głową, Ryld wysunął Rozpruwacza z pochwy i ruszył w stronę grupy nadchodzącej od strony, z której zdaniem Valasa znajdowały się schody.

Jeśli uda nam się przez nich przebić, rozumował wojownik, przynajmniej będziemy dalej iść w obranym kierunku.

Żołnierze, w liczbie czterech, krzyknęli ostrzegawczo i dobyli broni.

- *Chodź no tu, synu dridera! - warknął jeden z nich, podchodząc z długim mieczem w jednej i krótkim w drugiej dłoni.*

Trzej pozostali rozdzielili się, szukając okazji, żeby zająć rosnącego intruza z flanki. Ryld czekał i obserwował, trzymając ostrze luźno przed sobą i przestępując z nogi na nogę, aby przeciwnicy nie mogli go minąć ani dotrzeć do Pharauna. Martwił się, że jego dłonie, wciąż pokryte wysychającą krwią, będą zbyt śliskie, żeby zdołał utrzymać w nich miecz.

Pierwszy napastnik zaatakował, tnąc krótkim mieczem wysoko, a długim mierząc w brzuch Rylda. Fechmistrz uchylił się przed pierwszym ciosem, a niższy sparował Rozpruwaczem.

Spróbuj jeszcze raz zrobić to samo, a zostaną ci dwa krótkie miecze, pomyślał Ryld, patrząc, czy drow nie zacznie działać rutynowo.

Z jego lewej następny żołnierz spróbował przemknąć wzdłuż ściany, najwyraźniej chcąc się precyzyjnie obok Rylda, ale mistrz Melee-Magthere miał ich wszystkich na oku i wyprowadził szybkie cięcie w bok, zmuszając żołnierza do cofnięcia się. Potem odskoczył na środek korytarza, wciąż obserwując drowa z dwoma klingami. Dwaj pozostali, obaj z prawej, czekali i obserwowali.

Świetnie, pomyślał Ryld, koncentrując się na żołnierzu przed sobą.

Drow tym razem zmienił taktykę i zaatakował długim mieczem, którym zadał błyskawiczną serię ciosów, patrząc, jak Ryld je blokuje. Kiedy fechmistrz przeszedł od parady do kontrataku, żołnierz był już gotowy do odbicia ciosu krótkim mieczem. Niestety, drow z lewej zdołał wreszcie minąć Menzoberranzańczyka.

- *Pharaun! - zawołał Ryld. - Uważaj!*

Wojownik wycofał się pod ścianę, ustawiając się pod kątem, żeby cały czas widzieć swoich przeciwników. Za sobą słyszał okrzyki bólu i przerażenia, ale miał nadzieję, że to druga grupa drowów, a nie jego dwaj towarzysze. Mężczyzna z dwoma mieczami znów natarł, ale tym razem Ryld był na to przygotowany. Kiedy pierwszy cios krótkiego miecza przeszedł wysoko, Ryld wiedział już, że długi uderzy nisko. Tym razem ciął ostro z góry, gładko przecinając długi miecz na połowę. Ułamany koniec potoczył się z brzękiem po podłodze.

- *Bądź przeklęty, synu rothe! - warknął drow, ale w następnej chwili sapnął, gdyż fechmistrz niesiony własnym impetem wykonał pełen obrót i znów natarł.*

Cios był szybki i celny, przeciwnik z jękiem zwałił się na podłogę. Ryld nie tracił czasu na przyglądanie się, jak pada. Już uchylił się przed atakiem żołnierza, który zaszedł go od tyłu i próbował ciąć w plecy. Na dodatek dostał krótką włócznią w bok nogi i ledwo umknął przed ciosem miecza, stękając z bólu i utykając. Nie mógł pozwolić, żeby któryś z nich zniknął mu z oczu, a właśnie się na to zanosilo - otaczali go.

Pojawiając się jak spod ziemi, Valas zaszedł od tyłu żołnierza z długim mieczem, objął go jedną ręką za szyję i zatopił mu w plecach jeden z kukrisów. Ryld odwrócił się szybko i sparował kilka pchnięć krótkich włóczni. Ostatnie dwa drowy próbowały podejść i zaatakować Rylda, kiedy ten był zajęty czymś

innym, ale straciły swoją szansę.

Ryld znów wyszedł na środek korytarza, chcąc wykorzystać w pełni zasięg Rozpruwacza. Kiedy dwaj żołnierze domu Zuavirr zobaczyli, że ich szanse zmalały do dwóch na jednego i miały się zaraz wyrównać, kiedy do wojownika dołączy Valas, zawahali się i zaczęli wycofywać.

Kilka żarzących się białobłękitnych pocisków przemknęło obok Rylda i wyrznęło w dwóch drowów, którzy próbowali odwrócić się i uciec. Kilka magicznych smug światła zgasło z sykiem po osiągnięciu celu, ale większość z nich odniosła pożądany efekt. Dwaj żołnierze rozciągnęli się na ziemi, drgając konwulsyjnie. Ryld zerknął przez ramię i zobaczył Pharauna trzymającego w dłoni smukłą różdżkę z drewna jakiegoś drzewa rosnącego na powierzchni świata.

Czarodziej kiwnął głową z satysfakcją i schował różdżkę.

- Nie wolno nam zwlekać - rzekł. - Cały dom nas usłyszał.

Ryld zerknął na korytarz za Pharaunem, gdzie pojawił się drugi oddział drowów. Wszyscy żołnierze byli martwi, zmiażdżeni przez czarne lśniące macki, które mag wzywał od czasu do czasu. Macki wciąż zaciskały się wokół ciał pechowych żołnierzy albo miotały na oślep, jeśli nie miały czego uchwycić.

Ryld odwrócił się, minął martwe drowy i ruszył za towarzyszami po schodach.

* * *

Halisstra potknęła się i straciła równowagę, gdy głęboki grzmot zatrzęsł domem Melarn. Po obu jej stronach strażniczki, które „eskortowały” ją do sali audiencyjnej, również się zatoczyły i wymachując rękami, aby odzyskać równowagę, wypuściły z uścisku jej ramiona. Wszędzie wokół Halisstry podniosły się krzyki, drowy zaczęły się bezładnie kłębić w zamieszaniu wywołanym przez wibracje, czymkolwiek te były spowodowane. Oszołomiona tym, co zaszło w domu jej matki - teraz jej domu, uświadomiła sobie - nie mniej niż falą uderzeniową, która targnęła budynkiem, Halisstra stała w miejscu, odziana w samą bieliznę i z rękami skutymi na plecach, przyglądając się chaosowi wokół siebie.

Kiedy służący w barwach domu Nasadra wbiegł do komnaty, ogłaszając, że na zewnątrz wybuchła walka, Halisstra zamrugła ze zdziwieniem.

Duergarowie? Atakują dom Melarn? Po cóż, na Otchłań, mieliby to...

Kolejny wybuch zakołysał domem Melarn, powalając Halisstrę na ziemię. A raczej powaliłby, gdyby ktoś nie podtrzymał jej od tyłu.

- Wstawaj... muszę cię stąd wydostać.

Była to Danifae, odziana do walki i w piwafwi domu Zuavirr przypominająca do złudzenia jeszcze jedną strażniczkę.

Halisstra podniosła się przy pomocy branki, po czym odwróciła, żeby na nią spojrzeć. Służącej normalnie nie wolno było nosić broni ani zbroi, ale teraz miała na sobie swoją starą koszulkę kolczą, puklerz i morgenszterna przy boku. Halisstra zastanawiała się, jak Danifae dostała się do ekwipunku zamkniętego na klucz w pokojach swojej pani, ale w tej chwili nie miała zamiaru się skarżyć.

Halisstra usłyszała za plecami krzyk i obróciła się, spodziewając się zobaczyć swoje strażniczki, do których dotarło, że jest wolna. Zamiast tego odkryła, że komnatę wypełniła gęsta mgła, która zmniejszyła widoczność do kilku kroków.

- Chodź! - syknęła Halisstra, brnąc przez mgłę na tyły sali, ku drzwiom prowadzącym w głąb domu, gdzie mieściły się jej prywatne komnaty. - Wracamy do mnie, żebyś mogła to - oderwała ramiona od pleców, żeby pokazać kajdany - ze mnie zdjąć.

- Oczywiście, pani - odpowiedziała Danifae, prowadząc swoją przełożoną za rękę przez gęstą, mętną mgłę wzdłuż ściany i w stronę drzwi. - Później dziękujemy komuś za osłonięcie naszej ucieczki.

- Chcesz powiedzieć, że ty i Lirdnolu Maerett nie zaplanowałyście tego, żeby uwolnić mnie z rąk Ssipriiny Zuavirr?

Danifae zaśmiała się gorzko.

- Nic podobnego - odparła. - Pomimo mojego przekonującego występu przed matką opiekunką Zuavirr, nie sądziłaś chyba, że matriarchini pozwoli mi odejść wolną? Nie miałam jak dotrzeć do domu Maerett. Nie, to zamieszanie to sprawa kogoś innego.

Kiedy wyszły z sali audiencyjnej i znalazły się w korytarzu, Halisstra, która teraz widziała już lepiej, ruszyła dostojnym krokiem w stronę swoich komnat, nie bacząc na fakt, że jest na wpół naga i

spętana. Nie przeszła nawet trzech kroków, gdy zatoczyła się pod wpływem trzeciego wstrząsu. Krzyknęła, tracąc równowagę, i zatoczyła się na ścianę korytarza, ale Danifae już tam była - złapała swoją panią i przytrzymała, dopóki wstrząs nie ustał.

- Co się dzieje, u licha? - zapytała gniewnie Halisstra, kiedy się wyprostowały i pospieszyły dalej.
- Nie jestem pewna, ale mogę zgadywać - odpowiedziała jej podwładna, gdy minęły zakręt. - Doszło do zamieszek na ulicach.

- Możliwe - przyznała Halisstra - ale dlaczego duergarowie wybrali dom Melarn?

- Tego nie wiem - odrzekła Danifae - ale zgaduję, że ma to coś wspólnego z próbą obalenia domu Melarn przez Ssipriinę Zuavirr. Tak czy owak, było mi to bardzo na rękę. Może dowiemy się czegoś więcej, kiedy już zdejmemy ci te kajdany.

- Tak - odparła Halisstra, zastanawiając się. - Zaczniemy od tego, gdzie, na dziewięć piekieł, podzieli się wszyscy nasi strażnicy.

- Mogę ci to powiedzieć już teraz - powiedziała Danifae, kiedy minęły kolejny zakręt i weszły do komnat Halisstry. - Przyjęli ofertę nie do odrzucenia - służyć domowi Zuavirr lub umrzeć.

Halisstra westchnęła.

- Czy ktokolwiek pozostał mi wierny? - zapytała, choć obawiała się, że zna już odpowiedź.

- Możliwe, że twój brat, o ile jeszcze żyje, ale przebywa w Wiszącej Wieży i na wiele nam się tutaj nie przyda - odpowiedziała Danifae, odwracając Halisstrę tyłem do siebie, żeby móc przyjrzeć się mechanizmowi zamka. - A w domu? Wątpię, żeby ktoś chciał ci pomóc, może z wyjątkiem tych trzech mężczyzn w sali audiencyjnej, tych z Menzoberranzan, ale tylko pod warunkiem, że zdobędziesz ich zaufanie. - Branka potrząsnęła głową. - Teraz ich nie zdejmę. Lepiej przerwać łańcuch i martwić się nimi później.

- Dobrze... ale co miałaś na myśli, mówiąc „zdobędziesz ich zaufanie”? Jak miałabym to zrobić?

Halisstra zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju, rozważając różne możliwości. Choć chwilowo udało jej się uciec matkom opiekunkom, wciąż tkwiła w pułapce i to we własnym domu - i wątpiła, by osaczenie ich dwóch zajęło strażnikom Ssipriiny wiele czasu.

Danifae nie odpowiedziała od razu. Halisstra odwróciła się, żeby powtórzyć pytanie i zobaczyła, jak służąca chwytając jej własny buzdygan stojący obok łóżka. Przeraziła się nie na żarty, kiedy Danifae wróciła i pchnęła ją na kolana, ale zaraz pojęła, o co chodzi, i ułożyła ręce tuż nad ziemią, by Danifae mogła uderzyć w łańcuch leżący na podłodze.

- Mogłabyś zacząć od powiedzenia im, że wysoka kapłanka wciąż żyje - odpowiedziała w końcu Danifae, unosząc buzdygan wysoko nad głowę, aby z całej siły uderzyć w łańcuch łączący kajdany.

- Co takiego? - zawołała Halisstra, odwracając się do służącej. - Quenthel Baenre żyje?

Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy jej matka również przeżyła.

Danifae zatrzymała się w ostatniej chwili.

- Nie ruszaj się! - rozkazała, ponownie ustawiając Halisstrę w odpowiedniej pozycji. - Tak, kapłanka Baenre żyje. Wcześniej widziałam ją i jej demona w lochach. Kiedy kręciłam się po domu, starając się obmyślić plan działania, widziałam, jak ten mężczyzna, którego pani Zuavirr nazywa Zammzem, śpieszy dokądś z tamtej strony.

Danifae z całej siły grzmotnęła w łańcuch swoim morgenszternem, ale nie udało jej się rozerwać ogniw.

- Kilka minut później - podjęła - pojawiła się Faeryl Zuavirr, która również wracała z niższych poziomów. Zciekawiona, postanowiłam sprawdzić, co tam robiła. Demon i jego pani są związani i bliscy śmierci, a Quenthel Baenre leży na ławie do rozciągania.

Danifae zadała kolejny cios buławą.

- A więc Ssipriina kłamie! Mogę uwolnić wysoką kapłankę i zmusić ją, żeby potwierdziła moją niewinność!

Halisstrę po raz pierwszy od początku tego katastrofalnego dnia ogarnęła radość.

- Może - odparła sucho branka, po raz kolejny waląc w łańcuch - ale wątpię, żeby wiele matek opiekunek chciało w to wierzyć. Ona wciąż jest winna zarzucanych jej zbrodni, nawet jeśli ty nie popełniłaś swoich. Zbyt wiele matek opiekunek ma plan, w którym nie mieści się puszczenie ci tego płazem. Raczej - aha!

Ogniu, w które uderzała Danifae, wreszcie pękło.

Pomagając Halisstrze wstać, branka ciągnęła:

- Raczej oskarżają cię o to, że pomagałaś jej uciec, aby mieć wymówkę.

Halisstra przyglądała się stalowym okowom na nadgarstkach - już zaczynały ją irytować, ale to musiało poczekać. Nareszcie wolna, przestała się bać. Była wściekła i nie potrafiła zdecydować, na kogo najbardziej.

- Nie zamierzam tu siedzieć z założonymi rękoma, podczas gdy wszyscy inni starają się zwalić mi mój dom na głowę. Pomóż mi się przygotować i chodźmy odnaleźć tę Baenrę.

- Jak sobie życzysz - odparła Danifae, śpiesząc się, skoro decyzja została podjęta.

Z pomocą służącej Halisstra zaczęła się szybko ubierać. Najpierw narzuciła na siebie proste, acz praktyczne odzienie, a na nie wdziała zbroję - wspaniałą kolczugę z herbem domu Melarn, którą chroniło kilka zakłęb. Kiedy już się w to ubrała, Danifae podała jej należący do niej buzdygan i tarczę, a potem obeszła pokój, zbierając rzeczy, które Halisstra zwykle miała przy sobie, wyruszając do miasta lub gdzieś dalej.

Kiedy Halisstra się ubrała, Danifae chwyciła swojego morgenszterna, obie owinęły się piwafwi oznaczonymi insygniami domu Zuavirr, i były gotowe.

Na korytarzach panowała cisza. Wyglądało na to, że na razie nikt jej jeszcze nie szuka, za co kapłanka była w duchu głęboko wdzięczna. Po opuszczeniu swoich komnat zaczęła swobodniej oddychać. Nikt nie powinien zadawać pytań dwóm strażniczkom poruszającym się po domu.

Właśnie wtedy minęły zakręt korytarza i dostrzegły przed sobą trzech dziwnych drowów, w tym dwóch posiniaczonych i krwawiących, którzy skradali się w mroku. Zdecydowanie nie należeli do członków domu, ale dopiero po chwili Halisstra uświadomiła sobie, że to trzej Menzoberranzańscy.

- Cholera! - zaklął jeden z nich, sięgając do kieszeni piwafwi. Dwaj pozostali dobyli broni i zaczęli ostrożnie podchodzić.

ROZDZIAŁ 12

Matka opiekunka Zuavirr nie była wściekła. Wściekłość była dobra dla służących, którzy wiedzieli, że w przytomności swoich przełożonych mają trzymać język za zębami, bez względu na to, co czują. Wściekłym było się wtedy, kiedy trzeba było wymierzyć policzek nieposłusznemu dziecku. Nie, wściekła nie było dość mocnym słowem, żeby opisać to, jak czuła się Ssipriina Zuavirr. Ktoś musiał zapłacić za swoją głupotę. Ktoś musiał umrzeć.

Gnała jak burza korytarzami własnej siedziby, do której przeniosła się za pomocą magii, wyśliznąwszy się z rezydencji Drisnil podczas ogólnego zamieszania. Pragnęła czegoś, potrzebowała czegoś, choć nie spodziewała się tego, kiedy dzień się zaczynał. Miała prawie nadzieję, że ktoś przetnie jej drogę, że ktoś popełni błąd i zaczepi ją, przewie bieg jej myśli z jakiegoś idiotycznego i zupełnie bezsensownego powodu. Naprawdę miała taką nadzieję... zabawnie by było móc się na chwilę oderwać od tego wszystkiego i patrzeć, jak jakiś nieszczęsny mężczyzna wykrwawia się na śmierć, rozszarpany przez nią na strzępy. Była tak rozjuszona, że zrobiłaby to gołymi rękoma.

Strażnik akurat by się nadał, myślała. Jakikolwiek głupiec, który ośmieliłby się na mnie spojrzeć. Cały jej misterny plan leżał w gruzach. Wszystkie manipulacje, łapówki, kradzieże, szmuglowanie kosztowności i żołnierzy, nawet przypadkowe pojawienie się przeklętych Menzoberranzańczyków i jej sprytny pomysł uwzględnienia tego w planach nie zdały się na nic. Ktoś popełnił błąd, a ona musiała dostać jego głowę.

Już miałam je w garści, myślała Ssipriina. Były gotowe mnie namaścić. Nawet po tej bzdurnej historyjce wymyślonej przez czarodzieja.

Ta oczywista próba pokrzyżowania jej planów nie powstrzymałaby jej. Nikt by mu nie uwierzył, nawet pomimo reakcji jej głupiej córki. Ssipriina uważała, że Faeryl postąpiła jak rozkapryszony bachor, którym wciąż była.

Nigdy nie powinnam jej była w to wciągać.

Ssipriina uświadomiła sobie, że błądzi gdzieś myślami. To furia nie pozwalała jej się skoncentrować.

Faeryl mogę się zająć później. Pozostało już tylko walczyć i wygrać, ale byłoby mi o tyle łatwiej, gdyby szare krasnoludy pozostały w ukryciu. Kto kazał im wkroczyć do akcji?

Kiedy znalazła się w swoich komnatach, uznała, że znalezienie winnego też musi poczekać. Musiała skupić całą uwagę na czymś innym. Miała zamiar zrzucić coś na całe miasto. Coś wyjątkowego. Na myśl o tym na twarzy Ssipriiny pojawił się uśmiech.

* * *

Faeryl zatoczyła się i wpadła na ścianę korytarza, kiedy dom Melarn zaczął się trząść.

Służba wrzeszczała, a skądś dobiegł ją krzyk:

- Pani! To duergarowie! Całe setki, otaczają nas... atakują!
- Kolejny wstrząs przetoczył się grzmotem przez dom.
- Pałą kamienie, o matki. Miasto płonie!

Faeryl zamarła - wiedziała, że to prawda. Już to przeżyła, choć było to w trzewiach domu Baenre, gdzie została przykuta łańcuchami do kolumny. Mimo to pamiętała dochodzące z góry dudnienie, czuła wibracje w ziemi. Kiedy została uwolniona przez Triel Baenre i poproszona o wzięcie udziału w wyprawie do Ched Nasad, poznała wszystkie szczegóły powstania na ulicach Menzoberranzan od pozostałych członków ekspedycji. Ich opisy dzbanów z ogniem, ogniem, który palił kamień, zapadły jej głęboko w pamięć. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak będzie to wyglądało na pajęczej ulicy Ched Nasad. Faeryl jęknęła. Plan jej matki walił się. Duergarowie mieli się pokazać wyłącznie w przypadku, gdyby negocjacje z innymi opiekunkami nie dały spodziewanych rezultatów. Pomimo kretyńskich zarzutów tego idioty Pharauna, który twierdził, że brała udział w spisku, sytuacja jeszcze nie wymknęła się spod kontroli.

Matka zbyt wcześnie nacisnęła spust, uznała ambasador. Stchórzyła i nawet nie raczyła mi o tym powiedzieć. Typowe.

Potrząsając głową, Faeryl podniosła się z ziemi. W tej samej chwili komnatę wypełniła gęsta, ciemna mgła. Drowka domyślała się, czyja to sprawka. Choć miała ochotę posiekać Pharauna na tysiąc

kawałeczków, na sali panował zbyt wielki zamęt.

Poza tym, przyznała niechętnie ambasador, z nim i jego chłopcami nie ma żartów. Pozwolę czarodziejom matki się nimi zająć. Ja muszę pozbyć się Quenthel i tej ohydnej bestii.

Idąc po omacku wzdłuż ściany, zatoczyła się, gdy kolejny wybuch zakołysał domem Melarn. Mgła rozwiła się, z drugiego końca komnaty dobiegały odgłosy walki. Oparła się pokusie przyjrzenia się jej z bliska, choć miała nadzieję, że dojrzy śmierć czarodzieja. Udało jej się dotrzeć do drzwi w tej samej chwili, w której wypadło z nich kilkudziesięciu żołnierzy domu, spychając ją na bok.

- Głupcy! - syknęła na nich.

Prawie trzęsąc się z wściekłości, opuściła salę audiencyjną i pospiesznie ruszyła ku niższym poziomom. Po drodze minęła w korytarzach kilka drowek, wszystkie były kompletnie zdezorientowane. Wyglądało na to, że żadna z nich nie wie, jakie są przyczyny zamieszania, a w którymś momencie ambasador dosłyszała, jak przynajmniej trzy kapłanki, które szły w przeciwnym kierunku, dyskutują o trzęsieniu ziemi.

Faeryl nie zadała sobie trudu wytłumaczenia im, co się naprawdę dzieje. To nie był jej dom. Skręciwszy po raz ostatni, wbiegła do sali tortur, gdzie zostawiła Quenthel i Jeggreda. Nie było ich tam. Pomieszczenie nie było jednak puste. Jeden z oprawców metodycznie układał narzędzia, które poprzekrzywiały się podczas dudniących wstrząsów dochodzących z zewnątrz.

- Gdzie oni są? - zapytała nie znoszącym sprzeciwu głosem, wskazując ławę, na której była rozciągana Quenthel.

Oprawca odwrócił się i spojrzał na nią nieobecny wzrokiem, nie rozumiejąc.

Warcząc ze złości, ambasador powtórzyła pytanie.

Drow wpatrywał się w nią, aż w końcu na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

- O, nie ma ich tutaj - odparł.

Faeryl przewróciła oczyma.

- To widzę, ty głupcze. Gdzie są?

- Ten brzydał, Zammzt, kazał ich przenieść do celi - odparł oprawca. - Osobiście tego dopilnowałem.

Kilka kolejnych wybuchów zakołysało pomieszczeniem, rozrzucając wszędzie narzędzia tortur. Faeryl zdołała uchwycić się kolumny, do której przywiązany był Jeggred, ale elf nie miał tyle szczęścia. Rozłożył się jak długi na ziemi, a co gorsza jeden z koszy pełnych gorących węgli przewrócił się na niego, wysypując nań swą zawartość. Wrzeszcząc, drow próbował się niezdarnie wygramolić spod żużlu, ale jego ubranie zdążyło się już zapalić - miotał się bezradnie po pokoju, płonąc niczym żywa pochodnia.

Faeryl przygryzła wargę z irytacją.

Dlaczego ich przeniósł i dokąd? - zastanawiała się, odwracając się do wyjścia.

Zdecydowała, że będzie musiała kazać komuś się tam zaprowadzić, po czym wyszła.

* * *

Widząc przed sobą dwie kapłanki, Pharaun zawahał się tylko na chwilę. Jedna była najzwyczajniej w świecie piękna. Druga, choć nie mogła się pochwalić krągłymi kształtami i płynnymi ruchami pierwszej, była wyraźnie szlachetnie urodzona i również całkiem niebrzydka. I wtedy, przyjrawszy się jej uważniej, czarodziej ją poznał. To właśnie ona jeszcze niedawno temu stała w okowach na sali audiencyjnej. Właściwie, uświadomił sobie, wciąż miała na rękach kajdany, którymi była skuta, choć łańcuch pomiędzy nimi został przerwany. Ani jedna, ani druga nie wyglądała na uszczęśliwioną ich widokiem.

- Cholera - wymamrotał Pharaun, przychodząc do siebie.

Czarodziej wsunął dłoń w fałdy piwafwi, szukając gorączkowo różdżki, za pomocą której niedawno wysłał na tamten świat elfich żołnierzy. Przed nim Ryld uniósł Rozpruwacza, przyjmując agresywną postawę i ruszając ostrożnie w stronę elfek. Valas prześliznął się w bok, automatycznie oddalając się od Rylda, żeby mogli je zająć z obu stron.

Uroczą istotą, która wpadła czarodziejowi w oko, syknęła ze złością i chwyciła za swój morgensztern. Na drugim ramieniu miała puklerz, którym zasłaniała się przed Valasem.

- To oni! - warknęła, stając przed drugą drowką, jak gdyby chciała jej bronić.

Obie mroczne elfki wyglądały tak, jak gdyby potrafiły się o siebie zatroszczyć, a Pharaun

zauważył, że obie mają na sobie kolczugi misternej roboty. Ta z tyłu nosiła na swojej insygnia domu Melarn i czarodziej zgadywał, że jest jedną z córek martwej matki opiekunki.

Pharaun miał już różdżkę w dłoni, ale zanim zdążył wypowiedzieć słowo-wyzwalacz, Ryld wysunął się do przodu i natarł krótką serią ciosów na mroczną elfkę przed sobą, która z trudem parowała je zarówno morgenszternem, jak puklerzem. Mistrz Sorcere wiedział, że Ryld nie przypuszcza jeszcze właściwego ataku. Fechmistrz starał się kilkoma fintami ocenić umiejętności przeciwniczki, zanim przejdzie do ostatecznego natarcia.

Valas wciąż próbował zająć ją z boku, przez co była zmuszona zrobić kilku kroków do tyłu, aby uniemożliwić mu dostanie się za plecy. Pharaun wycelował z różdżki i przygotowywał się do wyrecytowania frazy aktywującej, kiedy przemówiła druga drowka, córka domu Melarn. To sprawiło, że się zawahał.

- Stój, Danifae.

Pierwsza elfka cofnęła się o kolejnych kilka kroków, ale nie opuściła morgenszterna.

- Nie mamy nic przeciwko wam - powiedziała wciąż bezimienna drowka. - Wiem, że nie macie powodów, by nam ufać, ale nie jesteście waszymi wrogami... Oni nimi są.

Wskazała w górę, na piętra nad nimi.

Ryld zrobił krok w jej stronę, ale on również stanął, nie chowając miecza. Valas obserwował obie strony świecącymi oczyma, trzymając kukrisy w pogotowiu.

- Cóż za pomyślny zbieg okoliczności - odezwał się Pharaun, uśmiechając się zimno. - Zagrożona córka, uwikłana w zdradę matki, bez żadnych przyjaciół, składa pokojową propozycję. Przynajmniej do czasu, kiedy uspicie naszą czujność, tak? Wtedy oddacie nas matce opiekunce Zuavirr, twierdząc, że nas schwycaliście, aby w ten sposób ocalić własną skórą.

- Mogłabym to samo powiedzieć o was, ale nie zrobią tego - odparła córka domu Melarn. Nie odrywając wzroku od Pharauna, dodała: - Danifae, powiedziałam, cofnij się!

Pharaun uniósł brew, zdziwiony tonem, jakim wydała rozkaz. Danifae kiwnęła głową na znak zgody i zaczęła iść do tyłu, dopóki nie zrównała się ze swoją panią.

- Tu akurat masz słuszość - rzekł Pharaun. - Nie mamy powodów, żeby wam wierzyć. Skoro macie na pieńku z panią Zuavirr, co robicie tutaj, odziane w swoje najlepsze zbroje?

- Staramy się ocalić skórą - odpowiedziała córka domu Melarn nieco bardziej rozdrażnionym tonem, niż Pharaun uznał za konieczne, zważywszy na fakt, że starała się wynegocjować zawieszenie broni, choćby tylko chwilowe. - Myślę, że oboje zostaliśmy wykorzystani przez Ssipriiną Zuavirr. Jeśli pójdziecie z nami, pomożecie nam, może będziemy w stanie zdobyć dla was informacje, które pomogą udowodnić nasze dobre intencje względem was.

- Połóżcie broń na ziemi - powiedział Ryld - a my rozważymy wysłuchanie was.

- Raczej nie - odparła drowka. - Przynajmniej do czasu, gdy będziemy mieć pewność, że nie zaatakujecie nas w chwili, w której to zrobimy. Nie mam pewności, że nie byliście w zмовie z moją matką.

Ryld warknął, unosząc Rozpruwacza i znów ruszając w ich stronę. Valas również, wciąż starając się minąć kapłanką z lewej strony.

- Ryld, Valas, zaczekajcie! - zawołał cicho Pharaun.

Czarodziej nie miał żadnych wątpliwości, że dwaj wojownicy z łatwością poradzą sobie z dwiema drowkami, o ile czarodziej za ich plecami będzie ich wspierał starannie wyselekcjonowanymi zaklęciami, ale zaintrygowały go słowa elfki. Ryld zerknął przez ramię na czarodzieja, po czym wzruszył ramionami, ale nie cofnął się.

- Mogę was zapewnić, że nigdy nie spotkaliśmy twojej matki i nie mieliśmy z nią nigdy doczynienia. Tą nedorzeczną bajeczką opowiedzianą w sali audiencyjnej wysłałem z palca, żeby zyskać na czasie żeby napsuć wszystkim krew, że tak to ujmą. Wydajesz się wiedzieć, kim jesteśmy - zwrócił się do córki domu Melarn - ale my nie wiemy, z kim mamy do czynienia. Kim jesteście i jakimi to informacjami zamierzacie kupić nasze zaufanie?

W rozbłysku błękitnawego światła Valas wszedł w pozawymiarowy portal i kiedy elfka o imieniu Danifae odwróciła się w stronę, gdzie jeszcze ułamek sekundy wcześniej stał Bregan D'aerthe, ten już stał za nią, jedną ręką łapiąc ją mocno za nadgarstek, w którym trzymała morgensztern, a drugą przytykając kukris do miejsca, w którym jej zuchwa przechodziła w łabędzią szyję. Choć drowka była kilka cali wyższa od zwiadowcy, Valas z łatwością ją przeważał, podpierając biodrem pod biodro i

unosząc dziewczynę z ziemi.

Danifae wytrzeszczyła oczy, zdając sobie sprawę, że została wyprowadzona w pole. Przez kilka sekund rzucała się bezradnie, ale kiedy dotarło do niej, że ma sztylet na gardle, zamarła.

- Odłóżcie broń - polecił Ryld obu elfkom, wskazując ich oręż wielkim mieczem. - Na ziemię, spokojnie i bez sztuczek.

Córka domu Melarn, zaskoczona manewrem Valasa, wydała z siebie zduszony okrzyk, zmrużyła oczy i postąpiła pół kroku w stronę swojej towarzyszki. Kiedy dotarło do niej, że nie ma szans, westchnęła i położyła buzdygan na podłodze u swoich stóp. Danifae obwisała lekko w uścisku Valasa i oddała swoją broń drugiej elfce, która ją również położyła na posadzce.

- Doskonale! - powiedział Pharaun, gdy Ryld kopniakiem odrzucił oręż na bezpieczną odległość. - Nie było to wcale takie trudne, co?

- Mogliście nam zaufać! - prychnęła córka. - Nie dałyśmy wam powodów do nieufności.

Pharaun ryknął gromkim śmiechem. Ryld stłumił chichot, a Valas, który puścił Danifae, ale trzymał kukris przytknięty do jej krzyża, szczyrzył zęby za jej plecami.

- Jesteś mroczną elfką - powiedział w końcu czarodziej, odzyskując panowanie nad sobą. - Samo to wystarczy, żebym ci nie ufał, ale jeśli myślisz, że zaufamy komukolwiek w tym przeklętym mieście, jesteś najgłupszą osobą, jaką spotkałem od dłuższego czasu. Jestem jednak skłonny negocjować, masz więc jeszcze szansę się uratować. Możesz zacząć od odpowiadania na moje pytania. Kim jesteś i co to za informacje?

Córka Melarnów skrzywiła się, ale w końcu odpowiedziała:

- Nazywam się Halisstra Melarn, czego do tej pory z pewnością się domyśliłeś. To Danifae, moja osobista służąca. Miałam na myśli to, że wasza przyjaciółka wysoka kapłanka i jej towarzysz demon nie są wcale martwi.

Pharaun poczuł, że wytrzeszcza oczy i usłyszał, że Ryld i Valas gwałtownie wciągnęli powietrze w płuca.

- Doprawdy - powiedział mag, starając się zdobyć na swobodny ton - a skąd to niby wiesz?

- Bo ich widziałam - odparła Danifae, którą wciąż przytrzymywał Valas.

- Najwyraźniej - rzekła Halisstra - Ssipriina Zuavirr po prostu powiedziała wszystkim, że kapłanka jest martwa, żeby nikt nie domagał się wysłuchania jej wersji całej historii. Powinni byli ich zabić, ale domyślałam się, że Faeryl miała wobec kapłanki inne plany.

Na wzmiankę o ambasador Pharaun przekrzywił głowę.

- Znasz Faeryl Zuavirr? - zapytał.

- Tak - odparła Halisstra - znam ją. Razem dorastałyśmy. Ponieważ nasze domy łączą a raczej łączyły - stosunki handlowe, jej matka i moja spędzały razem trochę czasu. Możliwe, że Faeryl właśnie jest u kapłanki Baenre. Podejrzewam, że ją torturuje.

- Czy to prawda? - zapytał Pharaun.

Ryld, który wciąż stał z mieczem wymierzonym w dwie kobiety, prychnął:

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Ciekawe, w jaki sposób szanowna wysoka kapłanka dała się w ogóle złapać? - zastanawiał się na głos Pharaun.

- To była zasadzka - wyjaśniła Halisstra. - Kiedy znaleźli się w magazynie towarzystwa handlowego Czarny Szpon, Faeryl była już chyba wtajemniczona. Jej matka wyszła im na spotkanie z oddziałem straży, który pokonał kapłankę i towarzyszącego jej demona. Twierdzą, że musiały zabić moją matkę, gdy próbowała uciec, choć teraz zastanawiam się, czy ona rzeczywiście nie żyje.

- Hm - Pharaun był jeszcze bardziej zaintrygowany niektóre fakty zaczynają nabierać sensu. - Teraz rozumiem, dlaczego przez całą podróż Faeryl była taka potulna. Chciała, żeby Quenthel poszła do magazynu. Od samego początku chciała ją pojmać.

- Nie tylko Quenthel, ale was wszystkich - sprostowała Halisstra. - Zgaduję, że próbowała schwytać was wszystkich naraz, ale kiedy nie pojawiliście się w magazynie, musiała zmodyfikować plan. Byłaby bardzo zadowolona, widząc was wszystkich martwymi.

- Tak - potwierdził kwaśno mag. - Powiadomiono nas o tym fakcie niespełna godzinę temu. Nie trzeba dodawać, że nam ten pomysł niespecjalnie przypadł do gustu.

- Więc gdzie jest mistrzyni Baenre? - zapytał Ryld. - Odszukamy ją i odejdziemy. Możecie nam pomóc albo dołączyć do tych wszystkich, którzy do tej pory stanęli nam na drodze.

Halisstra przyjrzała się badawczo wojownikowi.

- Co chcecie przez to zyskać? - spytała.
- Zamierzamy ją stąd wydostać, a potem znaleźć...
- Fechmistrz Argith - przerwał wojownikowi Pharaun, odciągając go na bok, gdzie mogli porozmawiać na osobności. - Nie jestem pewny, czy to najrozsądniejsze wyjście. Powinniśmy wydostać się stąd, zanim cały dom się zawali, nie uważasz?
- I zostawić tu mistrzynię Akademii? - odparował Ryld. - Powinniśmy spróbować ją znaleźć.
- Pharaun spojrzał pytająco na towarzysza.
- Po co, na Podmrok, mielibyśmy to robić?
- Oczy Rylda rozbłysły z wściekłości.
- Może ty masz ochotę się jej pozbyć, czarodzieju, ale ja nie.
- Doprawdy? - odparł Pharaun, sam się zacietrzewiając. - Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, pomyślałbym, że czujesz do wysokiej kapłanki miętę. Tak szybko zapomniałeś o pogardzie, z jaką na ciebie patrzy?
- Bez względu na to, jakie ambicje tobą kierują, ja wciąż staram się wypełniać zadanie, które powierzyła mi matka opiekunka Baenre i reszta wysokiej rady. Quenthel wciąż ma w nim rolę do odegrania, a ja nie mam ochoty zdradzić Menzoberranzan dla mojej prywatnej wendety.

Kolejny wstrząs targnął domem Melarn, zmuszając Pharauna do uniesienia się w powietrze, żeby nie stracić równowagi.

- Czy możemy klócić się o to później? - wtrącił Valas, wciąż ściskając Danifae; oboje usiłowali zachować równowagę. - Zgadzę się z Ryldem, przynajmniej w tej chwili. Quenthel może być nam jeszcze potrzebna, wciąż jest naszą najlepszą łączniczką z Mroczną Matką i tylko ona może nam powiedzieć, czy udało nam się nawiązać kontakt z Lolth. Jeśli odnajdziemy Tzirika, wypadaloby mieć ją przy sobie.

Pharaun westchnął, rozgoryczony tym, że podniósł głos, przez co mogły usłyszeć go elfki.

- Świetnie - powiedział. - Spróbujemy ją odnaleźć, ale pamiętajcie, co mówiłem. Jeśli dom zawali się nam na głowy, będę miał pretensje do was obu.

Uśmiechnął się w nadziei, że żart złagodzi napięcie. Ryld wciąż patrzył na niego krzywo, ale skinął krótko głową, gdy decyzja została podjęta.

Kolejny wstrząs zakolysał domem Melarn, zmuszając wszystkich do przestąpienia z nogi na nogę. Halisstra rozejrzała się wokół siebie z niepokojem.

- Jeśli chcecie odnaleźć waszą wysoką kapłankę, pozwólcie mi was do niej zaprowadzić - rzekła. - Danifae i ja nie mamy nic przeciwko wam, co przyznałam już wcześniej, a wszystko, co wam do tej pory powiedziałam, jest prawdą. Nie mamy tu żadnych sojuszników, wy również. Połączenie sił może nam przynieść obopólne korzyści.

Dobrze - zgodził się Pharaun. - Przyjmijmy na razie, że wierzymy, iż nas do niej zaprowadzicie. Zwiększy to znacznie nasze szanse na wydostanie się stąd w jednym kawałku, ale tylko po to, żeby mieć pewność, że nie będziecie próbować żadnych, powiedzmy, sztuczek, myślę, że Danifae będzie nam towarzyszyć z rękami związanymi na plecach. Valas i ja będziemy ją mieć na oku, a ty i Ryld pójdziecie przodem.

Danifae zrobiła wielkie oczy na znak protestu, ale Halisstra po chwili namysłu kiwnęła głową.

- Dobrze - zgodziła się. - Zrobimy, jak chcecie na razie. Ale najpierw musicie coś dla mnie zrobić. Musicie odpowiedzieć na pytanie, jeśli potraficie. Jak wygląda sytuacja na ulicach? Sama nie miałam okazji się o tym przekonać od chwili, w której zaczęły się wstrząsy.

Pharaun wzruszył bezradnie ramionami.

- Obawiam się, że nie potrafię udzielić ci dokładnej odpowiedzi na to pytanie - powiedział. - Byłaś w sali audiencyjnej, kiedy zaczęły się ataki, i słyszałaś krzyk ostrzegawczy. Jednak ci duergarowie wydają się zorganizowani. Podejrzewam, że stoi za nimi ktoś inny, ktoś potężny.

Halisstra spojrzała bacznie na Pharauna.

- Dlaczego odniosłeś takie wrażenie?
- Wybuchy, które odczuwamy, powstają dzięki alchemii zapalającej. Niedawno w Menzoberranzan doszło do podobnych zniszczeń. Ktokolwiek zaopatruje duergarów, może być sprzymierzony z siłami, z którymi mieliśmy do czynienia w Menzoberranzan, i ostrzegam cię, że kamień rzeczywiście się pali. Będziemy narażeni na niebezpieczeństwo tak długo, jak pozostaniemy we wnętrzu domu.

Halisstra wyglądała na przestraszoną, ale kiwnęła głową, żeby podziękować.

- A więc im szybciej zaprowadzę was tam, gdzie chcecie, tym szybciej wydostaniemy się na zewnątrz i przekonamy się, co się dzieje. Danifae, chcę, żebyś ich posłuchała. Rozumiesz mnie?

Druga elfka skinęła głową z cichym westchnieniem.

- Tak, pani - odparła, po czym przesunęła się, żeby Valas mógł za pomocą sznura związać jej ręce za plecami.

- Wspaniale. Jak to miło, że tak dobrze nam się układa - powiedział Pharaun. - A teraz, Halisstro Melarn, prowadź.

- Najpierw pozwólcie, że pomogę wam w bardziej doraźny sposób. Pozwólcie mi uleczyć wasze rany.

Pharaun rzucił okiem na Rylda, który pokręcił lekko głową, marszcząc brwi. Wzruszając ramionami, czarodziej postanowił zlekceważyć obawy towarzysza. Twarz paliła go w miejscu, gdzie oparzył go kwas.

- Zgoda - odpowiedział - możecie się mną zająć. Ale jeśli to jakaś sztuczka, moi dwaj towarzysze dopilnują, żeby nigdy się to już nie powtórzyło.

- Rozumiem - rzekła Halisstra. - Wyciągnę tylko różdżkę, więc nie denerwujcie się, dobrze?

Pharaun kiwnął głową, czekając, aż córka Drisnil Melarn wyjmie różdżkę i jej użyje. Mag natychmiast odczuł efekty magii objawień i odetchnął z ulgą.

- Dziękuję - powiedział.

Halisstra szybko uzdrowiła także Rylda i Valasa.

- Widzicie? - zapytała, chowając różdżkę. - Naprawdę jesteśmy po waszej stronie.

- Rzeczywiście - odpowiedział niezobowiązująco Pharaun. - Myślę, że będziemy stopniowo budować zaufanie. Proszę - wskazał gestem korytarz.

Halisstra przez chwilę mierzyła czarodzieja wzrokiem, jak gdyby oceniając, czy nie popełnia błędu, a potem odwróciła się i ruszyła korytarzem. Ryld szedł tuż obok niej, trzymając w pogotowiu klingę Rozpruwacza.

* * *

Aliisza nie była pewna, kiedy starcie przed szlachecką rezydencją wymknęło się spod kontroli, ale bez wątplenia przeradzało się w regularną bitwę, przyciągając uwagę całego miasta.

Demonica siedziała na dachu budynku zwisającego z krawędzi pajęczej ulicy kilka poziomów nad toczącą się walką, machała nogami w powietrzu i przyglądała się z niepokojem, jak następna fala goblinów i koboldów zderza się z hukiem z szeregami duergarów rozstawionych wokół ogromnej budowli.

Alu nie była pewna, dlaczego martwi się o wynik starcia. O, zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę niepokoi się o Pharauna. Nie rozumiała tylko dlaczego. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że będzie ją obchodził jakiś drow, i rzeczywiście, jej uczucia trudno było nazwać prawdziwą sympatią. Uważała jednak, że jest inteligentny, zabawny i miło spędziła z nim czas przed południem.

Chyba jeszcze nie mam go dość, uznała.

Czekała więc i obserwowała, zastanawiając się, czy mag wyjdzie z tego żywy. Wiedziała, że może on przenieść siebie i swoich towarzyszy w bezpieczne miejsce przez pozawymiarowy portal albo w inny magiczny sposób. Była to najbardziej prawdopodobna ewentualność i alu wątpiła, by nadal był w środku. Jednak, nie wiedząc czemu, czuła się zmuszona zostać i patrzeć. Coś w głębi serca mówiło jej, że czarodziej wciąż tam jest.

Przynajmniej bitwa jest interesująca, pomyślała Aliisza.

Szare krasnoludy pokonały z kretesem początkowe siły drowów, ściskając je między dwiema liniami atakujących, jak stal ściskana między młotem a kowadłem. Mroczne elfy zostały zmiażdżone i zmasakrowane w przeciągu kilku chwil. Kilku szczęściarzom udało się dostać za bramę świątyni, ale duergarowie byli właśnie w trakcie jej wyważania. Aliisza wątpiła, by odrzwia długo wytrzymały.

Za murami rezydencji pojawiało się coraz więcej drowów, które miały zamiar odciążyć obrońców, a może nadzieję na udział w łupach. Nowe siły, gromadzące się szybko i poganiające przed sobą oddziały niewolników, były liczniejsze niż siły duergarów i sytuacja uległa odwróceniu - szare krasnoludy broniły rezydencji, zamiast ją atakować. Choć gobliny i koboldy miały znaczną przewagę liczebną nad

duergarami, nie mogły się jednak z nimi równać pod względem taktyki wojennej i nie posiadały pocisków zapalających. Trzy razy drowy zmusiły swoją armię podistów do przypuszczenia szturm na mury i trzy razy została ona odparta, ponosząc ciężkie straty.

Aliisza rozumiała tę taktykę aż nadto dobrze. Duergarowie zostali zmuszeni do poświęcenia magii we własnej obronie, a drowy były zadowolone, mogąc poświęcić oddziały szturmowe w zamian za uszczuplenie krasnoludzkich rezerw magii. W końcu byli to tylko niewolnicy. Jeszcze kilka fal i może duergarowie zaczną ustępować.

Jedyny problem, uświadomiła sobie Aliisza, polegał na tym, że duergarowie użyli już tyłu glinianych dzbanów zapalających, że płonęła większość placu. Powietrze gęstniało od dymu i drowy musiały odsunąć się od szerzącej się pożogi. W kilku miejscach płonął również pałac i Aliisza zastanawiała się, ile jeszcze budynek wytrzyma, zanim zacznie się odrywać od zwapniałej pajęczej sieci. Choć alu wiedziała, że siły, które zbudowały miasto, uczyniły pajęczę ulice i przyłączone do nich budowle mocnymi jak stal, siedziba Melarnów znajdowała się w chwiejnej równowadze. Gdyby spłonęła wystarczająca ilość kamienia, mógłby się oberwać cały budynek.

To dopiero byłby widok.

Aliisza dostrzegła jakieś poruszenie w bocznej ulicy, nieopodal placu, na którym toczyła się większość walk. Było tam kilku drowów, ale niewiele więcej. Alu przypuszczała, że byli to zwiadowcy albo patrol.

Demonica postanowiła przyjrzeć się im z bliska. Zrobiła krok poza krawędź dachu i opadła kolejne dwa poziomy w dół, w magiczny sposób spowalniając upadek. Na widok przechodzącego obok półolbrzyma przykucnęła, nie chcąc zwracać na siebie jego uwagi.

Półolbrzym szedł szeroką ulicą, trzymając w dłoni topór bojowy. Żeleźce broni ociekało krwią, zostawiając na ziemi ślad. Powietrze było gęste od dymu.

W oddali na ulicę wypadła ławą grupa mrocznych elfów - żołnierzy prowadzonych przez kapłanki i czarodziejów. Ich ponure miny nie wróżyły półolbrzymowi niczego dobrego. Zanim jednak nowo przybyli zdążyli zrobić choć trzy kroki w jego stronę, w ulicę pomiędzy nimi uderzył z hukiem wielki odłam skalny. Ulica zatrzęsa się pod jego ciężarem, a odgłos, z jakim wyrznął w bruk, przypominał szcęk tysiąca kling uderzających w tysiąc tarcz. Półolbrzym zachwiał się i musiał uklęknąć na jedno kolano, zanim zupełnie stracił równowagę.

Aliisza wbiła wzrok w mgłę, żeby zobaczyć, co wylądowało na pajęczej ulicy. Był to tylko dymiący kawał gruzu, ale demonica widziała, że stanowił on wcześniej część biegnącej wyżej ulicy. Właściwie wyglądał jak kawałek ulicy i kilka budynków. Cała kupa gruzu stała w płomieniach, nad nią unosiły się grube pióropusze dymu. Alu spojrzała w górę, ciekawa, skąd się wzięła.

Nawet przez dym Aliisza widziała nad sobą szeroką ulicę łączącą się z obłożonym domem. Ogromnego fragmentu ulicy brakowało, jak gdyby kawał pajęczej nici został odgryziony. Płomienie wciąż lizały kamienie wokół wyrwy. Spadając, odłam zabrał ze sobą mały fragment domu. Reszta ogromnego budynku wciąż znajdowała się na swoim miejscu, ale Aliisza zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili może runąć w dół. Alu wiedziała, jak niebezpieczne było przebywanie pod płonąca kamienną ulicą.

Półolbrzym również musiał to wyczuć, ponieważ obrócił się, żeby wrócić tą samą drogą, którą przyszedł. Właśnie wtedy pokazał się następny patrol drowów. Była to mała grupa, składająca się z nie więcej niż pięciu, sześciu osób, ale przewodził jej czarodziej z różdżką w dłoni. Mag machnął różdżką i z jej końca wystrzelił trzeszczący impuls elektryczny, trafiając półolbrzyma w środek piersi. Stwór zawył z bólu, prawie upuścił topór, a Aliisza widziała, że nawet gdy atak ustał, przez jakiś czas nie mógł poruszać palcami dłoni. Mroczne elfy rzuciły się hurmą w jego stronę, dobywając kusz i mieczy.

Jednak półolbrzyma nie było tak łatwo powalić. Aliisza obserwowała z fascynacją, jak ogromny humanoid grzebie w zawieszonych na biodrze torbie i wyciąga z niej kilka glinianych dzbanów. Wciąż przyklękając na jedno kolano, cisnął nimi w kierunku nacierających drowów. Niemal wszystkie naczynia poleciały w stronę mrocznych elfów, które stchórzyły, gdy tylko zobaczyły, co im grozi. Dzbany roztrzaskały się o bruk i stanęły w płomieniach, posyłając ku niebu ścianę ognia i dymu w wybuchu, który Aliisza poczuła na twarzy.

- Na Otchłań, - wyszeptwała Aliisza, nie mogąc oderwać oczu od tego wspaniałego widowiska.

Drowy uskoczyły przed atakiem, starając się uciec przed pożarem, który zwęglił ulicę w przeciągu kilku sekund. Kilku mrocznym elfom udało się umknąć na tę stronę ulicy, na której znajdował się

półolbrzym. Uświadomiwszy sobie, że znaleźli się w potrzasku, rozglądali się za jakąś drogą ucieczki, przyglądając się nieufnie wielkiej bestii.

Półolbrzym podniósł się ociężale z ziemi i ruszył w ich stronę, ściskając oburącz topór. Niemal równocześnie drowy odwróciły się, podbiegły na skraj ulicy, skoczyły i zaczęły opadać w zadymioną czelusć.

Niemal w tej samej chwili ulica przesunęła się, przechylając się w bok, i półolbrzym zatoczył się w stronę jej krawędzi. Aliisza patrzyła, jak ogromny humanoid rozgląda się wokół siebie błędnym wzrokiem, starając się zrozumieć, dlaczego podłoże zrobiło się tak nagle niestabilne. Zauważyła też, że ogień pocisków zapalających przepalił znaczną część zwapniałej pajęczej nici i ulica zaczynała się obrywać. Drugi koniec był już osłabiony wstrząsem wywołanym upadkiem kupy gruzu i cały ten odcinek przesunął się i trzeszczał. Alu wiedziała, że długo się nie utrzyma.

Ku jej zdziwieniu półolbrzym zaczął biec w stronę ognia wielkimi, ciężkimi krokami, od których trzęsła się waląca się ulica.

Kiedy cała nić zadrżała i urwała się, zaczepona tylko w miejscu, gdzie spadła na nią wcześniej kupa żużlu, stwór skoczył, przelatując przez szalejące płomienie. Aliisza otworzyła usta ze zdumienia. Półolbrzym przeleciał na drugą stronę i wylądował ze straszliwym hukiem, od którego wystający koniec ulicy zadrżał i podskoczył.

Za plecami półolbrzymia spadający odcinek ulicy runął w ciemność, w końcu lądując gdzieś z ogłuszającym łoskotem. Przed ogromnym humanoidem stały trzy drowy gapiące się na niego z szeroko otwartymi ustami. Nawet z miejsca, w którym siedziała, Aliisza zobaczyła, że półolbrzym uśmiecha się, idąc w ich stronę. Stwór wznosił topór i szedł ciężko dalej. Czarodziej spanikował i rzucił się do ucieczki, zostawiając dwóch żołnierzy. O dziwo obaj zwrócili się jak jeden mąż w stronę nacierającego półolbrzymia. Jeden z nich zrobił niepewnie krok do przodu, oceniając, gdzie i jak zaatakować, kiedy jego towarzysz pchnął go silnie od tyłu, a sam odwrócił się i uciekł.

Pierwszy drow stracił równowagę i zatoczył się prosto pod nogi półolbrzymia. Aliisza uśmiechnęła się. Uciekający mroczny elf poświęcił towarzysza, aby ocalić życie.

Humanoid uniósł topór, gotując się do rozplątania rozciągniętego na ziemi mężczyzny na dwoje. Mroczny elf rozpaczliwie uniósł swój długi miecz i wbił go w żołądek półolbrzymia.

Stwór zaryczał, wyginając grzbiet, i chybił, wgryzając się w ramię drowa, zamiast w tors. Mroczny elf wrzasnął, a półolbrzym runął do przodu, grzebiąc go pod sobą i jeszcze głębiej nabijając się na miecz.

Żołnierz zadał śmiertelny cios, uświadomiła sobie Aliisza, gdyż półolbrzym leżał na nim bez ruchu. Młodzieniec krzyknął z bólu. Był uwięziony, przygwożdżony do ziemi przez półolbrzymia i miał tylko jedno zdrowe ramię, którym mógł próbować się spod niego uwolnić.

- Iliphrimie! Iliphrimie, pomóż mi! - zawołał drow, ale Iliphrim już dawno uciekł, a płomienie były coraz bliżej.

Aliisza westchnęła. Bitwa okazała się wyjątkowo zajmująca, ale chyba już się skończyła, choć ranny drow przygnieciony przez olbrzymia poruszał się co jakiś czas. Uznała, że jego towarzysz, który pchnął go pod nogi szarżującemu półolbrzymowi, postąpił bardzo sprytnie. Roześmiała się cicho.

Przygnieciony i umierający drow poruszył znów ramieniem, na próżno usiłując przesunąć cielsko półolbrzymia, żeby móc się spod niego wyśliznąć. Aliisza wiedziała, że nigdy mu się to nie uda, nie przy pomocy jednej ręki.

W nagłym odruchu współczucia, który był zupełnie nie w jej stylu, alu-demon zeskoczyła z dachu i sfrunęła w dół tam, gdzie leżał mroczny elf, poruszając się słabo. Drow zauważył ją i zamarł, przyglądając się jej nieufnie. Uśmiechnęła się tylko i podsunęła mu leżący na ziemi sztylet, tak aby znalazł się w zasięgu jego zdrowej ręki. Odsunęła się i czekała, żeby przekonać się, czy robi to, co należy.

Drow przyglądał się jej przez chwilę, a potem, jak się wydawało, skinął głową na znak, że zrozumiał. Chwycił sztylet i zasalutował nim Aliiszy, po czym zaczął odcinać nim kawałki ciała półolbrzymia. Była to czasochłonna i brudna robota, ale mógł zdążyć, zanim ulica się zawali.

Uśmiechając się z satysfakcją, Aliisza odwróciła się i wróciła tam, gdzie usiadła na początku, znów niepokojąc się o losy Pharauna.

ROZDZIAŁ 13

Piątka drowów schodziła coraz głębiej w trzewia domu Melarn i wydawało się, że trwa to już od kilku godzin, choć Pharaun był pewny, że upłynęło zaledwie piętnaście minut. Kilka razy grupa musiała się zatrzymać, gdy drogę przecinał im członek straży. Raz Halisstra podała się za członka domu Zuavirr, rozkazując grupie wartowników udać się na powierzchnię, aby pomogli w obronie domu.

- Na niższych poziomach jest zwykle mniej osób - powiedziała w pewnej chwili Halisstra. - Podejrzewam, że większość służby i oddziałów Ssipriiny jest na górze i pomaga bronić domu. To już niedaleko.

Mag kiwnął głową i cała piątka ruszyła dalej. Pharaun kilka razy przyłapał się na tym, że wpatruje się jak zauroczony w cudowną istotę obok siebie. Drowka wydawała się dość niezadowolona z obrotu spraw, zwłaszcza że związane ręce czyniły ją bezbronną, ale szła z wzrokiem wbitym skromnie w ziemię, co czarodziej uznał za jeszcze bardziej czarujące.

Grupa zeszła po ostatnich schodach i znalazła się w ponurym bloku więziennym. Pomieszczenie było pozbawione ozdób, w przeciwieństwie do wykwintnie urządzonych komnat na wyższych poziomach, a stęchły zapach niemytych ciał, choć słaby, pozwalał się domyślać, co się tu mieściło. Halisstra poprowadziła ich do drzwi na końcu krótkiego korytarza. Były mocne i wykonane tak, żeby wytrzymać znaczny napór.

Kapłanka podeszła do portalu i machnęła przed nim broszą z insygniami domu Melarn. Rozległo się szczęknięcie, gdy magia insygniów otworzyła zamki w drzwiach. Halisstra pchnęła drzwi i weszła do następnego pomieszczenia, które wydawało się być wartownią, obecnie pustą. W jej przeciwległym końcu zaczynał się korytarz niknący w ciemnościach.

Pharaun, który zauważył jakieś poruszenie w korytarzu, położył palec na ustach i nakazał gestem ciszę.

- *Ktoś tu jest. Zachowajcie czujność - żadnych hałasów*, pokazał na migi, wskazując na Halisstrę i Danifae.

Obie drowki kiwnęły głowami i Pharaun gestem polecił Halisstrze iść dalej. Kiedy elfka weszła w korytarz, pozostali ruszyli za nią. Większość cel była pusta, prowadzące do nich drzwi otwarte, a wewnątrz panował mrok i cisza. Jednak gdzieś w połowie korytarza Pharaun usłyszał czyjś niski głos. Dobiegał on z jednej z cel po jego prawej ręce. Czarodziej widział też, jak ktoś zamyka od środka drzwi. Poruszając się najciszej, jak potrafili, dotarli do drzwi. Nie były domknięte i Pharaun mógł zajrzeć do wnętrza celi. Zobaczył w niej Quenthel, nagą i skuloną pod ścianą. Wokół szyi drowka miała ciężką stalową obrożę, a biegnący od niej łańcuch kończył się bolcem wbitym w kamienną ścianę. Wysoka kapłanka była zakneblowana grubym wędzidłem, wepchniętym jej głęboko w usta, zaś ręce miała unieruchomione, otoczone jakąś grubą, lepką kluchą. Została skutecznie unieszkodliwiona i, co Pharaun rozumiał aż nadto dobrze, całkowicie pozbawiona możliwości rzucania czarów na wypadek, gdyby po tak długim braku kontaktów z Lolth zostało jej jeszcze jakieś zaklęcie objawień.

Z boku, pod drugą ścianą celi, stał Jeggred. On również był przykuty do ściany, jego szyję, ramiona i nogi oplatały grube adamantytowe łańcuchy. Pharaun widział, że są magicznie wzmocnione, ale mimo to draegloth starał się je rozerwać, nawet na chwilę nie przyjmując do wiadomości faktu, że nie uda mu się uwolnić. Stwór raz po raz szarpał się w łańcuchach, które z brzękiem uderzały o ścianę, gdy usiłował skoczyć na obiekt swojego gniewu.

Faeryl Zuavirr stała tuż poza zasięgiem draeglotha, odwrócona plecami do Pharauna i Halisstry. Stała nad Quenthel, szydząc z niej niemiłosiernie.

- ... wiem, że chciałybyś powiedzieć prawdę matkom opiekunkom, ale teraz już na to za późno. Żałuję tylko, że nie spędziłyśmy razem więcej czasu, Quenthel.

Głos ociekał jej jadem.

- Podejdz trochę bliżej, Faeryl - powiedział Jeggred głosem przepełnionym nienawiścią. - Pozwól mi pieścić cię tak jak kiedyś, w podziemiach Wielkiego Kopca. Nie chcesz znów poczuć mojego pocałunku?

Faeryl wzdrygnęła się, ale zignorowała draeglotha, a zamiast tego wyciągnęła zza pasa sztylet.

Halisstra lekko klepnęła Pharauna w ramię.

- *Pozwól mi wywabić ją na zewnątrz*, przekazała na migi córka Melarnów.

Pharaun skinął głową i odsunął się poza zasięg wzroku. Ryld przyciągnął Danifae do ściany obok

czarodzieja, a Valas zajął pozycję po drugiej stronie drzwi.

- I tak miło będzie popatrzeć, jak oboje zdychacie - usłyszał czarodziej.
- Obawiam się, że mamy wobec niej inne plany, Faeryl - odezwała się Halisstra, pchnięciem otwierając drzwi.

Ambasador syknęła ze złości.

- Co tu robisz? - warknęła. - Powinnaś być martwa!

A potem, najwidoczniej uświadamiając sobie, że Halisstra odkryła jej tajemnicę, zmieniła ton.

- Chyba nie sądzisz, że wypuszczę cię stąd żywą? Żebyś pobiegła powiedzieć pozostałym, co znalazłaś? Nie sądzę.

Ton Halisstry był równie lodowaty.

- Wręcz przeciwnie. Chyba nie sądziłaś, że zeszlłam na dół sama? Danifae! - zawołała przez ramię córka Melarnów. - To prawda. Biegnij i powiedz im, co znalazłyśmy.

- Nic z tego - powiedziała Faeryl, pojawiając się w korytarzu, jak gdyby jednym skokiem minęła Halisstrę. - Nie powiesz...

Na widok Pharauna, Rylda i Danifae opierających się o ścianę słowa zamarły jej na ustach.

- Ty! - wypluła z siebie. - Halisstro, skumałaś się z nimi? Jesteś głupsza, niż myślałam.

Patrzyła na nich zdecydowanie nerwowym wzrokiem, a jej strach tylko wzrósł, gdy poczuła, że Valas staje za nią i łapie ją za ramię. Zwiadowca przytknął jej sztych kukrisu do gardła.

Pharaun wyciągnął do niej rękę, czekając, aż odda mu swój sztylet. Faeryl rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek drogi ucieczki, jak gdyby była gotowa dać drapaka, ale zdawała sobie sprawę, że nie ma szans w walce z tyloma przeciwnikami. Oddała sztylet, odwracając go ostrzem do siebie i składając na dłoni czarodzieja.

- Może i jestem głupia - powiedziała Halisstra - ale przynajmniej mam ich za sojuszników, czego nie można powiedzieć o tobie. Czy dobrze się bawiłaś w tę swoją kłamliwą grę? Mam nadzieję, że była tego warta. Myślę, że twoje gierki już się skończyły. Raz na zawsze.

- Pilnuj jej - polecił mag Valasowi i wszedł do celi, a Halisstra za nim.

Pełne ulgi spojrzenie Quenthel powiedziało mu, że cieszy ją jego widok. Pharaun tylko się uśmiechnął i wymówił magiczny zwrot. Obroza na szyi Quenthel otwarła się.

- Pomóż jej - polecił Halisstrze.

Potem podszedł do Jeggreda, którego czerwone, dzikie oczy migotały niecierpliwie.

- Przybyłeś w samą porę czarodzieju - powiedział draegloth, rozpościerając szeroko ramiona. - Uwolnij mnie, abym mógł rozszarpać zdrajczynię i patrzeć, jak w jej oczach gaśnie życie.

- Niczego podobnego nie zrobisz - powiedziała Quenthel. Halisstra pomogła wysokiej kapłance usunąć knebel. - Nie dotykaj jej, Jeggred. Rozumiesz mnie?

Jeggred przyglądał się Quenthel przez chwilę, ale potem pochylił głowę na znak zgody.

- Jak sobie życzysz i rozkażesz, mistrzyni.

Pharaunowi został już tylko jeden czar, jakim mógł otworzyć kajdany krępujące Jeggreda, i szybko go użył, uwalniając jedno z ramion draeglotha. Na pozostałe wiązy mag postanowił rzucić inny czar, który tłumił magią wzmacniającą adamantyt. Szybko utkał zaklęcie rozpraszające i patrzył, jak aura otaczająca metal znika.

- Spróbuj je teraz zerwać - zwrócił się do Jeggreda.

Draegloth szarpnął się na próbę w przymocowanych do ściany łańcuchach, a potem naprawdę się natężył, ale adamantytowe ogniwa nie chciały puścić.

Pharaun zmarszczył brwi.

- Może odrobina zimna je skruszy - zastanawiał się na głos, wyjmując z piwafwi mały, przezroczysty kryształ. - Zbierz wszystkie łańcuchy - polecił draeglothowi. Jeggred zrobił to, łapiąc je w wolną rękę jak wodze do powodowania juczym jaszczurem.

Celując kryształem w łańcuchy, mistrz Sorcere przepuścił stożek magicznie wezwanego arktycznego powietrza wzdłuż całej ich długości. Kiedy skończył inkantacją, gestem polecił Jeggredowi spróbować jeszcze raz.

Tym razem, kiedy demon zaczął ciągnąć, pokryty szronem metal zerwał się, uwalniając go. Jeggred wciąż miał na szyi obrozę i kajdany na rękach oraz nogach, ale tym można się było zająć później.

- Dziękuję, czarodzieju - powiedział draegloth, po czym doszedł do Quenthel, która właśnie oczyszczała ręce z resztek czarnej, lepkiej, przypominającej żywicę substancji, którą sklejoną jej dłonie.

Quenthel stanęła na środku celi, nie bacząc na to, że jest naga.

- Czy weszło ci już w krew pojawianie się w ostatniej chwili, Mizzrymie? - zapytała, patrząc na niego groźnie. - Mało brakowało, co?

Pharaun westchnął w duchu, uświadamiając sobie, że nawet jeśli była mu wcześniej wdzięczna, znów wróciła do swojego wyniosłego sposobu bycia.

- Wybacz mi, proszę, mistrzyni Baenre - powiedział najuprzejmiej, jak potrafił. - Aż do ostatniej chwili flirtowaliśmy z miejscowymi pannami. Sądziłyśmy, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu.

Ryld zachichotał, słysząc złośliwą uwagę czarodzieja, ale Halisstra i Danifae spojrzały na niego ostro, co przypomniało mu, że członkinie domu Melarn nie są przyzwyczajone do sposobu, w jaki odnosił się do Quenthel. Mistrzyni Akademii zmierzyła go groźnym spojrzeniem, po czym odwróciła się do wciąż pilnowanej przez Valasa Faeryl. Elfka skuliła się pod jej wzrokiem.

- Rozbierz ją i daj mi jej ubrania - rozkazała Quenthel. Ambasador wydała z siebie wysoki pisk na znak protestu.

Valas przytrzymał pojmaną, Ryld podszedł, żeby mu pomóc, a Halisstra przyskoczyła do niej skwapliwie i zaczęła ją rozbierać. Faeryl wyrywała się, usiłując uniknąć haniebnego losu.

- Kim są te dwie?! - warknęła Quenthel, przyglądając się Danifae.

Branka przekrzywiła głowę w bok, przypatrując się wysokiej kapłance, jak gdyby oceniała, jak powinna się zachować wobec tej nowej przywódczyni.

- Jestem Danifae Yauntyrr, mistrzyni Baenre, niegdyś z Eryndlynu. Jestem osobistą służącą Halisstry Melarn.

Branka uśmiechnęła się afektownie Quenthel, a Danifae pochyliła tylko głowę.

Wkrótce Faeryl, wciąż przytrzymywana przez Valasa i Rylda, stała naga na środku korytarza, podczas gdy Quenthel zakładała na siebie jej odzienie. Ubierając się, wysoka kapłanka wskazała głową wciąż przymocowaną łańcuchem do ściany obrożę, w którą jeszcze przed chwilą była zakuta.

- Zakujcie ją! - rozkazała.

- Nie! - zaprotestowała Faeryl, rozpaczliwie usiłując się wyrwać dwóm mężczyznom. Kiedy Valas, Halisstra i Ryld otoczyli ją, ambasador wrzasnęła i zaczęła stawiać im opór. - Nie! Nie możecie mnie tu zostawić...

- Zamknij się! - powiedziała Quenthel, policzkując ją. - Ty skamląca, nędzna kreaturo, naprawdę wierzyłaś, że twoja zdrada ujdzie ci na sucho? Naprawdę myślałaś, że możesz przeciwstawić się mnie, Baenre, mistrzyni Akademii? Na Mroczną Matkę, dziecko, ogrom twojej głupoty zdumiewa mnie! Zakujcie ją! - powtórzyła, jeszcze raz wskazując grubą adamantytową obrożę.

- Nie! - zaprotestowała znów Faeryl, wyrywając się, gdy prowadzono ją pod ścianę.

Ambasador miotała się i kopała, ale zwiadowca i wojownik trzymali ją mocno, gdy Halisstra zakładała jej obrożę na szyję. Kiedy adamantytowa obręcz zatrzasnęła się ze szczękiem, uwięziona drowka załkała, a gdy tylko dwaj mężczyźni ją puścili, zaczęła się szarpać jak oszalała.

Quenthel odwracała się już, ale zmieniła zamiar.

- Możesz się zrehabilitować, jeśli chcesz - zwróciła się do Faeryl.

- Jak? - zapytała oszalała z rozpacz drowka. - Zrobię wszystko! Co tylko chcesz!

- Powiedz mi, gdzie są moje rzeczy - odparła Quenthel. - Powiedz mi, co się z nimi stało, kiedy mnie tu przyprowadzono.

Faeryl zrobiła zrozpaczoną minę.

- Nie wiem - załkała, padając błagalnie na kolana. - Proszę, nie zostawiaj mnie tutaj. Znajdę je dla ciebie.

- Nie zwracaj sobie nią głowy - odezwała się Halisstra. - Wiem, gdzie są twoje rzeczy, Quenthel Baenre.

Quenthel odwróciła się i przyjrzała bacznie córce domu Melarn.

- Dlaczego miałabym ci zaufać? - zapytała.

- Sama musisz o tym zdecydować - odparła Halisstra - ale zastanów się... to ja przyprowadziłam tu twoich mężczyzn, to ja wywabiłam zdrajczynię na korytarz, zanim zdołała cię zabić, a także mieszkam tu i znam to miejsce. Choć normalnie świadczyłoby to na moją niekorzyść, jak już powiedziałam czarodziejowi - nie mam nic przeciwko wam i nie chcę, żebyście ponieśli konsekwencje tego, że dom Zuavirr zdradził moją matkę.

Quenthel uniosła brwi, słuchając słów kapłanki, a potem spojrzała na Pharauna.

- Mówi prawdę - potwierdził czarodziej. - Przynajmniej do tej pory. Sprzymierzyła się z nami, choć ma niewiele innych możliwości. Pozostałe opiekunki pod przywództwem Ssipriiny Zuavirr odebrały jej kontrolę nad domem po śmierci jej matki.

- Hmm - zastanowiła się Quenthel. - Bardzo dobrze. - Twoją pozycją zajmiemy się później. Jeśli wiesz, gdzie są moje rzeczy, prowadź.

- Zaczekajcie! - zawołała Faeryl, szarpiąc się na łańcuchu przytrzymującym ją za szyję. - Ona cię zdradzi, mistrzyni. Wszystkie szlacheckie domy nienawidzą cię, bo zamierzałaś okraść miasto. Nie możesz jej zaufać.

- Wręcz przeciwnie - roześmiała się drwiąco Quenthel, potrząsając głową. - Jest z domu Melarn, jedyne domu w Ched Nasad, któremu mogę zaufać. Chodźmy.

Wysoka kapłanka odwróciła się i wyszła z celi, a Pharaun był już na korytarzu, kiedy Faeryl zawyła raz jeszcze:

- Nie możecie mnie tu zostawić!

Ambasador zaczęła recytować i Pharaun rozpoznał w jej słowach inkantację objawień, choć nie był pewny, jakiego rodzaju czar mroczna kapłanka zdołała zachować w pamięci.

Jednak zanim zdążyła dokończyć inkantację, stał już przed nią Jeggred. Draegloth rozorał zaskoczonej elfce policzki pazurami, rozpraszając ją, przez co słowa zaklęcia uwięzły jej w gardle, tracąc moc.

Faeryl krzyknęła, cofając się i przyciskając dłonie do krwawiącego policzka. Zaczęła się trząść, przypominając sobie wszystkie krzywdy, jakie wyrządził jej Jeggred. Skuliła się przed górującym nad nią demonem, wciskając się w kąt. Draegloth mierzył ją wściekłym spojrzeniem, ale nie uniósł łapy, by uderzyć ją jeszcze raz.

Quenthel stanęła obok demona, objęła go czule za ramię i uśmiechnęła się do uwięzionej drowki.

- Wiesz, Faeryl - zamruczała mistrzyni Akademii. - Właściwie masz rację.

Faeryl zamrugnęła, z jej oczu wyzierało przerażenie.

- Mówiłaś, że nie mogę cię tu zostawić. Niestety, to prawda. Nie wiadomo, jakie inne zaklęcia tkwią wciąż w twojej sprytniej główce. Jeggred, mój kochany, odpląc jej za to, co nam zrobiła. Nie spiesz się... ciesz się chwilą.

Quenthel wyszła z celi, a za nią Ryld, ale Pharaun został, podobnie jak Halisstra i Danifae.

Pierwszy krzyk Faeryl zadzwonił Pharaunowi w uszach, rozchodząc się echem po małej celi. Draegloth jeszcze jej nie tknął, ale czarodziej obserwował z uśmiechem, jak przysuwa się coraz bliżej. Krzyki ambasador zrobiły się jeszcze bardziej przenikliwe, ale raptownie ucichły, gdy Jeggred niedbale wyciągnął szponiastą łapę i chwycił ją za gardło tuż poniżej obroży, odcinając jej dopływ powietrza do płuc. Faeryl zaczęła mu się wściekle wyrwać, ale on z łatwością uniósł ją w powietrze i wyciągnął ramię na całą długość, tak że bosa drowka uniosła się z podłogi, kopiąc powietrze. Faeryl słabo okładała pięściami ramiona draegloth'a i kiedy już miała zemdleć, Jeggred wypuścił ją, patrząc, jak zwała się na ziemię, łapiąc spazmatycznie powietrze. Zanim zdołała odzyskać oddech, wbił jej pojedynczy szpon pod podbródek.

Pharaun widział, że pazur wbił się głęboko w miękką tkanę, prawdopodobnie przebijając język mrocznej elfki i zamykając jej usta. Faeryl zaskowyczała z bólu, ale krzyk był zduszony. Usiłowała odepchnąć łapę demona, ale on powoli, nieubłaganie, zaczął ją unosić w górę, zmuszając do podniesienia się z ziemi. Elfka ścisnęła obiema rękami jego łapę, żeby się podtrzymać i uniemożliwić pazurowi wbicie się głębiej i przebicie podniebienia, ale draegloth unosił ją coraz wyżej, aż w końcu Faeryl stała na palcach i ze łzami ciekącymi po twarzy desperacko usiłowała uwolnić się za pomocą samych rąk od przeszywającego ją kolca.

Jeggred trzymał ją, patrząc, jak się wije, i pieszcząc mniejszymi rękami. W końcu uniósł drugą łapę i przeciągnął szponami przez jej odsłoniętą szyję, przycinając struny głosowe.

Z krwią spływającą z rozcięcia na szyi, z oczyma rozszerzonymi przerażeniem, Faeryl spróbowała krzyknąć, ale z jej gardła wyrwał się tylko stłumiony bulgot. Jeggred zaśmiał się i pozwolił jej tak zwisać. Danifae i Halisstra odwróciły się, ale czy zadowolone, czy też wzburzone bezwzględnością demona, Pharaun nie był pewny. Mag, który nie mógł oderwać oczu od tego, co się działo, był jedyną osobą, która pozostała w celi.

Krew spływała Faeryl po szyi i piersi, a jej próby uwolnienia się robiły się coraz słabsze. W końcu, być może znudzony już tą rozrywką, Jeggred znów chlasnął ją pazurami, tym razem przez brzuch,

tnąc czysto, aż wnętrzości wyszły na wierzch. Demon upuścił wreszcie drowkę i Faeryl runęła na ziemię u jego stóp, choć Pharaun widział, że jeszcze żyje.

Ambasador mrugała w szoku i od czasu do czasu rzucała się słabo. Jeggred przykucnął. Kiedy Pharaun zdał sobie sprawę, że demon przygotowuje się do uczty, chcąc pożreć wciąż przytomną Faeryl, zbyt słabą, żeby z nim walczyć, wreszcie musiał się odwrócić. Odgłosy posilającego się demona odprowadziły go na korytarz.

* * *

Gromph Baenre nie był zachwycony wiadomością, jaką miał przekazać, a to z kilku powodów. Po pierwsze wiadomość nie była dobra, a bez względu na to, jak bardzo był oddalony od źródła raportu, wciąż był posłańcem. W normalnych okolicznościach nie przejmowałby się tym, ponieważ niewiele osób w Menzoberranzan śmiało wyładowywać swoje niezadowolenie na arcymagu Menzoberranzan, najpotężniejszym czarodzieju w mieście. Większość tych nielicznych, którym wolno było to robić, sprawowała tylko cień dawnej władzy i liczyła na to, że on wymyśli, jak ją odzyskać. Nie, przynoszenie złych wieści nie było tak ryzykowne jak kiedyś, ale z drugiej strony nieczęsto musiał je przynosić swojej siostrze.

Tu arcymag dochodził do drugiego powodu do niepokoju. Triel Baenre była w domu, co oznaczało, że Gromph musiał się do niej wybrać, a nie na odwrót. Arcymag nie znosił opuszczać Sorcere, jeszcze bardziej nie znosił udawać się do Wielkiego Kopca, a już na pewno nie lubił robić jednego i drugiego w takich okolicznościach. Był to kolejny powód do wpisania na listę powodów, dla których chciał rozwiązać ten kryzys. Był znużony wszystkimi niedogodnościami, które sam musiał znosić.

Lecąc nad ulicami Menzoberranzan w stronę Wielkiego Kopca, Gromph spoglądał w dół z konsternacją. Powiadomił odpowiednie osoby, że potrzeba więcej żołnierzy, ale nie zauważył, by jego rozkazy przyniosły jakieś rezultaty. Na dole robiło się coraz niespokojniej i jeśli szlachta nie zachowa ostrożności, może dojść do kolejnego powstania.

Przypuszczał, że Triel może znów tupnąć nogą, zażądać, żeby pozostałe matki opiekunki reagowały szybciej, gdy wzywano je do wystawienia żołnierzy, ale wątpił, by mogło to jakoś na nie wpłynąć. Przede wszystkim liczyły się dla nich interesy ich własnych domów, a wysoką radę miały w nosie.

Zbliżywszy się do krawędzi domu Baenre, Gromph przysiadł na balkonie sali audiencyjnej siostry. Stojący na balkonie strażnicy przez chwilę przyglądali mu się nieufnie, ale kiedy zobaczyli, kim jest, zasalutowali sztywno. Ignorując wartowników, arcymag minął ich i szybkim krokiem ruszył do komnat rady w nadziei, że znajdzie tam Triel. Nie było jej tam.

Cmokając z irytacji, Gromph wyszedł z wielkiej sali audiencyjnej na korytarz prowadzący do jej prywatnych komnat. Przy drzwiach do jej pokoi powitały go dwie strażniczki, krzepkie kobiety, dobrze uzbrojone i równie dobrze wyszkolone w sztuce walki, jak w magii objawień.

Para strażniczek skrzyżowała ciężkie buzdygany.

- Nie życzę sobie, żeby jej przeszkadzać - powiedziała jedna z nich, wpatrując się w niego beznamiętnym wzrokiem, aby dać mu do zrozumienia, że żadne argumenty nie są jej w stanie przekonać.

Gromph westchnął, odnotowując w pamięci kolejny powód, z jakiego nie znosił tego robić. Bez względu na to, ile razy musiał przywoływać je do porządku, żeby zobaczyć się z Triel w jej prywatnych komnatach, osobiste strażniczki matki opiekunki nigdy nie ułatwiały mu sprawy przy następnej okazji. Miał już tego dość.

- Nie zamierzam tu stać i wyklócać się z wami. Macie jedną minutę, żeby powiedzieć jej, że to ja i wpuścić mnie do środka, inaczej zostaną z was dwie kupki dymiącego popiołu. Czy wyrażam się jasno?

W beznamiętne spojrzenia wkradł się cień wrogości, ale po chwili uważnego zastanowienia ta, która przemówiła, w końcu kiwnęła krótko głową i wśliznęła się do środka, zamykając za sobą drzwi. Jej towarzyszka wpatrywała się lodowatym wzrokiem w arcymaga, który założył ręce na piersi i wybijał nogą rytm.

Kiedy Gromph zaczął się już poważnie zastanawiać, czy nie spełnić swojej groźby, drzwi otworzyły się i znów pokazała się w nich pierwsza strażniczka, gestem zezwalając mu wejść. Unosząc brew, jak gdyby chciał powiedzieć „a czego się spodziewałaś?”, przepchnął się niecierpliwie obok niej i zatrzasnął za sobą drzwi.

Triel nie było w pokoju dziennym, choć wcale nie zaskoczyło to czarodzieja. Kiedy zależało jej na tym, żeby dobrze zaprezentować się gościom, zazwyczaj spotykała się z nimi w sali audiencyjnej. Arcymag oceniał, że ma równe szanse na znalezienie jej w sypialni, co w łaźni, najprawdopodobniej z kochankiem. Najpierw sprawdził sypialnię, ale bez powodzenia.

Po wejściu do łaźni Gromph zastał siostrę samą (jeśli nie liczyć kilku służących), moczącą się z zamkniętymi oczami w kąpeli, znad której unosił się zapach wonnych olejków.

Triel otworzyła jedno oko i spojrzała na czarodzieja, po czym znów je zamknęła, nie czyniąc nic, by go powitać.

- Naprawdę nie powinieneś straszyć w ten sposób moich strażniczek - powiedziała nieco zgryźliwie. - Stoją tam, żeby bronić wstępu tobie podobnym.

- Stokrotnie przepraszam, matko opiekunko - odparł Gromph. - W przyszłości nie będę się już starał ci pomóc. Proszę, wpadnij od czasu do czasu, a ja z pewnością każę ci czekać przed moim gabinetem.

Tym razem Triel otwarła oboje oczu, ale zamiast wściekła, wydawała się zmartwiona.

- O co chodzi? - zapytała. - Wieści, które przynosisz, muszą być wyjątkowo niepomyślne, skoro zachowujesz się w tak grubiański sposób.

Gromph nie zdołał powstrzymać śmiechu, ale był to śmiech gorzki.

- Znasz mnie lepiej niż inni, siostrzo. Chyba cię nie doceniam. Masz jednak rację, wiadomości są złe, a pochodzą z kilku frontów. Nasze patrole donoszą, że poza granicami miasta panuje coraz większy ruch. Nic ostatecznego, ale zaczynam się obawiać, że czeka nas jakiś atak, i to niedługo.

- Jakiego rodzaju ruch? - zapytała Triel, obracając się w wannie, żeby służąca mogła zacząć szorować jej plecy szorstką ściereczką.

- Trudno powiedzieć. Wiele gatunków pojawia się i znika, ale przez ostatnich kilka dni odnotowano niezwykle dużą liczbę troglodytów.

Triel wydała z siebie dziwny odgłos i początkowo Gromph myślał, że powodem były zabiegi służącej, ale uświadomił sobie, że to szyderstwo, gdy siostra zapytała:

- Troglodytów? Nigdy nie byli w stanie zgromadzić sił, które stanowiłyby dla nas poważne zagrożenie. Przyszedłeś aż tutaj i niepokoiłeś moje strażniczki, żeby mi to powiedzieć? Na litość boską.

Gromph cmoknął z rozdrażnieniem i przeszedł przez wykafelkowaną posadzkę, żeby usiąść na długiej ławie pod ścianą.

- Nie, oczywiście, że nie, ale nie lekceważ tak szybko żadnego potencjalnego zagrożenia. Wystarczająco wielu generałów pożegnało się z karierą, bo nie doceniło przeciwnika. Jesteśmy teraz bezbronni, a ty o tym wiesz.

- Dobrze, wezmę to pod rozwagę - powiedziała Triel. - A więc, co jeszcze masz mi do powiedzenia? Chciałabym dokończyć kąpiel w miłej atmosferze, ale jeśli koniecznie chcesz mi przekazać więcej złych wiadomości, chyba nie będę mogła.

Gromph potrząsnął głową.

- Tak, jest ich więcej - powiedział.

- Cudownie.

- Otrzymałem złe wieści od naszej ekspedycji do Ched Nasad.

Matka opiekunka odwróciła się i usiadła, przeganiając służącą. Wydawała się nie przejmować faktem, że widać ją od pasa w górę, ale Gromph zlekceważył to.

- Jakiego rodzaju wieści? - zapytała poważnym tonem.

- Ostatni raport, jaki otrzymałem, donosił o początkach rozruchów. Od tamtej pory niczego więcej się nie dowiedziałem, a następny raport jest opóźniony.

- Jak bardzo?

- Dwa dni. Przekazałem ci już tę informację.

- Potrafisz się skontaktować z Pharaunem?

- Tak, ale dopiero za jakiś czas i nie będę mógł odbyć z nim takiej rozmowy, jakiej byś oczekiwała. Nawet do tego, co potrafię zrobić, muszę się przygotować, żeby użyć odpowiednich czarów.

- Dobrze, zrób to. A co o tym myślisz?

Gromph zastanawiał się przez chwilę nad tym pytaniem, po czym rzekł:

- Sądzisz, że żyją? Trzeba im przyznać, że są przedsiębiorczy, nie wątpię, że potrafią o siebie zadbać. To jedna z przyczyn, dla których ich tam wysłałaś, nieprawdaż?

Triel zmrużyła lekko oczy i wstała, pozwalając olejkowi spływać po ciele.

- Chcę, żeby im się udało - powiedziała. - Ich śmierć na nic nam się nie zda, bez względu na to, co oboje zyskamy, gdy już nie będą nam stać na drodze.
Gestem nakazała służącej przynieść ręcznik i owinąć się nim.
Spojrzenie Grompha nie zdradzało żadnych emocji.
- Ja też tego chcę - rzekł. - Pomijając kwestię moich interesów, ten kryzys ma wpływ na każdy aspekt moich studiów i dążeń. Chciałem powiedzieć, że jeśli byli na tyle sprytni, że uważaliśmy ich za zagrożenie tutaj, myślę, że dadzą sobie radę w Ched Nasad.
- Znajdź ich - rozkazała matka opiekunka - i poinformuj mnie, kiedy ci się to uda.
- Nawet gdybym znów musiał postraszyć twoje strażniczki?
- Nawet gdybyś musiał zostawić na progu dwie kupki popiołu.
Gromph skinął głową i odwrócił się, a Triel zaczęła się ubierać przy pomocy dwóch służących.
Arcymag zatrzymał się i obrócił twarzą do siostry.
- A, i jeszcze jedno.
Triel spojrzała na brata.
- Tak? - zapytała.
- Czy mogłabyś przypomnieć innym matkom opiekunkom, jakie to ważne, żeby reagować w porę na zagrożenia w mieście? Trzy godziny temu poprosiłem o posiłki w trzech konkretnych miejscach, a kiedy spieszyłem do ciebie, jeszcze ich tam nie było.
- Znowu? - westchnęła Triel. - Tak, oczywiście, porozmawiam z nimi o tym.
- Wiesz - dodał Gromph po chwili namysłu. - Pewnie byłoby ci łatwiej, gdyby dom Baenre wystawił w tym celu kilku żołnierzy. Na znak dobrej woli i tak dalej.
- Naprawdę? Myślisz, że możemy sobie na to pozwolić?
- Wiem, że te dwie strażniczki przed drzwiami można by wykorzystać w o wiele pożyteczniejszy sposób - odparł arcymag, obdarzając siostrę ostatnim, znaczącym spojrzeniem.

* * *

- Wyjaśnij mi jeszcze raz, co twoim zdaniem mogę zyskać, jeśli ci zaufam? - zapytała Quenthel, zując pasek suszonego mięsa rothe.
Cała siódemka schowała się w kantynie w nieużywanym skrzydle domu Melarn. Tylko Jeggred, nasyciwszy się w lochach, nie był już głodny.
Faeryl musiała długo umierać, pomyślał Pharaun ze wzdrygnięciem, obserwując wylizującego się do czysta draegloth. Czarodziej miał trudności z wymazaniem z pamięci obrazu drowki, która wciąż się poruszała, wciąż patrzyła, kiedy demon zaczął ją pożerać.
Ryld i Valas stali na straży w pobliżu drzwi i obaj wyraźnie woleliby już ruszyć w dalszą drogę. Huki dochodzące zza ścian ucichły na chwilę i Pharaun nie był pewny, czy to zła, czy dobra wróżba. Jeśli rozruchy zostały tak szybko stłumione, było tylko kwestią czasu, kiedy Ssipriina znów zacznie ich szukać. On też wolałby być gdzieś indziej.
Halisstra wyduła usta i znów spróbowała zapewnić jedzącą łapczywie Quenthel o swojej użyteczności.
- Mogę wyprowadzić was z domu tak, żeby nikt tego nie zauważył - powiedziała. - Wiem, którędy pójść. Jeśli po drodze napotkamy strażników Ssipriiny, będę mogła ich odprawić. Dopóki nie opuścicie miasta, nasze towarzystwo jest wam jak najbardziej na rękę.
Quenthel kiwnęła głową, nie przestając jeść.
- Może - stwierdziła i urwała, żeby pociągnąć łyk z bukłaka. - A może po prostu chcesz doprowadzić nas do zguby na swój własny sposób, chcesz uspić naszą czujność, żebyś mogła nas zdradzić i wydać Ssipriinie. Z tego, co wiem, wciąż uważasz, że odpowiadam za śmierć twojej matki, a w każdym razie nie podobają ci się moje zamiary.
Halisstra przewróciła oczami, gdy Quenthel nie mogła tego zobaczyć, i Pharaun musiał ukryć rozbawiony uśmiešek.
Przynajmniej nie jestem jedyną osobą, która uważa ją czasem za niewiarygodnie irracjonalną, pomyślał.
- Tak, to wszystko jest możliwe - przyznała Halisstra - ale wówczas niewiele mogłabym zyskać, pomagając wam, skoro Ssipriina miała was już w garści, nie sądzisz?

- Hmm - powiedziała z powątpiewaniem Quenthel, żując kolejny kęs. Skończyła przeżuwać i spojrzała na Pharauna. - Co o tym sądzisz?
Mistrz Sorcere wyprostował się, zaskoczony, że pyta go o radę.
Kiedy otaczają cię więksi wrogowie, pomyślał, ci mniejsi wydają się przyjaciółmi.
- Do tej pory nie dały nam żadnych powodów do nieufności - odparł. - Oprócz, ma się rozumieć, ich dziedzictwa. Bez względu na to, czy jesteś skłonna zaufać mrocznej elfce, którą dopiero co poznałaś - na dodatek mrocznej elfce z domu, który niedawno miałaś zamiar zdradzić - bez nich nasze możliwości wydają się poważnie ograniczone. Nie wydaje mi się, żeby nasza sytuacja mogła się znacznie pogorszyć, gdyby w nieodpowiednim momencie postanowiły zwrócić się przeciwko nam.
Quenthel skrzywiła się.
- Czy ty aby na pewno myślisz właściwą częścią ciała? - zapytała sarkastycznie, wskazując głową Danifae, która siedziała z boku na sofie, przysłuchując się rozmowie.
Kiedy wspomniano o niej, drowka spuściła skromnie oczy i złożyła ręce na podolku.
Pharaun uśmiechnął się sztucznie.
- Oczywiście, mistrzyni Baenre - powiedział oschle. - Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż towarzystwo dodatkowych kobiet, wszystkich gotowych służyć mi dobrą radą lub przyjacielskimi uwagami na temat sposobów, w jakie mógłbym poprawić moje zachowanie dla dobra wszystkich wokół mnie.
Halisstra uniosła brwi ze zdumienia i czarodziej znów przypomniał sobie, że nie była przyzwyczajona do sposobu, w jaki odnosił się do Quenthel.
Cóż, pomyślał, odnotowując grymas wysokiej kapłanki, sama Quenthel jeszcze się do niego nie przyzwyczyła.
Niecokolwiek bardziej pojednawczym tonem dodał:
- Z całym szacunkiem, bez względu na to, jakiej części ciała używam do rozpatrzenia tej sprawy, nie ulega kwestii, że mamy więcej do zyskania niż do stracenia, jeśli im zaufamy, przynajmniej na razie. Zapytaj mnie o to samo za pół godziny, a moja odpowiedź może być zupełnie inna.
Quenthel żuła w zadumie mięso rothe, ale Pharaun nie miał pewności, czy rozważa jego argumenty, czy też zastanawia się, czy nie pozwolić Jeggredowi go wypatroszyć.
- Tak czy owak - zakończył - możemy zapewnić sobie jako takie bezpieczeństwo, jeśli będziemy ich pilnować. Jeśli wprowadzą nas w pułapkę, możemy jeszcze negocjować z Ssipriiną Zuavirr... wymienić je na własną wolność. Ale tylko pod warunkiem, że nie powiemy matce opiekunce, co się stało z Faeryl, ma się rozumieć - dodał, szczerząc zęby w uśmiechu.
Spojrzenie Halisstry powiedziało Pharaunowi, że uważa zarówno jego poczucie humoru, jak i plan za niesmaczne, ale Quenthel sprawiała wrażenie przekonanej.
Mistrzyni Arach-Tinilith wypila resztkę wody z bukłaka i kiwnęła głową.
- Świetnie - zwróciła się do Halisstry. - Wyprowadzisz nas z tego przeklętego domu, a jeśli będziecie nam dobrze służyć, w nagrodę pozostawimy was przy życiu. Czy wyrażam się jasno?
Halisstra przełknęła ślinę, ale kiwnęła głową.
- Myślę, że na razie zatrzymamy waszą broń i drobiazgi. Jeśli będziecie się dobrze sprawować, możecie na nie zasłużyć.
Obie drowki kiwnęły głowami, wyrażając zgodę.
- Dobrze, a więc w drogę - oznajmiła wysoka kapłanka, otrzepując dłonie z resztek suszonego mięsa.
- Zanim wyruszymy - odezwał się Pharaun - powinniśmy przedyskutować dokąd.
Quenthel spojrzała na maga.
- Wracamy do Menzoberranzan - powiedziała. - Wyprawa zakończyła się porażką. Lolth nie odzywa się do nikogo, a zasoby, które miałam nadzieję odzyskać, aby użyć ich w obronie miasta, nie istnieją. Nie mamy się czym pochwalić.
- Właśnie - odparował Pharaun. - Nie dowiedzieliśmy się niczego definitywnego - na razie. Uważam, że nie powinniśmy rezygnować z prób ustalenia, co się dzieje.
- Nie mamy żadnego punktu zaczepienia - argumentowała Quenthel. - O nieobecności Mrocznej Matki wiemy niewiele więcej niż przed opuszczeniem Menzoberranzan.
- To nie do końca prawda - rzekł Pharaun. - Jak już wspomniałem, nieobecność bogini nie ogranicza się wyłącznie do naszej rasy. Mam jednak pewien pomysł. Choć my możemy nie być w stanie

dowiedzieć się czegoś więcej, moglibyśmy skorzystać z pomocy kogoś, kto to potrafi.

- Kogo?
- Kapłana Vhaerauna.
Quenthel wstała z krzesła z twarzą wykrzywioną wściekłością.
- Błóżniesz, czarodzieju. Niczego podobnego nie uczynimy.
Pharaun zauważył, że nawet Halisstra wzdygnęła się, słysząc podobną propozycję.
Uniósł ręce w niemej prośbie i rzekł:
- Wiem, że to niekonwencjonalne, ale wysłuchaj mnie, zanim odrzucisz ten pomysł.
Quenthel zaczęła chodzić tam i z powrotem i Pharaun wiedział, że była co najmniej zaintrygowana, jeśli nie uradowana jego propozycją. Przypuszczał, że równie mocno jak on pragnęła przypisać sobie cały splendor, jaki miał spłynąć na tego, kto wyjaśni zagadkę.
- Co twoim zdaniem kapłan Vhaerauna - Quenthel skrzywiła się, wymawiając imię bóstwa - mógłby dla nas zrobić? I gdzie znajdziemy takiego, który mógłby - czy nawet chciałby - nam pomóc?
Pharaun skwapliwie pochylił się do przodu.
- Bezszykownie staramy się zajrzeć do Pajęczyny Demonów - wyjaśnił - ale może inne bóstwo nie miałyby takich trudności. W takim przypadku moglibyśmy poprosić o posłuchanie, aby się czegoś dowiedzieć.
- Niewielu jego pokroju wzięłoby w ogóle pod uwagę udzielenie nam pomocy - powiedziała Quenthel, machając lekceważąco ręką - a my nie wiemy nawet, kogo o to poprosić.
Kiedy Quenthel odwróciła się do niego plecami, Pharaun spojrział na Valasa i zachęcająco kiwnął głową.
- *Powiedz jej, przekazał na migi.*
Wziąwszy głęboki oddech i kiwnąwszy głową, Valas powiedział:
- Ja znam pewnego kapłana.
Quenthel odwróciła się twarzą w stronę drobnego zwiadowcy.
- Co takiego?
- Ja znam kapłana Vhaerauna - odparł Valas. - To mój stary znajomy, Tzirik Jaelre. Myślę, że zgodziłby się nam pomóc.
- Co ty nie powiesz - wycedziła Quenthel, przyglądając się zarówno Pharaunowi, jak i Valasowi, jak gdyby podejrzewała, że są w zмовie. - Dlaczego sądzisz, że byłby skłonny nam pomóc?
Mag uważnie przyglądał się blatowi stołu przed sobą.
Jest zbyt sprytna, żeby mogło jej to wyjść na dobre, pomyślał, wiedząc, że jeśli zdradzi się z tym, że wiedział o wszystkim wcześniej, Quenthel najprawdopodobniej odrzuci cały pomysł, żeby zrobić mu na złość.
- Jest mi winien przysługę - odparł Valas. - W najgorszym wypadku jest mi winien przynajmniej tyle, żeby nas wysłuchać, nawet jeśli odmówi. Nie sądzę, żeby odmówił.
- Świetnie się składa, co Pharaunie?
Czarodziej podniósł wzrok, udając, że myślał o czymś innym.
- Co? A, tak. Świetnie się składa, że Valas zna kogoś, kto doskonale się nadaje. Szkoda, że nie powiedziałeś nam o tym wcześniej - zwrócił się do zwiadowcy - ale chyba nie wszystkim zdarzają się przebłycki intelektu. Skoro Valas ręczy za swojego przyjaciela, co mamy do stracenia?
Quenthel otwarła usta, zapewne chcąc zaprotestować, sądząc po wyrazie jej twarzy, ale nie zdążyła się odezwać. Wstrząs znacznie silniejszy od tych, które dotychczas odczuli, przeszedł przez cały dom, przewracając ich i większość sprzętów na ziemię.
- Na Mroczną Matkę! - krzyknęła Halisstra, wpadając na ścianę. - Cały dom się wali!

ROZDZIAŁ 14

Ssipriina Zuavirr i kilka goszczących u niej elfek stały na czubku wieży obserwacyjnej górującej nad domem Zuavirr. Opierając się o balustradę, Ssipriina spoglądała na Ched Nasad. Jej siedziba była położona niedaleko domu Melarn, ale w tamtym kierunku widać było głównie gęsty dym. Pomimo ograniczających widoczność chmur wokół domu Melarn wciąż toczyła się zażarta walka, a jej odgłosy dolatywały nawet do uszu stojących wysoko na wieży matek opiekunek.

- Sytuacja wymknęła się spod kontroli - powiedziała ponuro stojąca obok Ssipriiny Umrae D'Dgttu. - Twój agent nie mówił nic o tym palącym kamień ogniu, kiedy zgodziłyśmy się na twój plan.

- Tak - zawtórowała jej Ulviirala Rilynt, która chodziła tam i z powrotem za ich plecami, pobrząkując przy każdym kroku licznymi bransoletami. - Nie podobają mi się zniszczenia na taką skalę, zwłaszcza teraz.

- Nonsens - zbesztła ją Nedylene Zinard, również opierająca się o balustradę, ale odwrócona plecami do miasta. Drowka sprawiała wrażenie bardziej zainteresowanej swoimi polakierowanymi paznokciami niż tym, co się wokół niej działo. - Wiedziałyśmy, że angażując się w ten plan, możemy być zmuszone do agresywnych działań. Jeśli chcemy przerobić miasto na naszą modłę, musimy działać teraz i nie możemy pozwolić, żeby cokolwiek stanęło nam na drodze. Ani inne domy, ani nasze własne obawy. Czasem trzeba zbić kilka jaszczurzych jaj, żeby zrobić omelet. Czasem trzeba zabić kilku niewolników, żeby zwyciężyć.

- Możliwe - powiedziała Umrae D'Dgttu, której wiotka budowa nie wskazywało na to, że jest najpotężniejszą kleryczką wśród zebranych - ale nie było takiej potrzeby. Nie powinnaś była nas wzywać, dopóki nie zlikwidowałaś wszystkich Menzoberranzańczyków. Pozwalając temu czarodziejowi snuć swoje kłamstwa, nie pomogłaś swojej sprawie.

ShriNeerune Hlund prychnęła.

- Kłamstwa czarodzieja nie miały znaczenia. Ssipriina postąpiła głupio, wysyłając przedwcześnie swoich najemników.

- Nie zrobiłam tego! - zaprotestowała Ssipriina. - Ktoś inny dał im sygnał przed czasem. Wciąż miałam nadzieję, że uda nam się rozwiązać dom Melarn bez rozlewu krwi. Te dzbany z ogniem też nie były moim pomysłem. Szare krasnoludy zdobyły je skądś bez mojej wiedzy.

- A więc twierdzisz, że nie kontrolujesz nawet własnego domu? - zadrwiła ShriNeerune. - I wciąż liczysz na nasze wstawiennictwo? Nie powinnam była popierać kupieckiego domu.

Ssipriina zacisnęła pięści i miała szczerą ochotę uderzyć obrażającą ją elfkę, ale trzymała je przyciśnięte do boków.

- Na twoim miejscu uważałabym! - warknęła, wpatrując się lodowatym wzrokiem w ułóżającą jej drowkę. - Te szare krasnoludy wciąż mi służą, a w tej chwili wygrywamy. Bardzo szybko możesz się znaleźć po drugiej stronie barykady.

- Dość tego - powiedziała Umrae, stając pomiędzy nimi. - Co się stało, to się nie odstanie. Teraz czas na walkę, nie kłótnie. Ssipriino, czy przyniosłaś go?

Ssipriina jeszcze przez chwilę wpatrywała się w twarz ShriNeerune zmrużonymi z wściekłości oczyma, po czym odwróciła się.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała. - Mam go tutaj.

- A więc zróbmy to - powiedziała chuda matka opiekunka, gestem polecając wszystkim podejść bliżej. - Czas upomnieć się o nasze dziedzictwo.

Ssipriina kiwnęła głową i wyjęła małe zawiniątko owinięte w czarny jedwab. Odwinąwszy materiał, odsłoniła kryształową figurkę pająka czarnego jak sama ciemność. Posążek był połamany, głowa i odwłok leżały osobno, podobnie jak dwa komplety czterech odnóży, po jednym na każdy bok. Pięć matek opiekunek zebrało się wokół Ssipriiny trzymającej w wyciągniętych przed sobą rękach materiał, na którym leżały fragmenty pająka, żeby wszystkie mogły je zobaczyć.

- Minęło wiele lat - stwierdziła Nedylene, chwytając w zakończone polakierowanymi paznokciami palce jeden komplet odnóży i unosząc go, żeby mu się przyjrzeć. - Miasto zadrzy przed naszą potęgą. Zaczynamy.

- Trzymaj mocno, Ssipriino - ostrzegła Umrae. Drowka chwyciła odwłok figurki, a pozostałe trzy matki opiekunki, jedna za drugą, wzięły do ręki po jednej części. Kobiety popatrzyły po sobie i w końcu, kiedy Umrae kiwnęła głową, dopasowały je do siebie, tak że znów tworzyły całość.

- Teraz szybko! - syknęła Umrae i Ssipriina natychmiast owinęła materiałem złożoną z powrotem figurkę.

Matki opiekunki widziały, że zawiniątko zaczyna się poruszać i rosnąć.

- Pospiesz się! - syknęła ShriNeerune. - Wyrzuć go!

Ssipriina rzuciła. Odwiodła rękę do tyłu i cisnęła zawiniątkiem najmocniej, jak potrafiła. Pięć matek opiekunek patrzyło, jak poruszający się węzełek oddala się od domu Zuavirr.

Szmatka opadła i zebrane elfki krzyknęły jednym głosem. Posążek przeistoczył się w żywą istotę, pająka czarnego jak kryształ, z którego się zrodził. Pająk robił się coraz większy, w mgnieniu oka przybrał rozmiary rothe, a znikając poza krawędzią pajęczej ulicy, wciąż rósł.

Ssipriina obserwowała z podziwem, jak stwór wystrzela nić, która zaczepiła się o ulicę, chroniąc go przed upadkiem. A potem zniknął, przestały go widzieć.

Pięć mrocznych elfek czekało z zapartym tchem w nadziei, że znów zobaczą istotę, którą stworzyły. Nić naprężyła się i zaczęła wibrować. Najwyraźniej pająk wciąż z niej zwisał. Przez chwilę nic nie było widać, choć wszystkie matki opiekunki wyteżały wzrok.

Kiedy ukazało się pierwsze czarne odnóże, szukające punktu oparcia na ulicy, Ssipriina poczuła, że na chwilę serce zamarło jej w piersi. Odnóże było dłuższe niż ona wysoka. Powoli, ostrożnie, pająk wydźwignął się w górę i ukazał w całości oczom pięciu opiekunek, które mimowolnie cofnęły się o krok od balustrady, chociaż od ich tworu dzieliło je dziesiątki jardów. Pająk zajmował całą szerokość ulicy.

- Na Mroczną Matkę - wyszeptwała jedna z nich. - Jest wspaniały!

Gigantyczny pająk złapał równowagę, a Ssipriina usłyszała dochodzące z dołu okrzyki przerażenia. Stwór zaczął sunąć w przeciwnym kierunku, w stronę tłumu żołnierzy wciąż walczących kilka przecznic dalej.

- Na Otchłań - jęknęła Umrae.

- Co? Co się stało? - zapytała Nedylene zatroskanym głosem.

- Nie ma połączenia - odparła Umrae z oczyma zamkniętymi w skupieniu. - Nie kontroluję go.

* * *

Halisstra czuła rosnący niepokój. Choć dom Melarn jeszcze się nie zawalił, jak przewidywała w swoich komnatach, bez wątpienia zatrzęsł się potężnie kilka razy, a jej zmysłem, obeznanym z każdym korytarzem, komnatą i niuansiem architektonicznym, wydawało się, że przechyliła się nieznacznie w jedną stronę. Choć pomysł ten wydawał się szalony, Halisstra zastanawiała się, czy budynek jest wciąż stabilny. Drowka rozpaczliwie pragnęła wydostać się na zewnątrz i przekonać się na własne oczy, co się dzieje w mieście. Elfka nie była w stanie wyobrazić sobie siły tak potężnej, by była w stanie fizycznie zagrozić domowi Melarn.

Kapłanka prowadziła pozostałych do komnat swojej matki, gdzie na pewno zabrano przedmioty należące do mistrzyni Akademii. Choć Ssipriina Zuavirr musiała się liczyć z konkurencją ze strony Aunrae Nasadry, z pewnością przywłaszczyła sobie większość łupów zdobytych na domu Melarn, w tym rzeczy osobiste wysokiej kapłanki, aby zatrzymać je na pamiątkę afrontu, jaki spotkał ją ze strony Menzoberranzan. Pozostawało tylko sprawdzić, czy wszystkie rzeczy, jakie Quenthel Baenre miała przy sobie po przyjeździe do miasta, wciąż tam były.

Im dłużej Halisstra zastanawiała się nad postępowaniem Ssipriiny i innych matek opiekunek, tym bardziej robiła się wściekła. Nie tylko zwróciły się one przeciwko domowi Melarn, ale potencjalnie obrażały najpotężniejszy dom Menzoberranzan. Na dodatek tryb postępowania, jaki obrały, zdaniem Halisstry świadczył o totalnym lekceważeniu możliwości podjęcia choćby próby dojścia do tego, co się dzieje z Lolth.

Quenthel i pozostali przynajmniej starają się czegoś dowiedzieć, powtarzała sobie od momentu, w którym została zmuszona im towarzyszyć. Lolth mogła cenić oddanie, ale Halisstra nie wierzyła, że bogini oczekuje, iż jej słudzy będą siedzieć beczynn timer czekać, aż ich ocali, nawet jeśli okazywali nadgorliwość czy składali w ofierze życie tysiąca szarych krasnoludów.

Prawdę mówiąc, Halisstra odkryła, że zastanawia się, czego właściwie chce Lolth.

Halisstra minęła duże skrzyżowanie i skręciła w nowy korytarz, o ile to w ogóle możliwe urządzony jeszcze wystawniej niż poprzednie, wyłożony pluszowym kobiercem i ozdobiony malowidłami ściennymi oraz obrazami przedstawiającymi triumfy domu Melarn. Dochodzili do

osobistych komnat Drisnil i Halisstra obawiała się, że pomimo powstania zastaną przed nimi duży oddział strażników domu Zuavirr. Obawy elfki okazały się uzasadnione, bowiem wychodząc zza zakrętu, dostrzegła szwadron kłębiących się żołnierzy, którzy blokowali drzwi prowadzące do apartamentów Drisnil.

- Co tu robicie? - zapytała Halisstra, łudząc się, że uda jej się wytrącić żołnierzy z równowagi władczym tonem. - Jesteście potrzebni na blankach, i to już!

- Nie sądzę - odparł sierżant, przyglądając się barwnej grupie towarzyszącej pierwszej córce i kierując w jej stronę ostrze miecza. - Powiadomiono nas, że Zdrajczyni uciekła, a ty sama pchasz nam się w ręce, co bardzo ułatwia nam sprawę. Obawiam się, że mamy rozkaz zabić ciebie i wszystkich, którzy ci pomagają.

Żołnierze rozdzielili się, dobywając mieczy.

Pierwszym odruchem Halisstry było unieść buzdygan, żeby się bronić, ale dłoń miała pustą, bo Quenthel jeszcze nie pozwoliła jej się uzbroić. Danifae, która stała u jej boku, nie była już związana, ale również nie miała broni. Niosła jednak mały plecak z częścią ich dobytku. Quenthel pozwoliła im się zatrzymać w komnatkach Halisstry i spakować kilka rzeczy, jeśli bowiem dom miał się nadal tak trząść, w każdej chwili mogli zostać zmuszeni do ewakuacji i podobna okazja mogła się już nie powtórzyć.

Kątem oka Halisstra dostrzegła, że jej służąca również się zawahała, ale zanim żołnierze zdążyli pokonać dzielący ich dystans, między dwiema elfkami przemknęła zamazana plama żółtobiałego futra, która wpadła na pierwszy szereg żołnierzy z głębokim, niepokojącym warknięciem, młócąc ramionami i szponami. Rozległ się przyprawiający o mdłości odgłos rozszarpywania i dopiero teraz do Halisstry dotarło, że sprawcą rzezi był draegloth, osobisty ochraniarz Quenthel.

Kiedy Halisstra wydała stłumiony okrzyk zaskoczenia, trzech żołnierze, łącznie z sierżantem, leżeli już na ziemi, wrzeszcząc. Ich ciała były koszmarnie okaleczone, a krew znajdowała się dosłownie wszędzie. Kilku następnych strażników zaczęło okrążyć draeglotha, starając się pozostać poza zasięgiem jego straszliwych pazurów, ale jednocześnie szukając okazji do przypuszczenia ataku. Jeggred spiął się do skoku, obserwując kłębiących się wokół niego wrogów, którzy wymachiwali mieczami, ale nie kwapili się zbliżyć na tyle, żeby cokolwiek z tego wynikło. Garstka obrońców już wycofywała się do tyłu, wyjmując ręczne kusze.

Kolejna postać przemknęła obok opierającej się plecami o ścianę Halisstry, a potem trzecia - to Ryld i Valas włączyli się do walki. Większy z nich, który przy pierwszym spotkaniu twarzą w twarz wydał jej się niezwykle przystojny, posługiwał się wielkim mieczem z wprawą, którą Halisstra uznała za pokrzepiającą. W jego rękach klinga wydawała się niezwykle lekka - z łatwością odrąbał nią pół twarzy jednemu żołnierzowi i obrócił się, tym samym ruchem siekąc drugiego przeciwnika przez brzuch. Ten mniejszy zadowolił się wśliznięciem za plecy jednego z tych strażników, którzy starali się dosięgnąć Jeggreda. Strażnik nie usłyszał ani nie poczuł jego nadejścia, a kiedy zwiadowca wbił mu jeden z kukrisów w krzyż, ciosowi towarzyszyło wyładowanie energii. Żołnierz wygiął plecy z bólu i zwałił się na ziemię, gdy Valas wyrwał mu sztylet z pleców. Zwiadowca odsunął się, znów znikając w cieniu.

- Zejdz im z drogi, głupia dziewucho, i pozwól robić swoje! - warknęła Quenthel do stojącej przed sobą Halisstry.

Córka domu Melarn spojrzała przez ramię tam, gdzie stała wysoka kapłanka. Zobaczyła czarodzieja, który wyciągał jakieś ingredencje, co, jak wiedziała, oznaczało, że przygotowywał się do rzucenia czaru. Przed nim tańczył w powietrzu - wydawało się, że sam z siebie - rapier, jak gdyby broniąc go przed przeciwnikami, którzy próbowaliby się do niego zbliżyć. Halisstra przycisnęła się do ściany, żeby miał dość miejsca, po czym wycofała się do miejsca, gdzie czekała Quenthel. Po drugiej stronie korytarza Danifae robiła to samo.

- Nie ma sensu rzucać się w wir walki, skoro oni bez najmniejszego problemu poradzą sobie sami - wyjaśniła Quenthel z chmurną miną. - Przynajmniej do tego się nadają.

Halisstra pragnęła zapytać elfkę, jak może tolerować podobną niesubordynację ze strony trójki mężczyzn, zwłaszcza czarodzieja Pharauna, ale uznała, że najlepiej będzie milczeć, żeby przypadkiem nie podpaść wysokiej kapłance. Zanim Quenthel jej zaufa, może minąć wiele czasu, a ona nie chciała zrobić niczego, co mogłoby temu przeszkodzić.

Rozległ się syczący dźwięk, towarzyszący długiemu, cienkiemu okrucinowi lodu, który wystrzelił z koniuszków palców Pharauna i pomknął prosto w stronę jednego z żołnierzy, wbijając mu się w tył ramienia niczym zabójczy sopel. Żołnierz krzyknął z bólu i zatoczył się do tyłu, ale było już za późno.

Jegged, widząc, że uwaga jednego z napastników została odwrócona, dopadł go i chlasnął potężnymi szponami, rozrywając mu mięśnie brzucha i uśmiechając się z zadowoleniem na widok wylewających się na zewnątrz wnętrzności. Siła ciosu była tak wielka, że zakreśliła mrocznym elfem. Żołnierz padł na ziemię z obrzydliwym plaśnięciem, spoglądając niewidzącym wzrokiem w stronę Halisstry, podczas gdy zawartość jego ciała wyciekała na posadzkę.

- Stać! - krzyknął ktoś za plecami Quenthel. Halisstra, a zaraz za nią wysoka kapłanka, obróciły się i zobaczyły nowy oddział żołnierzy, który nadciągał z tej samej strony, z której przyszła drużyna.

- Czarodzieju, zrób coś! - zażądała Quenthel, cofając się, gdy nowi żołnierze wysunęli miecze z pochew i ruszyli truchtem naprzód.

Pharaun okręcił się na pięcie i widząc nowe zagrożenie, wbił rękę w kieszeń piwafwi, skąd wyciągnął kilka drobnych przedmiotów. Jego tańczący rapier obrócił się i podskakując w powietrzu, pomknął naprzód, próbując powstrzymać nowy oddział, jeszcze liczniejszy od poprzedniego. W tej samej chwili Halisstra usłyszała, jak czarodziej mamrocze pod nosem jakieś słowo lub zwrot. Choć nie rozumiała, co mówi, efekt był natychmiastowy i spektakularny. Z koniuszków palców maga wystrzeliła oślepiająca błyskawica, która uderzyła pierwszego z żołnierzy w sam środek piersi. Zaraz potem kilka odnóg tego samego pioruna z trzaskiem wystrzeliło z pierwszej ofiary, trafiając pozostałe drowy.

Halisstra krzyknęła z bólu i uniosła rękę, żeby osłonić oczy przed jaskrawym blaskiem gromu, kuląc się pod ścianą i przeklinając czarodzieja, który oślepił ją i uczynił łatwym celem dla ataków żołnierzy. Drowka przez chwilę miała przed oczyma wyłącznie powidok, więc po omacku posuwała się wzdłuż ściany, nasłuchując, czy nie zbliża się nieunikniony atak, ale do niczego nie doszło. Przed sobą usłyszała ostatni okrzyk kogoś, kto został zraniony, i odgłosy walki ucichły.

Kiedy wreszcie odzyskała wzrok, zobaczyła Danifae i Quenthel, które również wyglądały na oślepienie. Pharaun wydawał się dumny z siebie, a po obu jej stronach ziemię zaścielały trupy żołnierzy domu Zuavirr.

- A niech cię, Pharaun! - burknęła Quenthel, opierając dłonie na biodrach i mierząc gniewnym spojrzeniem niższego o kilka cali czarodzieja. - Następnym razem, kiedy będziesz miał zamiar rzucić podobny czar, uprzedź mnie o tym!

Pharaun uklonił się kapłance i Halisstra nie była pewna, czy przypadkiem z niej nie szydzi, powiedział jednak:

- Proszę o wybaczenie. Nie miałem czasu, żeby kogokolwiek ostrzec. Dopadliby nas, gdybym nie zadziałał natychmiast.

Quenthel pociągnęła nosem, najwyraźniej nie do końca usatysfakcjonowana jego odpowiedzią, ale już nic więcej nie powiedziała. Po chwili Halisstra zauważyła, że mistrzyni Akademii patrzy na nią.

- No? - ponagliła ją Quenthel. - Prowadź dalej. Nie chcę, żeby kolejna zgraja pacholków Ssipriiny znalazła nas nad trupami swoich towarzyszy.

Halisstra skinęła krótko głową i odwróciła się w stronę drzwi. Uważała, żeby nie patrzeć zbyt długo na którekolwiek z ciał żołnierzy zabitych przez Jeggeda. Doszła do drzwi i machnęła przed nimi broszą, otwierając je za pomocą magii. Kapłanka wkroczyła do środka i kiwnęła na pozostałych.

Komnaty jej matki były urządzone krzykliwie i nie w jej stylu, ale nie zwracała uwagi na wystrój. Kiedy reszta grupy znalazła się w środku, wskazała pozostałe pokoje i różne drzwi.

- Gdzieś tutaj znajdują się rzeczy mistrzyni Baenre - oznajmiła. - Jeśli się rozdzielimy, szybciej je znajdziemy.

Jak gdyby dla podkreślenia konieczności pośpiechu, kolejna grzmiąca wibracja zakołysała domem, a Halisstrze wydało się, że słyszy, jak pęka lita skała.

- Darujcie sobie - powiedziała szorstko Quenthel. - Są tam.

Wskazała jedne z drzwi.

- To sypialnia - stwierdziła Halisstra, nieco zdziwiona tym, że kapłanka wie, gdzie są. - Chodźcie - poleciała, i cała grupa weszła za nią do wewnętrznej komnaty.

Z jednej strony stało ogromnych rozmiarów łóżko, okrągły mebel mogący pomieścić pięciu lub sześciu elfów i prawdopodobnie zmieścił ich tyłu nie raz, jak przypuszczała Halisstra. Oprócz tego w komnacie znajdowało się kilka sof, skrzyń, bielizniarek i stołów, zaś każdą stopę kwadratową ścian pokrywały bogate arras.

Quenthel powoli przeszła przez pokój i zatrzymała się pomiędzy dwiema wielkimi zdobionymi szafami, gdzie na ścianie żarzył się fosforyzująca zielenią, fioletem i żółcią arras utkany z czarnej materii,

przedstawiający elfią kapłankę. Halisstra wiedziała, że miała to być jej babka i zastanawiała się, dlaczego Drisnil go zachowała. Halisstra pod żadnym pozorem nie zamierzała zatrzymać niczego, co przypominałoby jej jej własną matkę.

- Tutaj - oznajmiła Quenthel. - Wszystko jest za tym arrasem.

- Na razie go nie dotykaj - ostrzegł Pharaun, dochodząc do niej.

Czarodziej przez chwilę przyglądał się badawczo arrasowi, po czym skinął głową, jak gdyby był z siebie zadowolony. Chwycił kobierzec za róg i zerwał go ze ściany. Pod spodem był nagi kamień.

Quenthel nachmurzyła się jeszcze bardziej, ale czarodziej po prostu wyjął spomiędzy fałd piwafwi różdżkę, machnął nią i wymówił czarodziejski zwrot. Potem schował magiczny przedmiot do kieszeni i znów zaczął się przyglądać pustemu miejscu na ścianie, a pozostali zebrali się wokół niego. Danifae stanęła obok Halisstry i kapłanka poczuła, że służąca wciska jej coś do ręki. Spojrzawszy w dół, zobaczyła, że branka zdobyła skądś parę sztyletów i ukradkiem podawała jej jeden z nich.

Ty spryciaro, pomyślała Halisstra. Drowka szybko ukryła broń w dłoni i wsunęła ją w fałdy piwafwi. Potem znów skupiła się na tym, co robił czarodziej.

- No jasne - powiedział Pharaun, jak gdyby odkrył coś oczywistego. - Dobrze, niech wszyscy się odsuną. Mogę rozbroić osłony ochronne i sigile, ale nie poradzę sobie z mechaniczną pułapką, która, jak przypuszczam, też jest tu ukryta.

- W porządku - odezwał się Valas. - Jeśli dasz radę usunąć wszystkie magiczne zabezpieczenia, ja powinienem poradzić sobie z resztą.

Pharaun kiwnął głową, po czym zaczął gestykulować i mamrotać coś pod nosem, a w końcu wskazał zamaszystym gestem przestrzeń pomiędzy dwiema szafami. Halisstra podejrzewała, że czarodziej potrafi wykrywać obecność różnych zaklęć, osłon i uroków, ponieważ nie widziała, nad czym pracuje, i nigdy nie słyszała o żadnym sekretnym portalu w komnatach matki. Kiedy Pharaun skończył rzucać zaklęcia, jeszcze przez chwilę przypatrywał się ścianie, a potem skinieniem głowy dał znak zwiadowcy.

Valas podszedł do ściany i zaczął ją badać kawałek po kawałeczku, cal po calu. Halisstra miała ochotę stanąć obok niego, żeby zobaczyć, na co patrzy, ale nie śmiała, obawiając się, że go zdekoncentruje. W tej samej chwili komnatą wstrząsnął kolejny grzmot i Halisstra prawie straciła równowagę.

- Na Otchłań! - wrzasnął Valas, wymachując rękami, żeby nie wpaść na ścianę. - Nic z tego. Nie dam rady przy takich...

Zwiadowca urwał, gdyż cała komnata niespodziewanie drgnęła i zaczęła się przechylać. Halisstra upadła na podłogę, która nie była już pozioma, tylko przekrzywiła się w jedną stronę, tak że ściana, którą badali, znalazła się w górze. Staczając się po posadzce w dół, drowka uświadomiła sobie, że krzyczy. Ruch ustał, ale w całym budynku słychać było przerażający odgłos pękającej skały, głośne trzaski, które brzmiały tak, jak gdyby cały świat łamał się na dwoje.

- Nie mamy czasu! Musimy natychmiast uciekać! - usłyszała krzyk jednego z mężczyzn.

- Nie bez moich rzeczy - upierała się Quenthel, siadając i starając się stanąć na przekrzywionej podłodze. - Otwórz drzwi już!

Pharaun, który zaczął lewitować, żeby uniknąć upadku, kiwnął głową, a pozostali unieśli się w powietrze - wszyscy oprócz Valasa, który pomimo nachylenia podłogi nie miał najmniejszych problemów z utrzymaniem równowagi.

Czarodziej wyjął z piwafwi miękką rękawicę. Założył ją i zaczął znów czarować, a tymczasem podłoga wydała z siebie kilka trzasków i zaczęła się jeszcze bardziej przechylać. Przed magiem pojawiła się w powietrzu ogromna gorejąca pięść, dwa razy większa od niego. Pharaun kierował nią dłonią w rękawicy, obracając tak, że knykcie zwróciły się w stronę ściany.

- Odsuńcie się! - krzyknął Pharaun. - Nie wiem, jakie mogą być konsekwencje.

Dom znów zatrzeszczał - bliżej, ogłuszająco - i Halisstra odkryła, że zatyka uszy dłońmi. Serce waliło jej w piersi jak młotem.

Umrzemy tutaj, pomyślała. Cały dom się rozpada i zostaniemy zmiażdżeni.

Magiczna pięść skoczyła do przodu i wyrznęła z potężnym chrupnięciem w kamienną ścianę pomiędzy szafami. Ściana popękała w kilku miejscach. Pharaun polecił pięści cofnąć się i uderzyć jeszcze raz.

Quenthel stała obok Halisstry, ściskając ją za ramię.

- Kiedy rozwali ścianę - powiedziała mistrzyni Arach-Tinilith - będziemy musieli się spieszyć. Jak najszybciej się stąd wydostać?

Halisstra spojrziała bezradnie na kapłankę.

- Jesteśmy w samym sercu domu - odparła. - W najlepiej chronionym miejscu. Wydostanie się stąd, bez względu na to, którą drogę wybierzemy, potrwa nieskończoność.

Quenthel sponsepniała, ale kiwnęła głową i odsunęła się.

Olbrzymia pięść wyrznęła jeszcze kilka razy w ścianę, która była już bliska zawalenia.

Jeden cios powinien wystarczyć, pomyślała Halisstra, czując wstrząsy wywołane pękaniem i kruszeniem się budynku. Jeśli nie jest już za późno, dodała w myślach.

Pozostali starali się utrzymać równowagę i wytrzeszczając oczy, przyglądali się nieufnie ścianom, sufitowi i podłodze.

Pod kolejnym ciosem kawał ściany wpadł wreszcie do środka, tworząc kupę gruzu. Z tyłu znajdował się mały pokój, mroczny i zakurzony, pełen regałów, na których ustawiono liczne przedmioty, których Halisstra nigdy nie widziała. Quenthel przepchnęła się do przodu i wkroczyła a raczej wspięła się, bo bardziej przypominało to wchodzenie na wzgórze do komnatki, chwytając z błyskiem w oku wężowy bicz o pięciu rzemieniach.

- Tak! - było wszystkim, co powiedziała, unosząc oręż nad głowę. Pięć zmij syczało i wiło się radośnie.

Quenthel szybko zebrała kilka przedmiotów, które widocznie do niej należały, a potem zaczęła się przyglądać pozostałym rzeczom ustawionym na półkach.

- Nie mamy na to czasu - ponaglił ją Pharaun. - Uciekamy natychmiast! - Odwracając się do Halisstry, czarodziej zapytał: - Którędy do wyjścia? Wyprowadź nas stąd, zanim wszystko się zawali!

Halisstra potrząsnęła żałośnie głową.

- Już dalej od wyjścia nie mogliśmy się znaleźć! - zawołała, starając się przekrzyczeć kakofonię trzaskającego, kruszącego się kamienia. Komnata znów się przekrzywiła. - Nie ma żadnej krótkiej drogi!

- Więc ją utworzę! - krzyknął Pharaun. - Którędy jest najbliżej na zewnątrz?

Część sufitu po przeciwnej stronie pokoju runęła w dół, sypiąc Halisstrze w twarz pyłem i deszczem kamiennych odłamków. Drowka przykryła nos i usta jedną ręką, drugą osłaniając oczy przed kłującymi odpryskami. Nie była w stanie myśleć. Miała umrzeć. Nie było wyjścia, nic było ucieczki - i nie było Lolth.

Halisstra poczuła, że czarodziej ściska jej ramiona.

- Powiedz mi, którędy można się najszybciej wydostać na zewnątrz?! - wrzasnął. - Zapomnij o ścianach.

Halisstra pokręciła głową, usiłując się skoncentrować pomimo narastającej paniki. Dostrzegła Danifae, która przyłgnęła do Quenthel - obie trzymały się krawędzi połamanej ściany prowadzącej do sekretnego pokoju. Jeggred wbił pazury w kamienną posadzkę i przesuwając się z mozołem w stronę swojej pani.

- Najkrótsza droga na zewnątrz... którędy?

W jej głowie pojawił się obraz, mentalna mapa, i już wiedziała, że komnaty jej matki przylegały prawie do zewnętrznej ściany, co oznaczało, że z tajnego pokoiku odkrytego przez Pharauna i Quenthel było bardzo blisko na zewnątrz.

Halisstra gorączkowo wskazała ukrytą komnatę.

- Tędy! - wrzasnęła.

Pharaun kiwnął głową. Gramoląc się na czworakach, ruszył w tamtą stronę, niemal ześlizgując się w przeciwnym kierunku, gdy pokój znów się przekrzywił. Halisstra sama zaczęła się zsuwać, ale zamiast próbować temu zapobiec, zapała się stopami o przeciwległą, najniższą ścianę. Drowka wyciągnęła szyję, obserwując maga, który rozpoczął kolejne zaklęcie. Czarodziej wydawał się dysponować nieskończoną ich ilością. Pogrzebawszy w piwafwi, wyciągnął coś małego, czego Halisstra nie mogła dojrzeć, po czym zaczął gwałtownie gestykulować w kierunku tylnej ściany tajnego schowka. Na jej oczach w skale utworzył się tunel, który po jakichś piętnastu stopach przebił się na zewnątrz.

- Naprzód! - zawołał Pharaun w tej samej chwili, w której, jak się wydawało, cały dom runął.

Odgłos pękającego kamienia był ogłuszający i Halisstra ledwo słyszała czarodzieja. Pokój przekrzywił się jeszcze bardziej i elfka uświadomiła sobie, że leży prawie bokiem, tak że nowy otwór znalazł się prawie nad jej głową. Zaczęła lewitować, unosząc się magicznym sposobem w stronę

utworzonego naprędce wyjścia, a pozostali członkowie grupy poszli w jej ślady. Kiedy dotarła na samą górę i miała się już wydostać na otwarte powietrze, zobaczyła, że Jeggred trzyma Valasa. Draegloth unosił się prawie bez wysiłku ku otworowi i właśnie w tej chwili Halisstra przypomniała sobie, że Danifae również nie potrafi lewitować.

Córka domu Melarn spojrzała z rozpaczą w dół i zobaczyła swoją służącą, która stała w kącie komnaty, w pobliżu zawalonego sufitu, starając się pozostać na wierzchu kupy gruzów obsuwających się w miarę jak komnata coraz bardziej się przechylała. Z oczu branki, obserwującej jak wszyscy pozostali uciekają z walącego się budynku, wyczierała furia. Rozległ się kolejny przeraźliwie głośny trzask pękającego kamienia i Danifae, wciąż wewnątrz tego, co zostało z domu Melarn, runęła w dół.

* * *

Khorrl Xornbane był zakrwawiony i wyczerpany. Członkowie jego klanu, zgromadzeni wokół niego, wyglądali tak samo. Krasnolud nie miał pojęcia, jak długo walczyli, ale trwało to już zbyt długo. Niestety, kapitan klanu Xornbane obawiał się, że sytuacja, zanim się poprawi, zdąży się jeszcze pogorszyć. Miał nadzieję, że jest w błędzie.

Khorrl wydał już swoim oddziałom rozkaz opuszczenia posterunków broniących domu Melarn. Oblężenie trwało już od tak dawna i zużyli już tyle dzbanów zapalających, że obawiał się, iż miejsce to zaczyna się robić niebezpieczne.

Nie stracę moich chłopców w ten sposób, powiedział sobie.

Resztki jego sił przegrupowywały się po przeciwnej stronie placu niż dom i akurat nikt ich nie niepokoił. Trudno było jednak powiedzieć, jak długo potrwa ten spokój, ponieważ w gęstym dymie niewiele było widać.

Jednak to, co Khorrl i jego towarzysze widzieli, mówiło samo za siebie. Plac usłany był ciałami goblinów i koboldów. Wśród nich było nieco mniej drowów, choć liczba martwych elfów zaskoczyła go. Tu i ówdzie leżały martwe szare krasnoludy, więcej niż życzyłby sobie Khorrl. To był koszmarny dzień, a kapitan obawiał się, że wcale się jeszcze nie kończy.

- Sir - odezwał się jeden z jego adiutantów, podbiegając do niego - całkowicie opuściliśmy rezydencję. Ostatnie oddziały uformowały linię od tamtego rogu - młody szary krasnolud wskazał poprzez dym skraj budynku za ich plecami do flanki naszych głównych sił, tam. Machnął ramieniem w stronę odległego, prawego boku placu.

- Dobrze - odparł Khorrl, wizualizując w myślach pole bitwy, bo na własne oczy nie widział już wyraźnie.

- Oprócz tego - ciągnął adiutant - z tamtej strony zbliżają się do nas kolejne siły drowów.

Wskazał na lewo, gdzie plac łączył się z dużą ulicą. Był to, niestety, najłabszy punkt obrony klanu Xornbane.

- Przyjaciele czy wrogowie? Przyjrzałeś się insygniom ich domów?

Adiutant wzruszył ramionami.

- Nie w tym dymie.

Khorrl westchnął. Musiał wysłać zwiadowców na rekonesans. Powiedział to adiutantowi, który zasalutował i zaczął się odwracać.

- Zaczekaj - powiedział kapitan i adiutant zatrzymał się, słuchając z uwagą. - Poślij tam kilku chłopców - Khorrl wskazał ulicę jeden poziom wyżej. Nie życzę sobie, żeby kolejna chmara tych przeklętych drowów spadła na nas tak jak wcześniej.

- Tak, sir - odpowiedział adiutant i oddalił się pospiesznie, żeby wykonać rozkazy kapitana.

Khorrl znów westchnął i odwrócił się, żeby zażądać wody. Za jego plecami rozległ się głośny trzask, odgłos, który znał już aż nadto dobrze - odgłos pękającego kamienia. Obrócił się z powrotem w stronę, z której doleciał go dźwięk, i wbił wzrok w mroczny dym. W górę i dół szeregów broniących zdobytych pozycji rozeszła się wiadomość, która wkrótce dotarła do Khorrla. Dom Melarn palił się i miał zaraz runąć w dół.

Khorrl potrząsnął głową, wiedząc, co się zaraz wydarzy. Miał nadzieję, że jego adiutant miał rację, i że wszyscy jego podkomendni zdążyli się stamtąd wydostać. Opłakiwał tych, którzy nie byli w stanie, bez względu na powody.

Znów rozległy się trzaski, które zrobiły się głośniejsze i bardziej regularne. Krasnolud czuł

wibracje w kamieniach pod stopami. Prawie żałował, że tego nie zobaczy, ale w pewien sposób wcale nie było mu żal. Dla wszystkich, którzy zostali w środku, budynek stał się śmiertelną pułapką.

Odgłosy pękającego i kruszącego się kamienia osiągnęły crescendo, rozległ się ostateczny wybuch, wstrząs, który zakłócił całą ulicą do tego stopnia, że Khorrl musiał się zaprzeć toporem. Nastąpiło szarpnięcie i grzmienie ustało. Khorrl wiedział, że cały budynek oberwał się i spadł w otchłań. Kilka sekund później z dołu dobiegł ich potworny huk. Dom Melarn wpadł na coś. Uderzenie serca później kapitan poczuł wibracje wywołane tym zderzeniem. Były lekkie, ale aby takie drgania przeszły wzdłuż pajęczej ulicy, przez ścianę ogromnej jaskini i z powrotem wzdłuż pajęczej ulicy, początkowa kolizja musiała być zabójcza.

Może zawalić kilka kolejnych ulic, pomyślał ponuro kapitan.

- Sir!

Był to znowu adiutant, biegnący ku swojemu kapitanowi z wybałuszonymi oczyma.

- Co się stało? - zapytał Khorrl, zastanawiając się, co mogło wstrząsnąć młodzieńcem do tego stopnia.

- Pająk! Ogromny, wielki jak dom! Idzie w tę stronę!

Khorrl jęknął, uświadamiając sobie, w jak beznadziejnej są sytuacji. Nie cierpiał mieć racji.

ROZDZIAŁ 15

Wylatując z walącego się budynku, który był kiedyś domem Melarn, Pharaun Mizzrym usłyszał pod sobą zbolaty okrzyk. Czarodziej spojrział w dół i dostrzegł Halisstrę, wciąż widoczną w otworze prowadzącym do zrujnowanych komnat jej matki. Drowka patrzyła w dół, do wnętrza budynku.

Czarodziej do końca swoich dni nie był pewny, co go do tego skłoniło, ale wyczuwając, że ktoś jest wciąż w środku, w mgnieniu oka postanowił rzucić czar. Zdarł z siebie piwafwi i cisnął je Ryldowi, po czym wymówił krótką magiczną formułę i zaczął przeistaczać się w ohydneho i nędznego stwora. Widział je już kilka razy, a w młodości nawet polował na nie dla rozrywki. Opadając ku rozpadającej się budowli, która zaczynała się już odrywać i spadać w dół, z przystojnego drowa o rozbijającym uśmiechu przedzierzgnął się w skrzydlatą kobietę o pokrytym łuską zadzie. Choć odpychająca, miała ona jedną przewagę nad naturalną postacią czarodzieja - potrafiła latać. Pharaun miał nadzieję, że jego harpia będzie na tyle silna, żeby unieść tego kogoś uwięzionego w środku.

Wyglądało na to, że Halisstra zaraz opadnie z powrotem do ogromnej komnaty, która leżała już całkowicie na boku, ale Pharaun chwycił elfkę za piwafwi i odepchnął na bok. Drowka spojrziała na niego zdziwiona i zataczając się do tyłu, wydała z siebie okrzyk zaskoczenia i przerażenia. Zaczęła szukać czegoś w fałdach piwafwi i mag odniósł wrażenie, że nie ma pojęcia, że to on. Miała zamiar go zaatakować.

- Dołącz do pozostałych! - syknął, wskazując w górę jedną ze szponiastych łap. - Zaraz wrócę.

Zauważył błysk sztyletu, ale Halisstra odprężyła się nieco - najwyraźniej dotarło do niej, kim naprawdę jest harpia. Odnotował w pamięci, że ukryła przy sobie broń.

Halisstra kiwnęła głową i odepchnęła się od brzegu dziury, zaś Pharaun złożył skrzydła wzdłuż boków i spadł w dół. Poniżej dostrzegł Danifae miotającą się wściekle na szczycie osypującej się sterty gruzu, która była kiedyś sufitem. W tej chwili dom Melarn rzeczywiście zaczął spadać, a ich dwójka wraz z nim. Pharaun zauważył, że odłamki skalne przesuwają się i kruszą, gruz wydawał się prawie wysypywać przez dziurę pod elfką niczym przez otwór w wielkiej klepsydrze. Drowka usiłowała nie dać się wessać razem z odłamkami, ale noga zaklinowała jej się pomiędzy dwoma sporymi kamiennymi blokami i Danifae nie była w stanie uchwycić się niczego, żeby uwolnić nogę.

Pharaun szybko opuścił się w dół, w ostatniej chwili rozwijając skrzydła, i zawisł w powietrzu obok drowki. Danifae zareagowała natychmiast, usiłując chwycić się stwora przed sobą. Bez względu na to, czy zdawała sobie sprawę, że to Pharaun, fakt ten wydawał się nie mieć dla niej żadnego znaczenia. Pharaun wyciągnął w jej stronę szponiastą stopę i podleciał bliżej, żeby mogła go dosięgnąć. Kobieta zapadała się coraz głębiej w kupę gruzu, który sięgał jej już prawie do kolan, a kiedy znów się osypał, odchyliła głowę do tyłu i wrzasnęła, bardziej z frustracji niż bólu.

W chwili, w której mocno go uchwyciła, Pharaun zaczął bić skrzydłami, usiłując wznieść się do góry - miał nadzieję, że to wystarczy, żeby wyciągnąć ją z pułapki. Czuł opór - nie tylko z powodu jej ciężaru, ale także uwięzionej nogi - ale wciąż machał skrzydłami, starając się ją uwolnić. W końcu, przy ostatnim zrywie, poczuł, że opór ustępuje, i już mknął w górę z Danifae lgnącą do jego nogi. Czarodziej szybował ku otworowi, a tymczasem komnata spadała. Rozległ się potworny huk i w oślepiającej chmurze pyłu czarodziej wyprysnął z rozszerzającej się dziury.

Wydostawszy się z komnaty, Pharaun uświadomił sobie, że wcale nie leci w górę, tylko unosi się w miejscu, podczas gdy cały dom Melarn spada w dół. Drow zobaczył, jak dom uderza z impetem w pajęczą ulicę rozciągającą się poniżej i zaczyna spadać jeszcze niżej, obracając się wokół własnej osi. Gdyby pozostali w nim choćby chwilę dłużej, uświadomił sobie czarodziej, wzdrygając się, nie udało by im się wylecieć. Wirująca komnata spadłaby w dół wraz z nim i Danifae uwięzionymi w środku.

Oboje przyglądali się przez chwilę ze zgrozą, jak ogromna kamienna budowla mknie na dno miasta, aż wreszcie z koszmarnym łoskotem uderza o coś w dole. Wstrząs był odczuwalny nawet w miejscu, w którym unosili się w powietrzu.

Pharaun, który dźwigał tak duży ciężar, zaczynał odczuwać zmęczenie. Usiłując przebić wzrokiem gęsty, duszący pył, który wzbił się w powietrze, przyjrzał się temu, co zostało z pajęczej ulicy, przy której stał dom Melarn. Jej część wciąż stała w płomieniach, a fragmenty odpadały. Zamiast polecieć tam, skrzył się w bok, omijając najgorsze zniszczenia. W miejscu, gdzie zwapniała nie rozszerzała się, tworząc plac, była wciąż stabilna i mocna. Kiedy leciał z trudem w tamtym kierunku, kolejny spory fragment ulicy runął w dół w ślad za domem Melarn. Pozostała tylko wystająca półka.

Mag machnął skrzydłami, kierując się ku bardziej pewnemu podłożu, minął półkę, która miała jakieś dziesięć stóp długości i dwa razy tyle szerokości, a kiedy znalazł się już nad placem, szybko opuścił się w dół, wymachując skrzydłami, żeby nie spaść prosto na Danifae. Drowka, która upadła na ziemię dokładnie tam, gdzie ją upuścił, oddychała ciężko i nierówno. Czarodziej wylądował z impetem tuż obok niej, po czym zwałił się na bruk, z trudem łapiąc oddech w zapyłonym powietrzu. Przed oczyma latały mu świetlne punkciki. Członki miał jak z ołowiu i był w stanie jedynie przysłuchiwać się dyszeniu własnemu i Danifae.

- To ci dopiero akcja ratunkowa - powiedział Ryld, lądując obok czarodzieja. - Nie wiem, jakiego rodzaju potworem jesteś, ale nigdy nie próbuj mnie ratować w takiej postaci. Gotów jestem zabić cię, zanim cię rozpoznam.

Pharaun otworzył jedno oko i spojrzał na wojownika, jednocześnie dokańczając w myślach czar transformacyjny i powracając do własnej postaci.

- Nie licz na to - odparł pomiędzy jednym sapaniem a drugim. - Ty, mój przyjacielu, musiałbyś sam wykaraskać swoje bezwartościowe truchło, gdybyś znalazł się kiedykolwiek w podobnych opałach. Nie grzeszysz pięknością, która gwarantuje ratunek.

Pozostali członkowie grupy zaczęli lądować na placu. Halisstra, która opadła na ziemię obok swojej branki, ukryła twarz w dłoniach, jak gdyby zupełnie się załamała. Pharaun chyba rozumiał jej ból. Koniec końców, jej dom runął na samo dno czeluści.

- Mam wobec ciebie ogromny dług, czarodzieju - odezwała się Danifae. - Dziękuję.

Pharaun, który leżał oparty na łokciach, wciąż zastanawiał się, co go w ogóle napadło, żeby zdecydować się na podobny wyczyn. Gdyby elfkę spotkała śmierć, z pewnością nie odczułby żalu, ale jego zdaniem byłaby to wielka strata.

- Jestem pewien, że wspólnie znajdziemy sposób, w jaki będziesz mi się mogła odwdzięczyć - powiedział z powagą na twarzy.

- Tak - odezwała się Halisstra, podnosząc wzrok. - Obie jesteśmy twoimi dłużniczkami. Dopilnuję, żebyś otrzymał od nas odpowiednie wynagrodzenie.

Spróbowała obdarzyć Pharauna autentycznie ciepłym uśmiechem. Czarodziej znów kiwnął głową, zaintrygowany sugestią ukrytą w ofercie drowki. Przyglądał się brance, ciekawy, czy spodobał jej się ten pomysł. Wyraz jej oczu mówił jasno, że nie jest nim zachwycona, ale Danifae nie wyraziła na głos swojego niezadowolenia, gdyż córka domu Melarn pochylała się nad nią z niekłamaną troską. Noga Danifae wyglądała paskudnie, ale była wciąż sprawna.

Quenthel cmoknęła z irytacją.

- Teraz, kiedy już wszyscy uniknęli śmierci, myślę, że czas najwyższy opuścić to miasto. Jednak najpierw musimy sprawdzić, czy uda się odratować nasz prowiant pozostawiony w zajeździe.

Pozostali kiwnęli głowami na znak zgody.

- Szybko - ponaglił ich Pharaun, świadomy odgłosów walki, niewidocznej przez mgłę, ale toczącej się coraz bliżej. - Lepiej nie zostawać tu dłużej niż to konieczne.

Mag wstał, otrząsał się i podniósł piwafwi z miejsca, w które przed chwilą rzucił je Ryld. Po raz pierwszy ogarnął wzrokiem miasto i widok zaparł mu dech w piersi.

- Może już być za późno - wydyszał, zdjęty grozą na widok zniszczeń, które i tak widział tylko częściowo, gdyż większość krajobrazu przesłaniał mglisty żar lub spowijał gęsty dym. Ta część Ched Nasad, gdzie znajdował się dom Melarn, stała w płomieniach. Przypominając sobie, że on i Danifae właśnie uniknęli śmierci w tej straszliwej katastrofie, spojrzał na Halisstrę i drugą elfkę, które siedziały skulone obok siebie. Spoglądająca w przestrzeń Halisstra wyglądała na zdruzgotaną, a jej służąca przytulała się do niej, szepcząc uspokajająco.

- Tak - zgodziła się Quenthel. - Będzie gorzej, znacznie gorzej. Niech wszyscy mają się na baczności. Mistrzu Argith, oddaj im obu broń - poleciła, wskazując Halisstrę i Danifae. - Myślę, że zasłużyły sobie na prawo do noszenia oręża, skoro wyprowadziły nas z tej śmiertelnej pułapki.

Fechmistrz wyjął z kieszeni piwafwi czarny krąg materiału, rozwinął go i rzucił na kamienny bruk placu. Materiał zmienił się w idealnie okrągły otwór, wystarczająco głęboki, by mógł włożyć do niego rękę. Zaczął w nim szperać.

- Myślę, że nasz powrót do zajazdu będzie musiał poczekać - odezwał się Valas, wskazując coś palcem. - Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Pharaun spojrzał we wskazanym kierunku i jęknął. Z dymu wyłoniły się dziesiątki szarych

krasnoludów o ponurych twarzach, biegnące w ich stronę z kuszami i toporami w dłoniach. Pierwszy szereg utworzył mur z tarcz, a drugi gotował się do wypuszczenia salwy z broni miotającej. Od drużyny dzieliło ich zaledwie kilka jardów.

- Uważajcie! - zawołała Halisstra, wskazując w przeciwnym kierunku buzdyganem, który właśnie wręczył jej Ryld.

Z gęstego dymu wypadła gromada drowów, żołnierzy i kapłanek, pędząc prosto na duergarów.

* * *

Kiedy płonąca posiadłość wreszcie oderwała się od ulicy i runęła w przepastną czeluść, Aliisza przyglądała się temu z mieszaniną fascynacji i rozczarowania. Była pewna, że straciła czarodzieja, a jednak nie mogła się nadziwić skłonności drowów do destrukcji. Rujnowały własne miasto, przy sprawnej pomocy kilku innych gatunków. Zastanawiała się, co chciały w ten sposób osiągnąć, ale tak naprawdę nie obchodziło jej to. Po prostu żałowała, że nie pofigluje już sobie z czarodziejem.

Skoro jej kochanek nie żył, alu sposobila się do opuszczenia miasta. Nic jej tu już nie trzymało, a odkładając wyjazd, narażała się tylko na ryzyko, choćby nawet niewielkie. Nie uśmiechała jej się perspektywa konfrontacji z armią drowów czy duergarów, a już na pewno nie chciała zostać pogrzebana przez ogromną ilość kamieni.

Jednak zanim zdążyła wprowadzić swoje zamiary w czyn, zauważyła jakiś ruch nieco poniżej miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał pałac. Nie była pewna, ponieważ w powietrzu dookoła było pełno dymu, ale wydawało jej się...

Tam. Coś bezsprzecznie unosiło się w powietrzu, wstrętna istota, którą alu знаła bardzo dobrze kobieta-ptak zwana harpią i to nie sama, bo jej szponów uczepiła się druga postać. Para szybowała w powietrzu, starając się nie opaść w dół. W pewnym momencie harpia skręciła w bok, unosząc ze sobą swoje brzemię.

Obserwując lot pary, alu kątem oka dostrzegła jakieś inne poruszenie i uświadomiła sobie, że harpia i trzymający się jej drow nie są sami. Towarzyszyli im przyjaciele czarodzieja.

Alu wybuchnęła śmiechem, uświadamiając sobie, że harpią musi być sam Pharaun, który poddał się transmutacji, bez wątpienia za sprawą jednego ze swoich zaklęć. Jest naprawdę potężnym magiem, pomyślała. Jakimś cudem cała grupa zdołała się uwolnić z budynku tuż przed tym, jak się oberwał i runął na dno jaskini, a po drodze dołączyły do nich dwie dodatkowe osoby.

Aliisza zbliżyła się ostrożnie, chcąc przyjrzeć im się lepiej, sama nie będąc widzianą a kiedy to zrobiła, zmrużyła oczy. Ten nędznik Pharaun uratował jakąś dziwkę, piękną drowkę, która pomimo niechlujnego wyglądu najwyraźniej stanowiła dla czarodzieja łakomy kąsek. Czarodziej wrócił do swojej zwykłej postaci i zwałił się na ziemię obok elfki, której nie omieszkął obrzucić pożądanym spojrzeniem, choć z trudem łapał oddech.

Aliisza z wściekłością obserwowała, jak mag strzela oczyma do drowki. Własnoręcznie wydrapie wywołce oczy! Zrobi jej...!

Trzęsąc się z wściekłości, była już gotowa poszybować w dół, aby spełnić swoje nieme groźby, ale reszta grupy usadowiła się wokół tych dwojga. Zaciskając w furii pięści, Aliisza opanowała się, ale chciała wiedzieć, co się dzieje. Szybko rzuciła czar i zaczęła podsłuchiwać ich rozmowę.

- ... musimy sprawdzić, czy uda się odratować nasz prowiant pozostawiony w zajeździe.

- Szybko - usłyszała głos Pharauna. - Lepiej nie zostawać tu dłużej niż to konieczne.

Uśmiechając się, Aliisza rozproszyła czar i odleciała, wciąż uważając, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Miała pewien pomysł i była z siebie bardzo zadowolona.

* * *

Uciekajcie z ulicy! - ponaglił ich Ryld, wskazując boczną uliczkę biegnącą obok świątyni, gdzie mogli uniknąć najgorszego zderzenia. - Szybko! - rozkazał wojownik, puszczając się pędem w tamtą stronę.

Pharaun usłyszał krzyk przyjaciela i spróbował ruszyć ku wskazanej przez niego przecznicy, ale zrobił to zbyt późno, żeby uniknąć nawały mijających go drowów. Został zepchnięty kilka stóp w przeciwnym kierunku, zanim wreszcie zdołał prześliznąć się w bok i skryć przy wielkich kamiennych

stopniach prowadzących do jakiegoś ogromnego budynku użyteczności publicznej. Chwilę później dotarła do niego Danifae, która padła na kolana, z trudem łapiąc oddech.

- Gdzie pozostali? - zapytał ją czarodziej, podziwiając jej krągłe kształty, choć wokół nich szalała bitwa.

- Nie wiem - wydyszała. - Byli... zaraz za mną.

- Nie możemy tu zostać - stwierdził Pharaun.

Czarodziej zaczął się rozglądać za lepszym punktem obserwacyjnym, skąd mógłby wypatrzeć towarzyszy, a który nie znajdowałby się na samym środku pola bitwy.

Bitwa toczyła się na placu, na którym zostali rozdzieleni Pharaun i jego towarzysze. Do ukrywającej się na schodach pary podszedł duergar, który uśmiechnął się wrednie i uniósł nabijany kolcami młot bojowy, aby uderzyć nim w maga. Danifae była jednak szybsza - zawinęła swoim morgenszternem, trafiając krasnoluda w brzuch. Krępy humanoid sapnął, tracąc oddech, a Pharaun wykorzystał tę chwilową przewagę, żeby rzucić czar. Z koniuszków palców czarodzieja wyprysnął cienki pióropusznik ognia, trafiając humanoida w sam środek twarzy. Duergar zaskrzeczał i zatoczył się do tyłu, starając się ugasić rękami płonąca brodę. Reszta ciżby odsunęła się, żeby uniknąć kontaktu z żywą pochodnią, i w końcu duergar stracił równowagę i zwałił się bez życia na wybrukowaną ulicę.

- Chodź! - polecił Pharaun, biorąc wciąż kulejącą Danifae za rękę i prowadząc ją po schodach na sam podest.

Dwóch szarych krasnoludów ruszyło za nimi, ale w połowie drogi na górę zatrzymało się i wycelowało do nich z naładowanych kusz. Pharaun uchylił się, nakrywając głowę kapturem i osłaniając siebie i Danifae piwafwi. Dwa bełty trafiły go w środek pleców. Poczul przeszywające ukłucie.

Krzyknął z bólu, padając na jedno kolano. Z wściekłością uwolnił magiczny rapier i odwrócił się twarzą do pary duergarów, kierując broń w ich stronę. Czarodziej zdołał powstrzymać pierwszego szarego krasnoluda, ale drugi zdołał przemknąć obok magicznego ostrza i już wdrapywał się po schodach w jego stronę.

Rozmazana plama futra i szponów wylądowała na stopniach pomiędzy magiem a jego przeciwnikiem. Jeggred chlasnął duergara pazurami, rozbryzgując krew na wszystkie strony. Zaatakowany przez draeglotha humanoid zatoczył się w tył, zasłaniając się rękami, ale został uśmiercony. Kiedy pierwszy krasnolud zobaczył, jaki los spotkał jego towarzysza, zbiegł ze schodów i uciekł w kotłujący się wir walczących.

- Zostań tu! - nakazał mu Jeggred, skacząc z powrotem w środek tłumu. - Ściągnę tu pozostałych.

Pharaun przez chwilę zastanawiał się, czy posłuchać draeglotha, czy też zlekceważyć jego polecenie. Byłby o wiele szczęśliwszy, mogąc dostać się na szczyt budynku, ale wiedział, że Danifae nie będzie w stanie podążyć za nim, gdyby postanowił lewitować. Postanowił poczekać na powrót ulubieńca Quenthel.

- Tutaj - powiedział do Danifae, znikając w wejściu, gdzie panował głębszy mrok, i wciągając ją za sobą.

Stamtąd mogli obserwować ulicę w dole, sami nie będąc widzianymi.

Danifae przyłgnęła do niego, starając się pozostać w ukryciu, co bardzo go zdekoncentrowało. Mag odkrył, że też przyciska się do niej, jednocześnie zastanawiając się, jak mógł dać się tak łatwo rozproszyć w takiej chwili.

Przecież nie pierwszy raz czujesz dotyk kobiecego ciała, zbeształ się w duchu.

Był jednak zadowolony, że nie zmieniła pozycji, choć nie był pewny, czy ich kontakt był czysto przypadkowy, czy też wykalkulowany.

Nie musieli długo czekać. Po chwili znów pojawił się Jeggred, a zaraz za nim Quenthel. Jeggred torował im drogę przez tłum swoimi ogromnymi szponami, zaś drowka osłaniała mu tyły. I kiedy tak przeciskali się między walczącymi, kilka osób padło ofiarą wściekłych ciosów draeglotha. Wreszcie dotarli do schodów i pospiechali na podest.

- Jesteśmy tutaj - odezwał się Pharaun, przywołując ich do siebie gestem. - Musimy się dostać na dach - stwierdził, wskazując sklepienie nad ich głowami. - Stamtąd będziemy mieć o wiele lepszy widok i będziemy bezpieczni.

Jeggred kiwnął głową i chwycił Danifae. Razem zaczęli lewitować w górę. Po chwili dotarli do miejsca na dachu, z którego roztaczał się widok na morze ścierających się ciał. Pharaun i Quenthel szybko poszli w ich ślady. Cała czwórka wylądowała na zaokrąglonej powierzchni i opuściła się nieco

nizej, żeby nie odcinać się zbyt wyraźnie na tle miasta. Pharaun przyjrzał się uważnie ulicom położonym jeden poziom wyżej, usiłując ustalić, czy nie zostali stamtąd zauważeni. Wyglądało na to, że nie.

- Widzicie ich? - zapytała Quenthel, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. Pharaun ponownie skupił się na rozgrywających się w dole wydarzeniach.

Na polu bitwy wciąż toczyła się zacięta walka, ale w miarę, jak przybywało trupów, szeregi obu stron zaczynały się przerzedzać.

- Nie - odparł mistrz Sorcere. Danifae również potrząsnęła głową.

- Wojownik pobiegł w tamtą stronę - powiedziała branka, wskazując przecnicę po drugiej stronie placu. - Myślę, że Halisstra pobiegła za nim.

- Tak, słyszałem go - potwierdził Pharaun. - Próbowałem się tam dostać, ale napór był zbyt silny. Kiedy walki ustaną, możemy spróbować do nich dotrzeć.

- A co z Valasem? - zapytała Quenthel. - Co się z nim stało?

- Nie wiem - odparł Pharaun - ale on potrafi zniknąć nawet wtedy, kiedy się na niego patrzy, więc nie sądzę, żeby groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Pokaże się, kiedy będzie nam najbardziej potrzebny.

Duergarowie zaczęli już uzyskiwać przewagę, a kiedy jeszcze przybyły posiłki, niedobitki drowów odwróciły się i uciekły. Pharaun przyglądał się temu w nadziei, że duergarowie rzucą się za nimi w pogoń, ale krasnoludy zatrzymały się, aby się przegrupować.

Właśnie wtedy wszystko poszło nie tak, jak trzeba.

Pięć czy sześć bełtów z kuszy stuknęło w dach obok czarodzieja, a kilka nawet trafiło go w plecy. Ochroniły go tylko zaklęcia wplecione w piwafwi, ale miał już wyżej uszu służenia za żywą tarczę. Danifae miała mniej szczęścia. Jeden z bełtów ugodził ją w łydkę. Dziewczyna warknęła z bólu, a Pharaun przyskoczył do niej, by osłonić ją własnym ciałem.

Kilka stóp na prawo od czarodzieja buchnęły płomienie. Ogień omiół powierzchnię dachu, na którym przycupnęli, a obok pierwszego pocisku wylądował drugi i trzeci. Czarodziej wzdygnął się, po czym odwrócił, żeby zobaczyć, skąd nadszedł ten nowy atak. To, co zobaczył, sprawiło, że serce zamarło mu w piersi. Napastnicy, którzy okazali się kolejnymi szarymi krasnoludami, znajdowali się na pajęcznej ulicy jeden poziom wyżej, na wysokości końca dachu. Właśnie cisnęli kolejnymi dzbanami w kierunku drowów i Jeggred ryknął z wściekłości, trafiony jednym z nich.

- A niech cię, Pharaun, przez ciebie dostaliśmy się w krzyżowy ogień! - warknęła Quenthel. - Musimy zejść z tego dachu. Jeggred, osłaniaj mnie.

Quenthel odwróciła się, żeby spojrzeć przez krawędź w dół, a Jeggred ustawił się tak, żeby jak najlepiej osłaniać własnym ciałem trójkę drowów. Część jego futra dymiała, ale stwór wydawał się nie zwracać na to uwagi.

- Nie możemy tu stać - oznajmił.

- Wiem - odparł Pharaun, oglądając uważnie ranę w nodze Danifae.

Bełt uderzył w tą samą nogę, która była już uszkodzona, ale rana nie wyglądała na poważną, ponieważ ominął kość i przeszedł przez mięśnie. Mag ułamał to, co wystawało, i branka szarpnęła się lekko.

Quenthel wydała z siebie odgłos świadczący o zniesmaczeniu i odsunęła się od krawędzi.

- Całe to zamieszanie zwróciło uwagę tych na dole - stwierdziła surowym tonem. - Nie możemy uciec tamtędy.

- Więc zejdziemy drugą stroną - odparł czarodziej.

Mocno pchnął to, co zostało w nodze Danifae, wydobywając na zewnątrz resztę drzewca. Elfka syknęła z bólu, ale zagryzła wargi i zdusiła wszelkie inne odgłosy. Na kamienie wokół nich spadły kolejne bełty i pociski zapalające.

- Czy jest zatruty? - zapytał wysoką kapłankę Pharaun.

- Nie - zasyczała w odpowiedzi jedna ze żmij przy bacie Quenthel, unosząc się na trzonku.

W pobliżu rozbiły się następne dzbany, ryk ognia wzmógł się, robiło się coraz goręcej, a płomienie ogarniały coraz większą część kamiennego dachu.

- Za chwilę zmienimy się w piecyste - zauważył mag. - Ulecz ją, żebyśmy mogli uciec.

- Zapomnij o niej - odpowiedziała Quenthel. - Chodź.

Mistrzyni Akademii wstała i ruszyła na tyły dachu, wciąż chowając się za draeglothem.

Pharaun spojrział na Danifae, wrzucił ramionami i zaczął się podnosić. Elfka złapała go za

piwafwi ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

- Nie zostawiaj mnie tu - poprosiła. - Mogę iść. Tylko pomóż mi wstać.

Koło jej głowy wybuchły kolejne pociski - rzuciła się do przodu, a Pharaun złapał ją za rękę i postawił na nogi.

- Nie pożałujesz - powiedziała, rzucając czarodziejowi krótkie, ale znaczące spojrzenie. - Jestem tego warta.

Kulejąc i broczącą krwią z rany, Danifae ruszyła za Quenthel i draeglothem.

- Jeggred! - zawołała. - Ponieś mnie!

Pharaun zdał sobie sprawę, że stoi z otwartą gębą, więc ją zamknął. Biegając truchtem za branką, zobaczył, jak Quenthel i draegloth zatrzymują się jak wryci, podążył więc spojrzeniem za ich wzrokiem. Ponad linią dachu wystawało ogromne, chitynowe odnóże czegoś aż nadto dobrze znajomego. Odnóże szukało oparcia na dachu, zaraz za nim pojawiły się dwa kolejne, a potem głowa pająka gigantycznych rozmiarów.

- Niech Lolth ma nas w swojej opiece - wyszeptała Quenthel. - A skąd to się wzięło?

Kolosalny pająk ukazał się im w całości, wdrapując się mozolnie po tylnej ścianie i przy każdym kroku wprawiając cały budynek w gwałtowne drżenie.

- O nie - powiedziała Danifae. - One nie mogły...

- Co za one? - zapytał Pharaun, mimowolnie cofając się o krok.

Nawet Jeggred sprawiał wrażenie zaniepokojonego, gdy przyglądał się, jak olbrzymi pajęczak, czarny i lśniący, wciąga się na dach budynku. Stwór zaszczekał szczękoczułkami, rozglądając się wokół siebie, jego wielofasetkowe oczy zalśniły w świetle płomieni.

- I co takiego zrobiły? - dodał czarodziej.

- Matki opiekunki - odparła Danifae. - Wezwały pająka stróża. Idiotki.

Quenthel wciągnęła powietrze w płuca.

- Rzeczywiście - zgodziła się wysoka kapłanka. - Musimy uciekać.

Pharaun chciał zapytać obie elfki, czym, na Otchłań, jest pająk stróż, ale w tej samej chwili pajęczak dostrzegł ich, choć stali nieruchomo. Pochylił się skwapliwie w ich stronę, po czym ruszył na nich.

Jak jeden mąż odwrócili się i zeskoczyli przez krawędź w dół.

* * *

Halisstra wbiegła za Ryldem Argithem w przecznicę i odwróciła się, żeby sprawdzić, kto dołączył do niej w chaosie kłębiących się drowów i duergarów. Pozostałych nie było nigdzie widać.

- Pośpiesz się! - krzyknął z przodu Ryld, ponaglając ją gwałtownie.

Kilku duergarów wpadło za nimi w ulicę biegnącą wzdłuż świątyni i zbliżało się. Halisstra odwróciła się na chwilę, chcąc stawić im czoła, ale w mur obok niej uderzył bełt z kuszy, obsypując ją deszczem odłamków. Znów odwróciła się i pobiegła, ścigana przez szarych krasnoludów.

Kiedy zrównała się z Ryldem, ten wystrzelił raz z kuszy, żeby opóźnić pościg, i razem popędzili dalej ulicą, lawirując, aby zgubić prześladowców. Oboje wzięli ostatni zakręt i gwałtownie wyhamowali. Uliczka kończyła się solidną ścianą, choć jedna jej strona, osłaniająca coś w rodzaju ganku, była nieco niższa.

- Niech to szlag - wymamrotał Ryld, dobywając miecza. Wojownik odwrócił się, przygotowując się na atak nacierających krasnoludów. - Przygotuj się - rzucił, i Halisstra mocno wparła się nogami w ziemię, ważąc w dłoni buzdygan.

- Dlaczego po prostu tam nie podlecimy? - zapytała, wskazując dach i w tej samej chwili wyleciały na nich dwa pierwsze krasnoludy.

Pierwszy duergar dzierzył paskudny topór o dwóch ostrzach, a drugi ciężki młot co najmniej dwa razy większy od buzdyganu Halisstry. Drowka poprawiła uchwyt tarczy, a krasnolud z młotem zaczął podchodzić. W jego oczach płonąła nienawiść.

Ryld zaryzykował szybki rzut oka w górę, po czym zręcznie uskoczył w bok, uchylając się przed pierwszym ciosem topora, a sam zadał krótkie, zgrabne cięcie, które szaremu krasnoludowi ledwo udało się sparować.

- Tylko w ostateczności - odpowiedział wojownik. - Nie ma sensu wystawiać się na ostrzał z kusz.

Halisstra widziała, że choć broń duergara jest większa, humanoid musi wkładać w każdy cios o wiele więcej wysiłku od Rylda, który mógł z łatwością uskakiwać i zmieniać cel ataku. Ale już chwilę później kapłanka była zbyt zajęta odpieraniem ataków własnego przeciwnika, żeby obserwować fechtmistrza.

Krasnolud uderzył nisko, mierząc w kolana, więc opuściła tarczę, którą młot tylko drasnął, gdy wywinęła się w bok, żeby nie przyjąć na siebie całego impetu uderzenia. Krasnolud dla odmiany uderzył z wysoka i Halisstra musiała zablokować atak własną bronią, znów odbijając młot, zamiast spróbować przyjąć cios. Odwiodła buzdygan do tyłu i czekała, chcąc zmęczyć przeciwnika ciągłym wymachiwaniem.

W teorii był to dobry pomysł, ale kiedy zza rogu wypadło trzech następnych duergarów, Halisstra uświadomiła sobie, że zostali przyparci do muru. Tym razem, kiedy krasnolud zamachnął się, a ona odbiła cios tarczą, wymierzyła krasnoludowi kopniaka, trafiając go butem w bok kolana. Humanoid stęknął i zatoczył się kilka kroków do tyłu, ale na jego miejscu pojawił się już kolejny, gotowy podjąć walkę. Halisstra przysunęła się z powrotem do Rylda, aby oboje mogli się nawzajem osłaniać i nie zostali rozdzieleni.

Kątem oka drowka dostrzegła, że Ryld wciąż walczy z szarymi krasnoludami. Jeden z humanoidów leżał martwy u jego stóp, a drugi miał broczące krwią rozcięcie na udzie. Za nim pojawiło się dwóch następnych i ci mieli kusze, które unieśli, czekając na dogodny moment do oddania strzału.

Jeden z duergarów szturchnął towarzysza i wskazał kapłankę. Oboje obrócili kusze, żeby w nią wycelować, więc Halisstra schowała się za tarczą. Drowka poczuła, że jeden z bełtów uderzył w puklerz, ale drugi wbił jej się w ramię. Stęknęła z bólu i zatoczyła się do tyłu, nie będąc w stanie utrzymać tarczy na tyle wysoko, by dawała jej porządną osłonę.

Widząc, że się odsłania, kolejny szary krasnolud ruszył na Halisstrę łukiem z lewej, unosząc wysoko topór do następnego ciosu. Zrobiła, co mogła, żeby obrócić się do niego przodem, jednocześnie nie odsłaniając Rylda, i nawet udało jej się sparować uderzenie buzdyganem, ale jego miażdżący impet zmusił ją do przyklęknienia na jedno kolano.

- Ryld! Pomóż mi! - zawołała, a wojownik, jak gdyby wyczuwając, że ma kłopoty, stał już przed nią, odpierając ataki wszystkich czterech krasnoludów naraz.

Kapłanka zaryzykowała i zerknęła na szare krasnoludy, które przeładowywały kusze, wskazując ją i szczerząc zęby. A raczej wskazując coś nad jej głową, uświadomiła sobie.

Serce zamarło jej w piersi, gdy spojrzała w górę. Kolejne krasnoludy zdążyły już zająć okoliczne dachy, a kiedy ona i Ryld byli zajęci walką, rozciągnęły nad ulicą sieci. Znaleźli się w pułapce, nie mieli dokąd uciec. Duergarowie na dachach mieli również kusze. Jeden z nich strzelił do niej i Halisstra zdrygnęła się. Bełt prześliznął jej się po twarzy i drasnął w policzek. Poczowała na nim wilgoć.

- Ryld! - krzyknęła, wstając z trudem. - Są też nad nami! Jesteśmy w pułapce!

Wojownik nie przyjął do wiadomości okrzyku Halisstry, tak zajęty był odpieraniem ataków czterech duergarów. Wycofywał się stopniowo, krok za krokiem, żeby nie pozwolić, by szare krasnoludy go otoczyły. Całe jego ciało pokrywały krwawe rozcięcia.

Zgrzytając zębami, Halisstra poruszyła końcem belta wystającego jej z ramienia i niemal zemdląła z bólu. Lewa ręka była całkowicie bezużyteczna. Kapłanka wstała, ściskając buzdygan w dłoni i znów zbliżając się do wojownika. Starła się trzymać obok niego, aby osłaniać go i liczyć na to samo z jego strony.

Jeden z czterech szarych krasnoludów był martwy, ale Ryld oddychał ciężko. Jeden z pozostałych trzech napastników prześliznął się w bok, starając się dosięgnąć drowkę. Halisstra wymierzyła silny cios buzdyganem, czując satysfakcjonujący trzask metalu uderzającego o kość. Szary krasnolud zaryczał z wściekłości, upuszczając topór i odsuwając się poza zasięg Rylda.

Dwóch kolejnych zbliżyło się, żeby zająć miejsce rannego towarzysza, i Halisstra musiała podejść zbyt blisko do Rylda, żeby przed nimi uciec. Jej ruch utrudnił walkę fechtmistrzowi i w rezultacie męczyzna został trafiony w przedramię.

- Na Mroczną Matkę! - warknął Ryld, zawijając Rozpruwaczem i odcinając głowę krasnoludowi, który go zranił.

Ciało runęło na ziemię, a głowa odtoczyła się w bok, mijając następnego duergara, który przyglądał się jej z przerażeniem.

Kolejny bełt z kuszy stuknął w bruk obok Halisstry, a dwa następne odbiły się od jej zbroi. Ryld

targnął się, gdy jeden przeleciał tuż obok niego, ale strzał nawet na moment nie odwrócił jego uwagi od napastników, nie zakłócił jego płynnych ruchów i szybkich, precyzyjnych ciosów. On i Halisstra byli jednak stopniowo przypierani do muru i kapłanka wiedziała, że będą stanowić łatwą zdobycz dla snajperów na dachu.

Pierwszy dzban eksplodował zaraz za Halisstrą. Drowka podskoczyła i mało brakowało, a topór przeciwnika skróciłby ją o głowę. Halisstra odsunęła się od płomieni i odbiła buzdyganem kolejny cios napastnika, czując, jak wibracje spowodowane uderzeniem rozchodzą się po całym jej ramieniu. Dwa następne płonące pociski uderzyły w koniec uliczki, roztrzaskując się i rozlewając wszędzie ogień. Elfka odważyła się spojrzeć w górę i zobaczyła kolejny pędzący w jej stronę dzban. Jakimś cudem, pomimo dojmującego bólu w ramieniu, zdołała unieść obiema rękami tarczę i zmienić tor lotu dzban. Pocisk odbił się i uderzył w bruk pomiędzy nią i jej przeciwnikiem.

Walczące z nimi szare krasnoludy zaczęły się wycofywać i Halisstra zrozumiała, że krasnoludy na dachu tworzą barierę z ognia, żeby uwięzić ją i Rylda pomiędzy płomieniami a murem. Drowka wiedziała, że zamierzają ich zapędzić w kozi róg i wystrzelać na spokojnie. Nie mieli dokąd uciec. Czekala ich śmierć.

ROZDZIAŁ 16

Gromph, który po raz kolejny nie otrzymał odpowiedzi od czarodzieja, z wściekłości wyrzwał pięścią w blat kościanego biurka. Dwa komunikaty i nic. Co się stało z Pharaunem? Dlaczego nie odpowiadał? Arcymag Menzoberranzan wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Dwóch różnych szpiegów zdążyło się już z nim skontaktować, donosząc o ciężkich walkach w Ched Nasad. Wyglądało na to, że matki opiekunki posprzeczały się o coś i czy mu się to podobało, czy nie, wszystko wskazywało na to, że drużyna z Menzoberranzan znalazła się w centrum wydarzeń, ale Gromph nie był w stanie uzyskać potwierdzenia tego od samej drużyny. Arcymag zastanawiał się, czy nie spróbować po raz ostatni.

Uświadamiając sobie, że nie może zmusić czarodzieja do udzielenia odpowiedzi - może Pharaun odbierał magiczne szepty, ale po prostu nie był w stanie odpowiedzieć - Gromph postanowił nie marnować już więcej magii. Możliwe, że Pharaun nie chciał się zdradzić, ponieważ przebywał w towarzystwie osób, które nie wiedziały o nim wszystkiego.

Albo nie żyje, pomyślał Gromph.

Istniała taka możliwość, jak nieprawdopodobna by się nie wydawała. Pharaun Mizzrym miał talent do wyplątywania się z najgorszych tarapatów i arcymag miał trudności z wyobrazeniem sobie, że w towarzystwie Quenthel i pozostałych mógł paść ofiarą przemocy, która zalała ulice Miasta Połyskliwych Pajęczyn. Jednak nie można było tego wykluczyć.

Jeśli członkowie drużyny nie żyli, arcymag nie odczuwał z tego powodu żalu.

Gromph westchnął, sięgnął do jednej z szuflad biurka i wyjął z niej tubę na zwoje. Wyciągnąwszy z niej rulon pergaminów, odnalazł stronę, której szukał, a pozostałe schował. Rozłożywszy wybraną kartę na blacie, arcymag wziął głęboki oddech i jeszcze raz przeczytał czar. Miał już zaczynać inkantację, żeby jeszcze raz spróbować nawiązać kontakt z czarodziejem, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

To, że do tej pory komunikował się wyłącznie z Pharaunem, nie oznaczało, że musi tak już zostać. Dlaczego nie spróbować porozumieć się z innymi członkami drużyny? Możliwe, że Pharaun nie żył lub został obezwładniony, ale nie musiało to koniecznie oznaczać, że zginęli wszyscy. Na pierwszym miejscu wybrałby Quenthel, ale perspektywa rozmowy z wysoką kapłanką wcale mu się nie uśmiechała. Kogo wybrałby zaraz po niej? Rylda Argitha.

Kiwając głową, Gromph odczytał ze zwoju magiczne słowa, tkając zaklęcie mające pozwolić mu skontaktować się z wojownikiem. Dokończył inkantację i poczuł, że magia zaczyna działać.

- *Ryld, mówi Gromph Baenre. Brak wieści od Pharauna. Przekaż mi najświeższe wiadomości. Wyszepcz odpowiedź natychmiast.*

Gromph odchylił się na oparcie krzesła, czekając na odpowiedź. W jego sekretnej komnacie panowała martwa cisza. Gdyby Ryld Argith odpowiedział, arcymag musiałby go usłyszeć. Cisza przeciągała się i Gromph miał już z rozpaczy wyrzucić ramiona w powietrze, kiedy nadeszła wyczekiwana odpowiedź, która zmroziła mu krew w żyłach.

- *Rozdzieliłem się z Pharaunem i resztą, nie wiem, gdzie są. Wszędzie pełno duergarów. Całe miasto płonie. Zostaliśmy odcięci, nie ma jak...*

Gromph osunął się na krzesło i potrząsając głową z niezadowoleniem, westchnął głośno i przeciągle.

Triel pęknie ze złości, kiedy to usłyszysz, pomyślał. Jak długo mogę to przed nią ukrywać? Z drugiej strony, możliwe, że Quenthel nie żyje.

Arcymag wstał zza biurka, żeby odszukać siostrę, i przyłapał się na tym, że się uśmiecha.

* * *

Kiedy Pharaun wylądował przy schodach prowadzących do budynku, dostrzegł spory oddział obserwujących go duergarów. Bez chwili wahania zrobił kilka kroków do przodu, kucnął i plasnął dłonią w ziemię, przywołując sferę ciemności. Szybko wrócił po schodach na górę, dołączając do Jeggreda, Quenthel i pozostałych, którzy właśnie opadli w dół. Kilka beltów przemknęło ze świstem obok nich, ale mag zignorował pociski, gestem ponaglając pozostałych, by schronili się na ganku, gdzie wcześniej ukrył się z Danifae. Była to niewielka przestrzeń, zwłaszcza że towarzyszył im draegloth, ale wszyscy się zmieścili, a kiedy skulili się przy ziemi, byli przynajmniej częściowo osłonięci przed duergarami

czekającymi na ulicy w dole. Co ważniejsze, byli niewidoczni dla pająka.

Danifae osunęła się na kamienną posadzkę. Czarodziej widział, że rana w jej nodze nie przestaje krwawić. Branka otworzyła swój plecak i wyjęła kawałek materiału. Owinęła nogę prowizorycznym bandażem, przytrzymując go w miejscu, podczas gdy Pharaun go rozwijał. Quenthel przyglądała się temu beznamiętnie.

Pharaun spojrział na nią ukradkiem i zamigał tak, żeby Danifae niczego nie zauważyła.

- *Jeśli ją uzdrowisz, będziemy się poruszać znacznie szybciej.*

Quenthel wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

- *Nie jest niezbędnym członkiem wyprawy. Nie będę marnować na nią magii. Mogłoby nie starczyć dla ciebie.*

Pharaun wydał usta, zastanawiając się, jak mógłby przekonać Quenthel, że branka jest skarbem, bez którego nie dadzą sobie rady. Z powrotem skupił uwagę na Danifae.

- Możesz chodzić? - zapytał ją.

- Tak - odparła. - Dotrzymam wam kroku.

- Nie będziemy na ciebie czekać, jeśli okaże się, że jest inaczej - uprzedziła ją Quenthel - a ja nie pozwolę Jeggredowi cię nieść. Rozumiesz?

- Tak, pani - odparła Danifae.

Pharaun zauważył, że drowka zmrużyła lekko oczy. Kiedy Quenthel nie widziała, gestem nakazał jej zachować cierpliwość. Nie miał zamiaru jej opuścić, nawet jeśli doskonale wiedział, że dziewczyna wykorzystuje jego pragnienia, aby ocalić własną skórę.

W tej samej chwili ogromne, pojedyncze odnoże pająka opadło na kamienie pomiędzy niszą i osłoną magicznej ciemności, a zaraz za nim pokazała się część odwłoku. Był to jego spód, zauważył Pharaun i czarodziej wstrzymał oddech, czując drzenie, w jakie stwór wprawiał ulicę przy każdym kroku. Siedzące obok niego kobiety wytrzeszczyły oczy, a Jeggred przyglądał się nieufnie pajęczakowi, ale żadne z nich się nie poruszyło. Pająk oddalał się od ich kryjówki i Pharaun odetchnął z ulgą. Nie zauważył ich.

Zza ściany ochronnej czerni dobiegły ich krzyki duergarów - okrzyki przerażenia na widok pająka, który oddalał się szybko od budynku, gdzie schował się mag i jego towarzysze. Drzenie wywołane jego krokami z każdym krokiem robiło się coraz słabsze.

Świetnie, pomyślał Pharaun. Pogoń ich trochę.

- Czym, na Otchłań, jest pająk stróż? - zapytał na głos.

Danifae wzruszyła ramionami.

- Nie wiem o nich tyle, co Halisstra. Jeśli chcecie poznać szczegóły, musicie ją o to zapytać, ale mogę wam powiedzieć, że w przeszłości matki opiekunki wzywały je w różnych celach. Musiały wezwać dzisiaj jednego z nich, może po to, żeby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Quenthel westchnęła i pokręciła głową.

- Szaleństwo - rzekła cicho. - Matki opiekunki tego miasta wybrały najgłupszą możliwą porę, żeby ze sobą walczyć.

- Nie ograniczałbym zastosowania słowa głupi wyłącznie do matek opiekunek tego miasta - wymamrotał pod nosem Pharaun.

Quenthel spojrzała na niego, ale mag tylko się uśmiechnął, a ona z powrotem zainteresowała się tym, co się działo za sferą ciemności, najwyraźniej nie dosłyszawszy jego uwagi.

- Rozprosz ciemność! - rozkazała czarodziejowi wysoka kapłanka. - Chcę zobaczyć, co się tam dzieje.

A nie mówiłem, pomyślał Pharaun, kręcąc głową.

Wzdychając, mag wykonał gest i sfera czerni znikła, ukazując ulicę. Pająk znalazł się chwilowo poza zasięgiem ich wzroku. Na ulicy nic się nie ruszało, choć leżało na niej mnóstwo ciał należących zarówno do duergarów, jak i drowów.

- Wygląda na to, że sobie poszli - zauważyła Quenthel, wstając. - My też powinniśmy, zanim to coś wróci.

- Zaczekajmy jeszcze chwilę - zaproponował Pharaun, wciąż podenerwowany pojawieniem się gigantycznego stwora. - Żeby mieć pewność, że sobie poszedł.

Quenthel spiorunowała Pharauna wzrokiem, po czym odwróciła się do draeglotha i rozkazała:

- Idź sprawdzić.

Demon z uśmiechem wyskoczył z kryjówki, żeby rozejrzeć się w obie strony.

W tej samej chwili swoje schronienie postanowili opuścić duergarowie.

Zza rogu i z budynku po drugiej stronie ulicy wypadły dziesiątki krasnoludów, jak gdyby tylko czekały, aż drowy opuszczą swoją kryjówkę.

- Brać ich! - krzyknął jeden z szarych krasnoludów.

Duergarowie uformowali półkole, otaczając pozycję mrocznych elfów. Jeggred wskoczył do niszy w chwili, w której pierwsza salwa z kusz zasypała mury wokół gradem beltów.

Pharaun zaklął i przypadł do ziemi, korzystając z osłony, jaką dawało im wzniesienie ganka. Wycelował palcem w ulicę i wymówił tajemną frazę, która wyzwoliła jedno z jego zaklęć. Pod nim natychmiast uformował się tuman kłębiącego się dymu, przetykany rozgrzanymi do białości węglami, który zaczął oddalać się od budynku, lecąc w stronę ulicy. Duergarowie, którzy przeładowali kusze i znów mierzyli do grupki elfów, przyglądali się nieufnie ognistej mgielce sunącej w ich kierunku. Gdy mgiełka dotarła do tych z przodu i otoczyła ich, zaczęli wrzeszczeć i miotać się, przypalani przez węgle. Szare krasnoludy cofnęły się przed chmurą, która z miejsca spopieliła ich pobratymców. Dym był gęsty i czarny. W miarę jak oddalał się od budynku, przybierały na sile wrzaski duergarów, padających coraz liczniej ofiarą nieznośnego żaru.

Pharaun wysunął się ostrożnie na zewnątrz, żeby przyjrzeć się swoim dokonaniom. Jeggred, który nie obawiał się zbłąkanych pocisków, stanął obok niego, z przyjemnością przyglądając się obłokowi.

- Czy niektórzy z nich przeżyją? - zapytał demon.

- Nie, jeśli zatańczysz wśród nich - odparł mistrz Sorcere. - Ogień nie może wyrządzić ci krzywdy, prawda?

- Zgadza się - odpowiedział draegloth i wskoczył w gęstą od dymu mgłę.

Chmura zapalająca dotarła na drugą stronę ulicy. Na całej jej szerokości porzrucane były ciała duergarów, zwęglone i dymiące. Kilka z nich wciąż się paliło. Jeggred wyłonił się z kłębiącego się dymu, który Pharaun skierował w dół ulicy, w kierunku przeciwnym do tego, w którym sami chcieli iść. Miał przesuwać się w tamtą stronę jeszcze przez kilka minut, aby następna grupa nieprzyjaciół nie mogła ich zająć od tyłu. Draegloth ociekał krwią, ale miał bardzo zadowolony wyraz twarzy. W dłoni trzymał odgryzioną rękę i żując ją, wrócił truchtem do miejsca, gdzie siedziały skulone trzy drowy.

Pharaun udał, że nie odrzucają go zwyczajne kulinarne demona.

- Czy wszyscy są martwi? - zapytała Quenthel.

- Martwi albo uciekają - odparł draegloth. - Ulica jest pusta.

- A więc powinniśmy ruszać. Pająk może wrócić w każdej chwili, a my nie mamy czasu do stracenia. Gdzie twoim zdaniem poszli pozostali? - zapytała Pharauna wysoka kapłanka.

Czarodziej wskazał przecznicę, w której niedawno zniknął Ryld.

- Fechmistrz uciekł tam - powiedział. - Możliwe, że dołączył do niego ktoś z pozostałych, może nawet oboje.

Jednak zanim Pharaun zdołał przejść choćby kilka kroków, ulica zakołysała się i zatrzęsła.

- Cholera! - usłyszał krzyk Quenthel i zaryzykował rzut oka do tyłu.

Pająk zauważył ich i biegł ulicą w ich kierunku, z łatwością przestępując nad kłębiącym się obłokiem ognia, który Pharaun wysłał w tamtą stronę. Pajęczak zbliżał się do nich, ochoczo rozwierając i zwierając szczękoczułki.

Pharaun odwrócił się i rzucił do ucieczki.

* * *

- Powiadam ci, chcę, żeby to coś zostało zabite, i to natychmiast! - wrzasnęła Ssipriina Zuavirr. - Jeśli tego nie zrobisz, wszyscy znajdziemy się po uszy w kłopotach!

Drowka pochylała się nad Khorrlem Xornbane'em, stojąc na stopniach eleganckiego sklepu z odzieniem, położonego wewnątrz pozycji przebywających na placu szarych krasnoludów. Sklep znajdował się z dala od linii walk, ale Khorrl wyraźnie widział w oddali pająka wskazywanego przez matkę opiekunkę. Ogromny stwór wspinał się na budynek w pobliżu miejsca, gdzie klan Xornbane toczył zażartą walkę z drowami należącymi do wrogich oddziałów.

- A ja powiadam tobie, że nie wyślę moich chłopców przeciwko temu czemuś! - odwarknął Khorrl, wytrącony z równowagi przez wyniosłą elfkę. - Wynajęłaś mnie, żeby wywalczył ci miejsce w tej

twojej przeklętej radzie, pokonał twoje przeciwniczki, a nie naprawiał twoje błędy. Ty i twoje serdeczne przyjaciółki sprowadziłyście tu to coś, więc teraz ty i twoje serdeczne przyjaciółki powinnyście wymyślić, jak się tego pozbyć. To nie moja wina, że nie potraficie nad nim zapanować!

- Moje błędy? Porozmawiajmy o błędach, kapitanie. Porozmawiajmy o tobie i tej twojej najemnej hołocie, która za wcześnie wypadła na ulice, jednym głupim posunięciem rujnując cały mój misterny plan. Błędy, też coś! Nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji, gdybyś potrafił wykonać proste rozkazy.

Khorrl miał ochotę rozplatać bezczelną drowkę na dwoje. Gdyby nie przyszła w otoczeniu ochroniarzy, zrobiłby to, ale drowy miały przewagę liczebną i wiedział, że nawet jeśli zada jej śmiertelny cios, zaraz potem sam padnie trupem. Zamiast tego mocniej zacisnął dłoń na stylisku topora i wziął głęboki oddech, starając się zapanować nad dławiącą go wściekłością.

- Za wcześnie? - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Otrzymałem bezpośrednio rozkazy od twojego chłopaczka Zammzta. Jeśli nie otrzymał ich od ciebie, porozmawiaj z nim. Tak czy inaczej, przestań marnować mój czas! - zakończył rykiem. - Nie poświęcę życia moich chłopców, żeby zabić twojego pajaka. Właściwie nie mamy tu już nic do roboty.

- Forghel! - zawołał, szukając wzrokiem swojego adiutanta. - Forghel, daj znak do odwrotu. Wycofujemy się.

Khorrl wiedział, że wiele ryzykuje, odwracając się plecami do mrocznej elfki, ale chciał ją rozdrażnić, sprawdzić, czy wpadnie w złość.

- Kłamca! - wrzasnęła znów Ssipriina. - Nie obarczaj mojego domu winą za swoje głupie gafy. Nie opuścisz swojego... Nie odchodź! A niech cię Otchłań pochłonie! Zabić go! - wrzasnęła.

Uśmiechając się pod nosem, Khorrl gwizdnął przenikliwie i natychmiast otoczyły go uzbrojone w kusze i topory krasnoludy, które zrzuciły zakłęcie niewidzialności. Kapitan odwrócił się twarzą do zbliżających się drowów, przede wszystkim rozglądając się za Ssipriiną.

Ochroniarze mrocznej elfki rzucili się za nim w pogoń, ale zawahali się na chwilę, kiedy zmaterializowali się dodatkowi duergarowie. Było to wszystko, czego trzeba było klanowi Xornbane. Ludzie Khorrla natarli na drowy.

Ssipriina Zuavirr nie była oczywiście tak głupia, żeby pozostawać zbyt blisko walczących. Drowka rzuciła kapitanowi ostatnie złowrogie spojrzenie, odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach w przeciwnym kierunku.

Khorrl wyrwał kuszę jednemu ze stojących w pobliżu krasnoludów i wycelował, mierząc w oddalającą się matkę opiekunkę. Wystrzelił, ale belt odbił się z głośnym stuknięciem od kamiennej kolumny na rogu budynku, za którym zniknęła właśnie Ssipriina. Kapitan wiedział jednak, że drowka wróci, i że przyprowadzi ze sobą więcej swoich przeklętych żołnierzy.

- Sir, proszę spojrzeć - powiedział Forghel, dobiegając do Khorrla.

Kapitan odwrócił się, spojrział w kierunku wskazywanym przez adiutanta i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Ogromny pajak stojący na środku ulicy wspiał się na tylne odnóża, wymachując dziwnie przednimi. W powietrzu pojawiła się niebieskawa linia wysokości pajaka, która rozszerzyła się, tworząc pole błękitnego światła o nieregularnym kształcie. Z magicznego otworu wyskoczył drugi pajak, równie wielki jak pierwszy. Pajęczak wezwał sobie towarzyszkę.

* * *

Ryld zaczynał odczuwać zmęczenie. Nie wiedział, jak długo zdoła jeszcze bronić siebie i Halistry przed zgrają szarych krasnoludów, które powoli, nieubłaganie, napierały na nich ze wszystkich stron. Wiedział, że zaczyna mu brakować miejsca z tyłu. Wkrótce będzie miał za plecami mur i nie będzie już miał dokąd uciec.

Z góry zaczął lać się ogień. Gliniane dzbany eksplodowały wszędzie wokół i fehmistrz wiedział, że prędzej czy później jeden z nich go trafi.

Cóż, to dobry sposób, żeby odejść, pomyślał fehmistrz, uchylając się przed zbyt zamaszystym ciosem młota i tnąc duergara przez brzuch. Zepchnięty w ślepą uliczkę, schwytyany w pułapkę jak szczur i spalony żywcem. Sam chciał się opuścić Menzoberranzan i trochę się rozerwać, głupcze. Na nic więcej nie możesz liczyć.

Ku jego zaskoczeniu szare krasnoludy odsunęły się, zachowując czujność, a on pozwolił im na to. Oddychał ciężko i czuł, że płuca ma poparzone od gryzącego dymu otaczającego go ze wszystkich stron.

Jego ręce i tors pokrywało kilkanaście nieistotnych ranek, które paliły jak ukąszenia żmii.

Jeśli nie chcą walczyć, nie zamierzam się z nimi spierać, pomyślał z wdzięcznością.

Nie opuścił miecza, ale rzucił szybko okiem na otaczającego go dachy.

Tak jak mówiła Halisstra, nikkzemne krasnoludy rozciągnęły sieci nad ich głowami, uniemożliwiając im ucieczką tą drogą. Ryld był pewny, że dałby radę powystrzelać je z kuszy, ale pod warunkiem, że nie musiałby jednocześnie uchylać się przed ciosami tych na ziemi i pociskami zapalającymi. Wojownik zobaczył, że duergarowie nad jego głową znów zaczynają miotać straszliwymi pociskami, ale zamiast mierzyć w niego, rzucają je szerokim łukiem, tak że dzbany wybuchały pomiędzy nim a jego przeciwnikami.

Starają się nas odciąć, uświadomił sobie fehmistrz. Uwięzić i zabić, samemu niczym nie ryzykując.

Oceniał właśnie szerokość płomieni, starając się ustalić, czy da radę nad nimi przeskoczyć, nie parząc się przy tym za bardzo, kiedy zdał sobie sprawę, że Halisstra coś do niego mówi.

- Ryld - powiedziała kapłanka. - Ryld, potrafię nas stąd wyciągnąć.

Wojownik spojrzał na nią, ignorując drwiących i szydzących z nich duergarów, którzy nie spieszyli się z ich zabiciem, rozkoszując się chwilą.

- Jak? - zapytał.

- Mogę rzucić zaklęcie - odparła Halisstra. - Otworzę magiczne przejście, którym się stąd wydostaniemy, ale musisz dać mi trochę czasu!

- Aha, ulubiona sztuczka Pharauna - powiedział Ryld. Przyjrzał się niskiemu murkowi za ich plecami i wskazał nań. - Tam - polecił. - Będziemy lepiej osłonięci i zdecydujemy, co dalej robić.

Nie czekając na nią, Ryld uniósł się tuż nad mur, który przedtem sięgał mu nieco powyżej głowy. Szybko przeleciał nad nim i znów opadł w dół. Halisstra, z lewą ręką zwisającą bezwładnie wzdłuż ciała, znalazła się tam uderzenie serca później. Zwaliała się w kąt z jękiem bólu, a Ryld rozejrzał się za pogonią. Kiedy duergarowie spostrzegli, dokąd ucieka dwójka drowów, zaczęli wrzeszczeć z wściekłości. Ponownie zaczęli też ciskać z góry pociskami zapalającymi, starając się trafić w elfy, ale Ryld wciągnął Halistrę pod zadaszenie wiszące nad częścią zamkniętej przestrzeni. W murze za jego plecami znajdowały się drzwi, ale wyglądały na mocne. Spróbował je otworzyć, ale tak jak przypuszczał, były zamknięte. Kilka dzbanów wylądowało wewnątrz małego dziedzińca, ale wojownik i kapłanka znajdowali się na tyle daleko, by nie stanowiły dla nich żadnego zagrożenia.

- Nigdy im się nie skończą? - ze skargą w głosie spytała Halisstra, a Ryld zobaczył czyjąś ręką chwytającą szczyt muru.

Wyciągnąwszy kuszę, wojownik zczekał, aż pojawi się głowa, i nacisnął spust, trafiając szarego krasnoluda prosto w twarz. Humanoid zaskrzeczał i runął do tyłu.

- Może kiedyś - odparł, przeładowując kuszę - ale nie czekajmy, żeby przekonać się, jak długo to potrwa.

- Dokąd chcemy się przenieść? Chcemy znów odnaleźć pozostałych, prawda?

- Tak. Musimy dostać się...

Ryld urwał, gdyż po drugiej stronie muru rozległo się kilka okrzyków. Dopiero wtedy dotarło do niego, że dzbany spadają na drugą stronę muru, a nie na tą, po której się ukryli.

- Co do...? - zapytał i podbiegł do krawędzi nawisu.

Wyjrzał ostrożnie, spoglądając na dachy. Wyglądało na to, że duergarowie, którzy na nich stali, zniknęli. A potem dostrzegł postać drowa, który wzniósł się w górę na tyle, żeby zdążyć cisnąć kolejnym dzbanem, po czym znów zniknął mu z oczu. Ryld zaczął się śmiać.

- Co tam się dzieje? - zapytała Halisstra, przysuwając się do mistrza Melee-Magthere. - Co tam widzisz?

- To Valas - odparł Ryld, wskazując zwiadowcę. - Zajął się naszymi snajperami.

Ryld przyłożył palce do ust i gwizdnął przenikliwie. Po chwili z góry dobiegł ich podobny gwizd.

- Wie, że wiemy, że jest w górze - powiedział Ryld. - Zachowajmy twój czar na później i dołączmy do niego.

Halisstra kiwnęła głową.

- Ale najpierw - powiedział fehmistrz, kucając przy kapłance - pozwól mi obejrzeć twoją rękę.

Przez chwilę przyglądał się beltowi. Był wbity tak głęboko w ramię, że musiałby go wyciągnąć z drugiej strony.

- Będzie trzeba z tym poczekać, aż Quenthel będzie mogła cię uleczyć. Jednak...
Zanim zdążyła zaprotestować, Ryld odłamał wystający fragment drzewca.
- Bogini! - stęknęła Halisstra, szarpiąc się z bólu i mrużąc oczy.
Sięgnęła drugą ręką do ramienia, ale Ryld chwycił ją za obie ręce.
- Nie rób tego - nakazał wojownik. - Jeszcze bardziej ją rozkrwawisz.
Krzywiąc się, Halisstra potrząsnęła głową.
- Nie - powiedziała. - Potrafię to uleczyć. Pozwól mi tylko...
Uwolniła rękę i sięgnęła do kieszeni piwafwi, z której wyjęła różdżkę.
- Wyciągnij go - poleciła, podnosząc ułamane drzewce i zagryzając je zębami.
Ryld usłuchał - przytrzymując ramię jedną ręką, przygotował się do wyciągnięcia grotu drugą.
Jednym szybkim ruchem wyszarpnął bełt. Zanim zdołała mu się wyrwać, całkowicie go usunął.
Halisstra załkała, a potem wypluła ułamane drzewce, machnęła różdżką i wymówiło frazę-wyzwalacz. Krwawienie ustało natychmiast, rana zasklepiła się. Kapłanka osunęła się do tyłu i zamknęła z ulgą oczy.
- Chodźmy - powiedział Ryld, wyciągając do niej rękę. - Zanim ogień się wypali i ci szarzy sforsują mur.
- Zaczekaj - powiedziała Halisstra i wyjęła z fałd piwafwi drugą różdżkę. - Utrudnijmy im trochę strzelanie do nas.
Ryld uniósł brew, zaintrygowany. Elfka przyzwała dwukrotnie moc różdżki i oboje stali się całkowicie niewidzialni.
Ryld wyciągnął rękę i odszukał kapłankę. Wziął ją za rękę.
- Żebyśmy się nie rozdzielili - wyjaśnił.
Oba drowy uniosły się w powietrze, obserwując, jak duergarowie uskakują przed dzbanami ciskanymi z zabójczą precyzją przez Valasa, albo bezskutecznie ostrzeliwują zwiadowcę z kusz. Zbliżając się do poziomu dachów, Ryld dobył Rozpruwacza i z łatwością rozciął sieci swoim zaklętym mieczem. On i Halisstra przelecieli przez otwór i wylądowali na dachu obok Valasa, który klęczał, spoglądając w dół.
- Uratowałeś nam życie - powiedział Ryld do zwiadowcy, odsuwając się od krawędzi dachu, aby ukryć się przed zbłąkanymi bełtami.
Na dachu leżały ciała przynajmniej sześciu szarych krasnoludów.
Valas zerknął w stronę, z której dobiegł głos wojownika, ale była to jego jedyna reakcja.
- Widziałem, że zmierzacie w tym kierunku, i postanowiłem was dogonić okrężną drogą - powiedział, wstając, żeby rzucić ostatnim z dzbanów. - Kiedy zobaczyłem tu tych kretynów, śmiejących się i miotających pociskami zapalającymi, zrozumiałem, że macie kłopoty.
- Wyośmy się stąd - powiedział Ryld. - Wiesz, gdzie są pozostali?
- Wydaje mi się, że dostali się na dachy po drugiej stronie placu - odparł zwiadowca, otrzepując dłonie i odsuwając się od krawędzi. - Znajdziemy ich. Jeśli wpadną na jakichś wrogów, czarodziej będzie się popisować, więc z łatwością ich odnajdziemy.
Ryld ruszył za zwiadowcą.
- Święta racja.
Trójka mrocznych elfów szła po dachach, dopóki nie dotarła do kolejnej przecznicy wysuniętej nieco do przodu względem miejsca, w którym się rozdzielili. Valas zszedł po ścianie krzykliwie ozdobionego sklepu, która obfitowała w załomy stanowiące dobre oparcie dla rąk i nóg, zaś Ryld i Halisstra jak zwykle opuścili się w dół, lewitując. Kiedy znaleźli się na ziemi, czar powodujący niewidzialność przestał działać.
- Prowadź - zwrócił się do Valasa Ryld i zwiadowca ruszył przodem. Skradając się ulicą, szli w stronę głównej alei.
Ziemia zaczęła wibrować.
- Co znowu? - wymamrotał Ryld, starając się zachować równowagę, gdy ulica podskoczyła mu pod nogami.
- Nie wiem, ale to coś dużego - odparł Valas. Spojrzał na Halisstrę. - Masz jakiś pomysł? - zapytał.
Halisstra potrząsnęła głową, ale miała zmartwioną minę.
- Lepiej się o tym nie przekonujmy - rzekła.
Valas kiwnął głową i doszedł do głównej alei. Wyjrzał zza rogu, spoglądając w obie strony, ale

musiał przytrzymać się ręką, bo drzenie przybrało na sile.

- Och nie - powiedziała Halisstra zbolalym głosem.

Ryld spojrział na nią i zapytał:

- Co? Co takiego?

- Och, na Mroczną Matkę - wyszeptala kapłanka, z przerażeniem unosząc dłoń do ust. - Wezwały jednego z nich.

- Co wezwały? - chciał wiedzieć Ryld.

- To - powiedział Valas, a kiedy Ryld odwrócił się, zobaczył, że zwiadowca coś wskazuje.

Fechmistrz spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył pająka wielkości placu. Wciągnął powietrze w płuca, czując, że miękną mu kolana.

- O nie.

* * *

Pharaun wiedział, że w swoich magicznych butach może z łatwością przegonić pozostałe drowy i właśnie to zrobił. Uciekając przed ścigającym ich pająkiem, czarodziej wysforował się naprzód, starając się nie stracić równowagi na trzęsącej się pajęczej ulicy. Zostało mu już tylko kilka czarów, a wśród nich niewiele takich, które mogłyby jakoś wpłynąć na ogromnego pajęczaka.

O wiele lepszym wyjściem, zdecydował, będzie zmylenie stwora, może wyczarowanie zaciemniającej mgły, która pozwoliłaby jemu oraz pozostałym ukryć się i umknąć zdezorientowanemu stworowi - nie śmiał się jednak zatrzymać, żeby utkać czar.

- Pharaun! - krzyknął do niego ktoś i czarodziej podniósł głowę w samą porę, żeby zobaczyć Rylda, Valasa i Halisstrę, którzy stali w wylocie przecznicy, gapiąc się z otwartymi ustami na ogromnego pająka za jego plecami.

Czarodziej skręcił w bok i umknął w cień uliczki. Dopiero wtedy zatrzymał się, żeby złapać oddech.

- Nigdy... nie widziałem czegoś... takiego - wydyszał mag. - Danifae nazwała go... pająkiem stróżem.

- Tak - potwierdziła cicho Halisstra, wciąż wpatrując się w monstrum. - Matki opiekunki musiały wezwać - na Mroczną Matkę!... Wzywa następnego!

Pharaun odwrócił się, żeby zobaczyć, o czym mówi Halisstra, i zobaczył Jeggreda i Quenthel, którzy pojawili się w zasięgu wzroku, mknąc co sił w nogach. Za nimi, utykając, biegła Danifae. Pająk zaprzestał pogoni i wspiął się na tylne odnóża, dziko wymachując w powietrzu przednimi. Czarodziej wydał z siebie zduszony okrzyk, gdy przed pająkiem otwarła się ogromna brama, wielka jak sam stwór. Osłupiały mag patrzył, jak z mglistego mroku białobłękitnego portalu wyłazi na ulicę kolejny olbrzymi pająk. Portal zamknął się zaraz za nim.

- O nie - wymamrotała Quenthel. - Ile razy mogą coś takiego zrobić?

- Nie wiem - odparła Halisstra, która stała gdzieś za czarodziejem.

- Jeden to i tak za dużo - stwierdził Pharaun. - Musimy się stąd wydostać.

Odwrócił się od ogromnych pajęczaków, gotowy puścić się biegiem w przeciwnym kierunku.

- Zaczekaj! - zawołała Halisstra, wskazując palcem.

Mag zerknął jeszcze raz do tyłu.

Danifae wciąż bardzo kulała i nie była w stanie dotrzeć im kroku. Kiedy nowy pająk przeszedł przez portal, znalazł się po drugiej stronie branki. Kobieta została uwięziona pomiędzy dwoma stworami, a na dodatek właśnie rozciągnęła się na ziemi.

- Jest ranna! - krzyknęła Halisstra.

Drowka z wahaniem zrobiła krok do przodu, aby ruszyć z pomocą służącej.

- Nie bądź głupia - powiedział Ryld, łapiąc kapłankę za rękę. Dołączyli do nich Jeggred i Quenthel.

- Tylko sama zginiesz.

Halisstra wyrwała mu się i zrobiła kolejny krok.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła. - Zamierzam jej pomóc. - To powiedziawszy, pierwsza córka domu Melarn pomknęła ku swojej służącej, która starała się podnieść z ziemi.

Oba pająki wyczuły ruch i zaczęły się zbliżać.

ROZDZIAŁ 17

Pharaun zaklął i zrobił krok za Halisstrą, myśląc, że może będzie musiał osłonić obie elfki w magiczny sposób, aby je ocalić.

- Nie! - rozkazała Quenthel. - Danifae miała pecha i została ranna. Nie zamierzam marnować magii ani czarów na ratowanie jej. Chodźmy, póki pająki są zajęte.

- Ale... - zaczął Pharaun, ale kiedy zobaczył wzrok wysokiej kapłanki, potrząsnął głową i wycofał się w głąb uliczki. Żałował, że je stracił - a przynajmniej piękną Danifae. - Doskonale - powiedział.

- Ja ich nie zostawię - oznajmił Ryld, po czym odwrócił się i puścił biegiem w ślad za Halisstrą.

- Nie! - krzyknęła Quenthel za mistrzem Melee-Magthere, ale było już za późno. Ryld zdążył się oddalić o dziesięć kroków i dobywszy Rozpruwacza z pochwy na plecach, natarł na bliższego z dwóch pajaków. - Bądźcie przeklęci! - szalała Quenthel.

Wzruszając ramionami, Pharaun odwrócił się i pobiegł za fehmistrzem.

- Za nimi! - warknęła Quenthel zza jego pleców.

Pharaun zakładał, że kapłanka mówi do niego, ale nie potrafił pojąć, po co rozkazywała mu zrobić coś, co i tak postanowił zrobić. Jednak zaraz potem wyprzedził go draegloth, pędząc ulicą w tym samym kierunku.

Mag zatrzymał się kilka jardów od bliższego pająka, patrząc, jak Halisstra dopada swojej służącej i klęka. Po drodze udało jej się jakoś wyjąć z fałd płaszcza różdżkę i teraz szybko jej użyła, czyniąc je obie niewidzialnymi. Pająk pochylający się nad miejscem, w którym jeszcze przed chwilą było je widać, kląpnął szczękoczułkami, zatraskując je z wyraźną frustracją. Bestia zaczęła poruszać łbem w przód i w tył, usiłując odnaleźć swoje ofiary. Widoczny w oddali drugi pająk zajął się czymś innym. Na szczęście nie zbliżał się w ich stronę przynajmniej na razie.

Oczywiście Pharaun nadal widział obie kobiety, świadomy magii, którą emanowały. Wydawało mu się, że Halisstra usiłuje odciągnąć Danifae na bok, w bezpieczne miejsce, ale pająk w jakiś sposób wyczuł, gdzie się znajdują, opuścił głowę i musnął Halisstrę, obalając ją na ziemię. Wyczuwając ofiarę, stwór zadygotał z rozkoszy i uniósł głowę, przymierzając się do kolejnego ataku.

Ryld prawie dopadł zwierzę, szybko pokonując dzielący ich dystans. Wojownik wyskoczył w powietrze, unosząc Rozpruwacza wysoko nad głowę i przelatując obok tylnego odnóża gigantycznego pająka, zawinął z całej siły wielkim mieczem, rozcinając je na wskroś. Czarna krew rozbryznięła się dookoła, pająk stanął dęba, kopiając zranioną nogą i niemal trafiając nią fehmistrza.

Prawie w tej samej chwili wyskoczył w powietrze Jeggred, złapał się innego odnóża i zaczął się po nim wspinać w górę. Pharaun widział, że draegloth wysunął pazury, dzięki czemu wspinaczka po kończynie stworza szła mu bardzo szybko. Chłoszcząc pająka szponami, Jeggred nieustraszenie wdrapywał się coraz wyżej i wyżej po jego czarnym, śliskim odwłoku.

Efekt tych dwóch ataków był natychmiastowy. Pająk targnął się i odwrócił od niedoszłego posiłku, chcąc ugryźć swego dręczyciela. Zranione odnóże drgało spazmatycznie, ale pajęczak nie stracił nic ze swojej stabilności. Po zadaniu ciosu Ryld przetoczył się i kucnął z Rozpruwaczem w dłoni, gotowy odeprzeć atak odwracającego się w jego stronę pająka.

Pharaun potrząsnął głową, zastanawiając się, jak pomóc towarzyszom. Właściwie nie miał wyboru. Większość zaklęć zdążył już wykorzystać, a te, które mu pozostały, nie były przydatne w walce. Wsunął rękę w piwafwi i wyjął różdżkę, pojedynczy pręt z żelaza długości przedramienia. Wyciągnąwszy ją, wymówił frazę-wyzwalacz i aktywował ukrytą w różdżce magię. Z końca magicznego narzędzia natychmiast wystrzeliła skwiercząca błyskawica i zakreślając w powietrzu łuk, uderzyła z trzaskiem w głowę pająka. Pod wpływem wyładowania elektrycznego pająk cofnął się, skrzecząc i dygocząc. Kiedy resztki zaklęcia uległy rozproszeniu, Pharaun dostrzegł, że błoniasta skóra i wielofasetowe oczy stworza tłą się słabym ogniem.

Pharaun drgnął, słysząc brzęk cięciwy. Kiedy spojrział w prawo, zobaczył klęczącego Valasa, który strzelał z krótkiego łuku. Czarodziej wiedział, że drobny zwiadowca nosił go przy sobie przez cały czas, ale aż do tej chwili nie miał widocznie powodów, żeby go użyć. Bregan D'aerthe wymierzył i wypuścił cztery strzały w czasie, jaki Pharaunowi zajęła ocena sytuacji, nie chybiając ani razu. Strzały wbiły się w najbliższe oko pająka, jedna za drugą, nakłuwając gałkę oczną niczym ogromną poduszczykę na szpilki. Pająk zaczął się miotać.

Ryld był już na nogach i biegł za pająkiem, szukając okazji do zadania kolejnego ciosu. Jednak

tym razem wojownik miał mniej szczęścia. Jedno z odnóży oszalałego z bólu, targającego się spazmatycznie stwora podcięło wojownikowi nogi. Ryld przekoziółkował i wylądował ciężko, gubiąc wielki miecz.

Ogromny pajęczak biegł prosto na Pharauna i Valasa, czarodziej widział na jego grzbiecie Jeggreda, który siedział mu okrakiem na grubej szyi, chłoscząc go po głowie pazurami i rozbryzgując wszędzie dookoła kawałki ciała i krople czarnej posoki.

Pająk stawał dęba i szarpał się, usiłując strząsnąć z siebie napastnika, ale draegloth trzymał się go kurczowo, wbijając mu szpony głęboko w ciało, żeby nie spaść.

Czarodziej mimowolnie zrobił krok do tyłu. Mknący w jego stronę pająk szybko skracał dystans, pod jego szybkimi krokami ulica wyginała się i kołysała. Mag uniósł różdżkę i wystrzelił następną błyskawicę, która z trzaskiem trafiła pająka w głowę. Nie obawiał się o Jeggreda, wiedząc, że draegloth jest odporny na jej niszczącą moc.

Wylądowanie elektryczne musiało zranić ogromną bestię - Pharaun widział wyraźnie oparzenia na jej lśniącej czarnej skórze - ale nie powstrzymało jej nawet na chwilę. Toczyła się jak pijana w stronę maga i zwiadowcy, choć Valas naszpikował ją kilkunastoma strzałami.

Bogini! - pomyślał Pharaun, robiąc kolejny krok do tyłu.

Czarodziej miał ochotę odwrócić się i wziąć nogi za pas, ale nie był w stanie oderwać wzroku od szarżującego stwora. Valas też się wycofywał, wciąż szyjąc z łuku, ale obaj znajdowali się w zasięgu wzroku pająka, który widocznie uznał ich za przyczynę swoich nieszczęść.

W chwili, w której pająk dopadł dwójki drowów i kłapnął szczękoczułkami, pojawił się Ryld, który zatoczył Rozpruwaczem szeroki łuk i ciął stwora przez głowę. Dzięki piorunowi fechmistrz miał najwidoczniej dość czasu, żeby odzyskać swój wielki miecz.

Pajączak targnął się w tył, brocząc z rany świeżą krwią, ale nie dał się tak łatwo zniechęcić. Kłapnął szczękoczułkami raz i drugi, usiłując schwytać Rylda, który odbijał ataki wielkim mieczem, starając się utrzymać drgające kleszcze z dala od siebie.

Pharaun znów odsunął się do tyłu, zadowolony, że szeroki w barach fechmistrz wziął na siebie ciężar walki. Uniósł różdżkę, aby wystrzelić trzecią błyskawicę - miał nadzieję, że powali nią bestię - ale zanim zdążył ją aktywować, pająk kłapnął szczękami po raz trzeci i tym razem Ryld nie miał już tyle szczęścia co poprzednio.

Szczękoczułki pająka zamknęły się ciasno wokół mistrza Melee-Magthere, a ten stęknął z bólu i mało brakowało, a wypuściłby Rozpruwacza. Stwór uniósł go w górę, usiłując wycisnąć z niego życie. Ryld wygiął plecy z bólu i zaczął rozpaczliwie rąbać mieczem, starając się uszkodzić kleszcze.

Pharaun zawahał się w obawie, że piorun zaszkodzi Ryldowi. Valas również sprawiał wrażenie zbitego z tropu - mierzył z napiętego łuku, obawiając się wypuścić strzałę. Tylko Jeggred wciąż drapał pająka pazurami. Jego ramiona były całkowicie pokryte lepka, czarną cieczą.

Czemu to przeklęte bydlę nie chce zdechnąć? - pomyślał z odrazą Pharaun.

Czarodzieja kusilo, żeby porazić stwora piorunem, nie zważając na obecność towarzyszy, ale zaraz przypomniał sobie o drugiej różdżce. Reagując błyskawicznie, wyłowił ją z piwafwi w chwili, w której pająk zatoczył się na niego i Valasa. Zwiadowca rzucił się na ziemię, przekoziółkował i wylądował kilka jardów dalej, zaś Pharaun uskoczył mu z drogi w ostatniej chwili, w czym pomogły mu magiczne buty.

Łądując z boku, czarodziej strzepnął różdżką, wymówił frazę-wyzwalacz, i z jej koniuszka wyleciało pięć żarzących się pocisków. Wszystkie bezbłędnie ominęły Rylda i jeden za drugim trafiły stwora w oczy. Olbrzymi pająk targnął się do tyłu i otworzył szczękoczułki, żeby zaskrzeczeć z bólu, upuszczając przy tym Rylda.

Fechmistrz runął bezwładnie w dół, ale zachował na tyle przytomności umysłu, żeby spowolnić własny upadek i kilka ostatnich stóp opadł, lewitując. Pająk stanął dęba. Głowa, którą Jeggred wciąż szarpał pazurami, broczyła mu krwią.

Długo już nie pociągnie, pomyślał czarodziej.

- Wykończ go - poleciła Quenthel, wskazując coś za plecami pająka. - Zabij go i skończmy z tym.

Pharaun zobaczył, że w ich stronę zmierza kolejny pajęczak, więc szybko wystrzelił z różdżki kolejną salwę magicznych pocisków. Gdy trafiły w cel, pająk wreszcie zwałił się na środek ulicy - mało brakowało, a wylądowałby na leżącym wciąż twarzą do ziemi fechmistrzu. Stwór nie ruszał się, choć jego odnóży i szczękoczułki drgały spazmatycznie.

- Cofnąć się! - zażądała Quenthel. - Zbliża się następny.
Pharaun podbiegł, żeby pomóc Valasowi postawić Rylda na nogi, po czym cała trójka pomknęła ile sił w nogach z powrotem ku bocznej uliczce. Jeggred zeskoczył z grzbietu martwego pajęczaka i dołączył do nich. Wszyscy jednocześnie dotarli do przecznicy, a Pharaun odwrócił się, żeby sprawdzić, co się stało z parą elfek z domu Melarn. Na ulicy dostrzegł magiczne emanacje Halisstry i Danifae. Szły w jego kierunku tak szybko, jak była w stanie iść utykająca drowka.
- Już prawie tu są - powiedział Pharaun, wskazując miejsce, w którym, o czym wiedział, tylko on był w stanie dostrzec dwie elfki. - Nie ruszajcie się - ostrzegł mistrz Sorcere. - Może wyczuć vibracje.
Obie grupy czekały z niepokojem. Halisstra i Danifae zatrzymały się i przyłgnęły do ściany najbliższego budynku, kiedy pajak znalazł się bliżej, a Pharaun z powrotem wsunął się w cień.
Kiedy bestia mijała ich, Pharaun przygotowywał się do rzucenia czaru, nad którym zastanawiał się wcześniej - zaklęcia, które w razie potrzeby sprowadziłyby gęstą mgłę, ale okazało się to zbędne. W miarę jak olbrzymi pajęczak oddalał się, drgania ustawały. Pharaun znów wyjrzał zza węgła i zobaczył, że dwie kobiety są już bardzo blisko.
- Śmiałeś mi się otwarcie sprzeciwić? - warknęła Quenthel, policzkując wciąż ogłupiałego Rylda.
Jeggred wyprostował się na swoją pełną wysokość i stanął obok wysokiej kapłanki, wspierając ją podczas wymierzania kary.
Ryld zatoczył się do tyłu i z kącika ust pociekła mu strużka krwi, ale nie ugiął się pod wzrokiem wysokiej kapłanki.
- Wcale nie są tak bezużyteczne, jak myślisz - powiedział słabym głosem, ale unosząc hardo podbródek. - Daj im szansę sprawdzenia się, zanim je zostawisz. Następnym razem to ty możesz potrzebować jej pomocy.
Jeggred warknął i zrobił krok do przodu, ale Quenthel uniosła dłoń, dając mu znak, żeby się nie ruszał. Draegloth zmierzył Rylda groźnym spojrzeniem, ale posłuchał swojej pani.
- Dni poddawania w wątpliwość mojego autorytetu wkrótce się skończą - powiedziała Quenthel, obracając się tak, żeby stanąć twarzą do Rylda i Pharauna. - Kiedy wydostaniemy się z tego miasta, nastąpią pewne zmiany. Jestem już tym znużona.
Naśladowując podły humor swojej pani, węże przy bacie zaczęły się wić, sycząc z rozdrażnieniem.
- Twierdzą tylko, że pozbywasz się ich zbyt szybko - upierał się Ryld. - Są bardziej wartościowe, niż uważasz.
- Ma rację - potwierdził Pharaun. - Halisstra już udowodniła swoją pomysłowość. Nie odtrącaj ich tylko dlatego, że nie są z Menzoberranzan.
Quenthel obdarzyła obydwu chmurnym spojrzeniem, po czym przez dobrą chwilę wpatrywała się w Pharauna. Halisstra i Danifae, wciąż niewidzialne, wreszcie do nich dotarły.
- Przepraszam - powiedziała Halisstra zaraz po dołączeniu do reszty - ale nie mogłam jej opuścić. Wciąż przedstawia dla mnie pewną wartość..
Quenthel prychnęła, ale machnęła ręką, jak gdyby bagatelizowała całe to zajście.
- Znasz warunki, na jakich podstawie pozwalamy ci z nami zostać. Dotrzymasz nam kroku albo zostaniesz z tyłu. Nie będziesz opóźniać tempa.
Po prostu nie chce się zdradzić z tym, jak bardzo ją lekceważymy, uświadomił sobie Pharaun. Udaje, że była na tyle łaskawa, żeby na nie poczekać. Czarodziej uśmiechnął się pod nosem.
Halisstra opuściła Danifae na ziemię i wyjęła różdżkę. Machnęła nią nad nogą branki i wymamrotała frazę, której czarodziej nie usłyszał wyraźnie, ale zaraz zauważył, że rana zasklepiła się. Mroczna elfka podeszła do Rylda, aby ulżyć mu w podobny sposób, ale wtrąciła się Quenthel.
- Skąd to masz? - zapytała kapłanka.
Halisstra drgnęła, zaskoczona tak jadowitą reakcją.
- Należy do mnie - zaczęła wyjaśniać. - Zabrałam ją...
- Już nie. Oddaj mi ją - uparła się Quenthel.
Halisstra wpatrywała się w wysoką kapłankę, ale nie kwapiła się oddać magicznej błyskotki.
- Jeśli nie chcesz, żeby Jeggred z miejsca rozerwał cię na sztuki, oddaj mi tę różdżkę.
Powoli, z oczyma palającymi wściekłością, Halisstra podała różdżkę Quenthel.
Mistrzynie Arach-Tinilith przyjrzała się jej uważnie, kiwając głową z zadowoleniem. Odwróciła się i sama uleczyła przy jej pomocy Rylda. Gdy objawiona moc różdżki spłynęła na wojownika, jego najgorsze rany zasklepiły się, choć kilka mniejszych zadrapań i siniaków pozostało. Kiedy Quenthel była

już zadowolona z jego stanu, schowała różdżkę do własnego tobołka.

- A teraz - powiedziała Quenthel, znów zajmując się Halisstrą - koniec z tym marnotrawieniem magii uzdrawiającej. To ja będę decydować o tym kiedy, i czy rzeczywiście, członek drużyny otrzyma jakąś pomoc, jasne?

Halisstra kiwnęła głową.

- Czy ukrywasz jeszcze jakieś inne magiczne przedmioty, o których powinnam wiedzieć? Wierz mi, jeśli tak, to dowiem się o tym.

Córka Drisnil westchnęła i kiwnęła głową. Wyjęła jeszcze jedną różdżkę i oddała ją Quenthel.

- Nie możesz jej używać - wymamrotała Halisstra. - Służy do rzucania zaklęć wtajemniczeń. Ja... zajmuję się również tym rodzajem magii.

- Rozumiem. Jeśli okaże się to konieczne, możesz ją odzyskać, pod warunkiem, że udowodnisz swoją wartość. Do tego czasu zatrzymam je obie.

Wysoka kapłanka odwróciła się i odeszła kilka kroków, całkowicie ignorując drowkę, która wbiła jej w plecy mordercze spojrzenie.

- Halisstro - odezwał się Pharaun, próbując zmienić temat i jednocześnie chcąc udowodnić Quenthel, że kapłanka może być użyteczna - ty i Danifae wydawałyście się wiedzieć, skąd wzięły się te olbrzymie pająki. Co możesz nam powiedzieć?

- To pająki stróże - odparła mroczna elfka wścikłym głosem - wzywane tylko w wielkiej potrzebie. Te dwa były takie małe... matki opiekunki, które je wezwały, musiały przechowywać jakiś mniejszy okaz.

- Chcesz powiedzieć, że bywają większe? - zapytał z niedowierzaniem Valas.

- Oczywiście - odparła Halisstra, zainteresowana tematem. - A skąd waszym zdaniem wzięły się pajęczce ulice? Po przybyciu do jaskini pierwsze wysokie kapłanki wraz ze swoimi odpowiednikami w kaście czarodziejów, wezwały pająki ogromnych rozmiarów, aby uprzedły sieci, na których spocznie miasto. Te święte stworzenia przybyły do nas z błogosławieństwa Lolth i były magicznie przechowywane pod postacią kryształowych figurek. Od czasu do czasu znów się je wzywa, aby naprawić część miasta albo bronić pieczary. Jednak zazwyczaj są one kontrolowane poprzez mentalną więź. Mają wykonywać nasze rozkazy i przywoływać swoich pobratymców tylko wtedy, kiedy tego zażądamy. Nie wiem, na czym to dokładnie polega. To tajemnica zarezerwowana wyłącznie dla matek opiekunek.

- Błogosławiona Mroczna Matko - rzekł Ryld. - Myślisz, że ten drugi wezwie ich więcej?

- Nie wiem - odparła kapłanka. - Mam nadzieję, że nie.

- Spójrzcie - powiedział Pharaun, spoglądając przed siebie, gdzie wciąż widać było pająka sunącego pajęczą ulicą.

Siły szarych krasnoludów szły ulicą nad pajakiem, wyglądając na niego znad krawędzi. Kilka z nich zaczęło ciskać w stwora przekłętymi dzbanami. Kiedy niewielkie pociski zapalające uderzyły w pajęczaka, wybuchły, a kolosalny pająk, który zajął się ogniem, stanął na tylnych odnóżach, starając się wyeliminować źródło bólu.

W dół spadły kolejne dzbany, kilka z nich trafiło pająka w głowę i tułów. Unosząc się na tylnych odnóżach, pająk spróbował dosięgnąć duergarów, ale byli zbyt wysoko. Pająk okręcił się w miejscu, odwracając się tyłem do napastników, i wystrzelił w ich stronę grubym strumieniem cieczy.

- Nić - zauważył na głos Pharaun, na którym zrobiło to spore wrażenie.

Strumień nici poszybował celnie, przyłączając się do spodu pajęczej ulicy i twardej. Pająk odwrócił się i zaczął biec po paśmie lepkiego włókna, ścigając szare krasnoludy, które rozpaczliwie usiłowały zejść mu z drogi.

- Głupcy - stwierdził Ryld. - Tylko zwrócili na siebie uwagę. Na nasze szczęście.

- Wystarczy - ucięła Quenthel. - Musimy w końcu zabrać nasze rzeczy z zajazdu i opuścić to nieszczęsne miasto.

Pharaun odwrócił się, żeby spojrzeć na wysoką kapłankę, doskonale zdając sobie sprawę, że na jego twarzy maluje się osłupienie.

- Nie mówisz chyba poważnie! Rozejrzyj się wokół siebie - powiedział, wskazując inne części miasta, gdzie odległe błyski coraz liczniejszych pożarów widać było przez coraz gęstszy dym. - Całe miasto aż wrze. Użyj uszu - ciągnął, gestykułując w różnych kierunkach, gdzie wrzaski walczących i zabijanych odbijały się echem od ścian jaskini. - Mamy coraz mniej czasu. Jestem pewny, że całe miasto opowiada się po którejś ze stron i wychodzi na ulice, żeby walczyć, a ty chcesz kusić los, próbując wrócić

po swoje świcidelka? Myślę...

- Posłuchaj mnie, chłopcze - wyrzuciła z siebie Quenthel z twarzą pobladłą z wściekłości. - Już to przerabialiśmy z twoim przyjacielem wojownikiem. Zrobisz to, co ci każe, albo pozostawimy cię tu na śmierć. Jeśli zapomniałeś, kim jestem, pozwól, że przypomnę ci, iż jestem wysoką kapłanką Quenthel Baenre, mistrzynią Arach-Tinilith, mistrzynią Akademii, mistrzynią Tier Breche, pierwszą siostrą domu Baenre z Menzoberranzan i nie będę dłużej tolerować twoich złośliwych uwag i wyniosłej niesubordynacji. Czy rozumiesz?

Jak gdyby dla poparcia jej słów, naprzód wystąpił Jeggred, ze złowróbnym warknięciem chwycił Pharauna za kołnierz piwafwi i zmiął go w szponiastej garści.

Czarodziej zerknął na Rylda, który po walce z pajakiem wciąż wyglądał na osłabionego. Niemniej jednak wojownik trzymał dłoń na rękojeści Rozpruwacza i wysunął się do przodu, gotowy stanąć pomiędzy draeglothem a magiem. Pharaun poznał jednak po minie wojownika, jak bardzo nie ma on ochoty opowiadać się po którejś ze stron w tych okolicznościach.

Jeggred odwrócił głowę i warknął:

- Nawet o tym nie myśl, fehmistrzu. Wyrwę ci żołądek i pożrę go, jeśli się wtrącis.

Twarz Rylda, urażonego groźbami draegloth, stężała, ale Pharaun potrząsnął krótko, delikatnie głową, odradzając Ryldowi atak.

- Mistrzynie Quenthel, skoro tak zależy ci na odzyskaniu twoich kosztowności - odezwał się Pharaun, starając się, żeby zabrzmiało to jowialnie - pospieszmy się, zanim nie będzie za późno.

Quenthel uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona, że udało jej się umocnić swój autorytet i zyskać przewagę.

- Wiedziałam, że docenisz wagę moich decyzji - odparła, odwracając się plecami. - A więc, czarodzieju, jak proponujesz dostać się do Płomienia i Żmii? - zapytała, szacując zniszczenia tuż obok Pharauna. - Jakie czary masz jeszcze w zanadrzu, które przeniosą nas tam szybko i bezpiecznie?

- Żadnych, mistrzyni Baenre - odparł z najwyższą powagą Pharaun. - Zużyłem ponad połowę moich zaklęć na ten dzień i nie jestem nawet pewny, jak wydostaniemy się z miasta.

- Postaraj się bardziej, Mizzrym.

- Mam inną propozycję - rzekł mag, wydymając usta. - Pozwól mi pójść po nasze rzeczy, a ty i reszta grupy zaczekajcie tutaj i odpocznijcie. Jesteśmy na uboczu, łatwo odeprzecie ewentualne ataki, a ja odnajdę was, kiedy wrócę. Mam czar, który szybko przeniesie mnie do zajazdu i z powrotem, nie mogę tylko zabrać ze sobą was wszystkich.

Quenthel sposepniała, rozważając jego propozycję, a Pharaun zastanawiał się, czy wysoka kapłanka w ogóle zdaje sobie sprawę, że robi taką minę.

- Doskonale - powiedziała w końcu, kiwając głową. - Tylko nie mitręż czasu.

- O, nie zamierzam. Im mniejsze szanse na to, że większe fragmenty tego przeklętego miasta spadną mi na głowę, tym lepiej się czuję.

Quenthel odwróciła się i wyjaśniła plan reszcie grupy. Wszyscy wyrazili zgodę, gotowi na zwłokę.

Ryld odciągnął Pharauna na bok i zapytał:

- Wrócisz, prawda?

Pharaun uniósł brew i odparł:

- Oprócz tego, że mam do ciebie słabość, mój zadumany mistrzu, naprawdę chcę rozwikłać tę zagadkę. Mam większe szanse z wami niż bez was.

Ryld wpatrywał się w niego przez długi czas, zanim kiwnął głową.

- Uważaj na siebie - powiedział i odwrócił się, żeby znaleźć sobie miejsce pod ścianą uliczki. Wyjął kuszę.

- Jak zamierzasz dostać się na drugą stronę miasta? - zapytała Halisstra.

Twarz miała ściągniętą i zmęczoną. Ale oczy błyszczały jej czerwienią, jak gdyby miała jakiś nowy cel.

- Mam zaklęcie umożliwiające latanie, które pozwoli mi dostać się tam i z powrotem w dość krótkim czasie - odpowiedział Pharaun. - Niestety, byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym był niewidzialny, ale tę sztuczkę już dzisiaj wykorzystałem.

- Może ja mogłabym pomóc - powiedziała córka czegoś, co było kiedyś domem Melarn. - Mistrzynie Quenthel, różdżka, którą mi przed chwilą skonfiskowałaś, bardzo by nam się przydała, za twoim

przyzwoleniem.

- O co chodzi? - zapytała kapłanka, wyraźnie ucieszona okazaniem jej szacunkiem.
- To zaklęcie, które uczyni go niewidzialnym, nawet jeśli zaatakuje wroga - odparła Halisstra. - Zapewniam cię, że nie wyrządzi mu krzywdy.

Quenthel zmarszczyła brwi i spojrzała na Pharauna, chcąc, żeby potwierdził. Czarodziej skinął głową. Wciąż wierzył, że dwie nowe członkinie drużyny są godne zaufania, a już na pewno ich sytuacja nie pozwala im zwrócić się przeciwko pozostałym.

- Świetnie - powiedziała Quenthel.
Drowka wyjęła różdżkę i podała ją drugiej elfce. Halisstra przyjęła ją, podziękowała i wycelowała różdżkę w Pharauna.
- Zaczekaj - powiedział czarodziej.
Pharaun z kieszeni piwafwi wyjął piórko i wykorzystując je podczas rzucania zaklęcia, obdarzył samego siebie zdolnością latania.
Chowając piórko z powrotem, odwrócił się do kapłanki i powiedział:
- W porządku, możesz zaczynać. Zawsze łatwiej jest czarować, kiedy widzi się własne ręce.
Halisstra uśmiechnęła się słabo i kiwnęła głową, po czym wezwała magiczną energią różdżki. Po chwili Pharaun był całkowicie niewidzialny. Drowka podała różdżkę Quenthel.
- Nie - powiedziała wysoka kapłanka, kręcąc głową. - Możesz ją zatrzymać. Myślę, że dostałaś już nauczki.
- Tak, mistrzyni - powiedziała Halisstra z uśmiechem, który nie sięgał oczu. Kobieta schowała różdżkę i znów usiadła obok Danifae.
- Wkrótce wrócę - rzekł Pharaun.
Wzniósł się w powietrze, zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć.

* * *

Danifae przyglądała się, jak czarodziej znika, i wyczuła, kiedy opuścił ulicę. Potrząsając głową, oparła się plecami o mur i zaczęła obserwować fehmistrza i zwiadowcę, którzy chodzili niespokojnie tam i z powrotem - najwyraźniej chętnie opuściliby to miejsce.

Z niezłymi dziwakami się zadałam, uznała. Są kompetentni, a jednak sprzecząją się i kłóć, inaczej niż jakakolwiek grupa mrocznych elfów, jaką widziałam.

Branka spojrzała na Quenthel, która rozmawiała półgłosem z draeglothem Jeggredem.

Ona z pewnością jest interesująca, uznała Danifae.

Nie po raz pierwszy spotkała elfkę podobną do wysokiej kapłanki pewną siebie, a jednak wrzeszczącą na wszystkich dookoła.

Niemniej jednak, myślała Danifae, zatrzymując z uznaniem wzrok na postaci Quenthel, nadaje się na przywódczynię.

Danifae wróciła myślami do Halisstry. Pierwsza córka domu Melarn wyglądała na wstrząśniętą fizyczną utratą swojego domu, choć Ssipriina i tak go jej wcześniej odebrała. Danifae sama nie miała co rozpaczać nad zniszczeniem domu Melarn, ale była w stanie wyobrazić sobie, jak by się czuła, gdyby jej własna rodzina została w ten sposób usunięta. Z tego, co wiedziała, dom Yauntyrr również mógł zostać zniszczony. Już od tak dawna go nie widziała. Nie wiedziała nawet, jaki los spotkał sam Eryndlyn, nie mówiąc już o jej własnym domu.

- Pozwól nam wam towarzyszyć - zwróciła się Halisstra do Quenthel. - Pozwól pomóc wam odnaleźć kapłana Vhaerauna.

Danifae spojrzała ostro na swoją panią.

- Dlaczego myślisz, że zamierzamy szukać przyjaciela zwiadowcy? - zapytała Quenthel.
- Pr... proszę o wybaczenie, mistrzyni Baenre - zająknęła się Halisstra. - Przypuszczałam tylko...
- Przypuszczenia najlepiej zostawić temu nędznikowi Pharaunowi - ostrzegła Quenthel.
Halisstra pochyliła głowę.
- Oczywiście mistrzyni Baenre - rzekła. - Niemniej, pokornie proszę pozwolić mi i mojej służącej towarzyszyć wam. Nasze szanse przetrwania będą o wiele większe, jeśli będziemy trzymać się razem, a jak wiesz, tutaj nic mi nie zostało.

Mroczna elfka wydeła usta, najwyraźniej starając się zapanować nad targającymi nią emocjami.

Danifae uważała, że zdradzanie się ze swoimi uczuciami jest niestosowne, ale nigdy nie powiedziała by tego na głos, zwłaszcza w towarzystwie innych.

Quenthel postukała się palcem w wargi i kiwnęła głową, jak gdyby rozumiała trudne położenie Halisstry, choć Danifae szczerze wątpiła, że wysoka kapłanka rzeczywiście jej współczuje.

- Cóż, tak długo jak będziesz użyteczna i jak będziesz robiła to, co ci każę, nie widzę powodów, dla których nie miałybyś podróżować razem z nami.

Danifae wzdygnęła się. W ten sposób z pewnością tylko oddali się od Eryndlynu. Musiała znaleźć jakiś sposób zerwania więzi, i to wkrótce, i miała nadzieje, że czarodziej będzie w stanie to zrobić. Bez trudu skłoni go, żeby jej pomógł - widziała, jak jej się przyglądał przez cały czas. Bez najmniejszego trudu.

Halisstra znów pochyliła głowę, dziękując.

- O ile nie będzie to bezczelnością z mojej strony, czy mogę zapytać, jakie masz zamiary?

- Kiedy zdołamy się już wydostać z tego miasta - odparła Quenthel, akcentując słowa, by dać jej do zrozumienia, jak beznadziejne to będzie zadanie - myślę, że możemy odwiedzić tego przyjaciela zwiadowcy. Choć ten Mizzrym potrafi doprowadzić mnie do szału, od czasu do czasu miewa dobre pomysły.

Dlatego nie możesz sobie pozwolić na zrażenie go do siebie lub wyrządzenie mu krzywdy, domyśliła się Danifae.

Nietrudno było dostrzec, że Pharaun jest najcenniejszym członkiem drużyny. Nasuwało się pytanie, kto jest tak naprawdę przywódcą? Quenthel oficjalnie, Pharaun z konieczności.

Należy mieć ich na oku, pomyślała Danifae z uśmiechem.

* * *

Ssipriina dokonała przeglądu oddziałów, które zebrały się na dziedzińcu jej posiadłości i skrzywiła się. Tak niewiele zostało z tego, z czym zaczynała dzień. Czy wystarczy? Omiotła ich wzrokiem... żołnierzy, kapłanki, czarodziejów. Ilu straciła podczas zniszczenia domu Melarn? Ilu kolejnych zginęło w następnych godzinach, w walce z konkurencyjnymi domami, krasnoludzkimi najemnikami, pajakami stróżami?

Matka opiekunka potrząsnęła głową na myśl o tym niepowodzeniu. Była to z pewnością porażka, ale nie chciała uznać jej za nieprzemyślaną. Ożywienie stwora, aby walczył dla jej domu, było sprytnym pomysłem, który poparły wszystkie jej sojuszniczki. Żadna z nich nie była w stanie przewidzieć, że mentalna więź, za pomocą której kontrolowały pająki, była w jakiś sposób związana z ich łącznością z Lolth. Bez bogini więź nie istniała, ale kiedy Ssipriina i pozostałe opiekunki to odkryły, było już za późno. Wszystkie to przeoczyły i nie godziła się na obarczenie jej całą winą.

Szkody można jeszcze było naprawić, gdyby ten oszukańczy dureń Khorrl zrobił to, co do niego należało. Zapłaciła mu bajońskie sumy. Powinien był spełniać każdą jej zachciankę, ale odwrócił się od niej, zebrał swoich najemników i przygotowywał się do opuszczenia Ched Nasad. Utrata jego poparcia była ciężkim ciosem, ale jeszcze bardziej dręczyło ją to, że przez niego wyszła na idiotkę - i to w oczach innych matek.

Pozostałe matki opiekunki na wieść o tym, że duergarowie nie są już na służbie domu Zuavirr, umyły ręce i natychmiast wycofały swoje poparcie dla roszczeń Ssipriiny. Musiały myśleć o własnych domach i nie mogły pozwolić sobie na dalsze osłabianie ich w przegranej sprawie.

Przegranej sprawie! Tak, wyszła na głupią i nie mogła tego ścierpieć. Ssipriina Zuavirr jeszcze im pokaże, czym jest przegrana sprawa.

Niech cała reszta zdystansuje się od niej. Niech zgniją na dnie czeluści. Nie mogła pozwolić, by te komplikacje pokrzyżowały jej plany. Pół miasta może spłonąć, ale kiedy dym opadnie, dom Zuavirr będzie stał na szczycie pogorzelniska.

Khorrl Xornbane też musi zapłacić, ale czy Ssipriina ma dość żołnierzy? Z własnych sił i oddziałów domu Melarn, które przeszły na jej stronę, udało jej się stworzyć potężną armię, ale wielu zginęło.

To również była wina klanu Xornbane. Krasnoludy pozwoliły, by walki wokół domu Melarn wymknęły się spod kontroli. To przez ich potworne pociski zapalające, od których kamień zajmował się ogniem, dom upadł. Były to niepotrzebne zniszczenia, które wynikły z niepotrzebnych walk.

Ssipriina nie miała wątpliwości, że szary krasnolud mówił prawdę. Zammzt mógł z powodzeniem odpowiadać za przedwczesne ujawnienie się jej najemników, ale dlaczego? Z którą matką opiekunką był w zмовie? Która z nich mogła coś zyskać, patrząc, jak jej plany nabierają tempa, po czym spotyka je klęska? Możliwości było zbyt wiele, ale musiała ustalić to później.

Wiedziała, że będzie jej brakować Zammzta. Potrzebowała jego skuteczności, jego przenikliwości. Nie miała wystarczającej liczby strategów, by powierzyć im zebraną armię. Brzydki mężczyzna świetnie by się do tego nadawał. Faeryl mogłaby go zastąpić, ale nie widziano jej od czasu zamieszania, które wybuchło pod koniec spotkania opiekunek. Ssipriina podejrzewała, że jej córka zginęła, kiedy rezydencja runęła na dno jaskini.

Głupia dziewczyna, pomyślała matka opiekunka. Krzyżyk na drogę.

Wzdychając, Ssipriina otrząsnęła się z zadumy i raz jeszcze omiotła wzrokiem swoją mizerną armię. Tylu żołnierzy musi wystarczyć. Sama ich poprowadzi, i wystarczy.

- Zbierać się - powiedziała matka opiekunka, idąc ku chronionemu miejscu w środku kłębowiska drowów. - Czas upomnieć się o to, co nasze.

ROZDZIAŁ 18

Lecąc w kierunku Płomienia i Żmii, Pharaun starał się trzymać obrzeży miasta. Po pierwsze nie uśmiechała mu się perspektywa bycia przygniecionym przez spadający gruz. Choć przydarzyło mu się to tylko raz, w przyszłości wolałby tego uniknąć.

Po drugie czarodziej wiedział, że łatwiej mu będzie utrzymać prawidłowy kierunek, jeśli będzie się trzymał ściany jaskini, zamiast starać się przedrzeć przez centrum miasta. Mimo to gęsty dym utrudniał mu latanie. Był zaskoczony tym, jak zadymiona stała się pieczara. Kilka razy mało brakowało, a rozbiłby się o ścianę wąwozu, wciąż nietkniętą ulicę lub budynek. Niemniej jednak uważał, że to rozwiązanie jest bezpieczniejsze od przedzierania się przez środek Ched Nasad, skąd cały czas dobiegały odgłosy walki. Od czasu do czasu słyszał dobiegające z oddali wybuchy, głośne trzaski i wyjące wichry - odgłosy zażartych magicznych bitew. Magiczne siły rzucano na zbierające się wojska. Nie było co do tego żadnych wątpliwości - wszystkie siły w mieście rozpaczliwie starały się przejąć kontrolę nad ulicami.

Większość odgłosów konfliktu dosięgało maga z poziomu, na którym się znajdował i niższych. To, co najprawdopodobniej zaczęło się na placu przed domem Melarn, szybko rozprzestrzeniło się, ogarniając wszystkich mieszkańców i przyjezdnych w całym mieście, na wszystkich poziomach. Czarodziej był ciekawy, ilu osobom udało się uciec do jaskiń otaczających Miasto Połyskliwych Pajęczyn. Choć drużyna z Menzoberranzan nie brała udziału w pierwszej fazie walk, przypominał sobie, że od ucieczki z walącego się domu Melarn widzieli na ulicach zaskakująco niewielu zwykłych obywateli. Oczywiście było to też spowodowane tym, że większość czasu spędzili wysoko, gdzie mieszkała wyłącznie szlachta. W dole, w niższych dzielnicach, wyobrażał sobie sytuację zupełnie inaczej. Tam, jak przypuszczał, motłoch wdał się w walkę, podobnie jak podczas rebelii w jego rodzinnym mieście.

Jednak tu powstanie miało zupełnie inny charakter niż rebelia w Menzoberranzan. Powstańcami dokonującymi przewrotu w Ched Nasad były same szlacheckie domy. Starcie pomiędzy nimi stanowiło punkt krytyczny. Pharaun uważał się za szczęściarza, że domy Menzoberranzan okazały się mniej skłonne do małostkowej obmowy. Gdyby było inaczej, mógłby nie mieć dokąd wrócić. Mag skrzywił się, myśląc o zamachach Grompha na życie Quenthel i nieudanych próbach zabicia go przez jego własną siostrę Greyannę.

Zanim to wszystko się skończy, może tu nie zostać kamień na kamieniu.

Zbliżając się do tej części miasta, w której znajdował się zajazd, czarodziej zauważył, że zniszczenia tutaj są mniej poważne. Prawdę mówiąc, zajazd Płomień i Żmija jak do tej pory nie ucierpiał. I zaraz zobaczył, co jest tego powodem. Zgraja drowów i innych stworów, prawdopodobnie mieszkańców zajazdu, niezależnych najemników i innej hałastry, utworzyła strefę bezpieczeństwa wokół zajazdu. Wszystko wskazywało na to, że obecnie nie są pod ostrzałem, ale wcześniej musiała się tu toczyć zaciekle walka, sądząc po ilości ciał leżących na ziemi.

Nie chcąc zostać zaatakowanym ani wciągniętym w środek oblężenia, Pharaun postanowił okrążyć zajazd od tyłu i dostać się tamtędy do środka. Pamiętał okno pokoju, który dzielił z Valasem i Ryldem - tego wychodzącego na ścianę ogromnej jaskini więc tam się skierował. Podleciał od strony dachu i lewitując, opadł w dół przesmykiem pomiędzy ścianą budynku a ścianą wąwozu, akurat tak szerokim, by się w nim zmieścić. Zawisł na wysokości okna, zastanawiając się, jak dostać się do środka, nie zwracając na siebie uwagi.

Miał właśnie taki czar, uświadomił sobie mistrz Sorcere, pomniejszą inkantację, która otworzy okno od wewnątrz, tak że nie będzie go musiał zbić, żeby dostać się do środka. Włożył rękę w fałdy piwafwi i przeszukał trzy czy cztery kieszenie, zanim znalazł to, czego szukał. Wydobył mosiężny kluczyk i zastukał nim lekko w okno, wymawiając przy tym słowa zaklęcia. Okno otwarło się bez oporu i Pharaun wśliznął się do pokoju.

Czarodziej, fechmistrz i zwiadowca zabrali wszystkie swoje rzeczy ze sobą, kiedy opuszczali zajazd, aby wziąć udział w „przyjęciu” na ich cześć. Wydaje się, że od tego czasu minęły już całe wieki, pomyślał Pharaun, wychodząc z pokoju i idąc korytarzem w stronę kwatery Quenthel.

Stanąwszy przed drzwiami, mag zawahał się, zastanawiając się, czy wysoka kapłanka nie umieściła na nich przypadkiem jakiegoś zaklęcia ochronnego, ale potem przypomniał sobie, że Ryld i Valas włamali się do pokoju, kiedy szukali magii uzdrawiającej. Chichocząc, szarpnęła za klamkę i

okazało się, że drzwi są zamknięte.

No jasne, wymamrotał cicho Pharaun. Valas zostawił je tak, jak je zastał.

Wzruszając ramionami, czarodziej znów pogrzebał w kieszeniach, z których wydobył szczyptę gliny i fiolkę wody. Spryskawszy wodą glinę, wezwał Splot i dokończył zaklęcie. Kawałek ściany obok drzwi zaczął się uginać, zmieniając się z litego kamienia w gęste, lepkie błoto. Ściana spłynęła w dół, tworząc na ziemi kałużę, a Pharaun odsunął się do tyłu, żeby nie ubrudzić sobie butów. Kiedy otwór stał się już wystarczająco szeroki, mistrz Sorcere zgrabnie wskoczył do pokoju, starając się nie wdepnąć w bałagan, który narobił.

Pharaun wypatrzył plecak Quenthel, wypełniony dodatkowym prowiantem, na stoliku obok sofy. Część rzeczy ambasador, łącznie z chlebakiem, leżało na drugim stole. Czarodziej uniósł plecak wysokiej kapłanki i stęknął.

A więc, pomyślał mag z kwaśnym uśmiechem, wreszcie znalazła sposób, żeby zmusić mnie do niesienia jej rzeczy.

Zarzucił sobie plecak na ramię, chwycił drugi, należący do Faeryl, i odwrócił się do wyjścia.

Bełt z kuszy grzmotnął Pharauna w pierś, zdołał prześliznąć się przez rozchyloną materię piwafwi i wbił mu się w ramię. Mistrz Sorcere jęknął i zatoczył się z powrotem do wnętrza pokoju, obracając się, aby stanąć plecami do napastników i być szczelniej osłoniętym przez piwafwi. Spojrzał w dół - bełt należał do drowa, a on sam przestał być niewidzialny.

Pharaun dokuśtykał do przeciwnej strony komnaty, upuszczając tobołki i szukając jakiejś osłony. Były tylko dwa takie miejsca - za sofą albo w szafie. Mijając szafę, otworzył drzwi, po czym zatrzasnął je, samemu osuwając się za otomanę. Drzwi do ogromnej garderoby zamknęły się w tej samej chwili, w której do pokoju wpadły dwie pary butów, co Pharaun zaobserwował spod kanapy. Mag pozostał na kolanach, patrząc spod sofy, jak dwie pary butów rozdzielają się i powoli zmierzają w stronę szafy - ich właściciele prawdopodobnie przeszukiwali pokój.

- Jest w szafie - powiedziała jedna z istot w języku drowów.

Przeszyte bełtem ramię rwało, ale Pharaun spokojnie czekał, aż napastnicy się pokażą. Zamrugał, nie mogąc skupić wzroku, i nagle zakreśliło mu się w głowie. Nie przestawał myśleć o tym, że gdyby udało mu się rzucić jakiś czar, byłoby po wszystkim, ale nie był w stanie podjąć decyzji który, ani jak się do tego zabrać. Rana zaczęła palić, a Pharaun uświadomił sobie, że zaczyna słabnąć. Bełt był pokryty trucizną. Musiał szybko wrócić do pozostałych, zanim toksyna go powali. Miał wielką nadzieję, że towarzysze dysponują środkami mogącymi zapobiec jej działaniu.

Kiedy obaj wrogowie znaleźli się na jego linii wzroku, trzymając kusze w pogotowiu, zrozumiał, dlaczego z miejsca go zaatakowali. Oboje byli mrocznymi elfami i nosili barwy domu Zuavirr. Wymierzając sobie w myślach kopniaka za nie wzięcie pod uwagę możliwości, że Ssipriina może wysłać kogoś do zajazdu, spodziewając się, że on albo pozostali wrócą, Pharaun usiłował wymówić tajemne słowa zaklęcia, ale nie był w stanie. Dwa drowy wyszczerzyły zęby, mierząc do niego z kusz.

Pharaun zamknął oczy, zastanawiając się, czy umieranie jest bardzo bolesne, i czy uda mu się aktywować rapier, kiedy usłyszał hałas. Nie był to spodziewany szczęk kusz. Zamiast tego usłyszał kobiecy głos - znajomy głos - wymawiający krótką frazę. Czarodziej zmrużył oczy, gdy wiązka splecionych, różnokolorowych promieni światła spadła kaskadą na jego wrogów.

Pod wpływem nagłego, oślepiającego ataku oba drowy zatoczyły się w tył, wrzeszcząc i zasłaniając rękami oczy. Pierwszy, trafiony żółtym promieniem światła, zadrgał spazmatycznie, gdy wyładowania elektryczne wstrząsnęły jego ciałem, a drugi, trafiony czerwonym, stanął w płomieniach.

Pharaun przyglądał się, jak obaj żołnierze padają na ziemię. Tego, czy są martwi, nie wiedział, ale i nie obchodziło go to. Pod wpływem trucizny robił się coraz słabszy.

- Dzień dobry, Pharaunie - zamruczał głos.

Pharaun z wysiłkiem otworzył znów oczy i podniósł wzrok, uświadamiając sobie, kto to.

- Aliisza - wymamrotał, rozluźniając się. Alu obeszała sofę, podchodząc do niego. - Jak odnalazłaś...

Wymierzony mu policzek zapiekł, mag targnął się, oczy zaszyły mu łzami.

- Co, do...? - stęknął, pocierając policzek, gdy Aliisza ukucnęła przy nim z uniesioną dłonią. - Co się z tobą dzieje?

Znów zastanowił się, czy uda mu się dobyć rapiera.

- Jak śmiesz! - warknęła alu, unosząc jedną brew, ale nie uśmiechała się jak zwykle. - Jak możesz się interesować tą wywłoką, skoro wcześniej dzieliłeś łóżce ze mną?

Pharaun zamrugał, całkowicie zdezorientowany. Wywłoką?

- O kim, do cholery, mówisz? - zapytał, słabo unosząc zdrowe ramię, żeby osłonić twarz przed nieuchronnym policzkiem.
- Nie udawaj mi tu głupiego, ty nędzna namiastko mrocznego elfa. Wiesz, o kogo mi chodzi. O ślicznotkę, którą wyciągnęłaś z walącego się budynku. Powinnam była wyłupić jej oczy!
- O, na Mroczną Matkę - wymamrotał Pharaun, do którego w końcu dotarło, o co chodzi. - To nie tak, jak myślisz...
- Oooch! Wy mężczyźni zawsze tak mówicie. Według waszej płci zawsze jest inaczej. Nie chcę tego słuchać.

Aliisza chwyciła czarodzieja za poły piwafwi i przyciągnęła go do siebie. Przycisnęła usta do jego ust w brutalnym pocałunku, gryząc go w wargę tak mocno, że był pewny, iż do krwi. Uznał, że przypominało to mniej pocałunek, a bardziej znaczenie terytorium.

- Żebyś za szybko o mnie nie zapomniał. Jeśli zbłądzisz, dowiem się o tym. Wyczuję na tobie jej zapach i nie będę zadowolona. Jeszcze z tobą nie skończyłam, czarodzieju - ostrzegła Aliisza, spoglądając mu w oczy.

Zamrugnęła i na jej twarzy znów pojawił się sardoniczny uśmiech.

- Cóż, chyba powinnam ci jakoś pomóc - powiedziała beztrząs, unosząc Pharauna i przerzucając go sobie przez ramię, uważając przy tym na pierś, z której wciąż wystawał belt.

Czarodziej czuł się jak skończony głupiec, kiedy tak rzucano nim jak workiem kartofli, ale nie był w stanie zaprotestować. Czuł się cały... „niewyraźnie” - i było to najlepsze słowo, jakie przychodziło mu do głowy.

- Tobołki - wymamrotał w ramię alu. - Nie zapomnij o tobołkach.

Podniósłszy torby Quenthel i Faeryl, Aliisza przeniosła Pharauna przez pokój, dziurę, którą zrobił w ścianie, korytarz, i wniosła do jego własnego pokoju. Potem położyła czarodzieja na sofie, wzięła tobołki w rękę i wychyliła się przez okno, zapierając się nogami o skalną ścianę jaskini. Pharaun przyglądał się bezradnie, jak demonica wrzuca tobołki na dach.

Alu wróciła, ponownie przerzuciła go sobie przez ramię i wydzwignęła go w szczelinę pomiędzy budynkiem a ścianą, przepychając go w górę. Czarodziej poczuł, jak belt tkwiący mu w ramieniu uderza w bok zajazdu, ale ból, rzecz dziwna, zmalął. Był jednak na tyle dotkliwy, że mag jęknął.

- Na Otchłań, nie mógłbyś trochę pomóc? - sapnęła, wpychając maga na dach.

Pharaun nie odpowiedział. Zaczynał tracić czucie w twarzy, a świat zasnęła czerń.

* * *

Ryld siedział na dachu budynku graniczącego z ulicą, z nogami zwisającymi z dachu i kuszą w rękę, patrząc na płonące Ched Nasad. Mając wreszcie okazję przyjrzeć się układowi miasta, widział wyraźniej, co się dzieje. Na wyższych poziomach walki osłabły, choć wciąż słyszał odgłosy walk toczących się kilka przecznic dalej. Najwięcej działo się na niższych poziomach, które najliczniej zamieszkiwały niższe rasy. Wojownik przypuszczał, że przemoc w dole przybrała formę powszechnych zamieszek, będących produktem ubocznym napięć w mieście w połączeniu z poważniejszymi manewrami wojennymi, które przeprowadzono wyżej. Oczywiście, runięcie w dół sporego kawałka miasta nie przyczyniło się do poprawienia sytuacji.

Halisstra usiadła obok fechmistrza i spoglądała z żalnością na swoje rodzinne miasto.

- Valas poszedł sprawdzić, jakie mamy szanse wydostania się z miasta przez którąś z bram - zwróciła się do Rylda. - Powiedziałam mu o jednym czy dwóch miejscach, przez które moglibyśmy się wydostać niepostrzeżenie; i poszedł sprawdzić, czy są bezpieczne.

Ryld skinął tylko głową. Jeśli ktokolwiek potrafił prześliznąć się przez miasto nie niepokojony, był to zwiadowca Bregan D'aerthe. Szczerze jednak wątpił, by którekolwiek wyjścia pozostawiono bez straży.

- Jak to się mogło stać? - wymamrotała cicho. - Tyle zniszczeń.
- Staliśmy się zbyt zadowoleni z siebie - odparł mistrz Melee-Magthere. - Drowy sprzecząją się ze sobą od tak dawna w kontrolowany sposób, że nigdy nie spodziewaliśmy się, że nasze gierki wymkną się nam spod kontroli. A oni - fechmistrz wskazał w dół, w kierunku slumsów - z tego skorzystali.
- Ale ten ogień. Jak to możliwe, że spalił miasto z kamienia?

- Chyba za sprawą alchemii. Widzieliśmy to samo w Menzoberranzan. Tutaj czyni jednak większe spustoszenie, ponieważ całe wasze miasto jest zawieszane na kamiennych pajęczynach. Byli sprytni, przynosząc tu ze sobą pociski zapalające.
- To jasne - wyszeptwała drowka. - Wystarczyło podpalić ulice, a wszystko, co jest do nich przyczepione, spotka zagłada. Również dom Melarn.
Ryld spojrzął na siedzącą obok niego elfkę. Na jej twarzy malował się smutek, a czerwone oczy, rzecz niespotykana, lśniły od łez. Nieczęsto widywał płaczącego drowa. Uważano to za oznakę słabości. W przypadku kapłanki uznał to za odświeżająco szczere.
- Przykro mi z powodu strat, jakie poniosłaś. Może czegoś to nas nauczy. Jeśli przeżyjemy.
Coś przykuło uwagę Rylda, fehmistrz uniósł kuszę i wymierzył. Z dymu wyłoniła się skrzydlata postać, która podskakiwała i zataczała się chaotycznie w powietrzu. Zmierzała ona wyraźnie w ich kierunku. Była to chyba drowka, choć miała skrzydła i niosła jakiś spory toboł. Jej błędny lot powiedział wojownikowi, że coś jest nie w porządku. Nagle rozpoznał ją był to demon z Ammarindaru!
Trzymał już palec na spuście, gotowy przeszyć jej serce bełtem, ale dotarło do niego, że demon niesie Pharauna.
Zbliżając się do krawędzi budynku, demonica straciła nagle równowagę i Ryld musiał ją chwycić, gdy przelatywała obok niego. Cała trójka przewróciła się na kamienny dach, lądując jedno na drugim u stóp Jeggreda. Draegloth stanął pomiędzy piękną istotą i resztą drużyny.
- Ty! - zasyczała Quenthel, unosząc bicz, gotowa do ciosu. - Co tu robisz?
Demon, którą, jak pamiętał Ryld, Pharaun nazywał Aliiszą, leżał wciąż na ziemi i ciężko dysząc, przyglądał się nieufnie Jeggredowi i Quenthel. Aliisza nie uczyniła żadnego ruchu, żeby się bronić.
- Przyniosłam ci twojego cennego czarodzieja, drowko - wymamrotała. - Wiem, jak za nim przepadasz.
- Jest ranny - stwierdził Ryld, przewracając maga na plecy.
Wszyscy oprócz Jeggreda zebrali się wokół fehmistrza, który zaczął badać Pharauna. Znalezienie rany klutej w ramieniu czarodzieja nie zajęło mu wiele czasu. Część bełtu wciąż w niej tkwiła, choć większość drzewca odłamała się przy gwałtownym lądowaniu.
- Bełt jest zatruty - oznajmiła Quenthel, stając nad rozciągniętym na ziemi Pharaunem. - Uzdrowienie go nic nie da, jeśli najpierw nie usuniemy trucizny z krwiobiegu. Jeśli tego nie zrobimy, umrze.
- Mogłam wam to powiedzieć - powiedziała Aliisza, siadając, choć wciąż oddychała ciężko po przebytej podróży. - Proszę... upierał się, żeby to zabrać.
Rzuciła dwa plecaki pod nogi Quenthel.
- Więc jak usuniemy truciznę? - zapytał Quenthel Ryld, podnosząc oczy znad mistrza Sorcere. - Czy któraś z was ma zaklęcia, które to potrafią?
Quenthel potrząsnęła głową.
- Yngoth wyczuwa ją w jego ciele - rzekła, głaszcząc bicz, który znów zwisał u jej biodra - ale swoje zaklęcia, rzecz jasna, utraciłam.
Ryld spojrzął na Halisstrę i Danifae.
- A wy?
Obie elfki pokręciły głowami.
- Zajmuję się amatersko magią wtajemniczeń - wyznała Halisstra - ale nie jestem jeszcze na tyle potężna, żeby wyeliminować toksynę.
Jeggred, który wciąż pilnował Aliiszy, podsunął:
- Może nasza dobra przyjaciółka pani ambasador ma jakieś środki, które mu pomogą.
Draegloth trącił tobołek u swoich stóp.
- Miejmy nadzieję - wymamrotał Ryld do nieprzytomnego Pharauna, podsuwając plecak Quenthel.
- Nic więcej nie możemy dla ciebie zrobić, przyjacielu.
Pharaun pocił się obficie. Ryld wiedział, że czarodziej może być ich jedyną szansą na wydostanie się z miasta. Jeśli go stracą, mogą zostać uwięzieni, chyba że Valas znajdzie jakiejś wyjście.
Quenthel zaczęła szperać w rzeczach Faeryl, odrzucając ubranie i przybory osobiste na bok. Kiedy przekopywała się na sam spód, Ryldowi wydawało się, że słyszy, jak wysoka kapłanka mamrocze coś niepochlebnego na temat ambasador i marnowania miejsca, a potem twarz jej się rozjaśniła, gdy wyciągnęła z plecaka grubą tubę.

- Aha! - powiedziała triumfalnie. - Miejmy nadzieję, że to zaklęcia.
Otworzyła tubę, wysunęła z niej kilka kart pergaminu i rozwinęła je, szybko przebiegając wzrokiem ich treść.
- Cudownie - powiedziała. - Faeryl, ty spryciaro, komu to ukradłaś?
Halisstra i Danifae stłoczyły się wokół mistrzyni Arach-Tinilith, starając się dojrzeć, co znajduje się na kartach. Fehmistrz widział, że na ich twarzach pojawiło się uniesienie.
- Jest tam coś przydatnego? - zapytał Ryld. - Coś, co zneutralizuje truciznę?
- Jeszcze nie wiem - odburknęła Quenthel. - Daj mi chwilę.
Wciąż przeglądała pergaminy, szybko je przekartkowując.
- Kilka z nich mogłoby się okazać pomocne, ale nie widzę o, zaczekaj. Tak! Pharaunie Mizzrym, masz szczęście. Zróbcie mi trochę miejsca - poleciła, gestem nakazując Ryldowi się odsunąć.
Fehmistrz wykonał polecenie, odsuwając się na bok, aby Quenthel mogła uklęknąć obok czarodzieja. Kładąc jedną dłoń na ranie, wysoka kapłanka zaczęła skandować słowa odczytane z trzymanego w rękę zwoju. Odręcznie napisany tekst zniknął ze strony w słabym rozblasku światła i przez ciało Pharauna przeszedł miękki blask, emanujący z miejsca, które dotknęła Quenthel.
- Niemal natychmiast mistrz Sorcere zaczął oddychać wolniej, a sam jakby się rozluźnił. Oczy miał wciąż zamknięte, ale się uśmiechał.
- Dziękuję, mistrzyni Quenthel - powiedział, a Ryld jeszcze nigdy nie słyszał, by jego głos brzmiał tak szczerze. - Jak widzisz. miałem trochę kłopotów w zajeździe. Kilku gości na usługach matki opiekunki Zuavirr było bardzo niezadowolonych z faktu, że złożyłem im wizytę. Zaskoczyli mnie.
- Jakoś trudno mi w to uwierzyć - powiedział Ryld, przyglądając się Aliiszy, która wciąż siedziała za Jeggredem.
- Cóż, jestem pewien, że ty mógłbyś udzielić im kilku lekcji, jak skuteczniej znaleźć najslabszy punkt w osłonach czarodzieja.
- No dobrze - powiedziała wysoka kapłanka, znów wstając. - Wyjmij mu to z ramienia, a potem ja go uzdrowię.
Podeszła do własnego tobołka, gdzie schowała zwoje, z powrotem w tubie, do kieszeni plecaka. Z innej przegródki wyłowiła różdżkę, w której Ryld rozpoznał skonfiskowany Halisstrze przedmiot.
- Fehmistrz skupił się ponownie na ułamanej końcówce bełtu. Sprawdził, czy nie utkwiała w jakiejś kości, a kiedy uznał, że nie, pchnął gwałtownie, wypychając grot przez ramię Pharauna i na zewnątrz.
- Pharaun wygiął plecy i wrzasnął z bólu.
- A niech cię, mistrzu Argith - wymamrotał w końcu, oddychając szybko. - Nie ma to, wiesz, jak przywitać się z przyjacielem.
Czarodziej zamknął oczy, wciąż się krzywiąc.
- Myślę, że powitanie było jak najbardziej odpowiednie dla kogoś, kto dał się postrzelić - odparł Ryld, raz jeszcze robiąc Quenthel miejsce do rzucenia zaklęcia.
Wysoka kapłanka machnęła różdżką nad krwawiącą świeżą raną i wymamrotała frazę wyzwalającą. Odslonięta tkanka zaczęła się odnawiać, zasklepiając otwór i tworząc bladyszara bliznę na czarnym jak atrament ciele. Pharaun westchnął, a Quenthel znów wstała.
- Gotowe - powiedziała, chowając różdżkę z powrotem do plecaka. - Postaraj się unikać bełtów z kusz. Na magii uzdrawiającej nam nie zbywa.
Ryld zerknął na Halisstrę, która zazdrośnie przyglądała się, jak Quenthel chowa różdżkę.
- Zwycięzca dostaje łupy, pomyślał ponuro. Pokłoniłaś się jej i nazwałaś swoją panią... nie oczekuj w zamian hojności.
Pharaun usiadł przy pomocy Danifae. Rozejrzał się. Kiedy zauważył Aliiszę, wciąż pilnowaną przez draeglothę, skrzywił się i wyrwał dłoń z dłoni branki. Ryld odwrócił wzrok i dostrzegł, że czarnowłosa piękność marszczy brwi.
- Oho, pomyślał wojownik. To mi pachnie zazdrosną kochanką. Czarodziej nie był chyba tak głupi, żeby pokładać się z demonem...
- Pharaun zdołał wstać i podejść do miejsca, w którym siedział demon.
- W porządku - powiedział, mijając Jeggreda. - Możesz odejść. Nie ugryzie cię.
Jeggred umyślnie zignorował czarodzieja i nie ruszył się z miejsca.
- Słuchaj, jestem ci za to coś winien - powiedział półgłosem, ale nie dość cicho, by Ryld nie mógł dosłyszeć.

Ku jego całkowitemu zaskoczeniu demonica chwyciła Pharauna obiema rękami za głowę i pocałowała go dziko. Czarodziej nie zrobił nic, by ją powstrzymać, choć wojownik widział, że kurczy i rozkurcza trzymane przy bokach pięści.

- Pamiętaj, co powiedziałam - powiedziała Aliisza, przyciskając usta do ucha maga, ale mówiąc na tyle głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć. - Będę wiedziała.

Ryld widział, że mówiąc to, wpatrywała się prosto w Danifae. Branka zauważyła jej lodowate spojrzenie i odwróciła się z uśmiechem rozbawionego niedowierzania. Quenthel wydała z siebie odgłos świadczący o zniesmaczeniu i obróciła się na pięcie, aby nie patrzeć na tę absurdalną scenę.

- Za długo się zasiedziałam w tym mieście - stwierdziła Aliisza. - Zostawiam was, grajcie sobie w wasze głupie gierki, dopóki całe to miejsce nie zwali się wam na głowy.

To powiedziawszy, otworzyła białobłękitny portal i wkroczyła do niego Jeggred warknął i skoczył za nią, ale zniknęła.

- Na Mroczna Matkę, Pharaun - burknęła Quenthel. - Tyle gadałeś o tym, żeby nie kusić losu, a sam flirtowałeś z tą... istotą. Typowy facet.

Pharaun wzruszył ramionami.

- Do niczego nie doszło - powiedział, pocierając usta w zadumie. - Poszedłem po wasze rzeczy, napadnięto na mnie, a ona uratowała mi życie. I koniec.

- Lepiej, żeby tak było - warknęła Quenthel.

Pharaun rozejrzał się, drapiąc się po głowie.

- Gdzie jest Valas? - zapytał, a Danifae wyjaśniła mu sytuację.

Czarodziej kiwnął głową.

- Tak, im szybciej wydostaniemy się z miasta, tym szybciej wymyślimy, jak dotrzeć do tego jego przyjaciela, kapłana.

Mistrz Sorcere uniósł brew i spojrzał na Quenthel.

- Zakładając, że uznaliśmy to za nasz następny cel? - zapytał.

Wysoka kapłanka skinęła krótko głową.

- Tak, przekonałeś mnie - rzekła. - Kiedy już wydostaniemy się z Ched Nasad, będziemy musieli ustalić, jak dotrzeć do kapłana. Zakładam, że znasz sposób przeniesienia nas, gdzie zechcemy?

Pharaun kiwnął głową, wstając powoli.

- Możliwe, zależnie od tego, co powie nam Valas na temat miejsca jego pobytu, ale nie dzisiaj - dodał. - Prawie wyczerpałem już mój zasób czarów. Bez odpoczynku i szansy przejrzenia moich grimuarów, mam bardzo ograniczone możliwości.

- A więc najpierw skupmy się na opuszczeniu Ched Nasad, a tym będziemy się martwić później - stwierdziła Quenthel. - Jak tylko wróci Valas, zobaczymy, czego się dowiedział, i ułożymy plan.

- Wiadomości nie są dobre - powiedział zwiadowca, pojawiając się jak na zawołanie. Drow wspiął się na ścianę, pod którą siedzieli. - Każda większa brama wydaje się być albo pilnie strzeżona, albo atakowana, a inne miejsca, o których wspomniała Halisstra, są w tej chwili nieosiągalne. Z miasta nie da się wydostać.

- Bzdura - powiedziała stanowczo Quenthel. - Pharaun, dysponujesz czymś, co posłużyłoby nam za środek transportu? Jakimś zaklęciem, które otwarłoby bramę? Czymkolwiek?

Czarodziej potrząsnął głową.

- A więc będziemy musieli przedostać się przez jedną z bram. Jestem pewna, że nasza siódemka jest do tego zdolna.

- Możemy się o tym przekonać tylko w jeden sposób - odpowiedział mag. Przez chwilę przypatrywał się ich pozycji, po czym zwrócił się do Valasa. - Musimy się dostać wyżej, ponad tych duergarów, nie sądzisz?

Valas kiwnął głową i powiedział:

- Z tamtej strony wciąż toczą się ciężkie walki. Jeśli możemy je ominąć, tym lepiej.

- Więc nie marnujemy już czasu - zgodził się Pharaun. - W górę.

Quenthel wyraziła zgodę skinieniem głowy i wszyscy zaczęli się przygotowywać do drogi.

Zbierając swój ekwipunek, Ryld uświadomił sobie, że jest wyczerpany. Od wyprawy po tawernach z Valasem minął już ponad dzień.

Musi już być prawie ranek, uzmysłowił sobie, a przed nimi jeszcze długa droga. Miejmy nadzieję, że znajdziemy stosunkowo bezbolesny sposób prześlizgnięcia się przez bramy miasta.

Drużyna wyruszyła, ale musieli poruszać się zmianami, bo Jeggred musiał wnosić zarówno Valasa, jak i Danifae, a pomimo swojej ogromnej siły draegloth był w stanie nieść tylko jednego mrocznego elfa na raz. Dlatego połowa grupy, w tym Jeggred niosący jednego drowa, wzniosła się na następny poziom, podczas gdy reszta zaczęła na powrót demona.

Pierwsza grupa, składająca się z Pharauna, Quenthel i Jeggreda niosącego Danifae wylądowała na pajęczej ulicy i odkryła, że bronią jej żołnierze. Kilku mrocznych elfów uniosło kusze, mierząc w czwórkę towarzyszy, ale kiedy zobaczyli draeglotha, prawie wpadli w panikę.

- Co to jest, na dziewięć piekieł? - zawołał jeden z żołnierzy, starszy mężczyzna pokryty mnóstwem blizn, wskazując Jeggreda kuszą.

Demon wydał z siebie niski pomruk, odwracając się przodem do niedoszłych napastników, ale Pharaun stanął pomiędzy draeglothem a żołnierzami.

- Spokojnie - powiedział czarodziej, unosząc ręce w łagodzącym geście. - Tylko tędy przechodzimy. Nie ma potrzeby wpadać w panikę.

Stojąca obok niego Quenthel pociągnęła nosem, ale kiedy żołnierze przekonali się, że obecność demona jej nie niepokoi, uspokoili się i skupili się na toczących się wciąż w dole walkach. Jeggred poleciał po Valasa.

Pharaun znalazł miejsce, w którym dało się usiąść, więc oparł się plecami o ścianę, aby odpocząć przez chwilę.

- Czemu nie usiądziecie? - zapytał towarzyszących mu kobiet. - Odpocznijcie, dopóki to możliwe.

Quenthel skrzywiła się, ale zgodziła się usiąść naprzeciw czarodzieja. Danifae poszła w jej ślady.

Długo jednak nie odpoczywali, gdyż wkrótce z przeciwnego końca ulicy dobiegły ich jakies wrzaski. Wszystkie drowy wokół nich zrobiły się niespokojne, gdy rozeszły się wieści, że w ich stronę zbliżają się mroczne elfy z wrogiego domu.

Ulicą szła w ich stronę w towarzystwie dwóch czarodziejów kapłanka średniej rangi. Czarodzieje zmuszali żołnierzy do uformowania oddziałów.

- Wstawać! Już czas! Wstawać, wy rothe, i walczyć! Walczyć za dom Maerret!

Kiedy doszli do Pharauna i reszty, kapłanka zatrzymała się i zaczęła w nich wpatrywać.

- Co wy tu robicie? Nie należycie do tego oddziału. Kim jesteście?

Pharaun wykonał ten sam uspokajający gest, co wcześniej, i powiedział:

- Jesteśmy tylko przypadkowymi przechodniami, nie chcemy sprawiać żadnych kłopotów.

- W takim razie dołączcie do szeregu. Idź do przodu pomóc pozostałym czarodziejom.

- Myśleliśmy, że lepiej przysłużymy się sprawie, pomagając obserwować ten koniec drogi - odparł Pharaun, uśmiechając się szeroko. - Nigdy nie wiadomo, kiedy te cholerne krasnoludy spróbują zająć nas z flanki i wziąć z zaskoczenia.

- Wstawaj czarodzieju i dołącz do pozostałych magów. I wy dwoje! Możecie mi pomóc w zebraniu oddziałów i utrzymaniu porządku. Ruszyć zadki - natychmiast!

Pharaun widział, że Quenthel jest bliska napadnięcia na kapłankę, więc zanim zrobiła scenę, odciągnął dowódcę na bok.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - Tak naprawdę wykonujemy specjalne zadanie z polecenia matki opiekunki Drisnil Melarn. Mamy pozwolenie na to, by nie brać udziału w walkach w trakcie wypełniania bardzo ważnej misji.

- Doprawdy? - odparł zimno jeden z czarodziejów. - Cóż, Drisnil Melarn była moją matką i przypadkiem wiem, że została zamordowana przez zdrajców, zanim jeszcze zaczęła się wojna domowa. Ponieważ nie nosicie insygniów domu, zgaduję, że jesteście szpiegami, których oskarżono o spiskowanie z nią. Może nadszedł już czas, żebyście umarli.

Czarodziej z domu Melarn odsunął się, wkładając rękę w fałdy piwafwi, ale zanim Pharaun zdołał zareagować, zza pleców dobiegł go głos.

- Cześć, Q'arlynd - powiedziała Halisstra, gdy pozostali ukazali się nad pajęczą ulicą.

Czarodziej Melarn znieruchomiał, wpatrując się przez chwilę w kapłankę. Potem uśmiechnął się szeroko.

- Droga siostró - powiedział. - Myślałem, że nie żyjesz.

ROZDZIAŁ 19

- Kiedy doszło do krwawych walk, kilka matek opiekunek, w tym opiekunka Maerret, przybyło do Wiszącej Wieży i poprosiło nas o pomoc - wyjaśnił Q'arlynd. - Powiedziały, że to regularna wojna domowa, i że powstańcy rozniosą miasto, jeśli ich nie powstrzymamy. Matka opiekunka Lirdnolu wytłumaczyła mi, co się stało z domem Melarn. Wiedziałem, że matka nie żyje, słyszeliśmy też, że została zamordowana przez Ssipriinę Zuavirr, działającą w zмовie ze spiskowcami z zewnątrz, którzy chcieli doprowadzić do upadku Ched Nasad.

- I myślałaś, że ja również zginęłam - powiedziała Halisstra, kucając obok brata.

- Tak, albo wtedy, kiedy zamordowano matkę, albo wtedy, gdy dom runął w dół. Naprawdę do tego doszło? - zapytał czarodziej.

Halisstra tylko skinęła głową.

- Na Mroczną Matkę - wyszeptał.

- Rodzinne spotkanie to bardzo miła sprawa i w ogóle, ale my wciąż musimy się wydostać z miasta - przypomniał Pharaun, wstając. - Jak wygląda sytuacja? Gdzie jest najbliższe wyjście, przez które będziemy się mogli wydostać?

Q'arlynd potrząsnął głową.

- Nie ma takich, przynajmniej tak słyshałem. Wszystkie bramy są obstawione przez siły powstańców, hordy zbiegłych niewolników, albo po prostu zawały się w wyniku walk. Alchemiczny ogień pałacy kamień sieje straszliwe spusto...

- Uwierz mi, wiemy coś na ten temat - przerwał mu mistrz Sorcere. - Ale to, co mówisz, nie pozostawia nam wielu możliwości. Musimy znaleźć sposób wydostania się z miasta.

Quenthel otworzyła właśnie usta, zapewne po to, żeby kazać mu wymyślić jakiś sposób ucieczki z Ched Nasad, kiedy w dole bulwaru wybuchło jakieś zamieszanie. Pharaun odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć zrywające się z ziemi drowy. Wielu z nich zważyło się na nią z powrotem pod ciosami rosnącej w oczach zgrai szarych krasnoludów, które wyskakiwały z magicznego portalu wiszącego w powietrzu zaledwie kilka stóp nad ulicą. Duergarowie wybiegali na zewnątrz najszybciej, jak mogli, strzelając z kusz do wszystkich elfów, które znalazły się w zasięgu wzroku, po czym odrzucali broń miotającą, dobywając toporów, młotów, a co poniektórzy buzdyganów.

- Atak! Zostaliśmy zaatakowani! - podniósł się krzyk, gdy kolejne drowy podrywały się z ziemi, starając się powstrzymać natarcie szarych krasnoludów.

- Naprzód, wy krzywoni, nędzne namiastki żołnierzy, wstawać i walczyć, zanim wejdą w nas jak nóż w masło! - ryknęła kapłanka, wracając z drugiego końca ulicy i mobilizując kolejne oddziały tak szybko, jak była w stanie do nich dotrzeć. - Czarodzieju! Rzuć jakiś czar! Odeprzyj atak. Jeśli dotrą do placu, już po nas.

Pharaun westchnął i kiwnął głową, łapiąc kapłankę i obracając ją tak, by stanęła do niego przodem. Już się nie uśmiechał.

- Powiedz swoim żołnierzom, żeby wycofali się do tego miejsca - rozkazał.

- Co takiego? I pozwolę krasnoludom dojść tu bez walki? Nie sądzę.

- Zrób to albo zostaną schwytani w pułapkę. Ustaw trzy posterunki strzeleckie, tu - wskazał kilka punktów na ulicy - tam i tam.

Kapłanka patrzyła na maga tak, jak gdyby był szalony, ale w końcu kiwnęła głową i okrzyknęła zorganizowany odwrót.

Pharaun przewrócił oczyma, zniesmaczony krótkowzrocznością kapłanki, po czym sam zaczął organizować żołnierzy, dzieląc ich na trzy grupy kuszników, które ustawił we wskazanych wcześniej miejscach. Mroczne elfy coraz liczniej cofały się przed duergarami, aż w końcu zrównały się z tymi, które zajęły już pozycje i zaczęły ostrzeliwać kłębiącą się masę szarych krasnoludów, które mordowały nielicznych maruderów.

- Już po nich, - powiedział sam do siebie czarodziej.

Potem rzucił zaklęcie i w powietrzu pojawiły się ogromne pajęczyny rozciągnięte na całą szerokość ulicy, przyłączone do bruku oraz budynków po obu jej stronach. Garstka mrocznych elfów została schwytana w lepkie nici, a kilkunastu zostało odciętych po drugiej stronie, ale szare krasnoludy zostały skutecznie pozbawione możliwości posuwania się naprzód, przynajmniej do czasu, gdy przedrą się przez sieci lub czar przestanie działać.

- Chodź - powiedział Q'arlynd, zaczynając lewitować.

Pharaun wzniósł się za czarodziejem do miejsca, z którego roztaczał się ponad sieciami widok na pole bitwy, gdzie szare krasnoludy szybko powybiły te nieliczne drowy, które zostały z nimi uwięzione. Duergarowie miotali się, wyraźnie nie wiedząc, co począć. Brat Halisstry wyjął komponenty, gotowy rzucić czar. Pharaunowi wystarczył rzut oka na grudkę nietoperzych odchodów, żeby domyślić się, co zamierzał.

- Zaczekaj - powiedział Pharaun, kładąc dłoń na ramieniu Q'arlynda. - Oni czekają na coś - wyjaśnił, wskazując duergarów w dole. - Chcą, żeby szaman albo ktoś inny spróbował zniszczyć sieci. To prawdopodobnie ta sama osoba, która otworzyła drzwi między wymiarami.

I rzeczywiście, przez żarzący się portal przeszedł duergar odziany w szaty ozdobione totemami i innymi magicznymi drobiazgami. Jeden z duergarów zwrócił się do niego Pharaun nie słyszał, co mówili i wskazał sieci. Szaman kiwnął głową i zaczął czarować.

- Teraz - powiedział Pharaun.

Q'arlynd wkroczył do akcji, rzucając czar prosto w szamana. Rzut był celny. Całą stronę ulicy objęła rozgrzana do białości kula ognia, która rozděła się i wyparowała chwilę później. Wszędzie leżały zwęglone i płonące krasnoludy. Kilku pozostałych przy życiu jeszcze się poruszało, ale było ich mało i byli daleko. Najważniejsze, że ścieżka pomiędzy wymiarami przestała istnieć - znikła, kiedy zginął szaman, który ją stworzył.

Dwaj czarodzieje wrócili na ziemię, zauważając, że ognista kula Q'arlynda podpaliła sieci. Ale już tworzył się następny portal, tym razem po przeciwnej stronie ulicy. Kapłanka zbierała oddziały, aby odeprzeć nowe zagrożenie.

- Wiecie, że tylko odwlekliście to, co nieuniknione - stwierdziła Quenthel, kiedy Pharaun i Q'arlynd wrócili. - Tracimy tu tylko czas. Musimy wydostać się z miasta.

- Wiem - odparł mistrz Sorcere - ale zabawa była przednia.

- Patrzcie! - krzyknęła Danifae, wskazując nowy portal.

Z bramy wyskakiwali duergarowie, a z góry i z dołu nadciągały drowy, lewitujące z ulic na dwóch przyległych poziomach.

- To żołnierze domu Zuavirr - wyjaśniła kapłanka. - Przyparli nas do muru. - Cofnąć się - rozkazała, odwracając się, żeby wskazać kierunek, z którego przybyli wcześniej duergarowie, ale kiedy zaczęła wydawać żołnierzom rozkazy, dostała bełtem w ucho. Pocisk przeszedł na wylot i wyszedł drugą stroną głowy. Kapłanka zginęła na miejscu i zwała się nieruchomo na ziemię.

- Jesteśmy otoczeni! - zawołał Q'arlynd. - Stać i walczyć!

Wyjął różdżkę i machnął nią, wyczarowując nagłą i gwałtowną burzę odłamków lodu rozmiarów głowy Pharauna. Grad spadł na pierwsze szeregi szarych krasnoludów, powalając je na ziemię i krojąc w plasty wśród okrzyków bólu.

W odpowiedzi duergarowie zaczęli miotać dzbanami w coraz bardziej ściśnięty tłum drowów z domu Maerret, które stanowiły teraz łatwy cel. Pojawiało się coraz więcej szarych krasnoludów formujących szeregi i tworzących z przodu mur z tarcz, aby żołnierze z tyłu, strzelający z kusz i miotający dzbanami oraz zaklęciami, byli osłonięci.

Pharaun nie miał pojęcia, gdzie podzieli się jego towarzysze. Wszyscy rozproszyli się, kiedy wybuchła panika wywołana atakiem. Czarodziej nie obawiał się, że nie dadzą sobie rady, przynajmniej na razie, ale im dłużej tu byli, tym mniejsze mieli szanse na ucieczkę. Obrócił się w miejscu, szukając w gęstniejącym dymie któregoś z nich, kiedy zmaterializował się przed nim jakiś stwór, odwrócony do niego plecami.

Dzięki umiejętności wykrywania magicznych emanacji było dla niego rzeczą jasną, że stwór został skądś wezwany, najprawdopodobniej z niższych planów. Był ogromny, nieco humanoidalny, pokryty białym futrem i wyposażony w czworo ramion. Miał niskie czoło i spłaszczony nos, ale najbardziej przerażająca była w nim rozwarta paszcza i kły. Stwór odwrócił się, rycząc z wściekłości, i zauważył czarodzieja. Jego czerwone oczy zamigotały z rozkoszy, kiedy skoczył naprzód z wyciągniętymi szponami, gotowy rozerwać mistrza Sorcere na sztuki.

Pharaun usiłował zaktywizować rapier, ale demoniczny stwór dopadł go za szybko i chlasnął boleśnie przez pierś, odrzucając kilka stóp w bok. Czarodziej upadł na ziemię, ale stwór znów skoczył, uderzając go wszystkimi czterema pięściami w tors i rycząc wyzywająco.

Bogini, pomyślał z paniką Pharaun, gramoląc się do tyłu i usiłując zaktywizować rapier.

Jakiś błyskawiczny ruch przykuł uwagę maga - to Valas przemknął za plecami bestii, przejeżdżając jej kukrisami przez ścięgnię podkolanowe. Bestia zaryczała z bólu, ale - rzecz zadziwiająca - zdążyła się obrócić, zanim Valas zdołał wtopić się w otoczenie, i smagneła drobnego zwiadowcę wyciągniętymi szponami.

Pharaun usłyszał stęknienie i zobaczył, jak jego towarzysz pada na ziemię, ale dzięki temu miał dość czasu, żeby aktywować rapier. Rozkazał klindze zaatakować, a kiedy ta dźgnęła bestię pochylającą się nad Valasem, ta warknęła i obróciła się, chcąc zobaczyć, co ją zraniło. Valas poderwał się z ziemi i zniknął magowi z oczu.

Demoniczny stwór warczał i ryczał, starając się trzepnąć łapą tańczący rapier, ale ostrze było zbyt szybkie - śmigając i lawirując ugodziło go kilka razy. Białe futro stwora było już poplamione krwią płynącą z licznych ran. To rozwścieczyło stwora jeszcze bardziej i Pharaun musiał stłumić uśmiech.

Dzięki ostrzu chroniącemu go przed atakiem, czarodziej mógł rzucić czar. Pharaun wykonał gest, wymówił kilka sylab i natychmiast otoczyło go ponad pół tuzina jego kopii, migając i wirując wokół.

W tej samej chwili gliniany dzban roztrzaskał się tuż pod nogami wezwanego stwora i ten stanął w płomieniach. Potwór wrzasnął z bólu i zaczął się miotać, zmuszając Pharauna do cofnięcia się o kilka kroków, po czym puścił się biegiem, chcąc uniknąć męczarni. Oślepiiony ogniem i bólem, przeleciał przez krawędź ulicy, znikając w czeluści.

Pharaun odwrócił się, żeby ocenić sytuację na polu bitwy - jego rapier wciąż śmigał w powietrzu, szukając ofiary i mało brakowało, a zostałby skrócony o głowę przez serię wirujących ostrzy. Ten czar znał dość dobrze, ponieważ przepadały za nim kapłanki, ale wątpił, by rzucił go którykolwiek z drowów. Dwa z obracających się ostrzy rozdarły mu piwafwi i drasnęły skórę, po której pociekły szybko cienkie strużki krwi. Czarodziej odruchowo padł na ziemię, umykając przed głównym impetem czaru, choć kilka jego duplikatów zniknęło trafionych przez ostrza. Mag wytoczył się poza zasięg zaklęcia i podniósł się z ziemi.

Tuż obok zobaczył Quenthel, z różdżką w jednej, a biczem w drugiej ręce. Drowka smagała jakiegoś duergara biczem i jednocześnie kierowała za pomocą różdżki unoszącym się w powietrzu widmem młota. Mistrzyni chlasnęła szarego krasnoluda batem, po czym, wycofując się, żeby uciec przed kontratakami, opuściła młot od tyłu i grzmotnęła go nim w czaszkę. Duergar targnął się, oczy uciekły mu w tył głowy i zwałił się na ziemię.

W zasięgu wzroku maga pojawił się młynkujący Rozpruwaczem Ryld. Pharaun widział, że mistrz Melee-Magthere walczy z trzema przeciwnikami naraz, a po sposobie, w jaki posługiwali się oni bronią, mag odgadł, że wojownik trafił na fehmistrzów. Trzej napastnicy okrążali go, próbując zwodów i pchnięć, aby skłonić wojownika do nadmiernego zaangażowania się w obronę, ale Ryld utrzymywał pozycję, płynnie przechodząc z jednej postawy do następnej. Pharaun widział, że pomimo zmęczenia, o którym świadczył ciężki oddech, Ryldowi błyszczą oczy. Walka wymagała od niego ogromnego skupienia, ale fehmistrz wydawał się czerpać przyjemność z tego wyzwania.

Pomiędzy Ryldem i jego trzema przeciwnikami pojawiły się nagle czarne, wijące się macki. Pharaun patrzył, jak dwa skręcające się wyrostki wczepiają się w mistrza Melee-Magthere, podczas gdy kilka innych owija się wokół nóg i kostek jego wrogów. Wszyscy czterej walczący zostali uwięzieni, a jednak żaden z nich nie chciał opuścić miecza, żeby spróbować się uwolnić.

Pharaun, nie zwlekając, wyciągnął z piwafwi różdżkę i posłał pięć piszczących punktów świetlnych w pierwszą z dwóch macek przytrzymujących Rylda. Macka zadrgała spazmatycznie i zniknęła. Ryld szybkim ciosem miecza przeciął drugą czarną kończynę i wyskoczył w powietrze, gdy w jego kierunku wystrzeliły kolejne wijące się odnogi. Lewitując, fehmistrz uniósł się w górę, poza zasięg trzech przeciwników, którzy usiłowali się uwolnić. Zanim im się to udało, zbliżyła się do nich garstka duergarów, szyjąc w nich z kusz, i mroczne elfy wkrótce pożegnały się z życiem.

Pharaun widział, że pozycje domu Maerett zostały całkowicie opanowane. Z jednej strony nacierali duergarowie, z drugiej drowy. Walka przerodziła się w beładne starcie jakichś trzech tuzinów osób walczących o życie. Niedobitki sił domu Maerret szybko topniały. Przeciwnicy napierali na nich ze wszystkich stron i wkrótce Pharaun ponownie połączył się z towarzyszami, gdyż krąg wokół nich coraz bardziej się zacieśniał.

- Mamy coraz mniej czasu - stwierdziła Quenthel, wciąż wymachując biczem i kierując magiczne młoty przeciwko wrogom. - Zrób coś, czarodzieju!

- Wy! - dobiegł ich gniewny okrzyk zza pleców Pharauna. - Czarodziej odwrócił się, żeby

sprawdzić, kto się tak awanturuje, i tam, naprzeciw Quenthel, mierząc ich wszystkich wściekłym wzrokiem, stała Ssipriina Zuavirr. - To wy jesteście winni temu wszystkiemu! - wrzasnęła, wskazując ich uniesionym buzdyanem. - Nigdy nie powinniście byli przybywać do Ched Nasad!

- Zuavirr! - rozległ się z przeciwnej strony kolejny gniewny okrzyk, znacznie bardziej ochryply. Pharaun znów się odwrócił i zauważył wielkiego, dobrze uzbrojonego duergara, wyraźnie wysokiej rangi. - Zginiesz, głupia elfko! - zawołał szary krasnolud.

- Zdrajca! - warknęła Ssipriina. - Nie powinnam była ci ufać, Khorrlu Xornbane. Umrzesz z tymi wichrzycielami. Zabić ich! - zawołała do niedobitków swoich żołnierzy, którzy formowali szereg. - Zabić ich wszystkich!

- Śmierć wszystkim drowom! - ryknął Khorrl Xornbane, dając znak do ataku garstce swoich podkomendnych.

Pharaun zwiesił ramiona.

Nigdy się stąd nie wydostaniemy, pomyślał, obracając swój magiczny rapier.

* * *

Gęsty czarny dym unoszący się znad płonących skał oślepił Rylda, ograniczając widoczność do zaledwie kilku stóp w każdą stronę. Na polu bitwy zrobiło się nagle cicho. Skończyły się eksplozje, skończyły się wybuchy pocisków zapalających. Słyszał tylko szcęk żelaza uderzającego o żelazo, ale nawet ten dźwięk znacznie przycichł.

Wojownik zrobił krok naprzód, wychodząc naprzeciw pędzącemu na nich oddziałowi szarych krasnoludów. Po jego lewej ręce Halisstra również stanęła do walki, dzierżąc ciężki buzdyan i budzącą respekt tarczę z mithralu. Quenthel, która zajęła pozycję po drugiej stronie wojownika, machnęła na próbę biczem, ruszając do przodu.

Duergarowie, dziesiątki duergarów, rozproszyli się, wychodząc im na spotkanie, a w ich oczach widać było wyraźnie żądzę mordy. Dwóch rzuciło się prosto na Rylda z uniesionymi wysoko toporami. Fehmistrz sparował pierwszy cios wymierzony w jego ramię i uskoczył w bok przed cięciem w kolana, które zadał drugi napastnik. Następnie opuścił wielki miecz, trafiając w stylisko topora i przecinając je bez trudu, ale zaraz potem musiał przenieść ciężar ciała, aby umknąć przed pchnięciem sztyletem w żebra, przez co prawie stracił równowagę. Obracając się, wymierzył kopniaka obutą stopą, trafiając krasnoluda w nadgarstek i posyłając sztylet w powietrze.

Za plecami Rylda pojawił się trzeci duergar, wywijając nad głową kawałkiem łańcucha. Ryld zauważył, że przeciwnik spogląda mu na nogi, więc kiedy ten zaatakował, zdołał wyskoczyć wystarczająco wysoko w górę, żeby metalowe ogniwa chybiły i przeleciały po bruku. Ryld zdołał wykonać w pół skoku pełny obrót i wyrzucił klingę w żeleźce topora pierwszego krasnoluda nie udało mu się wybić mu go z ręki, ale przynajmniej wytrącił go z równowagi. Łądując, fehmistrz znów zawinął Rozpruwaczem, mierząc w gardło krasnoluda z łańcuchem. Duergar odskoczył do tyłu, po czym zeszywniał z bólu, gdy głowica buzdyanu Danifae wyrzuciła go w czaszkę w deszczu magicznych iskier. Humanoid osunął się na ziemię, a Danifae okrzyknęła, żeby zaatakować następnego wroga.

Ryld znów wymanewrował tak, żeby stanąć twarzą do swojego pierwszego przeciwnika, który odzyskał już równowagę i zamierzał się na niego toporem. Jego towarzysz, z ręką zwisającą bezwładnie wzdłuż ciała, wygrzebał skądś mniejszy toporek i okrążył Rylda, wciąż starając się dostać za jego plecy. Ryld zrobił krok w tył, jak gdyby nie chciał zostać otoczony, blokując niedbale kilka ciosów topora. W końcu, widząc, że pierwszy krasnolud odchyła się do tyłu, żeby zadać kolejny, jeszcze potężniejszy cios, włożył palce stopy w zwoje łańcucha, którym wymachiwał powalony krasnolud, i podrzucił go w górę. Wystrzelając w górę, łańcuch trafił humanoida prosto w twarz. Duergar targnął się i chybił.

Widząc, że ręczny toporek zbliża się do jego ramienia, mistrz Melee-Magthere uchylił się, po czym ciął od dołu, przecinając duergarowi rękę w łokciu. Wyjął z bólu, krasnolud zatoczył się w bok, wyniesiony impetem ciosu w bezpieczne miejsce. Ryld pozwolił, by siła zamachu obróciła go dookoła, po czym wparł się nogami w ziemię, znów zwrócony twarzą do pierwszego przeciwnika, który wyplątał się z łańcucha i odrzucił go na bok.

Ryld kilka razy zmienił uchwyt na rękojeści miecza, okrążając krasnoluda i mierząc go nieufnym wzrokiem. Fehmistrz zadał bez przekonania kilka cięć i pchnięć, tak naprawdę niezbyt groźnych, chcąc wy badać przeciwnika i to, czy jest on skłonny wejść w ostrzejsze zwanie. Szary krasnolud cofał się po

każdym ciosie i paradzie, więc mistrz Melee-Magthere wiedział, że duergar wkrótce przerwie walkę, o ile tylko liczba otaczających go towarzyszy dostatecznie zmaleje.

Ryld znów zaatakował, trzymając ostrze nisko i prosto przed sobą, a duergar zrobił kolejny krok do tyłu. Wtedy z cienia wyłonił się Valas, który przeciągnął krasnoludowi kukrisem przez ścięgna podkolanowe. Kiedy pod duergarem ugięły się kolana, zwiadowca wyprostował się i wbił mu drugie ostrze w pierś. Krasnolud wydał z siebie bulgot, zadygotał i runął na ziemię.

Gdy tylko zagrożenie zostało wyeliminowane, mistrz Melee-Magthere zainteresował się czymś innym. Dostrzegł Jeggreda, który właśnie rozszarpywał jakiegoś duergara. W zasięgu wzroku widać było jeszcze tylko dwóch innych krasnoludów, którzy starali się dosięgnąć draeglothę, ale Ryld wątpił, by mogło to długo potrwać. Kolejny mroczny elf odpierał ataki rapiera Pharauna, ale Quenthel zaszła go z boku i smagnęła biczem, pozwalając węzowym głowom zatopić się głęboko w jego karku. Ukąszony drow targnął się, zapominając o rapierze, który wbił mu się w oko.

Kolejny wróg ścierał się z Halisstrą, która odbiła właśnie dwa potężne ciosy tarczą z mithralu. Kiedy atakujący ją mroczny elf uderzył po raz trzeci, użyła tarczy, aby odchylić atak i wytrącić przeciwnika z równowagi, po czym zadała buzdyganem paskudny cios od dołu, prosto w podbródek. Rozległ się głośny huk, jak gdyby ktoś uderzył w bęben - magiczny dźwięk znacznie głośniejszy niż zwykle uderzenie metalu o kość - i drow osunął się na ziemię ze zgruchotaną szczęką.

Ryld rozejrzał się po polu bitwy, oddychając ciężko. Oprócz sześciorga jego towarzyszy i brata Halisstry przy życiu pozostał może z tuzin wyczerpanych drowów i duergarów, którzy przerwali na chwilę walkę i obserwowali pojedynek dowódcy duergarów z Ssipriiną Zuavirr. Szary krasnolud i matka opiekunka okrążali się wśród unoszącego się zewsząd dymu, który przesłaniał wszystko poza kręgiem, jaki tworzyli Menzoberranzańcy i trójka pozostałych przy życiu członków domu Melarn.

- Teraz mamy szansę - powiedział Pharaun stojący obok fechmistrza. - Chodźmy.

- Nie! - odezwały się jednocześnie Quenthel i Halisstra.

- Dopóki nie zginie - dodała córka Drisnil Melarn.

Mistrzynie Arach-Tinilith przyznała jej rację skinieniem głowy.

- Jeśli go zabije, my skończymy z nią.

Pharaun jęknął.

- To nie jest najodpowiedniejsza chwila na zemstę, pani.

Ssipriina zamarkowała cios buzdyganem, a kiedy szary krasnolud wywinął się, drowka wysunęła ukrytą w dłoni różdżkę i wycelowała z niej we wroga. Z koniuszka magicznego przedmiotu wystrzelił cienki promyk zielonkawego światła, trafiając duergara prosto w pierś. Szary krasnolud chwycił się za tors i krzyknął. Upadł na jedno kolano z jękiem, a Ssipriina pochyliła się nad nim.

Duergar zniknął.

Prychając z wściekłością, matka opiekunka wyrznęła buzdyganem w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą klęczał jej wróg, ale trafiła w bruk. Obracając się, zaczęła zadawać ciosy na oślep, zdając się na szczęśliwy traf, ale nie udało jej się dosięgnąć przeciwnika.

Dowódca szarych krasnoludów pojawił się znowu, gdy Ssipriina obróciła się do niego plecami. Uniósł wysoko topór, ale jego okrzyk bojowy ostrzegł drowkę, która miał dość czasu, żeby umknąć przed najgorszym. Żeleźce, zamiast wbić jej się w czaszkę, rozorało jej łopatkę w rozbryzgu krwi.

Matka opiekunka krzyknęła i padła plackiem na ziemię. Przetoczyła się w bok, a Khorrl wzniósł topór do kolejnego ciosu. Kiedy obróciła się twarzą do niego, wypaliła w niego z różdżki kolejnym promieniem.

Stęknąwszy, Khorrl Xornbane upuścił topór i złapał się za żołądek, po czym zwałił się na ziemię, wydając z siebie gulgoczący dźwięk - umierał.

Quenthel i Halisstra podeszły do Ssipriiny, która usiłowała się podnieść, ściskając zranione ramię zdrową ręką. Quenthel stanęła z jednej strony matki opiekunki i smagnęła ją biczem. Kły węży wgrzyły się w ciało drowki, która zaskrzeczała z bólu, po czym spróbowała się obrócić i wycelować różdżką w wysoką kapłankę. Jednak Halisstra była na to przygotowana - z całej siły uderzyła buzdyganem w rękę Ssipriiny. Chrupnięcia łamanej kości nie można było pomylić z niczym innym.

Wszędzie wokół nich duergarowie i drowy znów rzucili się do walki i Ryld musiał uskoczyć przed atakiem jednego z elfów. Fechmistrz uklęknął na jedno kolano i wbił sztych Rozpruwacza w brzuch napastnika. Drow rzygnął krwią i osunął się na kolana, wpatrując się w miecz wystający mu z żołądka. Ryld beznamiętnie oparł but o klatkę piersiową elfa i wyrwał miecz, po czym obrócił się, żeby

sprawdzić, co robią kobiety. Ciało jego przeciwnika osunęło się na ziemię.

Quenthel trzymała Ssipriinę za włosy, podrywając jej głowę do góry. Oba ramiona matki opiekunki były bezwładne, tak że nie była w stanie ich unieść, żeby się bronić - a trucizna zaczynała już działać.

- Przestańcie! - krzyknęła Quenthel do walczących. - Przestańcie walczyć, natychmiast! Duergarowie i drowy zaczęli się powoli wycofywać, patrząc na Quenthel.

- Dostyc tego! - zawołała mistrzyni Arach-Tinilith, a jej głos odbił się echem wśród mgły. - To nie ma sensu. Miasto płonie i musimy się stąd wydostać. Jeśli tu zostaniecie, próbując się nawzajem pozabijać, doprowadzicie tylko do własnej śmierci. Drowy tak nie postępują i trudno mi sobie wyobrazić, żeby postępowali tak duergarowie.

Wszędzie dookoła rozległy się szepty, mroczne elfy i krasnoludy przyglądały się sobie z nienawiścią, ale Ryld widział, że więcej niż kilka z nich kiwnęło głowami, przyznając Quenthel rację.

- Jeśli chcecie przeżyć, rozejdźcie się, zanim całe to...

Pajęcza ulica zatrzęsała się gwałtownie. Ryld, klęczący już na jedno kolano, zdołał utrzymać równowagę. Rozejrzał się wokół niepewnie. Cała zwapniała nie straciła stabilność i przechylała się ostro w jedną stronę. Ryld wiedział, że zostało im już niewiele czasu, i zaczął lewitować. A potem, kiedy kolejny wstrząs znów przesunął pękający bruk, zobaczył to coś, co powodowało drgania.

W ich stronę biegł gigantyczny pająk. Za nim opuszczał się w dół drugi, rozwijając w locie nieć.

Szlag by to trafił, pomyślał Ryld. To się już nigdy nie skończy.

Wojownik rozejrzał się dookoła, patrząc, dokąd uciekać przed zbliżającymi się bestiami.

Przy boku fechmistrza pojawił się Pharaun, który unosił się w powietrzu, przyglądając się nadbiegającym pająkom.

- Chyba mam już tego dość - skomentował sucho czarodziej, pozwalając, by magiczny rapier zniknął w pierścieniu.

Ryld zobaczył Quenthel i Halisstrę, które wciąż stały nad konającą powoli Ssipriiną. Wskazał je Pharaunowi.

- Jeszcze nie wiedzą - powiedział, opadając z powrotem w dół. - Musimy je ostrzec!

Kiedy znalazł się już na ulicy, pomknął w ich stronę, starając się nie stracić równowagi.

- Pająki! - wrzasnął, zbliżając się do nich i wskazując palcem stwory.

Quenthel uniosła głowę i wytrzeszczyła oczy. Obok niej z dymu wyłonił się Jeggred z futrem zlepionym zeschniętą krwią.

- Wciąż nie wiemy, dokąd uciekać - zauważył Pharaun z nutką rozpaczy w głosie, dołączając do Jeggreda. - Najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić, to zeskoczyć w dół.

- Użyj swojej magii - rozkazała Quenthel. - Wydostań nas stąd!

Pharaun rozłożył bezradnie ręce.

- Uwierz mi, mistrzyni - rzekł - gdybym znał jakiś sposób, już bym z niego skorzystał. Nic mi już nie zostało. Nie mogę wyczarować portalu siłą woli.

Pierwszy pająk był już blisko, więc Jeggred ruszył w jego stronę, zdecydowany stanąć pomiędzy nim i swoją panią. Skądś pojawił się też Valas ciągnący za rękę Danifae. Branka miała szerokie rozcięcie na czole i krew zalewała jej oczy, utrudniając patrzenie.

- Zaczekajcie - powiedziała Ssipriina, łapiąc z trudem powietrze, gdyż trucizna ścisnęła jej gardło. - Znam... wyście. Uratujcie mnie... przed... trucizną...

- Co? - zapytał Pharaun. - Gdzie? Zabierz nas tam!

- Gadaj, łajdaczko! - zażądała Quenthel.

- Wisząca... Wieża - wydusiła z siebie umierająca matka opiekunka. - Stary... nieużywany... uśpiony portal. Trucizna... proszę...

Lekceważąc błagania Ssipriiny, Quenthel odwróciła się do Pharauna i zapytała:

- Potrafisz go aktywować?

- A niech mnie, spróbuję - odparł Pharaun. - Gdzie?

- Tam... - wyszeptała Ssipriina, patrząc w górę.

Ryld podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył nad głową wielki, podobny do stalaktytu budynek, przypominający odwróconą wieżę jak wiele rezydencji w Menzoberranzan. Jęknął.

- Nie mamy dość czasu, żeby się tam dostać! - zawołał Pharaun.

- Jak to? - zapytał Q'arlynd Melarn, unosząc się w powietrze, żeby zademonstrować. - Możemy

lewitować!

- Nie wszyscy to potrafimy - odparł z rozpaczą Pharaun. - Jak już zauważyłem dziś kilka razy, skończyły mi się czary transportujące.

- Branka zostaje - zarządziła szorstko Quenthel. - Przykro mi, ale tak musi być.

Danifae osunęła się na kolana, spuszczać głowę. Wydawało się, że pogodziła się ze swoim losem, ale Ryldowi było żal drowki. Jak gdyby dla podkreślenia upływu czasu, kamienie pod ich stopami drgnęły. Ryld uniósł się w górę, żeby nie stracić równowagi, i wszyscy poszli w jego ślady, wszyscy oprócz Valasa i Danifae.

Q'arlynd potrząsnął głową.

- Nie wiedziałem - powiedział, wzruszając ramionami.

- W drogę.

- Zaczekajcie! - zawołała Halisstra. - Potrafię przenieść tam nas wszystkich - zaofiarowała się kapłanka.

Pharaun i Quenthel odwrócili się i spojrzeli na nią.

- Potrafisz? - zapytał czarodziej.

- Tak - potwierdziła Halisstra, kiwając głową. - Trochę interesuję się magią. Robię to inaczej niż ty, ale niektóre rzeczy są podobne. Ryld twierdzi, że przepadasz za portalami między wymiarami. Potrafię je otwierać.

Pharaun ponaglił ją gestem.

- Otwórz go na główną galerię - krzyknął do Halisstry Q'arlynd, wskazując palcem w górę. - Tam, gdzie cię wtedy zabrałem, pamiętasz?

Kolejny wstrząs zatrzęsł pajęczą ulicą, która zaczęła się gwałtownie kolebać. Danifae i Valas rozciągnęli się jak dżdżycy na ziemi i mało brakowało, a wypadliby przez krawędź. Pierwszy pajak był już blisko i Jeggred zaatakował, unosząc się w górę, żeby uderzyć go w głowę. Ryld rozejrzał się błędnym wzrokiem, gdy pajak wspiał się na tylne odnóża i kłapał szczękoczułkami, znów kołysząc całą ulicą.

Najgłośniejszy grzmot, jaki do tej pory słyszeli, wstrząsnął całym bulwarem, który zaczął pękać.

- Zaraz runie! - krzyknął Ryld.

- Kapłanko, otwórz swój portal! - wrzasnął Pharaun, gdy pod wpływem kolejnego drgania oderwał się fragment ulicy zaledwie kilka stóp od nich. - Zaraz spadniemy!

- Nie! - krzyknęła Ssipriina, ściskając w obu dłoniach różdżkę, którą pokonała Khorrla Xornbane'a. Drowka stała na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi.

Wybelkotała coś i wycelowała różdżką w Halisstrę. Szary okrucień światła uderzył kapłankę w nogę, elfka z bólu zgięła się w pół.

- Umrzecie... razem... ze mną - wydukała oszalała matka opiekunka, mierząc różdżką w Quenthel. - Nikt... nie ujdzie... z życiem!

Quenthel nie mogła uciec, ponieważ unosiła się w powietrzu, wpatrywała się więc w rozwścieczoną elfkę, oblizując wargi z rozpaczy.

- Nie! - krzyknęła Halisstra, prostując się.

Zanim Ssipriina zdążyła ponownie użyć różdżki, kapłanka okrzykiem się obróciła, uderzając trzymanym oburącz buzdyganem. Trafiła matkę opiekunkę prosto w twarz. Rozległ się głośny huk i Ssipriina poleciała kilkanaście stóp w tył ze zmiażdżoną na miazgę twarzą.

- Do Otchłani z tobą! - krzyknęła Halisstra do martwego ciała Ssipriiny Zuavirr.

Stękając i trzymając się za nogę, Halisstra tknęła zakłęcie na przechylającej się ulicy. Śpiewała, a jej wibrujący głos unosił się ponad rykiem bitwy. Ryld nigdy dotąd nie słyszał takiego dźwięku. Śpiewała na jednej nucie, idealnie czysto, i w powietrzu przed nią otworzyła się białobłękitna brama.

- Jeggred! Wracaj! - zawołała Quenthel, ruszając w stronę portalu.

Draegloth przestał atakować pajaka i czmychnął. Kiedy dołączył do reszty, złapał Valasa, a Halisstra pomogła Q'arlyndowi podtrzymać Danifae. Pharaun skoczył w otwór. Ryld był tuż za czarodziejem, żeby chronić go przed czymś, co mogło czekać po drugiej stronie. Wojownik wkroczył w magiczną bramę w tej samej chwili, w której ulica oberwała się i runęła w ciemność. Miał nadzieję, że pozostali są tuż za nim.

ROZDZIAŁ 20

W chwili, w której portal się otworzył, Pharaun dał nura do środka, mając nadzieję, że dobrze robi, zawierzając swoje życie dzieciom domu Melarn. Z tego, co wiedział, Halisstra mogła wybrać właśnie ten moment, żeby zemścić się na Menzoberranzancykach za wszystkie krzywdy, jakie wyrządzili jej rodzinie, domowi i jej samej. Z pewnością miała do tego prawo.

Portal nie prowadził jednak do żadnego rozpalonego pieca ani otchłani piekielnej. Czarodziej znalazł się w elegancko urządzonej sali, tyle że oko w oko z wielkim, śliniącym się jaszczurem o niewiarygodnie ostrych zębiskach. Gad zauważył maga i zaczął się skwapliwie zbliżać, przyglądając mu się tak, jak gdyby ten miał stanowić jego następny posiłek.

Mag zareagował natychmiast rzucił się do tyłu, poza zasięg stwora, i siłą umysłu rzucił czar, który spowodował, że w powietrzu pojawiły się ogniste kule. Kiedy jaszczur skoczył ku niemu, Pharaun skierował krzeszące iskry sfery w jego stronę. Bestia targnęła się i cofnęła, Pharaun władował w nią po kolei wszystkie kule. Po czwartej stwór rozłożył się jak długi na ziemi, zadrgał kilka razy i znieruchomiał.

- Co to ma być, na Otchłań? - zapytał Ryld, wyskakując z portalu z Rozpruwaczem w garści. - Jesteśmy we właściwym miejscu?

- Na szczęście tak - odparł Pharaun, zrywając się z posadzki. Drzenie, które przeszło przez cały budynek, sprawiło, że zatoczył się do przodu. - Ponieważ Halisstra nie była tu nigdy przedtem, mogła niestety nie wiedzieć o strzegących to miejsce zwierzętach. Albo Q'arlynd zapomniał nas ostrzec.

- Na Mroczną Matkę! - zawołała Danifae, która zauważyła bestię, wyskakując na korytarz. W mgnieniu oka dobyteła morgenszterna. - Jest martwy?

- Mam taką nadzieję - powiedział Valas, który pojawił się zaraz po niej.

Zwiadowca wpatrywał się w martwego jaszczura, trzymając w obu dłoniach kukrisy. Korytarz znów się zatrzęsł i część ściany zawaliła się, odsłaniając przed nimi widok na miasto. Wszyscy rozstawili szeroko nogi, żeby utrzymać równowagę.

Jedno za drugim, reszta towarzyszy przeszła przez portal i dołączyła do nich. Jako ostatni wyskoczył z niego Jeggred.

- Całe miasto się wali - oznajmił draegloth. Kiedy znalazł się już po drugiej stronie, Halisstra pozwoliła bramie zniknąć. - Spadające kamienie wprawiają całą jaskinię w drzenie.

Demon powiedział to zbyt obojętnie jak na gust czarodzieja.

Brat Halisstry rzucił czar, którego Pharaun nie rozpoznawał. Rozglądając się dookoła, zaczął emanować aurą magii objawień - powiedział to Pharaunowi jego pierścień - prawie tak, jak gdyby węszył za czymś.

- Uspiony portal jest tam - powiedział Q'arlynd, wyprowadzając grupę na korytarz. - Idźcie za mną.

Towarzysze ruszyli za czarodziejem z domu Melarn, minęli kilka korytarzy, kilka klatek schodowych i weszli w korytarz, po którym widać było, że nie był używany od dłuższego czasu. Kilka razy w ciągu podróży budynek zatrzęsł się, ale były to głębsze pomruki, wprawiające w drzenie cały Podmrok.

- Jeśli się nie uda... - zaczęła Quenthel.

- Uda się - przerwał jej Pharaun. - Będę potrzebował trochę czasu, żeby go zbadać, ale się uda.

- Obyś miał rację, czarodzieju - wymruczała wysoka kapłanka.

Q'arlynd poprowadził ich do końca korytarza i zatrzymał się przed otwartym przejściem na jego końcu.

- Jest tutaj - powiedział - ale jest magicznie zapieczętowany i osłonięty ochronnymi glifami. Nie potrafisz się do niego dostać.

Pharaun ukląkł, aby zbadać przejście. Bariera pomiędzy korytarzem i większą komnatą po drugiej stronie była niewidzialna, ale mocna. Pharaun widział, że promieniuje magią i powiadomił o tym resztę.

- Gdybym dysponował odpowiednimi czarami - powiedział mistrz Sorcere - mógłbym ją unicestwić w ciągu kilku sekund, ale w tej sytuacji nie mogę nic zrobić, dopóki nie odpocznę i nie odświeżę moich zaklęć.

- Masz jeszcze jakieś inne magiczne portale do dyspozycji? - zapytała Halisstrę Quenthel.

Kapłanka potrząsnęła żałośnie głową, wyciągając rękę, żeby się przytrzymać, gdy kolejny grzmot zakołysał pomieszczeniem i wszystkimi, którzy się w nim znajdowali.

- Co w takim razie zrobimy, czarodzieju? - zapytała mistrzyni Arach-Tinilith. - Nie możemy tu siedzieć beczynn timer, kiedy ty będziesz odnawiał swój magiczny potencjał.

- Co prawda, to prawda - odparł mag. - Daj mi trochę czasu.

- Mizzrym, nie mamy czasu!

Kiedy Pharaun zastanawiał się nad ich położeniem, budynek znów się zatrzęsł, tym razem jeszcze gwałtowniej. Wszyscy znaleźli się na podłodze, a za ich plecami runął w dół wielki kawał sufitu, zasypując korytarz gruzem.

- To zaczyna być męczące - poskarżyła się Quenthel, wstając z ziemi z twarzą wykrzywioną strasznym grymasem. - Nie zamierzam umrzeć jak jakieś zwierzę w klatce. Nie po tym wszystkim, co przeszłam.

Jeggred wydał z siebie głęboki pomruk, skoczył na drzwi i zaczął atakować niewidzialną barierę, bezskutecznie drapiąc ją pazurami. Przez jego ciało przebiegło z trzaskiem wyładowanie elektryczne, ale draegloth nie przestał rzucać się na nią raz za razem. Jego wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów.

- Jeggred, przestań! - powiedziała w końcu Quenthel. - Nie pomagasz nam.

Draegloth cofnął się z kolejnym gardłowym pomrukiem.

- Jeśli się tam nie dostaniemy - powiedziała do Pharauna Danifae, akcentując każde słowo dla większego efektu - zostaniemy starci na proch. Zrób coś!

- Dobrze, już dobrze - odparł mag, unosząc w górę dłoń. - Problem polega na tym, że nie mamy jak otworzyć drzwi od środka. Magia, przez którą jesteśmy tu odcięci, nie pozwala mi użyć nawet prostego zaklęcia. Gdybym znajdował się po drugiej stronie, mógłbym usunąć barierę ręcznie, ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. To wszystko. Taka prosta sztuczka, a jednak...

Spojrzał na nich wszystkich z zalem.

- Zaczekaj - powiedział Ryld, podchodząc do czarodzieja. - Cofnij się.

Fechmistrz uniósł Rozpruwacza wysoko nad głowę i z całej siły uderzył nim w barierę. Zaczarowany oręż rozplątał ją w rozbłysku światła, a Pharaun zobaczył, jak magiczne emanacje pieczęci rozplywają się. Klinga rozproszyła magię.

- Lolth niech będą dzięki - powiedział ktoś, gdy cała grupa wpadła do komnaty po drugiej stronie.

- W porządku, czarodzieju, zabierz nas stąd - ponagliła go Quenthel zrozpaczonym tonem. - I pospiesz się!

- Zaraz się stąd wydostaniemy - zapewnił Pharaun, gestem prosząc Q'arlynda, żeby wskazał mu drogę.

Czarodziej z domu Melarn wprowadził grupę do wielkiej komnaty, która przypominała wyglądem bibliotekę, choć wszystkie półki były puste. Pod ścianami stało kilka posągów. Q'arlynd zaprowadził ich przed jedną ze ścian na tyłach komnaty. Znajdowało się tam sklepione przejście, ale w tej chwili nie prowadziło ono donikąd - było wypełnione ociosanymi kamiennymi blokami. Żarzyło się jednak blado dweomerami przeniesienia.

- Tutaj - oznajmił.

- Doskonale! - odparł Pharaun i szczerząc zęby, przyjrzał się dokładnie. - Będę potrzebował chwili, żeby...

Słowa maga zagłuszyło kolejne drżenie podłogi. Za nim rozległo się kolejne, a potem następne, brzmiące zdecydowanie inaczej niż wcześniejsze wstrząsy. Zerknąwszy przez ramię, Pharaun jęknął. W ich stronę, powoli, acz nieubłaganie, kroczył ogromny żelazny posąg, a przy każdym jego kroku podłoga trzeszczała od jego ciężaru.

- Niech Lolth ma nas w swojej opiece - wyjąkał Ryld, przysiadając. - Co to takiego?

- Magiczny konstrukt - odpowiedział Pharaun. - Golem. Nie potrafię nic zrobić.

Ryld skoczył naprzód, żeby ciąć ogromną istotę mieczem. Jego klinga uderzyła golema w bok i odbiła się.

- Jeśli odetchnie, nie wdychajcie oparów! - krzyknął Pharaun.

Jeggred warknął i rzucił się na golema z pazurami. W odpowiedzi wielki posąg machnął potężną pięścią, trafiając draeglotha w zębra. Jeggred przeleciał przez pokój z bolesnym stęknieniem i wyładował na czworakach, potrząsając głową.

Ryld znów natarł, uważając na wielki miecz w drugiej ręce golema. Kiedy ten się odsłonił, fechmistrz przyskoczył, tnąc z zamachu w metalową powłokę. Rozpruwacz skrzesał iskry, wycinając głęboką bruzdę w boku golema. Fechmistrz obrócił się i kucnął, starając się trzymać za plecami stwora.

Kolejny wstrząs zakołysał komnatą i za plecami golema zawałała się część sufitu, rozbijając regały w drzazgi. Pharaun upadł na jedno kolano, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że część komnaty po przeciwnej stronie nie tyle się zawałała, co oderwała i znikła. Wisząca Wieża rozsypywała się tak samo jak wcześniej dom Melarn. Za poszarpaną krawędzią komnaty Pharaun widział zasnutą dymem lunę nad płonącym miastem. Rzeczywiście nie mieli już czasu.

- Zapomnij o walce! - rozkazała Quenthel, łapiąc czarodzieja za kołnierz piwafwi i odwracając go twarzą do siebie. - Otwórz tylko portal. Już!

Pharaun kiwnął głową i odwrócił się, a Jeggred jednym skokiem znalazł się znów u boku Rylda. Valas, Halisstra i Q'arlynd również okrążali statwę. Każde z nich czekało, aż stwór skupi się na jednym z nich, żeby zaatakować. Ignorując toczącą się za jego plecami walkę, Pharaun skoncentrował się na oględzinach magicznego portalu. Potrzebował czasu, żeby ustalić, jakim kluczem go aktywować.

- Pospiesz się! - poleciła Quenthel, spoglądając mu nad ramieniem.

Pharaun obdarzył wysoką kapłankę bardzo znaczącym spojrzeniem.

- Nie poganiaj mnie - powiedział stanowczo i zajął się z powrotem badaniem portalu.

Za jego plecami rozległ się głęboki jęk i Ryld zwałił się pod ścianą. Fechmistrz potrząsnął głową, najwyraźniej starając się strzepnąć pajęczyny, ale zaraz wstał.

- Pospiesz się! - syknął fechmistrz. - Nie wiem, jak długo zdołamy go od ciebie odciągać.

Pharaun przewrócił oczyma i znów zajął się powierzonym mu zadaniem. Upadł na bok, gdy podłoga podskoczyła z kolejnym grzmiącym dygotem.

- Już prawie mam - oznajmił mistrz Sorcere i połowa ściany tuż obok portalu eksplodowała gradem odłamków skalnych i pyłem.

Fragmenty odprysków uderzyły w czarodzieja, który stracił oddech i runął jak długi na ziemię. Pharaun poczuł, jak ta się przesuwająca, nie od wstrząsów, ale ponieważ cały budynek się przechylał. Wiedział, że dom wkrótce się oderwie, grzebiąc ich szanse na wydostanie się z miasta.

Mag z trudem przybrał pozycją siedzącą i rozejrzał się dookoła. To, co zostało z komnaty, było znacznie mniejsze niż poprzednio. Żelazny golem zachwiał się na skraju posadzki, po czym zrobił krok w kierunku najbliższego wroga. Kamienie pod jego stopami zatrzęszczały. Wszyscy członkowie grupy leżeli na ziemi, zakopani do połowy w gruzie i pyle, a zaraz za Valasem podłoga urywała się, przechodząc w próżnię. Skała znów zatrzęszczała i poruszyła się, gdy golem zrobił krok w stronę zwiadowcy, który zaczął się zsuwać w stronę krawędzi.

- Jeggred! - wrzasnął Pharaun. - Łap Valasa!

W chwili, w której wymówił te słowa, Valas, który sprawiał wrażenie zamroczonego, dotoczył się do krawędzi, przeleciał przez nią i zniknął im z oczu.

Draegloth, przysypany sporą ilością gruzu, wydał z siebie warknięcie tak wściekłe, że zmroziło Pharaunowi krew w żyłach. Wygramoliwszy się z rumowiska, rozwścieczony demon jednym skokiem pokonał dystans dzielący go od krawędzi i rzucił się w dół za zwiadowcą.

Golem zamachnął się mieczem, ale był zbyt wolny. Ponieważ Jeggred zniknął mu z oczu, golem skupił się na następnej ofierze. Tuż obok, twarzą do ziemi, leżał nieruchomo Q'arlynd Melarn. Nieco dalej, przygwożdżona strzaskanymi resztkami regału, leżała Danifae z krwawiącym obficie czołem. Golem zrobił kolejny krok, a Pharaun prawie się przewrócił, gdy podłoga zatrzęszczała i zadygotała.

Nie uda nam się, pomyślał mag, usiłując wymyślić jakiś sposób odciągnięcia golema od nieprzytomnej pary.

Kątem oka Pharaun zauważył, że Ryld wstaje.

- Pomóż im! - krzyknął czarodziej do przyjaciela, wskazując Danifae i Q'arlynda.

Fechmistrz miał głębokie rozcięcie na czole, ale jego czerwone oczy patrzyły bystro. Kiedy mężczyzna zauważył golema zbliżającego się do branki i maga Melarnów, kiwnął głową.

Pokój przechylił się jeszcze bardziej i Pharaun zsunął się kilka stóp w dół podłogi. Przed nim ziała czerń przepastnej jaskini. Zignorował ją i spojrzał na Rylda.

Fechmistrz oceniał odległość dzielącą go od golema, który był już tak blisko Danifae, że uniósł wysoko miecz, gotując się do zadania śmiertelnego ciosu. Ryld skoczył naprzód, nacierając najszybciej, jak potrafił, w czym pomogło mu nachylenie podłogi. Kiedy znalazł się kilka stóp od golema, wyskoczył w powietrze, wyprostował obie nogi i z całej siły kopnął stwora w brzuch. Siła ciosu odrzuciła fechmistrza w górę podłogi, ale wydawało się, że golem ani drgnął.

Ale zaraz potem Pharaun zauważył, że się chwieje. Ożywiony posąg zrobił krok do tyłu, żeby

złapać równowagę, i gdyby podłoga była równa, pewnie by mu się to udało, ale jego własny ciężar w połączeniu z nachyleniem podłogi przeważał go. Kolejny krok w tył i chwiejący się posąg znalazł się na samej krawędzi. Komnata znów się przechyliła. Golem zrobił jeszcze jeden krok i ten ostatecznie go przeważał. Posąg upadł na jedno kolano i wyciągnął ramiona w stronę Q'arlynda, który kręcił głową, odzyskując przytomność.

Spękany kamień nie był już w stanie utrzymać dłużej ciężaru golema i załamał się. Mimo to konstruktor uchwycił się czarodzieja, ściskając go mocno. Q'arlynd wrzasnął z bólu. Ryld zrobił dwa kroki do przodu, żeby ratować maga, ale Q'arlynd i golem powoli zsunęli się poza krawędź, znikając im z oczu.

- Nie! - krzyknęła Halisstra z drugiej strony pokoju.

Drowka podbiegła do krawędzi, ale fehmistrz złapał ją i przytrzymał, potrząsając głową.

Przygnębiony Pharaun odwrócił się w stronę portalu. Wydawało mu się, że go rozgryzł i wyciągał już rękę, gotowy aktywować jego magię, ale zawahał się. Coś było... nie tak. Pokój znów się przechylił i czarodziej musiał zacząć lewitować, żeby utrzymać pionową pozycję. Z tyłu dobiegł go przerażony krzyk jednej z elfek, ale zlekceważył go. Wpatrując się w magiczne emanacje, uświadomił sobie, że widzi coś iluzorycznego. Nie zauważył tego wcześniej, ale teraz, kiedy już wiedział, czego szukać, widział wszystko znacznie wyraźniej.

- Pharaun! - wrzasnęła Quenthel, gdy wszyscy zebrali się wokół niego. - Jeśli potrafisz go aktywować, zrób to! Całe miasto się wali!

Czarodziej pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to, co miał przed chwilą zamiar zrobić, i zaczął rzucać czar, zaklęcie, za które był wdzięczny, choć nie spodziewał się, że będzie mu dziś potrzebne. Wyłowił z jednej ze swoich licznych kieszeni maść i maznął jej odrobiną obie powieki. Nagle wszystko, co dotyczyło sklepionego przejścia, stało się widoczne. Widział runy wyryte w otaczających portal kamieniach, ukryte dotąd przed jego wzrokiem. Rzucił następny czar, aby odcyfrować pismo, i znalazł to, czego szukał. Pismo zawierało słowo-wyzwalacz.

- Mam! - krzyknął. - Przygotujcie się!

Pharaun odsunął się do tyłu, wymówił na głos słowo i portal rozjarzył się głęboką purpurą, powracając do życia. Cały nabrał głębi, poczucia odległości. Kamienie wewnątrz łuku zastąpiła skrzająca się zasłona światła.

Pharaun odwrócił się do towarzyszy i krzyknął:

- Gotowe! Przechodźcie!

Quenthel stała najbliżej, ale zawahała się.

- Dokąd prowadzi? - zapytała.

- Nie wiem - przyznał Pharaun. - Pismo na obwodzie wspomina o jakimś mieście, ale nie rozpoznaję jego nazwy. Przekonamy się po drugiej stronie.

Quenthel potrząsnęła głową.

- Nie. Najpierw musi przejść ktoś inny.

Ryld, Halisstra i Danifae zebrali się wokół. Fehmistrz podtrzymał Danifae, żeby nie ześliznęła się w dół. Pozostali lewitowali.

Ryld pchnął Danifae ku otworowi.

- Jestem zaraz za tobą - zapewnił.

Mistrz Melee-Magthere pchnął brankę w stronę łuku. Danifae rzuciła mu przez ramię ostatnie, poirytowane spojrzenie, kiwnęła głową i weszła w portal, znikając w okamgnieniu. Ryld skoczył w portal uderzenie serca później, a zaraz za nim Halisstra.

Pharaun spojrzał na Quenthel.

- No i? - zapytał.

- Najpierw ty - odparła, wciąż wpatrując się z niepokojem w bramę.

- Nie mogę - wyjaśnił mistrz Sorcere. - Muszę wejść jako ostatni. Ponieważ go otworzyłem, portal zamknie się za mną.

- A co z Jeggredem?

- Zaczekam na nich tak długo, jak się da - powiedział Pharaun. Kamienie wokół nich znów jęknęły. To, co zostało z budynku, przechyliło się jeszcze bardziej. Oczy Quenthel rozszerzyły się.

- Nie ma czasu. Przechodź! - powiedział Pharaun i pchnął Quenthel w stronę otworu.

Rozwścieczona wysoka kapłanka obróciła się, sięgając po bicz. Węze wiły się jak oszalałe, starając się dosięgnąć maga, ale budynek podskoczył i przechylił się, a Quenthel nie zdołała ustać.

Wpadła na czarodzieja i zmije klapnęły zębami, trafiając na jego piwafwi.

Pharaun złapał ją i postawił prosto.

- Proszę - powiedział. - Nie mamy na to czasu.

Gniewny grymas na jej twarzy złagodniał nieco, kapłanka przyglądała się czarodziejowi z lekkim uśmiechem.

- Gdybym nie znała cię lepiej, mogłabym pomyśleć, że zrobiłeś się miękki, czarodzieju.

Z tymi słowy weszła w łuk i zniknęła.

Pharaun potrząsnął głową ze zdumieniem i odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nie widać Jeggreda i Valasa. Podłoga była już nachylona pod dość stromym kątem i mag zsunął się niżej, żeby spojrzeć w dół. Pod sobą zobaczył ich obu, wznoszących się tak szybko, jak pozwalała im na to lewitacja Jeggreda. Wokół nich spadały w dół kawałki gruzu i sam Pharaun zrzucił przypadkiem fragment kruszącej się podłogi. Czarodziej zamarł, patrząc, jak leci on w stronę jego towarzyszy, ale minął ich, choć mało brakowało.

Wreszcie, poruszając się niemiłosiernie wolno, draegloth i jego podopieczny dotarli do tego, co zostało z budynku, i cała trójka zaczęła się przesuwać w stronę portalu, który wciąż jarzył się intensywnym światłem.

- Pozostali czekają po drugiej stronie - wyjaśnił Pharaun, wskazując bramę. - Muszę przejść jako ostatni. Pospieszcie się!

Jegged bez wahania wskoczył w łuk i zniknął. Valas ruszył zaraz za nim i w tej samej chwili rozległ się ostatni ogłuszający huk i szczątki komnaty zaczęły spadać w dół. Pharaun pchnął silnie zwiadowcę i zanurkował zaraz za nim.

Portal zamknął się i jego światło zgasło. Uderzenie serca później to, co zostało z Wiszącej Wieży, łącznie ze ścianą, w której zakotwiczony był portal, roztrzaskało się na milion kawałków, uderzając o pajęczą ulicą w dole.

* * *

Aliisza skuliła się na widok furii w oczach Kaanyra Vhoka. Jej pan był niezadowolony z faktu, że nie informowała go na bieżąco o sytuacji w mieście drowów i nawet jej wyjaśnienia, w których wspomniała o kłopotach i trudnościach, jakie napotkała wśród elfów, nie zdołały go ugłaskać.

- Więc powiadasz, że całe miasto legło w gruzach?! - warknął markiz, chodząc tam i z powrotem. - Zrujnowane przez zgrają żalonych szarych krasnoludów?

- Nie tylko przez szare krasnoludy, kochanie, ale i same drowy. Elfy poróżniły się między sobą do tego stopnia, że straciły kontrolę nad sytuacją. To je zniszczyło.

- Jak mogło do tego dojść? Nie żebym odczuwał żal z powodu upadku zadufanych w sobie mrocznych elfów, ale nie należą one do istot, które pozwalają, żeby coś takiego spotkało ich wspaniałe miasto. Równowaga między siłami Podmroku została zachwiana.

- Wiem - powiedziała alu-demon, przysuwając się do kochanka - ale są ku temu powody.

- Wiesz jakie?

- Tak, ukochany, ale to twoje chodzenie strasznie mnie irytuje. Usiądź, a wtedy ci powiem.

Kaanyr Vhok westchnął, ale odwrócił się i opadł na tron.

- No dobrze - powiedział, poklepując się po kolanie. - Powiedz mi.

Aliisza, kołysząc biodrami, podeszła do Vhoka i usadowiła mu się na kolanach. Demonica uświadomiła sobie, że brakowało jej go bardziej, niż myślała. Przytuliła się do niego i zaczęła pieścić jego ucho.

- Mmm... Tęskniłem za tobą - powiedział, powtarzając jak echo jej myśli. - Ale zanim dojdziemy do powitań, powiedz mi, czego się dowiedziałaś.

Aliisza zachichotała, głaszcząc palcami jego ramię.

- Stracili kontakt ze swoją boginią - wyszeptala mu cichutko do ucha.

- Co?! - zagrmiał markiz, prostując się na tronie i prawie zrzucając demonicę na podłogę. - Mówisz poważnie?

Nadąsana alu założyła ramiona na piersi.

- Oczywiście, że mówię poważnie - burknęła. - Stracili Lolth z oczu, więc próbują się dowiedzieć, dlaczego, ale oczywiście, będąc - jak ich nazwałeś? A, tak „zadufanymi w sobie mrocznymi elfami”.

Będąc zadufanymi w sobie, upartymi mrocznymi elfami, wojowały ze sobą dopóty, dopóki się nawzajem nie powybijały.

- Rozumiem. Skoro Lolth zniknęła, gdyby ktoś miał ochotę wziąć odwet za krzywdy, jakie mu wyrządzono, teraz nadszedłby jego czas - stwierdził markiz, spoglądając przed siebie nieobecny wzrokiem.

- Myślisz o zemście? - zapytała Aliisza, znów trąc nosem o szyję kochanka.

- Może - odparł Vhok. - Zobaczymy. Chyba nie chcesz się mścić na Ched Nasad, co?

- Mmm - zamruczała Aliisza, wijąc się, gdyż palce Kaanyra Vhoka znów zaczęły wędrować po jej ciele. - Raczej nie - powiedziała, zapominając na długą, przyjemną chwilę o zrujnowanym Mieście Połyskliwych Pajęczyn.

* * *

Wysoko ponad zrujnowanym Miastem Połyskliwych Pajęczyn, na kamiennej półce tuż pod sklepieniem wielkiej jaskini siedział pojedynczy mroczny elf. Dym był tam gęsty, gęsty i gryzący, ale nie przeszkadzało mu to. Spoglądał w dół i uśmiechał się.

Nie był atrakcyjny, z pewnością nie według drowich standardów, i niewiele gatunków uznałoby go za przystojnego, ale to też mu nie przeszkadzało. To, czego szukał, było znacznie trwalsze niż piękno. Będą zadowoleni, pomyślał Zammzt, patrząc, jak pożary powoli dogasają, a całe dzielnice miasta rozpadają się i walą w mroczne głębiny pieczary. To dobry pierwszy krok. Wciąż pozostaje wiele do zrobienia, ale to dobry pierwszy krok.

Otrząsnąwszy się z zadumy, drow wstał i przeciągnął się.

Muszę iść, pomyślał jakby z żalem.

Był dumny z tego, czego dokonał, miał ochotę zostać i popatrzeć jeszcze trochę, ale pozostali czekali.

Wzdychając, po raz ostatni omiół wzrokiem ruiny Ched Nasad, a potem wkroczył w najmroczniejszy cień i zniknął.